

DMITRY GLUKHOVSKY

UNIVERSUM
METRO
2033



SZYMUN WRÓCZEK

PITER

BITWA BLIŹNIAKÓW

DMITRY GLUKHOVSKY



SZYMUN WRÓCZEK

PITER

BITWA BLIŹNIAKÓW

przekład

PATRYCJA ZARAWSKA

 insignis

Tytuł oryginału
Метро 2035: Питер. Битва близнецов

Copyright © Dmitry Glukhovskiy, 2019

Copyright © Szymun Wroczek, 2019

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii

Dmitry Glukhovskiy, 2018–2020

Przekład z języka rosyjskiego

Patrycja Zarawska

Projekt okładki

Paweł Bondarenko

Projekt polskiego logotypu serii

Tomasz Brzozowski

Redakcja

Danuta Porębska, Tomasz Porębski

Korekta

Marcin Piątek

Skład

Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji 978-83-66575-18-9



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 625 19 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Preludium. Człowiek bez Imienia 1

Część I. Uber i smok

Rozdział 1

1. Mika

2. Popaprany anioł

3. Przerznięliśmy karawanę

4. Bieg w pomarańczowym świetle

5. Góra umarlaków

6. Wpuść mnie

7. Pióro anioła

Rozdział 2

1 Jura

2. Krzyk potwora

3. Telefon Boga

4. Mortusy

5. Stacja

6. Pióro anioła 2

7. Znajdź moją mamę

Rozdział 3

1 Czeczen

2. Zapoznanie z merem

3. Najlepszy mer w świecie

4. Mika i Nanny

5. Mamed mówi i płacze

6. Złe mleko

Rozdział 4

1 Pragnienie

2. Boberek (Pióro anioła 3)

3. Nierosyjskie anioły

4. Koniec kredytu

5. „Mamed miał rację”

Rozdział 5

1 Uber próbuje nawiać

2. Anielskie skrzydła

3. Trzystu Czeczeńów

4. Rozmowa mera

5. Zabójca potworów

Rozdział 6

1. Sołowiej

2. Sołowiej i mer

3. Don Kichot i Sancho

4. W poszukiwaniu smoka

5. Krzyk potwora 2

Rozdział 7

1. Poszukiwania smoka 2 / Czerwona spinka

2. Marta

3. Automatyczna sekretarka Boga

4. Nanny

5. Pióro anioła 4

6. Smok

7. Mówi mer

Rozdział 8

1. Smok

2. Smok wybiera ofiarę

3. Ojciec i syn

4. Mamed obiecuje pomoc

Rozdział 9

1. Sołowiej ostrzega

2. Śmierć Mameda / Wiadomość w butelce

3. Sołowiej i smok

4. Smok Ubera kontra smok Sołowieja

Rozdział 10

1. Pióro anioła 5

2. Uber i Lejkin

3. Pułapka na skinheada

Rozdział 11

1. Izba tortur

2. Nanny

3. Pięć wołów

4. Lejkin i Sołowiej

5. Wybór

6. Śmierć Nanny

7. Anioł Spierdalaj

8. Pióro we krwi

Rozdział 12

1. Automatyczna sekretarka Boga

2. Kto zabił Martę

3. Ukaranie mera

Rozdział 13

1 Wróc do Sorrento

2. Zabić smoka

3. Epilog

Interludium 1. Człowiek bez Imienia 2

Część II. Uber i wolność

Rozdział 1. Niezwykły gość

Rozdział 2. Prawo skazańca

Rozdział 3. Badanie lekarskie ludzi

Rozdział 4. Parszywa dwunastka sonetów

1 Dagon

2. Kuźmicz

3. Daszka Terminator

4. Czech

5. Artem

6. Cthulhu

7. Pieróg

8. Wiking

9. Adaptant Żenia

10 Primoriec

Rozdział 5. Siedmiu pieprzonych samurajów

Interludium 2. Człowiek bez Imienia 3

PRELUDIUM

Człowiek bez Imienia 1

Petersburg, grudzień 2033 roku

Budzę się w zupełnej ciemności. Oczy bolą tak, jakby ktoś mi je wyłupił.

Kurewski ziąb. Stawy zamieniły się w stalowe zawiasy i panewki. Lodowato zimne i twarde. Obmacuję się, by się upewnić, że wciąż mam ciało.

W gardle mi zaschło. Atomowa pustynia. Stan Nevada wcześniej rano, kiedy panuje chłód i jaszczurki jeszcze drzemią.

W głowie same pytania: „Gdzie ja jestem? Co tutaj robię?”.

I jeszcze jedno, najważniejsze – za co?!

Próbuję się zorientować.

Przed oczami czerwona mgła. Strzępy ognia. Żółte, czerwone, zielone. To nie jest światło. Niestety.

To mój mózg sam wymyśla nieistniejące rzeczy.

Gdzie jestem?

Próbuję obmacywać ściany. Natykam się na jakieś mechanizmy. Całe w rdzy.

Sprawdzam kieszenie. Coś w nich jest. Na oślep przeprowadzam inwentaryzację:

1. Karteczka. Kwadratowy kawałek tekturki, z jednej strony gładki. Zdaje się, że to zdjęcie. Nie wiem, kogo przedstawia.
2. Pióro jakiegoś ptaka. Szorstkie i brudne, z obłamanym koniuszkiem. Nie pamiętam, do czego miałyby mi służyć. Komu potrzebne coś takiego? Podnoszę je pod nos i aż mnie odrzuca. Tak śmierdzi.
3. Zapalniczka Zippo. Chłodna, metalowa, z wypukłym reliefem po bokach. Czuję lekki zapach benzyny. Alleluja! Cudownie. Działa prawie tak samo dobrze jak poranny aromat kawy i ciepłych croissantów. W Paryżu, na Montmartre, wiosną... Brzmi prawie tak, jakbym rzeczywiście kiedyś był w Paryżu...

Zardzewiała wieża Eiffla przechyliła się nad miastem. Martwe Pola Elizejskie zarosły rudą, udręczoną trawą. Łuk Triumfalny okaleczony wybuchem, została z niego tylko połowa. Z moczarów, w które przekształciło się centrum miasta, sterczy korpus ogromnego wojskowego samolotu.

Tylko że ja za cholere tam nie byłem.

Pięknie. Teraz mam trzy magiczne przedmioty. Jak w bajce. Pozostało znaleźć dla nich zastosowanie.

Otwieram zapalniczkę, kładę palec na rowkowanym kółeczku.

Czirk! Czirk!

Kółeczko się przekręca.

Czirk!

Lecą iskry.

Człowiek próbuje rozpalić ogień, żeby się rozejrzeć. Żeby zrozumieć, gdzie się znajduje. Do tej pory nie wyobraża sobie, co się z nim stało.

Człowiek myśli: „Gdzie ja jestem?”.

Nie wie, jak tu trafił. Możliwe, że przeżył traumę i teraz ma potraumatyczną amnezję, tak często się zdarza.

Amnezja. Tak często się zdarza.

Boli mnie potylicy.

Nie wiem, co tam mam. Ostrożnie dotykam tego miejsca palcami, wchodzą w coś miękkiego i wilgotnego. Krew? W następnej chwili przenika mnie na wskroś wyładowanie bólu, aż odpływam. W ostatniej sekundzie zrywem wracam do przytomności. Łapię sam siebie, przeczekuję zawroty głowy, by nie upaść. Opieram ręce o niewidoczną ziemię. Pod palcami chłodny, porowaty beton. Wygląda na to, że w potylicy mam otwartą ranę.

Znów biorę zapalniczkę.

Czirk! Czirk! Wszszsz!

Nieoczekiwanie wybucha płomień. Miękkim, złocistym światłem na mgnienie oświetla wszystko wokół...

Od tego światła prawie mnie bolą oczy. Na chwilę przymykam powieki.

Znowu otwieram oczy.

Oświetla twarz człowieka. Jego oczy. Takie jasne.

Zanim płomień zgaśnie, widać, że jest to człowiek o wyraziście zarysowanym podbródku i ogolonej głowie, ze szramami na twarzy. Nie zważając na sytuację, w jakiej się znalazł, człowiek uśmiecha się.

– Cześć – mówi do ognia.

– Cześć – mówię do ognia.

I płomień gaśnie.

Zupełna ciemność, świetlne plamy na siatkówce oka. Mają kształt języków ognia. Skaczą. Migoczą. Są wszędzie. Kręcę głową, plamy z lekkim opóźnieniem poruszają się za mną.

Czyli nie oślepiłem.

Choć jedna dobra wiadomość na dziś.

Podnoszę zapalniczkę do nosa i czuję zanikający gorący zapach. Świetnie. Oznaka

życia.

Ledwie uchwytna woń benzyny. Możliwe, że uda mi się zapalić ogień tylko raz. Może dwa. Jeśli się poszczęści.

Chowam zapalniczkę. Palce wymacują wyświechtany materiał i wsuwają Zippo do kieszeni starych, wytartych dżinsów. Przesuwam ręką po biodrze, czując, jak ocalałe nity chłodzą mi opuszki palców. Zapalniczka jeszcze się przyda. Teraz nie warto marnować benzyny.

Zostawię ją na czarną godzinę.

Natężam wzrok, a potem wyobrażam sobie białe kształty dwóch dłoni. Jakby świeciły w ciemności. Podnoszę je sobie przed twarz.

„To moje ręce”. Właśnie.

Zakres możliwości rąk jest nieograniczony, zastąpią mi oczy. Jednocześnie się ogrzeję.

„Kto ręce utrudzi, ten się nie zanudzi. Prawda, profesorze?” Prawie słyszę ten kpiący, lekko schrypnięty głos. Z jakiegoś powodu uśmiecham się przy tych wspomnieniach.

I nagle tracę przytomność.

* * *

Nie wiem, ile minęło czasu. Minuty w ciemności rozciągają się w nieskończoność. Kiedy Bóg postanowił pokarać ludzi, odebrał im czas.

Nieskończoność topnieje i spływa w dół jak roztopiający się ser. Jak zegar na obrazie Salvadora Dalí...

Dobry obraz. Dalí zawsze mi się podobał.

Nigdy jednak nie myślałem, że znajdę się w jego obrazie.

Biała, świetlista sylwetka człowieka na tle czarnej, porysowanej białymi kreskami kopii obrazu Salvadora Dalí.

We wnętrzu rozciągliwego czasu... uczę się być ślepym.

Przed Katastrofą znana była przypowieść o sześciu niewidomych mędrkach i słoniu. Ślepcy obmacywali słonia, by pojąć, co to takiego.

Pierwszy mędrzec chwycił słoniową nogę i zawołał: słon jest podobny do drzewa!

Drugi wziął zwierza za ogon i krzyknął: słon jest podobny do liny.

Trzeci mędrzec złapał słonia za trąbę i stwierdził: słon jest podobny do węża.

Czwarty mędrzec uznał, że słon to włócznia. Temu dostał się słoniowy kiel.

Piąty utrzymywał, że słon to ściana. Bez wątplenia. Wszak mędrzec opierał się o bok ogromnego czworonoga.

Szósty rzekł: słon to koc. Bo natknął się na wełnianą derkę, którą okryto grzbiet zwierzęcia.

Każdy ze ślepców „ujrzał” swoje. Oddzielne części. Całego słonia jednak żaden nie zobaczył.

Jaki interesujący paradoks, nie? Paradoks ślepców.

Wyobrażam sobie oddzielne obrazy jak kadry kroniki filmowej:

Mechanizmy, ściana, przewody, porzucona puszka z konserwy... I schody.

Schody. Dokąd prowadzą?

Co za różnica? Najważniejsze, że jest droga.

Nieistotne, gdy zabłądziwszy w lesie, wyjdiesz na opuszczoną drogę.

Schody to nic. Ratunek. Wszystkie drogi dokądś prowadzą. Nawet jeśli od stu lat nikt nimi nie jeździł ani nie chodził.

To wiem.

W dzieciństwie zgubiłem się kiedyś w tajdze i byłem już w rozpacz. Sosny patrzyły na mnie gdzieś spod nieba, pod nogami uginał się mech. Lecz nagle w środku lasu wyszedłem na starą, zarosniętą trawą drogę. Koleiny wyłobione głęboko w piasku. I wstąpiła we mnie nowa nadzieja...

Nagle rozumiem. Rozproszone szczegóły układają się w jedną całość i tworzy się on... Słoń.

To nie zwykłe schody. Nie ściana. Nie koła zębate. Nie przewody. Nie szkło. Nie metal. Nie beton. To znieruchomiałe ruchome schody.

Przez chwilę kręci mi się w głowie.

Odczuwam ulgę. I spokój.

Wcale nie jest tak źle. Jestem w metrze.

W domu.

I
UBER I SMOK

Szesnaście kul do AK-47
i nikt donikąd nie leci
on wjechał w wąwóz wierzchem na ośle
z postem modlitwą i kałachem

by robić karby na łuskach
robić karby na łuskach
robić karby na łuskach

miał krzyż ze starych gwoździ
i pół worka kukurydzianej mąki
(nie, prawie cały worek kukurydzianej mąki)
u Xuan-del-Fiora kupił sobie lufę
za czyjąś kradzioną czerwoną corvette

wszak zabić smoka nie tak łatwo jest
zabić smoka nie tak łatwo
zabić smoka nie tak łatwo^{*}

^{*} Tom Waits, *16 Shells...*, za wolnym przekładem D. Siergiejewa.

ROZDZIAŁ 1

*Rok 2023, Petersburg, stacja Obwodnyj Kanał,
10 lat do wojny wegańskiej*

1. Mika

Skroplona para ścieka po betonowym tubingu, zbierając po drodze pył i woń wilgoci, dwutlenek węgla i cząstki pleśni. Małeńkie, złuszczające się drobiny ludzkiego naskórka. W podziemiach metra słabo, ospale, niepotrzebnie pełga życie. Jednostki – tylko tyle zostało z zarozumiałej, butnej masy ludzkiej protoplazmy do niedawna zamieszkującej planetę Ziemię. Oto przecież tu, w tym tunelu, pleśń rośnie i rozwija się od ponad dziesięciu lat, ludzi coraz mniej, a pleśni wciąż przybywa. W powietrzu połyskują słabo fluoryzujące drobiny. To zarodniki większych grzybów.

Ludzie są źródłem białka. Duże grzyby to źródło białka dla źródła białka.

A pleśń włada wszystkim. Jest tu wszędzie: w powietrzu, na ścianach, w wodzie, nawet w płucach jednostek ludzkich.

Przyjdzie czas, kiedy pleśń zawładnie naprawdę wszystkim. Tymczasem z uporem, niestrudzenie rozwija się i rośnie. Teraz metodycznie przetrawia grzyba, czując przyjemny, palący trucizną miąższ. Oto obok grzyba w świetlnej plamie padającej z czołówki pojawia się czyjaś noga w kolorowych owijaczach. Żółta plama światła wędruje do przodu. W głąb tunelu. Za nią, niczym przywiązana, podąża staruszka, za którą porusza się jeszcze jedna żółta plama, podskakuje staruszce na plecach, drży, pomyka to w prawo, to w lewo, wybiega tunelem naprzód i znowu się wraca.

Ta plama światła należy do sześciolatniej dziewczynki. Dlatego jest tak rozbiegana. Staruszka i dziewczynka idą naprzód. Każda ma w ręce kosz, a na głowie czołówkę.

Pleśń zostaje w mroku. Kiedyś one też, stara kobieta i dziewczynka, staną się zdobyczą pleśni, cząstką ogromnego zbiorowego umysłu. Pleśń oplecie ich usta i policzki, palce i ręce, wypełni do środka i urządzi się tam jak u siebie w domu. Ale to jeszcze nieprędko.

Co do dziewczynki – na pewno nieprędko. Jest młoda i zdrowa, na ile można być zdrowym, jeśli się całe życie spędziło w wilgotnych, na wpół zatopionych podziemiach. Mała od czasu do czasu kaszle. Urodziła się w wielkim mieście. Leningradzie. Piterze. Petersburgu. Piotrogradzie. Co za różnica? Dla niej jest to nieznaną krainą na wierzchu. Baśniową krainą śmierci i opuszczenia, zimnych

kamiennych lwów, rzadko spotykanych cudownych rzeczy, które przynoszą na dół stalkerzy, i wychodzących na łowy potworów. Kto to taki ten Piotr? Dziewczynka nie wie. Ma ciemne włosy i jasnobrązowe oczy. Ubrana jest w sukienkę i powyciągany sweterek, niezbyt fachowo zrobiony na drutach ze zmechaconej włóczki. Sweter jest w dwóch trzecich żółty, a w jednej – niebieski. Dziewczynce podoba się zapach przełamanych grzybów i często śnią jej się kolorowe sny.

– Zobacz, Nanny! – odzywa się mała. Schyla się, podnosi z ziemi czarnego powykęcianego grzyba. W ciemności grzyb jarzy się lekko fioletowym blaskiem. – Znalazłam!

– Faj, że ty. Wyrzuć to świństwo – odpowiada staruszka.

Dziewczynka strząsa grzyba z dłoni i chowa je za plecami.

– I wytrzyj ręce – dodaje staruszka. – Co tak szybko?

– E! Nie szybko – oburza się mała, ale ponownie wyciera ręce o brzeg sukienki.

Szast-prast.

– No, wytrzyj jeszcze raz, żebym widziała. – Dziewczynka niechętnie wypełnia polecenie. – O, tak, zuch dziewczyna. I nie marudź, nie marudź. Chce ci się jeść? Sikać?

– Nie.

Staruszka wzdycha. Siada na bębnie po kablu, stawia obok siebie koszyk i bierze wdech. Gdy jej się przyjrzeć bliżej, nie jest taka znowu stara. Ma pięćdziesiąt lat. Twarz z odcisniętym piętnem zmęczenia, cała pobrużdżona zmarszczkami, dlatego wydaje się, że kobieta dźwiga więcej lat. Ma na sobie czerwony, robiony na drutach sweter i długą spódnicę zszytą z różnokolorowych kawałków materiału. Na nogach rozdeptane botki. Napuchnięte łydki owinięte kolorowymi pasami tkaniny. Kobieta marszczy czoło i rozciera sobie ścierpiętą nogę.

– Nanny – zagaduje dziewczynka.

– Czego chcesz? Głodna jesteś?

Mała kręci głową.

– Nie.

– No to o co chodzi?

– Przyśnił mi się sen...

Kobieta nazywana Nanny ciężko wzdycha.

– No i masz, znów się zaczyna!

– ...o aniołach.

Nanny krzywi się. Najwyraźniej słyszy to nie pierwszy raz.

– Tylko nie o snach. Nienawidzę snów. Sny są głupie. Nie ma w nich nic dobrego. – Nagle zamiera. – O aniołach?

Dziewczynka kręci głową. I tak, i nie.

– Przed snem się modliłam. Tak jak mnie nauczyłaś, Nanny!

Kobieta zdecydowanie nie czuje się jak szczęśliwa nauczycielka. Czuje się jak bardzo zmęczona nauczycielka.

– O Boże.

– Chciałam zobaczyć mamę.

Nanny wzdycha.

– Biedna mała – mruczy pod nosem. Łapie się sama na chwili słabości, przybiera surową minę.

– Co? Znowu?! Mika! Umawialiśmy się przecież!

– Ale mama nie przyszła – mówi Mika.

Kobieta gdera gniewnie, kierując narzekania do nieba, a może do tunelowego sufitu albo nawet do pleśni:

– Zamilknie ten dzieciak kiedyś wreszcie czy nie? Czy kto w ogóle widział sześciolatniego smyka, który by tyle gadał? Za co mnie to spotkało?! – Zwraca się do dziewczynki: – No i co? Była tam twoja mama czy nie?

Mika ignoruje ją. Ma sześć lat, lecz umie pogrywać w gry dorosłych.

– Mocno zamknęłam oczy i zacisnęłam pięści – opowiada dalej Mika. – O tak.

Przykłada piąstki do piersi. Zadziera twarz i zaciska powieki – tak mocno, jakby od tego zależało jej życie. Nanny nie wytrzymuje.

– Powiesz mi to w końcu czy nie?! Duszę z człowieka wyciągnie! Co za skaranie, przebacz mi, Panie Boże!

Ale mała nie daje się łatwo zbić z tropu.

– Bardzo chciałam, żeby Bóg mnie usłyszał. – Na mgnienie odmyka lewe oko i zaczyna szybko trajkotać: – Proszę. Proszę. Proszę. Proo...

To śmieszne. Nanny przerywa jej z sarkazmem:

– I co, tak ze dwieście razy?

Dziewczynka otwiera oczy. Uroczyście spogląda na kobietę.

– Dwieście tysięcy milionów! Prosiłam, żeby mi zesłał anioła – oznajmia.

Milczenie. Gdzieś w dali w tunelu dudni przeciąg, pohukuje niczym zagubiony w mgle wędrowiec.

Nanny kwituje ze zmęczeniem:

– I po co to robisz? Już ci mówiłam, że u Boga nie ma dla ludzi ratunku... już nie. – Z przyzwyczajenia kreśli na piersi mały znak krzyża. – I tak nam oddał swojego jedyne syna.

Mika nie słucha. Prawie szepcze:

– Nikt mi nie odpowiedział. Zupełnie nikt. A potem położyłam się spać.

Oczy dziewczynki otwierają się szeroko, jakby zobaczyła coś wstrząsającego.

Nanny podnosi wzrok, ale widzi tylko tunelowy sufit, zarośnięty brudem, z zaciekami wilgoci. Gdzieś w oddali wyje wiatr.

– Co tam widzisz? – pyta kobieta.

– Niebo. Od razu je rozpoznałam.

Nanny, zawahawszy się, dopytuje podejrzliwie:

– Rozpoznałaś?

Mała uśmiecha się przymilnie.

– Wszystko tak, jak mi opowiadałaś, nianiu. Najpierw zobaczyłam obłoki... potem bramę...

– Bramę? – powtarza kobieta, wbrew własnej woli oczarowana. – Była tam brama?

– Tak.

Nanny wzdycha.

– Jakże ja lubię bramę – oświadcza rozmarzona. – Boże mój, Boże. Śni mi się nawet czasami. Rzecz jasna, nigdy jej nie widziałam, tylko na obrazku... A były na niej... no wiesz, takie wzory, zawijasy? Jakby liście z brązu? Były?

Mika kiwa głową.

– A napis?

– Tak, oczywiście!

– Wiedziałaś. Wiedziałaś! – Kobietę wypełnia spokojna radość.

Dziewczynka mówi dalej:

– Żółty napis. Napisane... dużymi literami, bardzo ładnie...

Nanny bezwiednie wychyla się do przodu. W jej oczach tli się nadzieja. Tuż przed nią zaś w oczach dziewczynki podskakują ledwie dostrzegalne iskierki kpiny.

– „Cześć, Nanny – oznajmia mała. – To jest Raj”.

Milczenie. Gdzieś daleko kapie woda i miliardy zarodników pleśni szykują się, by zawładnąć umierającym światem. Kobieta patrzy na dziewczynkę uważnie, marszczy brwi. W końcu pyta:

– Mika, naśmiewasz się ze mnie, co?

Mała chichocze. Znów zamienia się w nieco roztrzępaną sześciolatkę. Psotną śmieszkę.

– Możliwe, że tak troszeczkę, Nanny.

– Tęsknisz za mamą?

Mika zamiera. Po czym uśmiecha się – dziwnym, jakby zwróconym do własnego wnętrza uśmiechem.

Kobieta nazywana przez dziewczynkę Nanny wzdryga się.

* * *

W głębi pokoju stoi stary, popękany od wilgoci stół. Żółty niegdyś fornir wyblakł i odchodzi od drewna. Na stole dzwoni starodawny szary telefon. Przeciagle i tęsknie, jak w dawnym gangsterskim filmie.

W końcu Mika podchodzi do aparatu. Waha się przez sekundę i podnosi słuchawkę. Na plastiku zostają ślady ze startego palcami kurzu. Dziewczynka przykłada sobie słuchawkę do ucha, na jej twarzy maluje się pełna udręki nadzieja przemieszana ze strachem.

– Halo? – mówi Mika do dziurkowanego mikrofonu. I słucha. W słuchawce panuje cisza.

Mała powtarza niepewnie:

– Halo? Czy ktoś mnie słyszy?

„Yszy... yszy... yszy...” – odzywa się dalekie echo.

I wtem rozlega się pikanie. Ostre, trwożne dźwięki, gwałtowne jak uderzenia serca. Wydaje się, że dochodzą nie ze słuchawki, ale z otoczenia. Jakby cały pokój huczał dźwiękiem telefonicznej membrany.

Nagle przez pikanie przebija się głos. Mocny, głęboki, a jednocześnie jakby pozaziemski. On też dobiega zewsząd. Ze ścian, z sufitu, ze starego stołu i betonowej podłogi. Ze słuchawki. Głos brzmi mechanicznie i monotownie, przypominając nagranie dawnych automatycznych sekretarek:

– Nie mam już więcej dla was aniołów.

Mika rozgląda się.

– Ale...

Głos powtarza monotownie jak automat:

– Wszyscy moi aniołowie są zajęci.

* * *

Mika podnosi głowę i widzi.

Czerwone, pozbawione życia niebo, jakie bywa o zachodzie słońca. Ogromne pole rozerwanych poczerńniętych obłoków, osmalone pozostałości bramy raju. Dekoracyjnie zwinięte liście z brązu nadtopiły się, złote litery poodpadały. W strzępach obłoków zastygły poczerńnięte trupy aniołów. Z nadpalonymi skrzydłami. Z twarzami wykrzywionymi w konwulsjach. Martwi aniołowie.

Czarne od spalenizny pióra krążą w powietrzu i poprzez obłoki opadają ku ziemi. Straszliwy i bardzo piękny widok.

* * *

– Widzisz? – mówi ze zmęczeniem głos, zupełnie już po ludzku. – Nie mam kogo posłać ci na pomoc, Mika. Wszystkie moje dzieci... oto, co się z nimi stało. Nie mam już dla was aniołów.

Dziewczynka odpowiada:

– Jakie to smutne.

Głos znów powtarza tonem automatu:

– Wszyscy moi aniołowie są zajęci.

– Ale ja bardzo potrzebuję pomocy – upiera się mała. – Bardzo!

Głos milczy. Pikanie wciąż się rozlega, ale dobiega jakby z daleka, głuche i ledwie słyszalne.

– Proszę – dopomina się rozpaczliwie Mika.

Głos milczy. Sygnał pika.

Dziewczynka zaczyna krzyczeć. W bólu i desperacji.

– Przyślij kogo bądź! Proszę.

Przestaje i powtarza już tylko cichutko:

– Proszę.

Pauza. Cisza. W końcu rozlega się daleki grom... cichnie.

Głos odzywa się zmęczonym tonem:

– W porządku, jest jeden...

Mika podrzuca głowę.

- Naprawdę?! Dziękuję, dziękuję!
- Głos wzdycha...
- Ale ci się nie spodoba.

Cisza. W czarnych, osmolonych obłokach na mgnienie bezdźwięcznie wybuchła i głośno błyskawica.

2. Popaprany anioł

Gdy Siwy wszedł, ci dwaj stali już naprzeciwko siebie. Wysoki, z głową ogoloną na łyso, nagi od pasa w górę – Uberführer. Znany jako Uber. Naprzeciw niego – brodaty, krzepki mężczyzna w czarnej kurtce. Brodacz uśmiechnął się szeroko. „Próżny trud” – pomyślał Siwy.

– Często mnie pytają, czemu zostałem faszystą – wycedził wolno Uber. – I odpowiadam...

– Co? – wtrącił brodacz.

Uber walnął go głową w twarz. Tamten upadł. Uber podniósł go, grzmotnął kolanem – i jednocześnie puścił. Mężczyzna z rozpędu poleciał na ścianę. Bum! Osunął się na podłogę, zajęczał. Uber popatrzył na niego, przechylił głowę na jedno ramię, na drugie, jak robią duże psy. Po czym ruszył do przodu.

Na ścianie został rozmazany krwawy odcisk twarzy. Niczym japoński znak. „Ładne” – pomyślał Siwy.

Uber podszedł do brodacza. Ten usiłował wstać, podciągnął nogi...

– Mówię im wtedy, że to dobre pytanie – odrzekł skinhead.

Człowiek podniósł się – twarz zalana krwią. Wyciągnął w stronę Ubera rękę. Skinhead schwytał ją błyskawicznie, zarzucił przeciwnika na siebie. Z mocą wystawił mu na spotkanie łokieć. A masz. Cios. Człowiek wzleciał... Krople krwi rozprysnęły się po całym pokoju...

Przez mgnienie Siwy zdążył pomyśleć, że jest w tym jakieś niewiarygodne straszliwe piękno. Możliwe, że japońskie. Zajebiste, jak kamienny ogród.

Mgnienie przysło. Człowiek z łoskotem runął na ziemię.

Zajęczał. Podniósł się. Uparty.

„Ludzie w ogóle mają ogromne zasoby wytrwałości – pomyślał Siwy. – A przy tym mogą się złamać z byle głupoty. Od powiewu wiatru. Jak radziecki wojskowy łaźnik”.

Uber przymierzył się i zadał cios. Bryznęła krew. Uber popatrzył na swoje knykcie, liznął krew. I walnął jeszcze raz, i jeszcze.

– Starczy! – stwierdził Siwy. – Bo go zabijesz.

Uber podniósł głowę. Nozdrza rozdęte, twarz zbryzgana krwią. Skinhead wyszczerzył się w uśmiechu.

– Zawsze można odpowiedzieć, jeśli uprzejmię pytają – rzekł. – Zawsze.

Wyprostował się. Jasnyniebieskie oczy błysnęły żywo, bezlitośnie. Siwy odsunął się. Zawsze go porażała ta gotowość Ubera do błyskawicznego przechodzenia ze

stanu spokoju w stan lodowatego rozwścieczenia. Gdy się wydaje, że powietrze wokół skinheada iskrzy się i rozlewa, palące zimną elektrycznością.

– Uprzejmość – dodał cicho Uber. – Lubię słowo „szacunek”. – Znów się wyszczerzył. Pchnął leżące ciało nogą w wysokim wojskowym bucie. – Dlatego, że żaden ze mnie faszysta, za cholere. Rozumiesz?

Zwrócił się do Siwego. Ten patrzył na towarzysza otwarcie, bez cienia strachu. Z Uberem można było tylko tak. Szczerość, cierpliwość i ani grama strachu. Jak z dziećmi.

Uberowi drgnął policzek.

– Czy ja jestem podobny do faszysty?

Siwy przyjrzał mu się. Uważnie i ze spokojem.

Miał przed sobą zbryzganą krwią twarz Ubera. Rozdęte nozdrza. Okrutne, pełne wściekłości jasnyniebieskie oczy. Teraz od Ubera rozchodziły się – jak promieniowanie z reaktora – fale rozwścieczenia.

Siwy odparł łagodnie:

– Jasne, że nie. Co z ciebie, do cholery, za faszysta?

Ostatnie zdanie tak ostro kontrastowało z wyglądem Ubera, że to aż śmieszne. Uber roześmiał się.

Starł dłonią z czoła krople krwi. Po czym zaśpiewał niegłośno. Miał ładny, odrobinę schrypnięty tenor.

*Z prochu człowieka ulepił Bóg,
W ciele są kości, mięśnie i mózg.
Kości i mięśnie, plecy na schwał,
Ale mózg tępy we łbie mi dał*.*

Siwy patrzył, jak Uber śpiewa. Czerwony skinhead – goły do pasa, wysoki, barczysty, żyłasty, z dziesiątkami zagojonych i wciąż gojących się ran. Krzepkie długie ręce zwisają po bokach ciała.

Na ramieniu czarny tatuaż: skrzyżowane sierp i młot, otoczone laurowym wieńcem.

Siwy opuścił głowę i ujrzał rozbite, skrwawione knykcie na pięściach Ubera. „Ktoś tu za bardzo dał się ponieść” – pomyślał.

– No i tak – rzekł Uber.

Siwy obejrzał miejsce bijatyki, jeszcze raz w zadumie popatrzył na zachlapaną krwią ścianę, zauważył na podłodze biały ząb w krwawej kałuży, zahaczył wzrokiem o leżące bez życia ciało. Chociaż nie, ciało się jeszcze ruszało. Siwy przykucnął, przyłożył dwa palce do szyi skatowanego brodacza. Posłuchał uważnie. Kiwnął głową, podniósł się, zwrócił do Ubera. Ten oglądał sobie rozbite do krwi knykcie.

– Za co ty go tak? – zapytał Siwy. – Ominął mnie początek.

Uber podniósł głowę. Twarz, do tej pory skażona wściekłością, wreszcie się rozchmurzyła.

– Nazwał mnie faszystą – odpowiedział spokojnie.

– Tylko tyle? – zdziwił się Siwy.

– Tak.

– Naprawdę nic więcej?

– A to mało? – Uber uniósł brwi.

– Myślę, że powinieneś być bardziej powściągliwy – orzekł Siwy.

– Czemu? – zaperzył się Uber. – Uważasz, że po wstąpiłem do skinów, żeby być powściągliwy? Ej, brachu, stać, cholero! Szykuj się, teraz będę powściągliwy.

– Większa siła to większa odpowiedzialność – stwierdził Siwy.

Milczenie. Uber przyjrzał się starszemu skinheadowi, w zamyśleniu potarł sobie szramę na czole. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz konsternacji. Przesąpił z nogi na nogę, pokręcił głową. Zdawało się, że ta myśl nie mieści się w jego wygolonej, poznaczonej szramami, upartej głowie. Ale mimo to próbuje ją tam wcisnąć – z szacunku dla Siwego. Uber nachmurzył się.

– Ty teraz poważnie? – spytał.

Siwy patrzył na niego w milczeniu. Otwarcie i srogo, jak biblijny apostoł. I nagle nie wytrzymał, zaśmiał się.

– No nie, jasne, że nie. Wziąłem to z komiksu.

– Kurna – mruknął Uber. – Przez sekundę prawie ci uwierzyłem.

– Ale następnym razem mimo wszystko przyhamuj. To przecież tylko słowa.

– Tak. – Uber skinął głową. – Nie wypada zabijać za słowa.

– No właśnie. – Siwy potarł sobie twarz, przeciągnął się. – Zreć się chce. Przekąsimy coś?

– Wporzo. A... – Uber urwał, widząc w oczach towarzysza, że jeszcze nie wszystko zakończone.

Brodacz podniósł się z ziemi. „Twardziel – pomyślał Siwy. – Ale duuurny”.

Uber odwrócił się z wolna.

– K-kurwa – wychrypiął tamten. Wypluł sobie na dłoń krwawe gluty i dwa zęby. – Ty mnie... ja ciebie...

Ruszył naprzód, nabuzowany. „Straszny jak zasraniec”.

– Brachu, spokojnie.

– Z-zabiję.

– Brachu, bądźmy uczciwi, to nie *Wiśniowy sad* – rzucił Uber. – Takie tam pierdu-pierdu. Nie trzeba robić z tego tragedii.

Siwy ucieszył się, że Uber mówi spokojnie i kpiąco. Ani śladu poprzedniej wściekłości. Widocznie dziś obejdziemy się bez zabójstw. To dobrze.

– Znajdę twoje dzieci i rozerwę – powiedział brodaczu cicho i wyraźnie. – Posiekam na kawałeczki, kurwa.

Uber wałnął. Błyskawicznie, strasznie i z całą mocą. Mężczyzna poleciał w powietrze i gruchnął. Uber kopnął go kilka razy.

Po czym skoczył na niego z góry.

Siwy tylko westchnął i odsunął się, żeby nie zbryzgała go krew. „Uber w swoim repertuarze”. Brodacza nie było mu żal. Za niektóre słowa naprawdę się zabija. Za takie sam by zabił. Przypomniał sobie Ewę – i smutek przeniknął go na wskroś. „Dwa razy bym zabił”.

„Tylko jak się będziemy tłumaczyć przed dowództwem stacji? – pomyślał Siwy. –

O, do diabła. Kiepski wybrał moment.

3. Przerznięliśmy karawanę

Petersburg, zniszczony Katastrofą. W oddali wznosi się uszkodzona kopuła soboru Świętego Izaaka. Potężne pnie pnący poprzerastały kamień pod Jeźdźcem Miedzianym. Posąg oplatają paskudne nagie gałęzie. Na placu poniewierają się porozbijane i popalone rdzawe resztki samochodów. Wszystko tonie w gęstym pomarańczowym świetle. Wkrótce świt.

Obok figur koni Clodta, pozieleniałych od patyny, przechodzą ludzie w szarych płaszczach i maskach przeciwgazowych. Na ramionach niosą ogromne toboły. To kolumna transportowa, diggerzy z tajnym ładunkiem.

Idący przodem digger podśpiewuje sobie pod nosem.

W zniszczonym wojną świecie mało kto zna *Holiday Bee Gees*. Lekka, prościutka piosenka. Wysoki, czysty głos Ubera wywodzi:

*święto to dobry dzień
najlepszy dzień
dzień świąteczny
dobry dzień
najlepszy
dzień*

Karawana idzie przez martwe miasto.

* * *

Petersburg przed świtem. Trzecia nad ranem. Gdzieś w oddali na wschodzie powoli zaczyna się nagrzewać linia horyzontu, niczym wolframowy drucik w żarówce. Przenikają zza niej rude przebłyski i rozpalają powietrze, tak że wygląda, jakby się całe świeciło od środka.

Kamienny lew z wyszczerbioną paszczą patrzy na Newę, po kamieniu pełnie pomarańczowe światło. Z pokaleczonej pociskami lwiej głowy zrywa się nieduży ptak... Nie, nie ptak. Ptakojaszczur. Macha skrzydłami i nabiera wysokości. Świst przecinanego powietrza. Tafla wody przesuwana się pod nim z ogromną prędkością.

Ruiny miasta z wysokości lotu ptaka.

Epicentrum wybuchu. Pod skrzydłami ptakojaszczura rozciąga się ogromny, wypełniony wodą lej. Ta woda, pomimo wietrznej pogody, jest zadziwiająco spokojna. I zawsze trwa taka niezmacona – lepiej w nią nie leżeć. To wie nawet maleńki ptakojaszczur niemal pozbawiony mózdzka.

Pokrzywione słupy latarni ulicznych znaczą drogę. W przewodach wystających z jednego z nich trzepocze zamotany biały materiał – jak gdyby znak kapitulacji całej ludzkości. Ptakojaszczur nabiera wysokości, w ostatniej chwili robi unik, omija biały strzęp.

Martwy kanał, prawie zupełnie pozbawiony wody. Na jego brzegach bure zarośla.

Tu i tam kamienie nabrzeża odkruszyły się, przerośnięte grubymi, mięsistymi pędami.

Przeszywający wiatr, niosący z sobą pył i rentgeny, zmiata z nabrzeży śmieci.

Z góry ptakojaszczur widzi karawanę diggerów. Przemieszczają się bardzo ostrożnie. Trzej idący na czele raz po raz podbiegają pojedynczo, kryjąc jeden drugiego – jak grupa bojowa. Ich broń to przewiązane szmatami stare kałachy i śrutówka. Maski przeciwgazowe. Kaptury zaciągnięte ciasno wokół gumowych masek. Spodnie i rękawy zalepione taśmą klejącą. Wysoki digger zatrzymuje się. Prostuje. To Uber.

Podchodzi do niego drugi, niższy. To Siwy. Trąbę maski przeciwgazowej ma owiniętą niebieską taśmą izolacyjną. Siwy odwraca się, daje pozostałym znak ręką: stop, odpoczynek. Karawana, składająca się z dziesięciu osób, zatrzymuje się z ulgą. Ludzie zdejmują z ramion ciężkie toboły, siadają, piją wodę, gawędzą cicho. Są spokojni. Ale w tym spokoju wyczuwa się jakąś nerwowość.

W oddali słyhać dziwny odgłos. Jakby po martwych ulicach miasta tupotały tysiące łap. Dobiegające stamtąd odległe ujadanie zlewa się w uszach diggerów w jednostajny biały szum.

Siwy i Uber przez lornetki obserwują zbitą gromadę psów. Wstające gdzieś za horyzontem słońce sprawia, że psy nie są szare, jak w rzeczywistości, lecz szkarłatnopomarańczowe. Przez ulice Petersburga przelewają się strumienie kosmatych ciał. To psy Pawłowa, jak je nazywają w Piterze. Tysiące, tysiące zwierząt.

– Czerwone psy – odezwał się Uber. – Prawie jak w *Księżdzie dżungli*. Już na nie pora, co?

– To Ruja. – Siwy schował lornetkę. Wsunął ją do sfatygowanego plastikowego futerału i zamknął wieczko.

– Tak, widzę, że to Ruja. Do diabła, nie w porę, co? Myślałem, że zdarza się tylko na wiosnę...

– Trzeba je odciągnąć – stwierdził Siwy.

Uber rozejrzał się. Też schował lornetkę do futerału, powiesił na pasie. Wyjął ciemne okulary w cienkiej złotej oprawce i nałożył je sobie na maskę. Szpaner, pomyślał Siwy. Wyglądało to... ekstrawagancko.

– Trzeba je pokierować na południe, na południowy wschód – uściślił Siwy.

– Inaczej nie przejdziemy? – Uber zamilkł na chwilę. – Cholera, masz rację. Tak, trzeba. „A my pójdziemy na północ... a my pójdziemy na północ”^{**} – zaśpiewał niespodziewanie,

– Ja pójdę – rzekł Siwy.

Uber pokręcił głową. Zza szkielec nie było widać oczu, czuło się jednak jego uśmiech. Szpanerskie ciemne okulary tylko podkreślały to wrażenie.

– Nie, nie pójdiesz, Ja idę.

Konfrontacja jak w filmie. Jeden koleś w masce przeciwgazowej stoi naprzeciwko drugiego koleś w masce przeciwgazowej. Tylko ten wyższy koleś ma na maskę nasadzone ciemne okulary. W cienkiej złotej oprawce. A drugi – trąbę maski owiniętą niebieską taśmą izolacyjną.

– Tylko nie mów, że mnie ściga poczucie winy – zastrzegł Uber. – Żadne takie

tam. Jasne, mogłem się nie zgodzić na tę propozycję. No pomyśl, powiesiliby nas wszystkich na płocie.

Siwy wzruszył ramionami.

– Dobra, dobra – spuścił z tonu Uber. – Tylko mnie by powiesili. Samego. Ale... Wystarczy, że doprowadzimy karawanę do Powstania. I tyle. Wszystkie długi spłacone.

Siwy westchnął ciężko i zrobił krok w przód. Uber zastąpił mu drogę.

– Poważnie, ja pójdę – powtórzył. – I nie z poczucia winy, nie myśl sobie. To bezwzględna potrzeba popisywania się przed światem.

– A, to inna sprawa – zgodził się z nim Siwy.

Uber milczał przez chwilę.

– Powiesz chłopakom? – zapytał.

– Aha.

4. Bieg w pomarańczowym świetle

Ogromna dolina, zalana pomarańczowym światłem wschodzącego słońca. Jeśli się wzniesć na porządną wysokość, staje się jasne, że to nie skały, tylko gruzy – ruiny domów.

W oddali widać potężny lej po wybuchu bomby atomowej. Ptakojaszczur robi parę silnych zamachów skrzydłami i wzbija się wyżej. Z góry widać już wschód słońca, podczas gdy w dole jeszcze dogorywa mrok przedświt.

A oto i tamta ludzka karawana.

Ptakojaszczur widzi, jak jeden człowiek odłącza się od niej i biegnie. Ptakojaszczur dziwi się, bo człowiek zmierza w stronę stada psów, a nie w przeciwną. Pozostali ludzie zbijają się w grupkę i czekają.

Ptakojaszczur zawraca i zaczyna zniżać lot. Zainteresowało go to.

Człowiek, przygięty do ziemi, idzie psom naprzeciw. Wygląda zza rogu, kryje się.

Psy go właśnie poczuły. Człowiek zaczyna hałasować, kopie drzwi domów i martwe auta.

Sfora – albo ten, kto nią kieruje – podejmuje decyzję. I psy powoli, niczym ciężki, mało zwrotny samochód, skręcają za człowiekiem. Stado nabiera prędkości.

W tym samym czasie karawana rusza w swoją stronę. Ptakojaszczur widzi plecy biegnącego człowieka.

Tamten podskakuje i jego głowa wybucha złotem. Ptakojaszczur na chwilę prawie ślepnie. I nagle człowiek potyka się, a złoty płomień spada z jego głowy i leci na ziemię.

Ptakojaszczur zniża lot.

Psy są już blisko, czuje smród z ich paszczy, ich głód. Głód tego, kto nimi kieruje, kto pogania ten ogromny psi organizm do przodu.

Ptakojaszczur nurkuje, wysuwa ostre pazury i porywa z ziemi złotą iskrę.

To okulary z ciemnymi szklami.

Ptakojaszczur mocno uderza skrzydłami, okulary okazują się nadspodziewanie

ciężkie. Jeszcze uderzenie, jeszcze zamach, jeszcze.

Jeden z psów skacze, ale w ostatniej chwili ptakojaszczur zrywem wlatuje w górę, unosząc zdobycz. I pies nie trafia. Toczy się po ziemi, wstaje. Skomli obrażony.

A potem dołącza do reszty. Sfora ściga człowieka.

Ptakojaszczur wnosi się coraz wyżej. Ma zdobycz, coś ważnego i błyszczącego, co można zanieść do gniazda.

A karawana w dole idzie, przecinając ulice, którymi niedawno pędziły psy.

Psy tymczasem podążają za człowiekiem. Szybko i chciwie, nieustępliwie. Człowiek, straciwszy złotą iskrę, biegnie dalej.

Ptakojaszczur zrobiłby na jego miejscu to samo.

* * *

Pomarańczowa ziemia.

Mocny but uderza o podłoże. Buch! Błysnęły łebki gwoździ w podeszwie. Wzbił się obłoczek pyłu...

W następnej chwili but zrywa się w górę – i przemyka zaledwie kilka milimetrów od betonowego muru. Powolny, płynny lot... Lądowanie, łup! Jeśli popatrzeć na to z punktu widzenia sportowego pokonywania przeszkód, to lekko przeszkadza rżenie w tle. Z charczeniem i bulgotem, jakby ktoś donośnie odcharkiwał w maskę.

Nogi w ciężkich butach lądują – kolana gną się – pyk! – i znów odepchnięcie. Człowiek biegnie. Bieg z przeszkodami, nie ma zmiłuj. Wcześniej, przed Katastrofą, nazywali to parkour. Poszukiwanie optymalnej drogi. Teraz od tego zależy, czy człowiek przeżyje rozpoczynający się poranek.

Człowiek w wojskowych butach ląduje kolejny raz. Wzbija się kurz. Uderzenie o ziemię. Skok.

Człowiek biegnie ogromnymi susami. Z dwóch stron piętrzą się pozostałości zburzonych budynków. Ziemia pod nogami człowieka wibruje. Wydaje się, że za nim toczy się potężna fala, która pochłonie wszystko.

A to zaledwie psy, myśli człowiek. Zwyczajne psiska... „Tylko w cholere ich dużo”.

Skok!

Szybki rzut oka w górę. Tabliczka na ocalałym budynku – półokrągła, zardzewiała na brzegach, głosi: „ul. Tiuszyna”. Numer „18” albo „19”, nie do odcyfrowania. To gdzieś blisko Ligowskiego Prospektu.

Człowiek biegnie. Ma na sobie wojskowy ochronny kombinezon, mankiety owinięte taśmą klejącą, żeby nie wpuścić do środka pyłu. Teraz najważniejsze – nie wpaść w ślepy zaułek. Kiedy za tobą leci sfora, każda ślepa uliczka może się okazać śmiertelną pułapką. Człowiek odwraca się na mgnienie. Aż się wzdryga. Lepiej było tego nie robić. Po ulicy za nim przelewa się ciemna ruchliwa masa, skłębiona, stłoczona... Masa gotowa okaleczyć, zeżreć, rozerwać na kawałeczki wszystko, co się jej nawinie po drodze.

Człowiek znów się ogląda za siebie. W zakrzywionych szkiełkach maski

przeciwgazowej nic się nie odbija, tak są zapocone.

Głośny wydech i człowiek biegnie dalej.

Ciemna skłębiona masa zamiera na chwilę, wyrzucając z siebie długie macki, które rozpadają się na oddzielne, porośnięte krótką sierścią ciała. Ciała mają uszy, ogon i wyszczerzoną paszczę. Okaleczoną przez radiację skórę.

To psy Pawłowa. Przechodzą Ruję.

A kiedy psy mają Ruję, pozostałe bestie – nawet biegacze i gastarbeiterzy – wolą się schować i nie rzucać w oczy. I mniej hałasować. Dlatego że psy Pawłowa tak są nastrojone, że na każdy hałas automatycznie włącza im się odruch „zreć-zreć-zreć”, a im dźwięk silniejszy, tym bardziej chce im się jeść. Zżarłyby i samego profesora Pawłowa z jego dzwoneczkiem.

Zabawna rzecz ta postjadrowa refleksologia.

Człowiek biegnie. Gdyby miał minutę, zajrzyłby do starej mapy Pitera, którą zawsze nosił przy sobie. Rzecz jasna, wiele się zmieniło, ale można by chociaż sprawdzić, czy nie pomylił kierunku. Mam nadzieję, myśli człowiek, że karawana dotarła już do Puszkinskiej. Że chłopaki zdążyły.

„A jeśli zgubiłem drogę, to już po mnie”.

* * *

Zza rogu wyskakuje pies. Wyszczierzona paszcza, sześcioro czy siedmioro różnej wielkości oczu na ostrym jak u wilczura pysku.

Człowiek w masce przeciwgazowej podnosi śrutówkę. Huk. Strzał odrzuca psa do tyłu. Żałosny pisk.

Uber przeładowuje strzelbę. Wypada mosiężna łuska i leci na ziemię. On pochyla się w biegu, podnosi ją i wsuwa do kieszeni. Metalowe gilzy można wykorzystać ponownie.

Uber biegnie dalej.

5. Góra umarłaków

Uber biegnie ulicą. Wydaje się, że wystarczy ją pokonać, a będzie wybawienie. Stacja już całkiem blisko... I tu Uber zwalnia. Na końcu ulicy nagle ukazują się kilka psów. „Cholera”.

Uber orientuje się w biegu. Z rozpędu otwiera drzwi wejściowe kamienicy, wpada do środka... I nagle przed nim kończy się ziemia. Kurr!

Zapadlisko.

Uber z rykiem, machając rękami, leci w dół. Bum! Ląduje, stacza się po pochyłości. Wpada w płytką kałużę. Plusk.

Cisza.

Skinhead podnosi głowę, rozgląda się. Na szklach maski przeciwgazowej brudne krople.

To ogromna jama, wykop wygrzebany za ścianami starych budynków, z których pozostały jedynie fasady. Cała reszta to śmieci i gruzy. Oto, do czego skinhead wpadł. Po przeciwnej stronie wykopu zastygła zardzewiała koparka z resztkami żółtej farby.

Uber stoi w ogromnym wykopie... Wtem rumowisko zapada się pod nim. A on znów leci, koziółkując, w dół.

Łąduje na kupie szarych worków, spada, toczy się. Aż w końcu zatrzymuje się. Przed nim leży czyjaś starodawna maska przeciwwgazowa. Ciemne szkiełka gapią się na niego. Uber patrzy przez kilka sekund, po czym odwraca głowę.

Nagle jeden z plastikowych worków rozchodzi się w szwie. Ze środka w stronę twarzy Ubera wysuwa się ludzka ręka.

Goła. Sina.

Uber zrywa się na nogi. Błysk i w jego dłoni pojawia się ciężki nóż. Nepalski kukri.

Skinhead jest gotów do walki. Rozgląda się.

„Cholera”.

Wokół niego leżą w stosach dziesiątki szarych worków. Dziesiątki trupów. Wyschnięte ciała. Duże i małe.

Jakby ktoś wypił z nich zawartość.

Cała góra trupów ciągnie się ku jednej z fasad. Uber stoi. Wiatr wieje. Trupy leżą.

Ktoś ich zabił. I wszystkie ciała są bez ochronnych kombinezonów. Nagie.

* * *

W głowie Ubera śpiewa Tom Waits. Schrypnięty, chropawy głos wyprowadza melodię, włączając w nią słowa niczym lampki w girlandzie choiny:

*Czujesz się jak Mastroianni, a ona jak Cardinale,
W tym starym, ciągnącym się filmie (zapomniałem nazwy),
W którym od razu wiadomo, że się pożenią w finale,
I pamiętasz tę piosenkę, tylko słów już za cholerę nie...—****

Kto zabił tych wszystkich ludzi? Uber nie wie. Nikt nie wie. Uber długo patrzy na leżące trupy. Wiatr je przyprószył pomarańczowym piaskiem. Tom Waits śpiewa dalej.

Gdzieś daleko ujada pies. Uber wzdryga się, podnosi głowę. Zaczyna się gramolić z wykopu. Szczekanie psów przybliża się.

6. Wpuść mnie

Skinhead nie ma wyboru. Prawie go doganiają. Przebiega po moście, skręca w najbliższe podwórze. Utykając, przecina podwórko studnię. Mogą tu być miejscowe potwory, ale kiedy siedzi ci na ogonie sfera psów, nie ma co myśleć o innych.

Uber biegnie. Jest już wyczerpany. Ochrypli, rwący się oddech. Nic to. Człowiek może przetrwać tam, gdzie byle pies już zdechnie. Udowodniono ewolucyjnie.

Uber rozgląda się. Cholera! W jego oczach błyska nadzieja. Na podwórku widać znajome zarysy naziemnego pudła wentylacyjnego. To cześć metra.

Zna to miejsce. Tu, na podwórku, znajduje się wylot szybu wentylacyjnego, najbliższy Obwodnego Kanału. Miejsce wygląda na opuszczone, lecz Uber doświadczonym wzrokiem widzi zostawione niedawno ślady. Przechodzili tędy diggerzy. Oto odcisk ryflowanej podeszwy buta w pyłe. Oto kolorowy papierek po cukierku. Diggerzy wracali ze zdobyczą.

Tu sterczy zardzewiałe okrągłe pudło wentylacji. Kratki ma od środka i z zewnątrz zabite deskami i płatami metalu. Pudło wygląda jak wiatrak z *Don Kichota*. Uberowi śmiać się chce z tego skojarzenia, ale też oblatuje go śmiertelny strach.

Szybciej! Oto i drzwi – bezpieczne, żelazne. Wstawiono je już po Katastrofie.

Uber długo stuka do drzwi szybu wentylacyjnego, ale nikt mu nie otwiera. Niech to szlag! Trzeba biec dalej, ale psy otaczają go już dosłownie zewsząd. Wypełniają zaułek. Wyłaniają się z bramy. Jeden, dwa, trzy... Uber rozgląda się – z drugiej strony podwórka też nadbiegają psiska. Za późno, żeby się wyrwać. Pięć psów – pośrodku szary bokser o szerokiej piersi. Najwyraźniej dowódca psiego oddziału. Uber stuka, dobija się – drzwi zawarte na głucho. Skinhead bezsilnie wali pięścią i zbiera się do ucieczki. Jeśli dotrze do podwórkowej bramy, może uda mu się dostać na dach.

I jeśli się poszczęści, zabarykaduje się gdzieś w domu. Ale na to nie ma już czasu.

Uber odbiega od drzwi, sięga po śrutówkę. Ma siedem naboí. Cóż... jeden trzeba zostawić dla siebie.

I wtem zza drzwi dobiega czyjś głos.

– Kto tam?

Uber zamarł i zaraz rzucił się ku drzwiom. Wrzasnął do szczeliny. Znów tamten głos. W pierwszej chwili Uber wziął go za dziecięcy.

– Co? Nie słyszę!

Uber, nachyliwszy się do żelaza, zadarł maskę nad usta. Krzyknął z całych sił:

– Otwórzcie, bo mnie psy zeżrą!

Milczenie. Głos za drzwiami zawahał się.

– Nie wiem... nie wiem! Nie wolno mi!

Uber nagle pojął, że głos nie należy do dziecka, tylko do młodego chłopaka, pewnie nastolatka.

– Ale my dzisiaj... nikogo się nie spodziewamy! – tłumaczył się tamten.

Tylko spokojnie. Nie można go wystraszyć.

Uber zaczął cichym głosem, ze spokojem, bardzo przekonująco:

– Chłopcze, zaraz dorwą mnie psy. Rozumiesz? Otwórz drzwi, proszę.

Cisza. „No, dalej” – pogonił go w myślach Uber. Jakiś szelest. Potem:

– Hasło!

„Cholera”.

– Po ci, kurwa, hasło?! – krzyknął Uber. – Zaraz tu zdechnę! Chłopie!

Człowiek za drzwiami zamilkł, zapewne w rozterce.

Psy się zbliżały. Uber usłyszał ich kroki i dyszenie, po karku przebiegł mu dreszcz. Oderwał się od drzwi, odwrócił. Jasne, dwa psy naraz. Jeden normalny, drugi

regularny mutant. Skoczyły równocześnie. Uber palnął ze śrutówki. BUCH! Boże, błogosław rozrzut śrutu. Dwa psiska położył jednym strzałem. Krew, bryzgi.

Psy biegły. Uber strzelał i strzelał.

Skomlenie i wycie. Uber przeładował broń, ale więcej naboji już nie miał. Szczęk. Pusto. Skrzywił się. Nachylił do drzwi. Zagadnął:

– A kiedy mnie będą zreć, powiem im, żeby w następnej kolejności wzięły ciebie! Wierzysz, nie? Wierzysz?!

Za drzwiami – milczenie.

Pies skoczył. Uber poczuł to plecami, odwrócił się błyskawicznie. I ledwie zdążył...

W ostatnim momencie walnął lecącego zwierzaka strzelbą. A masz. W następnej chwili miał już w ręce kukri. Chlast! Chlusnęła czarna posoka.

Podbiegł kolejny pies, wyszczerzył kły. Z paszczy kapąła mu krwawa piana. Zwierz nieśpiesznie zbliżał się do Ubera. Szary bokser. „Dowódca” – pomyślał Uber mimochodem.

W ostatniej chwili drzwi się otworzyły.

Uber wpadł do środka, utknął w przejściu. Pies runął za nim. Wczepił się w plecak Ubera.

Skinhead ledwie zdążył zatrzasać drzwi. Koniec. Szyb wentylacyjny. Słabe światło lampy.

Głuche, potężne walnięcia w drzwi. Warkot, gardłowe dźwięki.

Uber osunął się na podłogę, z ulgą oparł się potylicą o drzwi. Ściągnął z twarzy maskę – zaparowaną i moką. Uratowany.

7. Pióro anioła

Kosz prawie pełny. Dawno Nanny nie czuła się taka zmęczona. Chociaż właściwie teraz zmęczona czuje się zawsze. Trzeba by usiąść czy co.

Nanny westchnęła i odezwała się melodyjnie:

– Kiedy wybuchły bomby, zapłonęły niebiosa. Aniołowie, wyjąc z bólu, ronili z nieba popalone kawałki ciał... I jeszcze długie dni potem na ziemię leciały poczerńiałe pióra...

Mika zamknęła oczy i zobaczyła, jak powoli krążąc, opada na ziemię czarne pióro. Otworzyła oczy. Oho!

– Nianiu, co to jest? – spytała.

Kobieta odwróciła się żywo. Dziewczynka pochylała się nad czymś, czego jej towarzyska jeszcze nie dostrzegła. Mała wyciągnęła rękę... podniosła.

Nanny westchnęła, zaczęła wstawać.

– O Boże. Coś ty tam znowu znalazła?

Dziewczynka odwróciła się do niej. Na jej dłoni leżało czarne wronie pióro. Brzydkie i stare. Mika trzymała je niczym drogocenną rzecz.

Kobieta nic na to nie powiedziała.

Mała podniosła głowę. Jej jasnobrązowe oczy wyglądały nieoczekiwanie ładnie.

– To pióro anioła.

* Merle Travis, *Sixteen Tons*.

** „A my pójdziemy na północ” – fragment przemówienia szakala Tabaqui z animowanego radzieckiego filmu *Maugli* (1973), w którym zagrożeniem dla bohaterów są „czerwone psy” z gatunku cyjon rudy (przypisy objaśniające pochodzą od tłumaczki).

*** Tom Waits, *Invitation to the Blues*, za przekładem D. Siergiejewa.

ROZDZIAŁ 2

1 Jura

Głos za drzwiami rzeczywiście należał do... właśnie tego typu. Jura zmrużył oczy, przyglądając się nieznajomemu. Obraz się trochę wyostrzył. Wzrok już dawno mu wysiadł, tutejszy lekarz wyjaśnił, że to z powodu niedoboru witamin i kiepskiego oświetlenia. No i oczywiście... Jura westchnął... „Z powodu głupiej dziedziczności”.

Nieznajomy był w kombinezonie ochronnym, ale nie zwykłym, tylko takim drogim, oficerskim. Nadgarstki i kostki owinięte taśmą klejącą, wszędzie napisy, jak u stalkerów Obwodnego. Jura też kiedyś chciał zostać stalkerem. Ci to mają ciekawe życie, bohaterskie. Ale nie dane mu było. Rodzice byli przeciwni, no i zdrowie...

Nieznajomy siedział, opierając się plecami o drzwi. Twarz miał mokrą od potu, głowę ogoloną na łyso. W brudnych zaciekach. Na kolanach skinheada leżał nóż ze śladami krwi. Jura wzdrygnął się. „To ci dopiero klinga! Chciałbym taką”.

Zawahał się, potem spytał:

– Jest pan stalkerem?

Nieznajomy nie od razu zrozumiał pytanie. Podniósł głowę i popatrzył na Jurę. Nieznany gość miał jasnoniebieskie tęczęwki. Aż chciał się zmrużyć oczy, takie jasne, jakby się stało naprzeciw źródła światła. Jura przymknął powieki.

– Co? – rzucił gość.

– Czy jest pan stalkerem?

Tamten zamyślił się.

– Raczej już diggerem.

Jura zawahał się. Nie podobało mu się to słowo... jakieś takie... najęzone? Złe.

– Kto to taki?

Nieznajomy uśmiechnął się.

– Nieważne. Dziękuję, że mnie wpuściłeś, chłopie. Już myślałem, że mnie tam zeżrą. Wiesz, coś ci podaruję... na pamiątkę...

Gość starannie wytarł nóż i włożył go do pochwy na biodrze. Podniósł się na nogi. Sięgnął ręką do tyłu, za plecy, pomacał. Skinął na Jurę.

– Pomóż mi zdjąć plecak.

„Niezły żart”. Jura nie ruszył się z miejsca. Często strojono sobie z niego żarty i teraz tak łatwo się nie da. Uniósł brwi. Po chwili wahania spytał:

– Jaki plecak?

Paauza. Nieznajomy znieruchomiał. Na jego twarzy odbiło się zdziwienie.

– Co znaczy: jaki?

Szybko obmacał sobie plecy, ale nie znalazł plecaka. Tylko urwane paski. Jura

zrozumiał, że jego bagaż dorwały psy. Taki los.

Nieznajomy milczał przez kilka sekund, przetrawiając nowinę, po czym z gniewem rzucił na podłogę resztki plecaka.

– No i *fuck!* – rzekł. I nagle się zaśmiał. – Wszystko, co zdobyłem, kurna, i to z takim trudem. Trzy skórzane kurtki, trzy papierośnice...

Jura nachmurzył się. „Jakiś świr”.

– Na co panu trzy kurtki?

Gość potrząsnął głową.

– Zapomnij.

Jura przyjrzał się zbryzganemu krwią nieznanemu. „Po co on tu do nas przyszedł?” Przez chwilę zdawało mu się, że z przybyciem gościa w szybie wentylacyjnym pochlodziło, jakby po plecach powiał przeciąg. Jura poruszył łopatkami.

– Powinien się pan umyć – zauważył.

Gość chrząknął. Sprawiał wrażenie, jakby go wszystko śmieszyło. Jego jasnyniebieskie oczy patrzyły na Jurę w zadumie, z ironią.

– Umyć się – wyrzekł powoli gość. – Ostatnim razem proponowała mi to żona. A potem przysłała do mnie pod prysznic... Mam nadzieję, że ty nic takiego nie zrobisz. Prawda?

Jura ze zdziwienia otworzył usta. „Że co?!” Pokazał żelazną kuwetę z odpływem i zardzewiałą słuchawkę prysznicową.

– Dezynfekcja – wyjaśnił. – Jak należy.

– Dawaj, skoro należy.

Gość z żalem nałożył maskę przeciwgazową, zapiął kombinezon i stanął w kuwecie. Jura zaczął jedną ręką pompować, drugą trzymał słuchawkę prysznicową, a gość powoli obracał się pod strugami rdzawej, kiepsko woniejącej wody.

– O, ciepłutka poszła – ucieszył się w pewnym momencie.

Jura w duchu pokręcił sobie palcem przy skroni. Znowu te stare pryki ze swoimi żartami rodem z odległej przeszłości. Chociaż ten właściwie nie taki stary.

Kiedy rozprawiono się już z radioaktywnym pyłem, gość z przyjemnością zdjął maskę, strząsnął z siebie wodę i zaczął rozpinać mokry kombinezon, z traskiem rozrywając i oddzierając przeźroczyste pasy taśmy klejącej. Podczas gdy się rozbierał, Jura nasłuchiwał. Za ścianami budki wentylacyjnej wszystko ucichło, ale niepokój pozostał.

Gość roześmiał się. Klepnął Jurę w ramię.

– Prowadź mnie do swoich przełożonych, średniego szczebla, bo nie wiem, kto tu jest głównodowodzącym. Chociaż czekaj. – Spojrzał na Jurę uważnie. – Jak masz na imię, chłopcze?

Jura otworzył usta, zamknął. Jak wielka ryba.

– Jura – odparł. – Jura Lejkin.

– Duralejkin? – powtórzył tamten, ale się zaraz połapał. – Przepraszam, brachu. Przepraszam.

Jura zamrugał. Od niezasłużonej obrazy* palilo go w piersi. Gość zawahał się.

– Jestem Uber – rzekł.

Jura mrugnął.

– Jak?

– Uberführer.

Dla Jury zabrzmiało to jak „klucz angielski dwunastka”. Chłopak, zastanowiwszy się jeszcze, zapytał poważnie:

– Czy to powinno coś znaczyć?

Człowiek nazywający sam siebie Uberem machnął ręką.

– Ni cholery, nic to nie znaczy. Słuchaj, brachu Jura, a co tu...

Przerwał mu potworny przeciągły krzyk. Gość wzdrygnął się z zaskoczenia i zamilkł. Jura zadrżał lekko. Niby już zdążył przywyknąć, ale i tak za każdym razem mróz przechodził po skórze. Brrr. Całą duszę z człowieka wysię, draństwo.

Gość zrobił się czujny, obejrzał się, nasłuchiwał. Twarz pełna uwagi, rysy się wyostrzyły.

Potworny krzyk to cichł, to stawał się głośniejszy – ale przede wszystkim ciągnął się i ciągnął. Było to podobne jednocześnie do płaczu niemowlęcia i do bolesnego wycia tysiąca ludzi. Orz do zwyczajnego wrzasku oszalałego od krwi pterodonta.

Gość pokręcił głową. Oczy zimne, zmrużone.

„Oczy zabójcy” – pomyślał Jura. Po plecach popęzł mu dreszcz. Jednak w następnej chwili odegnał od siebie tę myśl.

2. Krzyk potwora

Krzyk urwał się. Ale jeszcze przez kilka sekund zdawało się, że wciąż go słyhać – że kołocze się czymś w rodzaju echa w napiętych jak struny włóknach nerwowych.

„Co to, do ciężkiego diabła, było?” – pomyślał Uber.

Wyprostował się, popatrzył na Jurę. Chłopak wyraźnie zareagował nerwowo, otworzył szeroko oczy. Uber przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Rosjanin lub możliwe, że Białorusin. Lat szesnaście, może nieco więcej. Szatyn, słabowitej budowy ciała, choć to może przejść z wiekiem. Niedługo w ogóle będzie kwadratowy. Lekka krótkowzroczność. A to w warunkach metra rzadko mija. Mina niezadowolona. Subtelne rysy twarzy. Wysokie czoło ozdobione kilkoma pryszczami.

„Jak ci tam? Zdaje się, że Jura? – pomyślał Uber. – Duralejkin... Cholera, co za zestawienie imienia z nazwiskiem. Nie chcesz, a wymsknie ci się”.

Jura w końcu odezwał się opryskliwie:

– Czego?!

Uber potarł sobie kark, potem czoło. A potem znowu kark. Lekki masaż okolicy potylicznej zawsze pomagał mu orientować się w sytuacji.

– Co to było? – spytał w końcu.

– Nie wiem – odparł Jura.

Uber wyszczerzył się. No jasne, jasne...

– Powaga?

– Tak, a co? – rzucił wyzywająco chłopak. Uszy mu się zaczerwieniły.

„Chłopczyna zupełnie nie umie kłamać”. Uber chrząknął.

– Bo widzę, że kłamiesz.

– Kłamię, nie kłamię, co tobie do tego? – odszczeknął Jura. – Stacja nie twoja.

Uber roześmiał się.

– Co w tym śmiesznego?!

– Uszy ci płoną, brachu Jura. Czujesz swąd? Gdybyś miał na głowie maskę przeciwgazową, guma by się przyjarła. Dobra, nie chcesz, nie odpowiadaj. Masz rację, to nie moja stacja. Nawet mnie to nie interesuje, w ogóle... – Uber wzruszył ramionami.

Skinhead odwrócił się, wsadził kombinezon do worka sanitarnego. Za plecami – milczenie. Zarzucił przynętę i czekał. Ściągnął sznurki worka, omotał je wokół wylotu i zacisnął.

Chłopak odpowiedział niechętnie i przez zęby, jakby na mękach:

– To jęczą tunele.

Uber odwrócił się szybko. Uniósł brwi.

– Naprawdę?

Jura kiwnął głową.

Skinhead opuścił worek na podłogę. W zadumie pogładził sobie koniuszkami palców szramę nad brwią.

– Jak poruszająco – zauważył. – Jak, nie bójmy się tego słowa, poetycko.

Jura nic na to nie odrzekł. Zmarszczył brwi i zamknął się w sobie. „No, a żeby cię”.

– Obraziłeś się, co?

Milczenie.

„To ci czort. A przecież prawie jeszcze dziecko”.

Uber zagaił poważnie, łagodnym tonem:

– Przebacz, bracie Jura. W porządku. To twój klasztor. I twoja reguła.

– Mój co? – Chłopak podniósł głowę, w jego wzroku błysnęła dezorientacja.

Uber westchnął ciężko. „Boże, tracimy kulturę”.

– Twoja stacja.

3. Telefon Boga

Uważa się, że telefon Boga jest biały, ale Mika we śnie zawsze widzi szary. Otwiera drzwi i wchodzi do pokoju. W pokoju stoi zdezelowany drewniany stół z złotym fornirem, a na stole – szary, zmatowiały od kurzu telefon. Z długim spiralnym przewodem. Zupełnie przedpotopowy aparat.

Dziewczynka podnosi słuchawkę. I bardzo ostrożnie przykładą ją sobie do ucha. Mika kiedyś widziała, jak to robił mer, to taki prosty ruch. Prawie jak podrapać się w rękę albo w nos. Z jakiegoś powodu nos Mike często swędzi.

W słuchawce – cisza. A potem, jeżeli się wsłuchać, jakby gdzieś daleko rozlegały się piknięcia.

– Halo? – mówi Mika do odległych piknięć.

W słuchawce – cisza. I leciutkie elektryczne buczenie na granicy słyszalności.

Dziewczynka powtarza:

– Halo? Halo!

Cisza.

Mika, już w rozpacz, krzyczy do telefonu:

– Halo, czy ktoś mnie słyszy?!

Cisza.

4. Mortusy

Uber natężył słuch. Z dołu, z tunelu, dochodziły odgłosy metalicznych uderzeń, daleki stukot kół. Dźwięki się przybliżały.

– Co to? – Uber popatrzył na Jurę.

Ten wzruszył ramionami,

– A! To mortusy.

Skinhead zarzucił na ramię toból z kombinezonem i śrutówkę, podszedł do wjazdu. W szybach wentylacyjnych w Piterze zawsze trzeba się było liczyć z niespodzianką – metro jest bardzo głębokie, do tuneli i stacji w dół z powierzchni prowadzi w pionie pięćdziesiąt metrów, a nieraz i sto. I schodzić trzeba po zniszczonej, zardzewiałej drabince. Tutaj zapewne będzie sześćdziesiąt metrów.

„Och, grzechy nasze ciężkie”, jak mawiała babcia Ubera. Gdzieś z wierzchu kapąła woda.

Uber westchnął. No, z Bogiem. Wyciągnął ręce i złapał dłońmi za mokry metal drabinki, stanął na szczeblu, potem na następnym. Pod nim ziała mroczna pustka. Potworna studnia.

„Uch, wysoko”.

Kiedy tak schodzisz w ciemności, pojawia się wrażenie, że schody nie mają końca, że w dole jest piekło i coś paskudnego, straszego, no i, kurna, ręka ci się omsknie i pa, lecisz. Uber wysiłkiem woli opanował lęk wysokości i ruszył w dół.

W pewnym momencie znowu mu się wydało, że będzie to trwać wiecznie. Że to jego, Ubera, osobiste piekło. Uśmiechnął się. Że będzie tak schodzić i schodzić w nieskończoność, a w dole czeka na niego ten potwór, co tak krzyczał. Czego też człowiek nie wymyśli w ciemności... Urojenie jakieś.

Wkrótce przyszło mu do głowy, że zdechnie. Zardzewiała drabinka stękała i chwiała się pod jego ciężarem. Schodził miarowo.

Drabinka jednak miała koniec. Uber uderzył piętą o podłoże, zawahał się – zdaje się, że to już – i postawił na ziemi drugą nogę. Tu, w śluzie szybu wentylacyjnego, panowała głęboka ciemność. Skinhead wyjął z torebki przy pasie latarkę i włączył ją. „Przynajmniej to mi zostało”. Pstryk i podziemną ciemność przeciął promień światła, oświetlił rdzewiejącą instalację wentylacyjną. Uber ruszył do przodu – oto ogromny wentylator, też zardzewiały, pokryty warstwą kurzu, przegradza tunel; po lewej od wentylatora – przejście. Uber schylił się i precyzyjnie przeszedł przez wąski wjazd.

Szybko wyszedł z WSz i zstąpił niżej, do tunelu kolejowego. Snop światła latarki przebiegł po zarosłych kurzem tubingach. Dźwięk się przybliżał. I rzeczywiście, wkrótce z ciemności wyjechała dreżyna mortusów. Kółka zgrzytały na zardzewiałych szynach. Kolejowa latarka świeciła mętnie i słabo.

Uber przyjrzał się.

Na odkrytej przyczepce leżały dwa brezentowe zawiniątka, z kształtu – ludzkie ciała.

Mortusy byli w szarych brezentowych płaszczach z naciągniętymi na głowy kapturami, w białych maskach na twarzach. Latarka paliła się na przodzie ich wózka, oświetlając nierównym, podrygującym światłem odcinek tunelu. Bateria im siada, pomyślał skinhead. Zrozumiałe.

Dreżyna zbliżała się powoli.

Uber potarł sobie kark. Potem zrobił dwa kroki i stanął na torach. Ręką osłonił oczy. Dreżyna toczyła się dalej. Światło jej latarki padło na Ubera. Wysoka sylwetka skinheada rzuciła długi, potężny cień w głąb tunelu. Czyjś głos burknął: „Co za...?”

Zgrzyt hamulców. Wózek niechętnie zwolnił. Uber wyprostował się. Dreżyna dotoczyła się do niego i ostatecznie zatrzymała trzydzieści centymetrów od jego nóg.

Mortusów było dwóch. Młodszy trzymał rączkę hamulca, starszy, siedzący na przodzie, prawie drzemał. Nastroszył się jak brezentowy wróbel.

– Uhm – odezwał się Uber. Echo podchwyciło dźwięk i odkaszlnęło w dali.

Młodszy mortus patrzył na niego z rozdrażnieniem. Starszy podniósł głowę.

– Czego chcesz? – Głos zabrzmiał stłumiony, odległy.

– Szanowni panowie do stacji? – spytał Uber,

Mortus zerknął na niego szybko, jakby smagnął spojrzeniem, po czym niechętnie przytaknął:

– Tak.

Uber potarł sobie kark. Jego relacje z mortusami zawsze były osobliwe.

– A ci tu nie na dzumę umarli przypadkiem?

Brwi grabarza powędrowały do góry.

– A tobie co do tego? – Mortus ściągnął sobie maskę z twarzy i z przyjemnością podrapał się po okrągłym nosie. – Zginęli od kul.

Uber ucieszył się.

– A, to świetnie!

– Co świetnie? – nie zrozumiał tamten. Pokręcił głową.

Zamiast odpowiedzieć, Uber uśmiechnął się szeroko i złowieszczo, pokazując dziurę po brakującym zębie w równym białym rzędzie.

– Szefie, podrzuc mnie na stację. Dwa liczniki!

– Co takiego?

5. Stacja

Dreżyna skrzypnęła i zaczęła hamować. Zawodzący zgrzyt metalu, iskry. Uber zeskoczył w biegu, przebiegł kilka kroków. Ból przeszył lewą nogę, jakby w jej

środku wyrosło elektryczne drzewo... Do diabła. Zatrzymał się. Zdaje się, że tam, na wierzchu, nie tylko wystrzelał wszystkie naboje i stracił plecak, ale uszkodził też nogę. Skrzywił się, roztarł kolano. Naciągnął coś sobie czy jak?

– Co z tobą, chłopcze? – spytał starszy mortus.

Uber wyprostował się.

– Nic to.

– Przeżyjesz? – rzucił uszczypliwie drugi grabarz.

Uber wyszczerzył się do niego.

– Dzięki waszym modlitwom. Dzięki za podwózkę – zwrócił się do starszego.

Ten obojętnie skinął głową. Drezyna przejechała jeszcze dwa metry, zwalniając. Miętko trąciła odbojnicę, odtoczyła się nieco do tyłu. Staęła.

Miejscowy komitet powitalny: ochroniarze stacji gapili się na Ubera uporczywie i z jakiegoś powodu milczeli. Uber zdziwił się. Dokuśtykał do posterunku, wszedł po schodkach. Tamci patrzyli obojętnie.

– Ej, kamracie – zwrócił się do jednego z nich Uber. – Kto tu na stacji jest głównodowodzącym?

Strażnik milczał.

– Ej, słyszysz?

– Mer. Tędy – odparł tamten.

– Trzeba płacić?

– Że niby ty? – Jakby dopiero co zobaczył Ubera, zatrzymał na nim wzrok. – Nie.

Uber kiwnął głową.

Tak, co my tu mamy. Szara stacja, centralnego oświetlenia nie ma. Kilka jaśniejszych punktów – to namioty, pomiędzy nimi główna ulica. Niektóre to po prostu miejsca otoczone sznurkami, na nich wiszą płachty – stare, poprzecierane, sprane, połatanne. W zasadzie też jakaś opcja.

Obwodny Kanał.

Uber pokręcił głową. Jedna z nielicznych stacji, na które przez wszystkie te lata ani razu nie zajrzał.

Im bliżej stacji, tym dziwniej się czuł. Jakby napierała na mózg, ścisnęła skronie. Tak bywa na mocnym kacu, gdy się wydaje, że głowa utknęła w imadle, a mózg się skurczył i po każdym nieostrożnym ruchu kołysze się w puszcze czaszki. Jeszcze te mortusy...

Potrząsnął głową, wyrzucił ich z niej. Krzyk – oto, co mogło być ważne.

Ten krzyk, który usłyszał w szybie wentylacyjnym. Uber rozciągnął szyję, chrupnęło.

„Gdyby nie plecak... – Chrząknął. – Jak to się idiotycznie złożyło. Nie masz ani feniga, a zamierzasz zostać bohaterem. Nie, nie tym razem. Tym razem będę powściągliwy i... jakie to było słowo? – Uśmiechnął się. – Roztropny, o”.

Prawda, trzeba się dostać do swoich, a nie miał ani jednego naboju. I przyjdzie się z tym jakoś uporać. „Cholerny pies w jednej sekundzie unicestwił moje zabezpieczenie finansowe”. Cha, cha. Cha, cha.

Ruszył peronem w głąb stacji. Doświadczenie podpowiadało, że zaraz ktoś

podsunie mu coś do kupienia.

„A tak w ogóle dziwne, że nie kazali mi płacić myta. Ale może dziś dopisuje mi szczęście”.

Potaął sobie nogę, Kolano rwało.

– Czy dobrym ludziom nie powinno się czasem poszczęścić? – spytał na głos.

Jakiś przechodzień spojrział na niego z ukosa, ale się nie odezwał. Przyśpieszył kroku.

Uber zawahał się, poszedł dalej.

To przecież zwykła stacja, uspokój się – powiedział sam do siebie.

„Co tu się może wydarzyć?”

6. Pióro anioła 2

Na dłoni dziewczynki leżało pióro. Czarne, stare i brudne. „O Boże” – pomyślała Nanny. Brakowało jeszcze, żeby się czymś zarazić i umrzeć.

Mika podniosła wzrok. Tęczówki brązowe, ciepłe. Długie rzęsy. W oczach płonie ogieniek.

– To... – zaczęła mała.

Nanny przerwała jej z rozdrażnieniem:

– Tak, tak, pamiętam. To pióro anioła.

Mika kiwnęła głową. Lekko i uroczyście.

– Tak.

„No, co za dzieciak – pomyślała Nanny. – Jak już wbije coś sobie do głowy, nic nie poradzisz”. Zagadnęła:

– A jakież to miałby być anioł? Z czarnymi piórami? Jakiś zupełnie popaprany.

„Jakbyśmy miały wybór między aniołem poprawnym a popapranym”. Kobieta przeniosła wzrok na swój koszyk. No, prawie pełny. A u małej tylko połowa. „Wszystko muszę robić sama” – pomyślała z gniewem.

– Kiedy przyjdzie – powiedziała Mika – oddam mu pióro. Ładne, prawda?

– Po co mu ten badziew?

– Jak to po co? Bez pióra anioł nie będzie mógł...

– Czego? – rzuciła Nanny z sarkazmem. – Latać, tak? A to ci fantastka!

Dziewczynka jakby nie usłyszała.

– ...polecieć z powrotem do nieba.

„Do bramy – pomyślała mimowolnie Nanny. – Bramy raj”.

– Do bramy?

Mika skinęła z powagą.

– Tak lubię bramę. – Kobieta marzycielsko pokręciła głową. I nagle ocknęła się, dotarło do niej, co robi. „Cholerny dzieciak, znowu mnie podpuszcza”. Z trudem podniosła się na nogi, burknęła gniewnie:

– Ano, chodźmy szybciej.

– Nanny? – zdziwiła się mała.

– Dostyc już włóczenia się po tunelach. Pora na obiad.

7. Znajdź moją mamę

A więc, podsumował w myślach Uber, idąc od posterunku w stronę namiotów. Sytuacja przedstawia się tak. Naboi nie ma, wyposażenia nie ma, zapasowych filtrów nie ma. Plecak przepadł. Żreć nie ma czego, robota będzie albo i nie, nie wiadomo.

Położenie jak marzenie.

Stacja obca, nieznana, na drugim końcu metra. Dalej na południe już tylko Cmentarz.

„A chłopaki czekają na mnie na Sadowej. – Uber pokręcił głową. – Chociaż może i tu znajdę kogoś znajomego. A jeśli nie... Trzeba będzie coś wymyślić, i to szybko. Zresztą bywało już gorzej. Jestem żywy, zdrowy, no i okej”.

Nogi stąpały żwawo i sprężysto, nawet kolano prawie przestało go boleć. Co by nie mówić, dobrze być żywym, pomyślał. Najważniejsze, żeby się trzymać z dala od kłopotów i wszystko będzie gites. Jak obiecał Siwemu.

Stacja Obwodny Kanał – głęboko wkopana, po bokach łukowe filary, środkowy pasaż takiej samej długości jak perony. Sporo wolnej przestrzeni. Uber szedł i z przyzwyczajenia zapamiętywał szczegóły.

Dwa tunele – częściowo wykorzystywane gospodarczo i zamieszkane. A centralna część stacji zasiedlona, i to gęsto.

Na końcu peronu, przy płaskorzeźbie z fotografią, rozłożył się niewielki rynek. Już stąd Uber słyszał zgiełk głosów i radosny gwar panujący na targu.

Metalowe kratownice – na nich wiszą płachty, oddzielając kwatery mieszkalne po bokach, tak że na głównej ulicy pozostaje szeroki prosty pas. „Istny Obwodny Prospekt” – pomyślał Uber.

Oświetlenie kryło się za ozdobnymi gzymsami. Przytłumione światło elektryczne pieściło oczy. Zwłaszcza po tamtym morzu płynnego światła na wierzchu.

Ludzi na stacji o tej porze nie było wielu. Miejscowi oglądali się na Ubera – najwyraźniej obcy nieczęsto się tu zapuszczają.

Uber doszedł do namiotu z wywieszką „Stuknięty Krab”. „Chyba wiem, gdzie można się u nich najeść i wypić – pomyślał Uber. – Pozostało tylko sprawdzić, czy dają na kredyt”. Odwrócił się...

– Och! – zawołał dziecięcy głos.

Uber zatrzymał się.

– Uważaj, jak chodzisz, łyso! – Gniewny kobiecy okrzyk.

Stały przed nim dwie osoby. Starszawa kobieta o zmęczonej, pełnej niezadowolenia twarzy, w swetrze z czerwonej włóczki, i mała dziewczynka w żółto-niebieskim sweterku i śmiesznej sukience. Ciemne włosy splecione w warkoczyki. Kobieta miała w rękach kosz. Kosz dziewczynki leżał na podłodze, pięć czy sześć grzybów rozsypało się po posadzce.

– Sorry – powiedział Uber. Zdaje się, że potrafił dziewczynkę, kiedy się obracał. – Upraszam o wybaczenie, precudna damo. Moja wina.

Kobieta spojrzała na niego surowo. Uber nawet na chwilę się zmieszał. Jakby miał z nią kiedyś romans i wszystko było pięknie, dopóki pewnego dnia nie uciekł bez żadnych wyjaśnień. Kobiety często tak na niego patrzyły. Skinhead pochylił się,

pozbierał rozrzucone grzyby i włożył je do koszyka dziewczynki.

Wyprostował się.

– Myślę, że powinienem teraz podążyć w poprzednio obranym kierunku – odezwał się. – Tak?

– Idź już, idź – ponagliła kobieta.

– No, nie jestem czerwonic^{**}, żeby się wszystkim podobać. – Uber wyszczerzył się w uśmiechu, mrugnął do dziewczynki.

Ta patrzyła na niego w skupieniu. „Jaka dziwna mała – pomyślał. – Wzrok jak u pasażera Titanica”.

– Co? – zapytał.

Dziewczynka nie odrywała od niego wzroku. Brązowe oczy, długie rzęsy.

– Przyszedłeś – oznajmiła.

Uber czekał na ciąg dalszy, ale dziewczynka powiedziała chyba już wszystko, co zamierzała. Skinhead potarł sobie kark. „Mówi tak, jakby mnie znała”.

– Cześć, nieznamoma dziewczynko. Tak, przyszedłem...Czyżbyście na mnie czekały? – I nagle go oświeciło. Uważnie popatrzył w twarz małej. W jej rysach było coś znajomego, wręcz rodzonego. „Czyżby nadeszła ta chwila?” – zastanowił się. Jak mówił jeden jego stary druh: pora się przyglądać, może gdzieś biegają malutkie uberki? – Hmm. Możliwe, że znam twoją mamę?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Raczej nie. Myślę, że umarła.

„Noż kurna”.

– Umarła? Kiedy?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Nie mogę powiedzieć dokładnie. Ale bardzo dawno jej nie widziałam. Jeżeli dziesięć dni oznacza śmierć, to moja mama umarła trzy razy temu.

Uber zamrugał. Po karku przebiegł mu dreszcz.

– Jednakże. – Przykucnął, żeby się znaleźć na jednej wysokości z dziewczynką. Ale i tak okazał się wyższy. – Bardzo mi przykro, siostrzyczko – rzekł miękko.

Dziewczynka spojrzała mu w oczy.

– Znajdź moją mamę.

Cholera. Znowu zamrugał z zaskoczenia.

– Ale...

Takiej propozycji się nie spodziewał. Może mała jest nienormalna? Przyjrzał jej się. Ale nie, śliczna dziewczynka. To przez ten smutek. Smutek często sprawia, że ludzie stają się prostolinijni.

– Ale po co, skoro umarła?

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Rozumiem, że umarła. Ale jeżeli... – zawahała się. – Jeżeli się mylę?! Mogę się przecież mylić, prawda? Przecież mam dopiero sześć lat.

Milczenie. Kobieta tylko westchnęła. „Trzydzieści dni temu?” – pomyślał Uber. Och, mało prawdopodobne. Odezwał się łagodnie:

– To byłoby dobrze, siostrzyczko. Jednak ostatnimi czasy mało wierzę

w szczęśliwe przypadki.

Dziewczynka westchnęła. Uber wstał i wyprostował się na pełną wysokość. Spojrzał na nią z góry.

– Przykro mi, siostrzyczko.

Mała zadarła głowę.

– Przyjdiesz do mnie w gości? – spytała.

Uber zawahał się. Przechylił głowę na ramię.

– Hmm. Dobre pytanie. Jak masz na imię, dziwna nieznajoma dziewczynko?

Mała roześmiała się. Okrągła buzia, dołeczki w policzkach. Ładniutka, kiedy nie wygląda jak ocalała z rozbitego statku.

– Mika – odpowiedziała. – A ty?

Skinhead uśmiechnął się.

– Uber.

Mika z namysłem podrapała się po nosku.

– Czy to coś znaczy?

Uber zastanowił się. Początkowo chciał rzucić coś żartobliwego, jak do Jury, ale się rozmyślił. Dziewczynka o imieniu Mika zasługiwała na wyczerpującą, poważną odpowiedź.

– Ten, kto znajduje się na samej górze – odparł w końcu. – I patrzy w dół, pilnuje, żeby wszystko było tam w porządku.

Dośłownie przełożył z niemieckiego swoje przezwisko. Uberführer oznacza „nadwodza”. Można było oczywiście powiedzieć „ten, kto włada wszystkimi wodzami”, ale to by było nieskromnie. Tak, właśnie, nieskromnie. Kiedyś to przezwisko nadali mu złośliwi wrogowie, wkładając w nie drwinę i pogardę. A on zrobił sobie z tej ksywki sztandar. Uśmiechnął się. To były dobre czasy.

Słyszając to, Mika zamarła. Oczy jej nagle rozbłysły.

– Ty... wiem, kim jesteś!

„Cholera, co ja takiego powiedziałem?” Uber zamrugał.

– Wybacz, muszę już iść. Na razie, dziwna nieznajoma dziewczynko.

Machnął do niej ręką i poszedł. Że niby bardzo zajęty.

Mika zawołała za nim:

– Anioł!

Kobieta syknęła do niej:

– Mika! Jak ci nie wstyd!

Uber zamarł. „Anioł?” Poskrobał się po karku, uśmiechnął się z poczuciem winy. „Jeszcze czego”. Odwrócił się do dziewczynki.

– Co? Jak mnie nazwałaś?

Mika krzyknęła nagle:

– To przyjdiesz w gości?

Uber roześmiał się. Ot, kobiety. Nigdy nie odpuszczają.

– Dobrze.

Mika skinęła mu bardzo poważnie.

– Obiecujesz?

– Tak.

Kobieta burknęła coś gniewnie. Kim jest dla małej, babcią?

– Zostaw człowieka w spokoju! Niech jej pan wybaczy, uprzykrzony z niej dzieciak.

– Ze mnie też.

– Co? – Kobieta w konsternacji uniosła brwi.

– Też jestem wielce uprzykrzonym dzieciakiem. Niech się pani nie przejmuje, żartuję.

Kobieta zastygła z otwartymi ustami.

Über pomachał jej i dziewczynce, odwrócił się, zarzucił sobie toból na ramię i poszedł.

* * *

Nanny popatrzyła, jak tamten odchodzi, po czym zwróciła się do Miki. Zasepiła się, pokręciła głową.

– Co się tak przyczepiłaś do tego łajzy? Straszny jest, jak jakiś zabójca. Aż mnie ciarki przeszły od jego wzroku. Wlepi w człowieka te niebieskie gały i gapi się.

Mika podrapała się po ręce, a potem po karku. Przygryzła wargę.

– Mika! – nakrzyzczała na nią Nanny.

– Sam powiedział – wyjaśniła dziewczynka z powagą. Spojrzała kobiecie w oczy. – Że jest tym, który patrzy z góry.

Do Nanny nagle dotarło. „O, tylko nie to”.

– O, nie.

– Anioł – upierała się Mika.

Nanny westchnęła. Znając charakter małej, można było nawet nie próbować. I tak uparciucha nie da się przekonać.

– O Boże – westchnęła Nanny. – Boże, Boże. Muszę się napić... herbaty. Mika, chcesz herbaty? – Na sekundę straciła wątek. – Pysznej... Kiedy ta męka się skończy? Za co mnie to spotyka?!

* Дуралей (czyt. duralej) – ros. głupek, cymbał.

** Czerwoniec – złota dziesięciourublowka.

ROZDZIAŁ 3

1 Czeczen

Na peronie nudził się strażnik. Wysoki, prawie tego samego wzrostu co Uber. W czarnym kombinezonie wojskowego kroju i skórzanej kurtce motocyklowej. Kurtka niezła, ocenił Uber. Na pięć punktów. „Podoba mi się”. Ochroniarz zastąpił skinheadowi drogę – stanął z rękami na pasie. Uber zatrzymał się, opuścił worek na podłozę. Najwyraźniej łatwo nic dzisiaj nie pójdzie. Ech.

Strażnik bezceremonialnie patrzył mu w oczy. Z bliska okazał się niższy od Ubera, za to mocniejszej budowy, bardziej zwarty w sobie. Kaukaski typ, haczykowany nos, zarost, w oczach „jestem taki zajebisty”.

– Stój – rozkazał ochroniarz, nie wiedzieć czemu.

Uber spytał obojętnie:

– Czy ja cię znam?

Tamten wyciągnął rękę, ale Uber po prostu stał, patrząc na niego i uśmiechając się w milczeniu.

– Mówią na mnie Czeczen – przedstawił się strażnik gardłowo.

Uber uniósł brwi.

– No i?

Jeśli ochroniarz się stropił, to nie na długo. Włochatymi palcami mocno ścisnął materiał kurtki na ramieniu Ubera, próbując uszczypnąć mięśnie. Skinhead w ogóle nie reagował na ból. Ochroniarz zmarszczył brwi.

– Mnie czegoś się bać – oznajmił powoli, z mocnym akcentem. – Słyszałeś o Czeczenach? Jesteśmy straszni. Przed Katastrofą wszyscy szli nas bali.

Uber milczał chwilę, po czym zapytał z zainteresowaniem:

– Bardzo straszni?

Pytanie zbiło strażnika z tropu. Zatrzepotał powiekami.

– E... W jakim szensie?

Uber przechylił głowę na ramię.

– Muszę wiedzieć. Jak bardzo Czeczeńcy są straszni?

Pauza. Ochroniarz chwycił za broń. Rozpiął kaburę z pistoletem.

– Ty czo, całkiem cie pogięło?!

Uber podniósł ręce. Otwartymi dłońmi do przodu. Pokazał, że nie jest uzbrojony.

– Dobrze, już dobrze – zagadał. – Czeka, kolego, nie daj się ponieść. Chcę zrozumieć. Wiesz, żeby nabrać szacunku. Jedno to bać się po prostu dlatego, że się boisz. To przykre. A całkiem co innego: mieć słuszny powód do strachu. Powiedz po prostu, na ile wy, Czeczeni, jesteście straszni: ocipieć, tacy straszni, czy nie ocipieć?

Czeczen zadumał się. Myślał tak męcząco długo, że Uber nawet zdążył się trochę znudzić. „To ci powolna gadzina”.

– Noo... – odezwał się w końcu Czeczen. – Oczipiec: tak.

Uber pokręcił głową.

– Naprawdę? Przekonałeś mnie. Jestem wstrząśnięty. Teraz nie będę spać po nocach. Z trudem będę panował nad pęcherzem moczowym. I oczywiście dużo, dużo napierdziałam ozorem, przede wszystkim z nerwów. Słuchaj, ty, śmierdzący potworze...

– Cóż powiedział?! – obruszył się tamten.

Uber błyskawicznie schwycił jego rękę na swoim ramieniu, wykręcił. Bezlitośnie i szybko, bardzo profesjonalnie. Dłonią unieruchomił łokieć ochroniarza, nacisnął. Czeczen zgiął się wpół, o mało nie zarył nosem o peron. Palce zadartej w górę ręki drżały z naprężenia.

– Aaaa! – krzyknął zdławionym głosem.

„No, hałasu nam nie potrzeba”.

Uber szybko walnął go łokciem pod zebra, strażnik padł na kolana. Stracił dech, krzyk urwał się nagle. Kilka sekund przeciwnicy milczeli. Uber cofnął się o krok i z zainteresowaniem obserwował, jak Czeczen próbuje dojść do siebie i złapać oddech.

Tamten ze świstem wciągnął powietrze, podniósł głowę. Z bólu do oczu napłynęły mu łzy.

– Już ja ciebie... zabiję, gnoju. Zabiję! I tak cię zabiję!

Nawet nie zauważył, że gada bez akcentu. Skinhead uniósł brwi.

– Kumam.

Czeczen wrzasnął:

– Zabiję, gnoju, rozumiesz?!

Uber kiwnął głową.

– Rozumiem, rozumiem, nie denerwuj się.

– Nie wiesz, z kim zadarłeś! – darł się strażnik. Bryzgał śliną, rozsierdził się jeszcze bardziej: – Ze mną, Czeczenem!

„Jaki tam z ciebie, do licha, Czeczen, młotku? Bydlak jakiś, ale nie Czeczen. Jak to się nazywa w przyrodzie, kiedy nieszkodliwy chrząszcz wyglądem naśladuje straszliwego jadowitego zabójcę, drapieżnika, żeby na niego nie polowano? Zapomniałem. Było tam takie słowo...”

Uber zagał wyważonym, uspokajającym tonem:

– Nie martw się, zapamiętałem. Jesteś wielki i straszny Czeczen, trzeba się ciebie bać. Jak każesz. Uznaj, że wbiło mi się w warstwę podkorową. Na zawsze. Po prostu teraz nie mam czasu. Obiecuję, że niedługo wrócę i będę się bał, jak należy. Dogadaliśmy się? Gdzie wasz mer? Tam? – Skinhead wskazał głową koniec peronu.

– G-gnoj – wydyszał Czeczen. W oczach stały mu łzy. – I tak cię dorwę!

Uber popatrzył mu w oczy. Tamten zamilkł.

– Tyle? – spytał Uber.

– Tak. – W tym momencie Czeczenowi najwidoczniej zaświtało, kto z nim,

wielkim zabijaką, mógł się tak bezceremonialnie obejść. Twarz mu się rozjaśniła. – Ty... jesteś stalker, tak?

– Digger – odparł Uber.

– A! – Ochroniarz pomyślał chwilę. – To tak jak... stalker?

– Prawie, tylko przez dwa „g”.

Czeczen zatrzepotał powiekami.

– Widzę, że wszystko rozumiesz – rzekł Uber. – Bystrzak z ciebie. No, bywaj, potworze. Jeszcze się uwidzimy. Uważaj na siebie.

Zarzucił sobie worek na ramię i poszedł. Czeczen z nienawiścią odprowadzał go wzrokiem. Sięgnął po pistolet i... skrzywił się z bólu. Ręka, tak bezlitośnie wykręcona, bolała i odmawiała posłuszeństwa. Uber zatrzymał się, odwrócił głowę. Czeczen zdjął rękę z kabury. Trzęsło go ze złości.

Uber poszedł dalej.

2. Zapoznanie z merem

Gabinet mera Obwodnego był zlokalizowany na krańcu peronu, obok panneau „Obwodny Kanał, początek XX wieku”. Skinhead postał chwilę, oglądając obraz, chociaż już go widział. Ciekawe, co by powiedzieli fabrykanci tamtego stulecia na to, co się teraz dzieje?

Uber przeszedł między rzędami domostw; na ścianie wisiał drogowskaz. „Mer w lewo”. Skinhead uśmieł się w duchu. Nasz mer zawsze idzie w lewo. Jak daleko sięgał pamięcią, nigdy nie starczało mu cierpliwości, żeby nie błaznować przed władzą. Albo chociaż trzymać gębę na kłódkę.

Drzwi znajdowały się na końcu długiego przejścia w głębi peronu. Szare, nijakie.

Uber zapukał.

– Proszę – odpowiedziano z wnętrza.

Uber pchnął drzwi, schylił głowę, żeby nią nie walnąć o niskie nadproże, i przestąpił próg.

Wyprostował się, rozejrzał. Na jego gust wszystkiego tu było za dużo: jakieś bibeloty, statuetki, lampy, zasłonki. W kącie – Uber wzdrygnął się, ręka skoczyła do noża – wypchany niedźwiedź.

W pokoju było ciemnawo. Pod sufitem chwiała się latarenka, oblewająca żółtawym światłem blat stołu i ręce człowieka nad papierami. Człowiek pracował. Pisał coś nierównymi, pękatymi literami.

– W jakiej sprawie? – zapytał, nie podnosząc głowy. Głos grzechotał i brzęczał niczym nieco rozstrojona gitarowa struna. Twarz cała tonęła w cieniu. Uber zmrużył oczy.

– Z przypadku.

Człowiek podniósł głowę.

– Przybył pan tunelem? – rzucił standardowo.

– Nie. – Uber zawahał się, uśmiechnął. – Z powierzchni.

Milczenie. Mer nie odzywał się, najwidoczniej przetrawiał nową dla niego

informację.

– Sam?!

– A ilu trzeba? – zdziwił się Uber.

Mer wychylił się naprzód, do światła, i Uber wreszcie mu się przyjrzał.

Lat czterdzieści pięć – pięćdziesiąt. Wedle miary metra to pokaźny wiek. Regularne rysy, ale mocno zwiotczała i silnie pomarszczona twarz, siwe pasma włosów, zwiastuny siwizny na brodzie.

– Co do powierzchni: poważnie? – dopytał mer. Garbił się nieco, jak bywa u starszków, choć jeszcze nie był stary.

Uber wzruszył ramionami. Wierzy pan albo nie wierzy, co mi tam.

– Więc co tutaj robisz? – indagował mer.

– Idę z powrotem.

– A jak tam mutanty?

W odpowiedzi Uber położył na stole śrutówkę, co prawda bez nabojów. Potem wyciągnął z pochwy i umieścił na wierzchu kukri. Z doświadczenia wiedział, że taka demonstracja cynizmu i zuchwałości szybciej pomaga znaleźć zlecenie. Mer z dziwnym wyrazem twarzy przyglądał się własnemu odbiciu w ogromnej klindze.

– Byłaby dla mnie jakaś robota? – spytał Uber.

Mer z trudem oderwał wzrok od noża i pokręcił głową.

– Tak myślałem – odrzekł Uber. – Pomyślność po prostu depcze mi po piętach. Zatem wyniosę się dzisiaj stąd... hmm, na przykład na Zwienigorodzką? Dziękuję waszej stacji, pójdę sobie na inną.

– Możesz się wynieść – zgodził się mer. Uśmiechnął się lekko. Miał bardzo jasne, wyblakłe oczy z pożółkłymi białkami. Zaczerwienione i najwyraźniej mocno krótkowzroczne. Wyszczrzył się. – Czemu by nie? Tylko że na Zwone mają kwarantannę.

„Cholera”.

Uber się zawahał.

– Bingo! A na długo?

– Dwa dni temu ogłosili.

„Kurwa”.

– Nic strasznego. Tydzień, dwa...

– To dzuma – dodał mer.

– Ch-cholera. – Uber podrapał się po karku. – Zdaje się, że będę musiał znaleźć sobie zajęcie na jakiś czas, co?

– Tylko się nie przepracuj. A w ogóle zabieraj z mojego stołu swoje manele i wynoś się stąd do diabła.

Uber roześmiał się. Schował kukri do pochwy, zarzucił pasek śrutówki na ramię. Mer patrzył na niego ze zmęczeniem i rozdrażnieniem.

– I nie zapomnij zapłacić myta – rzucił Uberowi w plecy.

Skinhead znieruchomiał, odwrócił się w drzwiach.

– Powiedzieli mi, że nie ma opłaty.

– To dla pasażerów tranzytowych.

Uber uniósł brwi, nachmurzył się.

– Jakich tranzytowych, przecież macie tu ślepy zaułek?

– Przepis to przepis – stwierdził mer. – Niczego nie mogę zrobić. Tylko jeśli nie zapłacisz, wylecisz z terytorium stacji w przeciągu dwóch godzin. Wykopią cię prosto na świeże... echem... powietrze. A twoje mienie pójdzie na poczet zapłaty.

– Więc to tak?

– Właśnie tak. A co myślałeś, że trafiłeś do bajki?

– Jak zapłacę, jeśli nie mam pracy? – zapytał spokojnie Uber.

– Nie mój problem – odrzekł mer.

– W takim razie potrzebny mi kredyt.

– Obejdiesz się.

– Jasne. – Uber zarzucił sobie toból na ramię i skierował się do drzwi.

Mer przez kilka sekund patrzył na jego uparte plecy, po czym wrócił do swoich papierów.

– A właśnie, całkiem zapomniałem. – Uber odwrócił się w progu. Niewinnie spojrzął na szefa Obwodnego Kanału. – Po co przybyły mortusy? Kto tu u was umarł? Milczenie.

Mer patrzył na nieproszonego gościa, nie mrugając. Twarz mu pociemniała. Uber aż spod drzwi poczuł ciężki żar jego rozdrażnienia.

– Nie sądzę, żeby to była twoja sprawa – rzekł w końcu mer. Otworzył teczkę, jakby czymś bardzo zajęty, zaczął kartkować zawartość.

– Pewnie nie – zgodził się łatwo Uber.

– Jestem przekonany, że nie – warknął mer. Płasnął teczką. – Wynoś się z mojego gabinetu.

– W takim razie podowiaduję się u mortusów, co i jak – spokojnie oznajmił Uber. – To teraz moi kumple. Czemu nie? Możliwe, że ten ktoś nie umarł tak zwyczajnie, tylko z komplikacjami. Może tutaj też nie zaszkodziłaby kwarantanna, co?

Mer wzdrygnął się.

– Grozisz mi?

– Uchowaj, Boże. Dogaduję się w sprawie taryfy ulgowej.

Mer podniósł głowę. Uber widział, jak walczą w nim wątpliwości. Żyła na szyi mera drgnęła ledwie dostrzegalnie, a on mimowolnie przyłożył do niej dłoń. „Co oni tu, u diabła, ukrywają?” Uber nie wiedział, ale poczuł w tyłku, że nieprzypadkowo trafił w czułe miejsce. „A może dzuma dotarła też tutaj? Och”. Raczej chodzi jednak o zwyczajną kontrabandę.

– Więc jak? – spytał Uber. – Mam iść do mortusów? Jak wasza merowska mość uważa? Zostało mi wolne pół godzinki, a i tak nic pieprzonego nie ma do roboty.

Mer wolno skinął głową, odwrócił wzrok. „Stary pierdziel” – pomyślał Uber. Stop, stop, poprawił sam siebie. Nie należy tak pochopnie wlepić ludziom etykietek. „Nie stary”.

Mer patrzył na Ubera zmrużonymi oczyma. Wziął ze stołu okulary, założył. Oczy zrobiły się wielkie, bezbronne.

- Dobrze – rzucił głucho. – Akcja promocyjna. Dziś bez myta. Powiedz na stołówce, że mają cię nakarmić. Na kredyt.
 - I napoić?
 - Jedną szklanekę – burknął mer.
 - Czegoś mocnego!
 - Umowa stoi.
 - Uwielbiam taryfy ulgowe – zwierzył się Uber poufnym tonem.
- Mer spojrzał na niego prawie z nienawiścią.

3. Najlepszy mer w świecie

Miejscowa garkuchnia, służąca jako klub i bar, nazywała się „Stuknięty Krab”. Wspaniała nazwa, stwierdził w duchu Uber. Oby sama instytucja nas nie zawiodła. Nazwa zobowiązuje. Lekkie odbicie szajby byłoby w punkt. Jesteś w Piterze, dziecińo.

Lokal mieścił się w dużym namiocie bez sufitu – a raczej była to rama z lekkich rur, obciążnięta po obwodzie tkaniną. Małe lampy, zapalone po kątach i nad barem ułożonym z drewnianych skrzynek, dawały mętne żółtawe światło.

Uber wszedł, zatrzymał się w progu. Rozejrzał. Pięć stołów, lada barowa, kilka ławek i krzeseł. Namiot wypełniały gęsty dym, zgiełk, spory, stukanie kubków i szklanek. Woń siwuchy zabawnie mieszała się z zastałym smrodem niepranych skarpetek. „Mam wielką nadzieję, że to nie aromat tutejszego jadła” – pomyślał Uber. Zrobił krok w przód.

Zacznijmy może od wypitki.

Wtem znowu poczuł to nieokreślone wrażenie niepokoju i ucisku, które pojawiło się, gdy się zbliżał do stacji. Tylko że teraz było silniejsze. Ścisnęło mu skronie, aż czaszka trzeszczała, jak przed burzą. Uber pokręcił głową. W potylicy powstawało nowe, świdrujące uczucie, jakby się tam coś wierciło. Burze magnetyczne przechodzą dzisiaj czy co, pomyślał Uber gniewnie. Głowa jak żeliwny dzwon. Z lekką szajbką.

Nagle jeden z klientów wstał i obwieścił:

– Za to mera mamy zajebistego!

– No jasne, tak! – poparł go zaraz inny bywalec lokalu.

Uber powiódł wzorkiem po sali, potarł sobie czoło. Co się tu dzieje, kurna? „Widziałem waszego mera, ni cholery zajebisty...”

– Nasz mer to mer nad merami! – zachwycił się pierwszy klient. Na jego twarzy malowało się jakieś osłupiałe uniesienie.

– Dokładnie! Dobrze gadasz!

„Jaka zabawna jednomyślność” – pomyślał Uber.

– W czym on taki zajebisty? – zainteresował się Uber. Milczenie. Wszyscy zwrócili głowy w stronę beczelnego obcego. – No, nie-nie, nie przeszkadzajcie sobie w obiedzie. Żryjcie, jak to się mówi, spokojnie. Tylko pytam.

Ludzie przycichli. Oglądali się po sobie. Jeden miejscowy – krzepki osiłek – zaczął się podnosić. W ślad za nim wstało jeszcze dwóch, najwyraźniej jego

przydupasy.

– A tyś co za jeden, żeby się tu wpierdalać? – odezwał się kafar, robiąc krok w stronę Ubera. Kumple ruszyli za nim niczym dwa ogonki.

Uber przyjrzał mu się z zainteresowaniem, kiwnął głową.

– Tak się już wpierdalałam niezależnie od geografii.

– Coś powiedział?

Uber uderzył. Kafar złapał się za gardło i zgarbił, zarzęził, jakby umierał. Zwalił się na bok. Kumple rzucili mu się na pomoc, ale napotkali niezmacony wzrok skinheada. Uber spoglądał na nich z zachętą – no chodźcie, spróbujcie. „Ogonki” popatrzyły po sobie i dały spokój.

– Oto moja wizytówka – rzekł Uber i potarł kant dłoni.

Kafar zaczął się podnosić. Uber stanął nad nim, szybko uderzył go dłońmi po uszach. Tamten zawył i padł na podłogę.

– Ze złotą obwódką. Kto jeszcze chce, żebym się przedstawił? – Rozejrzał się po namiocie. Wszyscy milczeli.

Nagle wstał jeszcze jeden mężczyzna – wzrostem równy Uberowi, smagły, silny, doświadczony życiem. Nos z garbką, szrama na mocno zarysowanej szczęce. Siwizna na skroniach, w oczach nie ma strachu. „Tak – pomyślał Uber. – Z tym będzie poważniej”.

– Nie mam nic przeciwko – rzekł mężczyzna.

Uber patrzył na niego przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– To może wyjdziemy. Porozmawiamy.

– Wymienimy się wizytówkami? – Tamten wyszczerzył się w uśmiechu.

„Zdaje się, że normalny chłop” – stwierdził Uber.

– Aha. Śniadanie służbowe, wszystko po kolei.

Przeciwnicy wyszli na peron. Mężczyzna zrzucił kurtkę, pokręcił głową, stanął w bokserkiej pozycji. Uber rozruszał ręce, podskoczył kilka razy, chrupnął stawami. „Rozerwać się, tak na całego”.

– Lecimy z tym koksem – powiedział.

Tym razem przyszło mu się spocić. „Normalny chłop” okazał się silnym i doświadczonym w bitce rywalem. Waga i budową ciała byli jeden do jednego, tak że o wszystkim przesądzały bojowe nawyki i wytrzymałość.

Wymiana bokserkich ciosów, po czym Uber poszedł na siłowe rozwiązanie, walnął przeciwnika pięścią w biodro i przerzucił go sobie przez ramię. Mężczyzna z łomotem poleciał na betonowe podłoże, jak worek z kartoflami. „Świetnie wyszło” – pomyślał Uber. Oby tak zawsze. Rywal zajęczał przez zęby. Potem zaparł się rękami o podłogę, naprężył... Uber pokręcił głową.

– Dość już, chłopie, pokój. Ja wygrzmociłem ciebie, ty wygrzmociłeś mnie. Uspokój się.

– Zarzną cię. Zarzną. – Sięgnął do pasa.

„No i masz – zmartwił się Uber. – A tak dobrze się wszystko zaczęło”. U pasa mężczyzny wisiał nóż w pochwie. Uber widział brązową rękojeść z laki.

W ostatniej chwili mężczyzna cofnął rękę, zacisnął ją w pięść. Uber kiwnął głową.

„To co innego”. Tamten zaczął się podnosić. Kiedy wstał, Uber szybko i ostro wsadził mu kilka ciosów w splot słoneczny, w szczękę, pod żebra. „Zawsze pracuj kombinacjami” – mawiał nauczyciel Ubera po walce wręcz tam, w Jakucku. Sto tysięcy lat temu.

Przeciwnik stracił dech i upadł.

Uber pomógł mu usiąść. Wyjął z kieszeni skręta, wsadził tamtemu między zęby. Wziął zapalniczkę, plastikową jednorazówkę. Obrócił ją w palcach. „Trzeba by chociaż normalną zapalniczkę kiedyś sobie sprawić” – pomyślał.

Pomógł mężczyźnie zapalić. Tamten zaciągnął się, zakaszłał.

– Tfu, do diabła – rzekł. – Mocny.

– Oddychaj głębiej – poradził mu Uber. – No, i jak tutaj u was? Tylko szczerze.

Miejscowy westchnął, wyjął papierosa z ust, wypuścił siwy dym. Obłok popłynął nad peronem. Mężczyzna wypluł krew, obmacał sobie palcami szczękę i popatrzył na Ubera prawie wesoło.

– Szczerze? Czarna dupa. Zabieraj się stąd, przybyszu, póki możesz. Dla nas już za późno.

„Interesujące oświadczenie”. Uber zastanowił się.

– Nie za mocno cię walnąłem?

– Ee, nie... normalnie. Przeżyję.

– A jak się nazywasz, mieszkańcu stacji?

– Mamed.

– A w całości?

– Mamed Nurtumbekow.

Uber potarł sobie kark.

– Dagestańczyk, co?

– I to dobry.

Mężczyzna z niewiadomego powodu zezłościł się. Znow sięgnął do noża. Uber pokręcił głową – nie należy. Tamten opuścił dłoń. Dobrze. Uber skinął z uznaniem.

– Aha, aha, dobry. Wy, jak się wkurzycie, to wszyscy jesteście zadziorni.

– Szybko łapiesz... – odparł tylko Mamed.

– Obraziłeś się. Nie ma o co. Normalny z ciebie chłop, chociaż Dagestańczyk. Ale gdybyś wyjął nóż, tobym cię zabił. Najpierw połamałbym ci rękę, a potem zabił w cholerę. I po trupie poskakał. I jeszcze nasikał. Ale widzisz, jak się wszystko dobrze złożyło. Po prostu pięknie. Wiesz, lubię, kiedy nie trzeba nikogo zabijać. Miewam takie dni od czasu do czasu.

4. Mika i Nanny

– Mika, idź umyj ręce – poleciała Nanny.

Dziewczynka podniosła głowę, a potem ją spuściła – włosy zwiesiły się i zasłoniły jej twarz. Nanny westchnęła. Wszystko zaczyna się od nowa.

Wróciły do namiotu i posiliły się. Grzyby okazały się nie wiedzieć czemu suche i łykowate, lecz zawsze to jakieś jedzenie. A co będziemy jeść wieczorem...

Nanny westchnęła. Przyjdzie znowu chodzić po stacji, szukać jakiejś roboty. Ręce opadają. Jeśli się tak o tym pomyśli – chciałoby się położyć i nigdy już nie wstać. „A tu jeszcze ta mała fryga...”

– Znowu mnie nie słuchasz? Co się dzieje, Mika? Przecież mamy umowę.

Dziewczynka milczała. Rozłożyła swoje zabawki: połowę plastikowej krowy, monetę z dwugłowym orłem, kamyczek z czerwoną plamką – nazywała go Misza, był dziedzicem syberyjskich niedźwiedzi – oraz czarne pozlepiane pióro. Nanny westchnęła. „Nienawidzę tego pióra”.

– Mika! Nie słuchasz!

Mała podniosła głowę.

– W ogóle nie rozumiem, dlaczego mam słuchać.

No masz, upór wszedł na wyższy poziom. Następnym etapem będzie milczenie. I „e!” na wszystkie pytania czy polecenia.

I nie pomogą żadne tłumaczenia.

– Powinnaś wydorosnąć – powiedziała Nanny z ciężkim westchnieniem.

– Po co mam wydorosnąć?! Czy chociaż dorośli robią coś interesującego? Nic, tylko się męczą albo kogoś słuchają!

– Mika!

Dziewczynka nagle podniosła głowę i pobladła. Nanny dostrzegła jej źrenice, rozszerzające się aż do granic tęczówki. Nieskończenie głębokie.

„Znowu” – pomyślała Nanny. Odłożyła łyżkę, westchnęła. Zaczęła wstawać.

I wtem rozległ się daleki, przeciągły krzyk. Jakby gdzieś tam, w głębinie tuneli, miało się ogromne umierające zwierzę. Mika zasłoniła twarz rękami, zadrżała. Nanny podniosła się nieco...

– Mika?

Krzyk urwał się. Dziewczynka otworzyła oczy. Nie, tym razem się obeszło.

– Umyj ręce – poleciła sucho Nanny. – Polać ci wodą?

5. Mamed mówi i płacze

Tutaj, na skraju peronu, panowały chłód, półmrok i cisza. Skręt tlił się, strzelając iskierkami. Kiepski tytoń, pomyślał Uber. Z wiórami, jak się dawniej mówiło. Gorzki dym odpływał w ciemność...

– Nie pogardziłbym szczegółami – zagadnął Uber.

Palili z Mamedem, siedząc na krawędzi peronu. Za ich plecami błyskały światełka „Stukniętego Kraba”, hałasowali ludzie, rozbrzmiewała nawet wygrywana na jakiejś samoróbce muzyka. Coś w rodzaju fujarki wywodziło prościutką taneczną melodię. Towarzystwo zaczęło płasać, przytupując dziarsko. „Rozrywkowe z nich ludziska – pomyślał Uber. – A przecież nikt za nami nie wyszedł z namiotu”.

Nawet żeby popatrzeć na bitkę.

Żaden z miejscowych nie chciał oglądać, jak biją kogoś innego, nie jego? Nie, z tą stacją wyraźnie jest coś nie tak. „I jak by powiedział Siwy, to nie moja sprawa. – Uber zacisnął zęby. – Mam nadzieję, że u chłopaków wszystko wporzo”.

Mamed wahał się.

– Co jest tu, na tej stacji, takiego straszego? – spytał Uber. – I dlaczego lepiej, żebym się stąd wynosił jak najszybciej?

Mamed milczał. Chmurny, postarzały, zmęczony.

– Co wy tutaj skrywacie? Słyszałem krzyk.

Mamed drgnął. Uber kiwnął głową. „Tak myślałem”.

– No, powiedz. – Skinhead zmrużył oczy. – Kto to krzyczy?

– Nie wiem – odparł Mamed.

– Aha. – Uber zamilkł na chwilę. Tak Duralejkin tam, na WSz, jak i Mamed tutaj: nikt nie chce rozmawiać o tych krzykach. – Dobrze. Nie chcesz opowiadać, to nie. Boisz się?

Tamten znowu drgnął. Szarpnął się, ponownie sięgnął do noża. Uber jak poprzednio popatrzył mu w oczy – ręka się zatrzymała. „Co to u nich za mania, żeby od razu za nóż chwytać? Mentalność, kurr”.

– Wybacz – rzekł Uber. – Pomyliłem się. Odważny z ciebie człowiek. Pogadajmy w takim razie o czymś innym. Kto tu rządzi?

Mamed westchnął z ulgą, wyprostował się. To pytanie było najwyraźniej łatwiejsze.

– Sołowiej i jego banda. Wszystko tu od nich zależy.

– Sołowiej? – Uber pokiwał głową.

Chociaż to na Obwodnym Kanale zrozumiałe i proste. Banda ma władzę na stacji, bandzie można dołożyć... Albo po prostu wyznaczyć zakresy działania i nawiązać stosunki handlowe. Nawet z kierowcami się udawało, a ci tutaj to zwyczajne szumowiny. Po śmierci Saddama i rozpadzie poddanego mu „państwa wszelkiego dobrobytu” bandyci jakby się zerwali ze smyczy. Czyli zbój Sołowiej*? Uber chrząknął znacząco.

– Bardzo zły człowiek – stwierdził Mamed. – Niedobry. Podły. Nie miej z nim nic do czynienia. Wszystkim tu teraz rządzi... o wszystkim decyduje. Zabić może.

„Ale piali o merze, nie o Sołowieju”. Czyżby był zasłoną dla jakiejś szarej eminencji?

– A co na to mer? – spytał Uber.

Lepiej było tego nie mówić. Mamed wzdrygnął się. Oczy mu się zmieniły, zrobiły się szklane. Zerwał się na nogi i wrzasnął:

– Nasz mer to najlepszy mer w świecie!

Jego skręt, koziołkując, poleciał w ciemność, na pożegnanie wybuchając czerwoną kropką.

– No i przesrane – orzekł w zadumie Uber. Podniósł się nieśpiesznie, otrzepał spodnie. Przyjrzał się Mamedowi.

– Nasz mer! On taki! Że ha! – ciągnął swoje Mamed. Do oczu napłynęły mu łzy. Tego jeszcze brakowało... Mamed nagle zaczął tańczyć lezginkę. Z zacięciem, ale jakby wbrew sobie. Raz! Raz! Raz! Wykrzykiwał przy tym:

– Mer! Mer! Mer! Najlepszy! Mer!

Echo niesło wrzaski nad peronem. I zdawało się, że w namiotach i w „Krabie”

ktoś także powtarza: „mer, mer, mer” – tylko ciszej, półgłosem, samymi wargami. Uber rozejrzał się. Tak, na to wyglądało. W każdym namiocie, w każdym zakątku rozbrzmiewało cichutkie „mer”. Interesujący efekt surround.

Porządnie mogło nastraszyć.

Mamed tańczył. Jakby walczył sam z sobą.

– Muzykalny naród, nie ma co – mruknął pod nosem Uber. Spojrzał na płásającego Mameda. Pot ciekł już z niego strumieniami. – Ej, już dość, spokojnie, podziemny Machmudzie Esambajewie^{**}. Przestań. Twój mer jest najlepszy na świecie, przekonałeś mnie. Siadaj, odpocznij, wyhamuj. „Odetchnij. I posłuchaj, co ci powiem...” Tfu, znowu pchają mi się jakieś wiersze. Ej!

– Mer! – wykrzyknął Mamed.

– Rozumiem – zapewnił Uber. – Nie jestem głuchy. Stać!!

Nad peronem poniosło się echo: „Ać... ać”.

Mamed zatrzymał się, ciężko dysząc. Jego oczy na powrót znormalniały, ale jakby wyzierała z nich śmiertelna choroba. Patrzył na Ubera wyczerpany, zlany potem. Strużki płynęły mu po czole, skapywały z gęstych brwi. Kropla stoczyła się z nosa... rozbiła o peron...

– Widzisz, przybyszu? – Głos Mameda był ochrypły, rwał się. – Bierz się stąd, póki możesz. Uciekaj. Dla mnie... już za późno.

Odwrócił się i chwiejnie powlókł z powrotem do „Kraba”. Uber w zadumie potarł sobie czoło. A jednak.

W tym momencie znów rozległ się krzyk. Przeciągły, ponury, udrczony. Tak nawołują wieloryby na dnie oceanu. Uber kiedyś słyszał ich zarejestrowane głosy. Na wskroś piekielny dźwięk – odgłos kosmicznej samotności. Aż ścinało w żołądku. A ten tutaj brzmiał podobnie.

Mamed wzdrygnął się, na krótką chwilę zatrzymał... Znów ruszył, jakby nic się nie stało. Zniknął w wejściu „Kraba”.

– No i proszę, kurna, jaka z niego pierdzidupa – mruknął Uber, odprowadzając go wzrokiem.

6. Złe mleko

– Chce ci się jeść? – zapytała Nanny z rezygnacją.

Zanim dziewczynka odpowiedziała, kobieta kątem oka spostrzegła, że do namiotu ktoś podszedł. Przez cienką tkaninę rysowała się wysoka, ciemna sylwetka. Zatrzymał się... „No, kogo tam przyniosło?”

Mika skrzyżowała ręce na piersi, uniosła ramiona i milczała nadąsana. Obraziła się. Teraz minimum na pół dnia. Nastroszyła się jak wróbel i nawet na jedzenie nie da się namówić, choćby umierała z głodu. A przecież małej zawsze chce się jeść. Nanny westchnęła. A komu się nie chce?

– Puk, puk! – odezwał się ktoś na zewnątrz. – Jest ktoś w domu?

Nanny zawahała się. Głos znajomy. Ale nie mogła powiedzieć, żeby się ucieszyła.

– Kto tam? – rzuciła.

– Za nic nie zgadniecie – odparł kpiąco schrypnięty głos. Z intonacji dało się wyczuć, że człowiek za płachtą się uśmiecha.

Mika podniosła głowę. Nanny spojrzała na nią z wyrzutem, mała odpowiedziała nadąsanym, nieustępliwym wzrokiem. Fuknęła. Nanny westchnęła. „Och, kiedy to się skończy. Jaka jestem zmęczona”.

Jeszcze ten się przyplątał...

– Proszę – powiedziała.

Poły namiotu rozsunęły się, wszedł Uber. Musiał przykucnąć, by się zmieścić. Mimo niewygody rozejrzał się z zainteresowaniem. Spostrzegł Mikę, zauważył jej dąsy i obrazę na twarzy, unióśł brwi. Pokiwał głową.

– Nawet nie będę pytać, po coś przylazł, łysy – odezwała się Nanny.

Uber chrząknął. Mika nagle przerwała milczenie i jakby ciągnęła przerwana rozmowę, rzekła:

– To on.

Nanny obróciła się ostro:

– Co za on?

– Anioł, którego zesłał mi Bóg. Pamiętasz, Nanny, opowiadałam ci?

Kobieta westchnęła. Znów się zaczyna.

– Co to ma być za anioł? Panie Boże, z czarnymi piórami! Wrona jakaś, nie anioł. – Odwróciła się, otaksowała Ubera spojrzeniem. „Przystojny gość, chociaż łysy”. – Straszny i bezczelny. I buzię twój anioł ma bandycką.

Uber zaśmiał się. Mika spode łba spojrzała na Nanny, po czym zamrugła, otworzyła usta... Zdaje się, że ciekawość będzie silniejsza od obrazę, pomyślała Nanny złośliwie.

– Co to takiego wrona? – spytała dziewczynka.

– Wrona? Ty co, nigdy nie widziałaś wrony? – zdziwił się Uber.

Mała pokręciła głową.

– Nie.

„Wstyd mi robi przed ludźmi”. Nanny wtrąciła z wyrzutem:

– Widziałaś w książce!

Mika zadarła krótki nos.

– A w książce, oczywiście, wszystko jest prawdziwe? No nie? Wybacz, Nanny, ale to ty powinnaś wydorosnąć.

Uber parsknął śmiechem, nie mogąc już wytrzymać.

Mika nachmurzyła się, po czym sama zaczęła się śmiać, zasłoniwszy usta dłonią. Wielki facet i mała dziewczynka zerkali na siebie raz za razem i chichrali się coraz mocniej.

– Jak z jednej beczki wyjęci – stwierdziła bezsilnie Nanny. – Oboje stuknięci. A ta jeszcze rzy. A w ogóle czemuś się do nas przyczepił? – zwróciła się do gościa.

– A dokąd miałem iść? – Uber potarł sobie kark, popatrzył na Nanny z uśmiechem.

Kpiarskie spojrzenie skinheada drażniło kobietę jeszcze bardziej niż nieznośna dziewczynka.

– Do mera, oczywiście. U nas będziesz jak jakiś przybłęda. Tak się nie godzi. Na naszej stacji są surowe przepisy.

– Jakiego błęda? – zainteresował się Uber.

– Przy... pięta!

Uber roześmiał się, szczerząc zęby.

– U, no to pani dowaliła... ee... Jak się pani nazywa?

– Farida Danirowna – przedstawiła się Nanny z godnością.

Mika zerknęła na nią, otworzyła usta... i zamknęła.

– Surowo pani dowaliła, Farido Danirowno – rzekł Uber. – Aż się spociłem od poczucia odpowiedzialności.

– Jeszcze się ze mnie nabijaj, łysy szyderco!

– Wygolony – poprawił Uber.

– Łysy!

– Wygolony!

– Nanny – oburzyła się Mika. – Przestań.

– To nic takiego. Niech usłyszy o sobie prawdę!

Uber znów się roześmiał. Mrugnął do dziewczynki, tak żeby niania nie widziała.

– No, skoro trzeba... Łysy-wygolony pójdzie do mera.

Zwrócił się do Nanny, skłonił sztywno – wypisz wymaluj brytyjski arystokrata.

Mika prychnęła śmiechem.

– Do zobaczenia, życzliwa Farido Danirowno – pożegnał się Uber. – Pozwoli pani, że wyrażę swój nieprzemijający szacunek.

– Jaka tam ona Farida! – nie wytrzymała Mika. – Nazywa się Natalia Wasiliewna!

– Naprawdę? – Uber błysnął uśmiechem.

– Tak. I wcale nie jest życzliwa.

Skinhead roześmiał się, a Nanny westchnęła:

– O Boże. Co za dzieciak.

Uber jednym szybkim, prężnym ruchem wstał i wyskoczył z namiotu. Pstryk – i go nie było. Namiot znów zrobił się przestronny. Mika nadąsała się, otworzyła usta... I w tym momencie Uber był z powrotem. Wyszczерzył się i opuścił na podłogę nieduży worek. Nanny i Mika popatrzyły po sobie, a potem na niego. Nanny otworzyła usta.

– U mera już byłem – oznajmił Uber pogodnie. – Tak więc, droga Natalie Wasiliewno, nie musi się pani niepokoić.

– I co? Wyrzucił cię?

Zamiast odpowiedzieć, Uber znów błysnął zębami i zaczął wyjmować z worka artykuły spożywcze. Puszka tuszonki, chleb, suchary, suszone mięso, prastara fasolka w puszcze, pół paczki kaszy gryczanej. Twarz Nanny wyciągała się coraz bardziej.

– Skąd to masz? – Nagle zrobiła się podejrzliwa.

– Mer wzruszył się moimi wyczynami i uprzejmym obejściem...

– No tak. – Sceptycyzmu w głosie Nanny starczyłoby na niewielką górę lodową. Taką jak tamta, która zatopiła Titanica.

– A w ogóle częstujcie się. Mer dał mi karnet na wyborne obiady w „Stukniętym

Krabie”. Bezpłacie. W sensie: na kredyt. Wziąłem prowiant na wynos.

– A jak spłacisz ten kredyt?

– Coś wymyślę. – Uber machnął ręką.

Nanny przygarnęła produkty, wzięła się do gotowania. Zapaliła karbidowy palnik, podkreśliła – szszsz, zasyczał gaz. I zaczęła pitrasić. „Chwała Bogu. Przynajmniej dziś nie trzeba będzie warzyć zupy na gwoździu”.

– Pomożesz? – zapytała Mika. – Znajdziesz moją mamę?

Uber westchnął. Zamiast odpowiedzi wyjął skręta i zapalniczkę. Podniósł się, schylił głowę, zrobił krok do wyjścia...

– Nie jestem pewien, mała.

Mika zastąpiła mu drogę.

– Zaczekaj! Nawet jeśli nie chcesz. Znam magiczne słowo. Teraz je wypowiem.

Pro...

Uber zatrzymał ją gestem ręki.

– Nie! Nie mów!

– Dlaczego? – zdziwiła się Mika.

Z zakłopotaniem potarł sobie wygoloną głowę.

– Myślę, że nie jestem zbyt dobrym wyborem... Ee, jeśli chodzi o rolę wybawcy.

– Dlaczego?

Potarł sobie kark, zasępił się.

– Dlatego że... hmm. Dlaczego? Powiedzmy, że jestem złym człowiekiem.

Mała pokręciła głową.

„Słaby argument, aniele – prychnęła w duchu Nanny. – Wymyśl coś innego”.

Odwróciła się, wzięła nóż. Jak tę konserwę otworzyć?

– Moja mama mówiła: kiedy nie ma dobrego mleka, trzeba się obejść tym, co pod ręką.

Uber rozdziawił usta.

– Że niby ja to mleko?

Odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. „Ma równe, ładne zęby i rzy radośnie jak koń”.

– Złe mleko!

– Anioły też bywają różne – wtrąciła Mika. – Przyjdiesz do mnie jeszcze raz w gości?

Uber przestał się śmiać. Uważnie popatrzył na małą. Jasnoniebieskie oczy skinheada naprzeciw brązowych dziewczynki. Odparł bardzo poważnie:

– Przyjdę.

Wyciągnął rękę. Mała również bardzo poważnie uściśnęła swoją niedużą dłońią jego szorstkie palce. Umowa stoi.

Nanny spojrzała na nich z ukosa. Odwróciła się. Pomieszała tuszonkę w garnku. Po namiocie rozszedł się kuszący zapach mięsa mającego już ponad dwadzieścia lat. Uber uśmiechnął się.

– Dobrze jest coś pożreć, to jedna z głównych przyjemności kulturalnego człowieka! – stwierdził.

– Aniele? – zagadnęła Mika, kiedy skończyli kolację i wylizali talerze.

Uber podniósł głowę, zastygł z łyżką w ręce. Do błyszczącej powierzchni przylepiły się ziarenka gryki. Śmiesznie.

– Tak?

Dziewczynka zawahała się, po czym zapytała:

– A co to takiego mleko?

* Zbój Sołowiej – postać ze staroruskich podań (bylin); uśmiercał podróżnych samym swoim gwizdem. Pokonał go i zabił legendarny bohater Ilja Muromiec.

** Machmud Esambajew (1924–2000) – radziecki tancerz, aktor i choreograf pochodzenia czeczeńskiego.

ROZDZIAŁ 4

1 Pragnienie

Przez całą noc śniło mu się, że w kark na oślep, niezdarnie trąca go niemrawy, mokry nos mastifa. „Chodź na spacer”. Miał kiedyś dwa psy, waleczne, wytresowane i dobrze ułożone. Marszczył brwi i odsuwał nos dłonią, bok zlodowaciał mu z zimna, jakby znów zasnął na zboczu Us Chatyn* po święcie lata.

„Chodź na spacer”.

„Daj spokój” – burczał we śnie, przewracając się na drugi bok. Jeszcze wcześniej. Spać chciało się tak, że przez serce przechodziła cienka metalowa nić – i ciągnęła, i rznąła wnętrzości. Morda znowu zaczynała go trącać. „Szkarałat? Książę?” – zawołał. W udręczeniu nie mógł się obudzić i znowu, i znowu odpychał w półśnie wilgotne psie nosy.

W pewnym momencie zrozumiał, że ma ochotę się napić. Ochotę tak nieodpartą, że jest gotów pobiec za łyżkiem choćby i na kraj świata. Gotów biec i biec, żeby znaleźć w lodówce zmrożoną wódkę albo łyżek ciemnego piwa. Dwa łyżki. Zdejmujesz kapsel i wlewasz w siebie. Ciemność wypełnia cię od środka, po sam czubek. I następuje błogostawiony spokój. Lśnienie. Zamknął oczy i znów zapadł z drzemkę.

Obudził się potwornie zmęczony. Popatrzył na Nanny, jak obcy, wynędzniałymi, martwo-niebieskimi oczyma. Na nocleg pościeliły mu pryczę, Nanny z Miką zajęły drugą. Dziewczynka jeszcze spała, z boku leżało rzucone na kupkę ubranie. Uber skinął Nanny, szybko ubrał się i wyszedł z namiotu. Nanny odprowadziła go wzrokiem,

Ubera wiodło pragnienie.

* * *

W „Stukniętym Krabie” o tej porze prawie nie było klientów. Świeżo umyta granitowa podłoga błyszcząca jak stare, podrapane szkło. Krzesła były wystawione na stoły nogami do góry. Tylko za skrajnym stołem, w dalekim kącie, siedziało dwóch mężczyzn w czapkach z daszkiem. Od wilgotnej podłogi szła charakterystyczna woń mokrej szmaty.

Uber usiadł przy barze ułożonym z drewnianych skrzynek po narzędziach, skinął na barmana. Ten podszedł, wytarł szklankę ściereczką, spojrzał na Ubera pytająco. Chudy, około dwudziestoletni chłopak o niezmaczenie spokojnej twarzy zgodnie z najnowszą modą metra miał na głowie krótkie włosy wygolone w chaotyczne paski.

Jakby maźnięcia pędzla Picassa. W lewym uchu tkwił kolczyk.

– Coś mocnego – zamówił Uber. – I zapisz na mój rachunek.

Barman skinął głową. Postawił przed skinheadem szklanę i wyjął butelkę. Kiedy odkręcił korek, Ubera uderzył w nos mocny zapach siwuchy.

– Nie oślepnę? – spytał Uber nieufnie.

Barman wzruszył ramionami.

– Póki co żaden ślepy nie wrócił do nas z zażaleniami. – Głos miał uprzejmie beznamiętny.

– No to lej, panie trollu – zgodził się Uber z szacunkiem.

Barman nalał połowę. Skinhead wyciągnął rękę i wziął szklanę. Nie do whisky – klasyczną radziecką graniastą. Ile ma tych grani, Uber nie pamiętał.

Zrobił wydech i wlał w siebie samogon. Poczekał. Najważniejsze to doczekać pierwszej fali ciepła. A dalej już będzie tylko lepiej i lepiej. „Jesteś pewien?” – zapytał głos podejrzenie podobny do głosu Siwego. Albo nie. Nie był pewien. Może wszystko pójdzie źle.

Poczuł jej obecność, zaraz gdy tylko weszła. Potylicą. Sądząc po tym, jak zmienił się rytm jej kroków, ona też coś poczuła.

– Swietłana – powiedziała i usiadła przy barze. Długie ciemne włosy, jakies trzydzieści pięć lat, wysoka. Oczy zielonkawe. Pełne biodra, obfita pierś, wszystko tak, jak się Uberowi podobało.

– Uber – przedstawił się.

– Co to znaczy?

„Wszyscy mnie o to pytają”. Uśmiechnął się, podniósł szklanę.

– Nieważne. Twoje zdrowie... – Wypił. – Jesteś miejscowa?

– A co?

– Nadzwyczajna stacja – odparł Uber. – Wszyscy się lubią nawzajem, nikt nikogo nie wyrzuca... Prawda? – rzucił z uśmiechem.

– Jeżeli tak mówisz, jasne – zgodziła się.

„Dobra kobieta – pomyślał Uber. – Mądra”.

I ładna.

– I nikt nie powie, kto tak krzyczy. Tunele jęczą... aha, aha. Ale wymyślili. – Jednym łykiem wlał w siebie resztkę siwuchy. O mało się nie zakrztusił, przypaliło mu przełyk. Nawet łzy napłynęły do oczu. „Do diabła. Ale siara”. Ciepła alkoholowa śmierć mózgu.

– To smok – powiedziała Swietłana. Pauza.

Uber powoli odwrócił głowę.

– Co? – spytał opanowanym tonem.

Niespodziewanie podniosła się, wyzywającym gestem rzuciła na bar garść nabożów do makarowa. Potoczyły się z lekkim stukotem. Swietłana pochyliła się, przybliżyła ładną twarz do Ubera – poczuł przemieszany zapach perfum i alkoholu. Chłodne kwiatowe tchnienie z dymną, torfową nutą. I jeszcze coś damskiego, ciągliwego. Uber odchrząknął. Swietłana skinęła ręką na barmana.

– Nalej mu. Lepszej whisky.

– Nie piję na rachunek kobiet – oznajmił miękko Uber. „Łżesz! – odezwał się ktoś z głębin pustej przestrzeni głowy. Skądś z potylicy. Z ciemnego rewiru. – Jak chłasz, to na czyjkolwiek rachunek. Lejesz w siebie wszystko, co pali i zabija”.

– Barman, dodaj do mojego rachunku – rzucił Uber.

Tamten popatrzył na Swietlanę. Kiwnęła głową.

Chłopak wzruszył ramionami i coś zapisał. „Mój dług rośnie” – pomyślał z roztargnieniem skinhead. Barman nalał mu whisky. „Drogo wyjdzie – stwierdził w duchu Uber. – Chrzanić to”.

– To smok – powtórzyła kobieta.

Uber wypił.

– Żaden z nich nie ma jaj, żeby to powiedzieć. – Zniżyła głos. – Pytałeś o krzyk, tak? Taki przerażający, że serce ucieka w pięty, taki ponury, że chce się iść i utopić w kanale... Taki obrzydliwy, że...

– Rozumiem – przerwał jej łagodnie Uber.

Swietłana odwróciła się do niego, nachyliła całym ciałem.

– Wiesz, kto krzyczy? Chcesz wiedzieć?

– Tak. – Przekręcił głowę, popatrzył jej w oczy. Z tak bliska, że już można to było uważać za seks. Jej wargi były tuż, tuż...

Barman odkaszlnął. Swietłana podniosła głowę, spojrzała na niego.

– A ty w ogóle się zamknij – rzuciła ostro.

Chłopak wzruszył ramionami, odwrócił się.

Uber błysnął uśmiechem.

– Twoje zdrowie, przybyszu! – Kobieta podniosła szklankę. Tręcili się szkłem, Uber zasalutował szklanką.

Wypił. Rozbłysk ognia w środku. Świat stał się... jeszcze trochę przyjemniejszy. Swietłana nie zagryzała – podobnie jak on. Przechyliła się ku niemu, przycisnęła pierś do jego ręki. Uber poczuł, jak bije jej serce.

– To smok – wyszeptała namiętnie i głośno. – Jest tu wszędzie... gdzie palcem tknąć. O tu, tu... – Skierowała palec z pomalowanym paznokciem w jednego klienta, mężczyznę drzemającego w kącie nad szklanką. – Tu... – Barman zamarł ze zdziwienia, znów wziął się do wycierania szklanek. – A nawet tutaj.

Pokazała palcem własną skroń i roześmiała się przy tym nisko, ochryple.

– Przekłeta jaszczura! Jest wszędzie... Nalej mojemu przyjacielowi whisky. Najlepszej – zwróciła się do barmana.

Ten spojrzał na nią, milcząco kiwnął głową. Wyjął spod lady butelkę whisky, prawdziwej. Uber pokręcił głową, barman zabrał flaszkę. Dolał mu zwykłej siwuchy, a kobiecie – whisky.

– Twoje zdrowie – rzekł Uber i wypił.

– Grałam w teatrze. Przed Katastrofą. Mały niezależny teatrzyk. Na pewno nie znasz. Wystawialiśmy *Smoka*.

– *Smoka*?

– Według sztuki Szwarca^{**}. Grałam Elżę. Dobra rola. Czytałeś tę sztukę?

– Widziałem film. Z Abdułowem.

– Nikt nie czyta książki.

– To problem – przyznał Uber.

– Tak! To problem... A-a! – Z rezygnacją machnęła ręką. – Sztuki też wcześniej nikt nie czytał. Gdyby nie film, czy ktoś w ogóle znałby tę historię? A to wielka sztuka! Wielki autor!

– Ja czytam książki – zapewnił Uber.

– I wiesz, przybyszu, co do mnie dotarło? – Jakby go nie słyszała.

– Co takiego? – zainteresował się.

– Że nikt nie chce, by tego smoka zabito. Nikt a nikt.

Chybnęła się po pijacku, osunęła. Uber złapał ją błyskawicznie, przytrzymał, podniósł. Postawił równo na nogi. W dotyku była miękka i gorąca. Szedł od niej jeszcze silniejszy zapach kobiecości. Ciepło pod dłońmi – podatne, kuszące. Uber spokojnie cofnął ręce.

– Rycerz – orzekła Swietłana. I roześmiała się. – Wiesz, przybyszu, jak przyjemnie znowu poczuć na sobie męskie ręce? Co?

Uber milczał. Uśmiechał się.

– Podobam ci się – stwierdziła.

– Tak – przyznał Uber. Rzeczywiście było w niej coś przykuwającego. Wyobraził sobie jej ciężkie piersi, ją samą, nagą i gibką, leżącą na łóżku.

– Po prostu podobają ci się wszystkie kobiety, tak? – spytała zalotnie.

Wrażenie minęło. Uber wyszczerzył się. Cynizm pomaga.

– Coś w tym stylu.

– Jesteś gotów przespać się ze wszystkimi kobietami świata? Co? Gotów?

– Uważam, że to moja zaszczytna misja. Sam papież rzymski błogosławił mnie na tę krucjatę. Powiedział: jebcie i rozmnażajcie się.

– Idźcie i rozmnażajcie się – poprawiła Swietłana.

– A! I to też, jasne. Zawsze trzeba w tym celu dokądś pójść.

Roześmiała się z pijacką wesołością. Urok prysł. „A przecież był” – pomyślał Uber.

– Bajerant!

– Zgadza się – przytaknął Uber. – Twoje zdrowie, najpiękniejsza! – Wypił, postawił szklankę na barze do góry dnem. Na dziś może starczy. Nawet temu pieprzonemu smokowi, którego ma w środku.

– Mogłabym się w tobie zakochać – powiedziała Swietłana.

„No i masz, cholera” – pomyślał.

– To byłoby... nieostrożne. – Wtem ze zdziwieniem spostrzegł, że zacina się, dobierając słowa. Alkohol zrobił z nim to, czego bezskutecznie próbowało wielu przeciwników: bili, grozili, dręczyli, rznęli nożami i strzelali... Alkohol sprawił, że Ubera zatkąło. Skinhead wyprostował się. Dziwne to dzisiejsze pijaństwo.

– Uber?

Zachybotał się na krześle. Mimo wszystko przyjemnie było tak po prostu pobajerować. Bez zobowiązań. „Teraz wstanę i pójde – pomyślał, ale się nie ruszył. – No, teraz to wstanę...” I znów mu się nie udało. Chyba nawet w pewnej chwili się

zdrzemnął.

– Uber, słyszysz? – Głos Swietłany.

Zadarł głowę.

– Tak? Co? – zwrócił się do niej.

– Wiesz, że Piekła już nie ma? – zagaiła. – No, mój łyсы, wytatuowany rycerzu?

Uber potarł sobie kark. Zmiana wątku... nie spodobała mu się. Chociaż temat, tak w zasadzie, interesujący.

– Jak to nie ma? Czemu? – Usiłował się skupić.

– To prawda. Piekło oficjalnie zniesiono przed samą wojną. A potem spadły bomby atomowe.

– W sensie? – Uber nie zrozumiał. – Ty teraz poważnie?

– Zupełnie poważnie.

– Piekła nie ma?

Swietłana kiwnęła głową.

– Tak. I to już dawno.

Uber nie potrafił jednak zmieścić tego faktu w swojej wygolonej głowie. Wstał, rozłożył ramiona. Miał ochotę bić się i dokonać wielkich czynów. Ale przede wszystkim – powiedzieć coś mądrego. Tyle że nie wiedział co. „A przecież się nie upiłem” – mignęła mu trwoźna myśl. Ale ją odegnał. Podobało mu się wrażenie płynności, lekkości. Dlatego siadł z powrotem i wziął szklanke.

– Nie, powaga – rzekł. – Piekła nie ma?

– Nie.

Poważnie rozważył tę myśl.

– I co zamiast niego?

Swietłana zastanowiła się, po czym zniżyła głos.

– Czyściec.

Miała ładny, dość niski głos. Z nutkami zachęty.

– To prawda? I kto tak postanowił? – Uber zaśmiał się.

– Tak postanowił Rosyjski Kościół Prawosławny.

„Co za zwrot. Tylko religijnej psychozy mi brakuje”. Nawet dla pijanego to było... za dużo.

Uber wstał.

– Wow. Och, wybacz, nadobna. Wypsnęło mi się. Wszystko, jak się okazuje, jeszcze gorsze, niż myślałem.

Swietłana dźgnęła go paznokciem pod zebro – jakby nożem. Ani nie mrugnął okiem. Dźgała go dalej, patrząc mu w twarz, po czym z rozczarowaniem cofnęła rękę. Rwało go pod zebrem i paliło. Uber czekał. Nagle poczuł, że jest niedobry i nieprzyjazny. Jak dzikie zwierzę, skinhead wśród oswojonych chomików. Swietłana patrzyła na niego, jej oczy pały gniewem. I żądzą.

Przysunęła się bliżej.

– Pokaż swój nóż... – powiedziała wyzywająco. Położyła mu rękę na biodrze, na pochwie kukri, pogładziła palcami. – No już, wyciągnij go. Chcę zobaczyć.

Uber pokręcił głową.

- Nie.
- Pokaż.
- Nie.

Wlepiała mu policzek. Uber zamrugał. Swietłana zerwała się z miejsca. Na jej pobladłej twarzy jaskrawo płonęły plamy rumieńców.

- Pokaż – rozkazała.

Znowu pokręcił głową. Wzięła zamach... Złapał jej rękę przed swoją twarzą. Wyszczrzył się.

- Nie – rzekł.
- Dupek! – Odwróciła się na pięcie i poszła.

Uber spoglądał za nią. Najwyraźniej Dzień Zdrowia Psychicznego nie jest na tej stacji obchodzony. Barman przecierał blat tuż obok niego. Przecierał i przecierał. Uber podniósł wzrok.

- Czego?
- Kobieta, z którą teraz flirtowałeś – odezwał się barman. – Swietłana... Znasz ją?
- Nie – odparł skinhead ostro. Nie spodobało mu się słowo „flirtowałeś”. – A co?
- To żona mera.

Uber otworzył usta, pomyślał i zamknął. Taaak. Co się tutaj właściwie odstawia?! „Smok jest tu, we mnie”. Wypuścił powietrze, zadarł głowę. Trzeba ją dogonić, zapytać... Wyszczrzył zęby. Wstał, szybko ruszył do wyjścia. Cholera, dopiero podczas chodzenia uświadamiasz sobie, że nogi kiepsko ci służą. „No, nawaliłem się...” Potknął się, o mało kolaniem nie przewrócił stołu. Wyprostował się, powstał.

Zatrzymał się przy wyjściu, zawahał, przechylając głowę na ramię. „Co jej powiem? Nic. Jestem tu po to, żeby uniknąć kłopotów? Tak?!”

Wrócił do kontuaru, siadł na stołku. Taboret z Ikei, zabawne, pomyślał. Dał barmanowi znak, żeby polał. Na duszy było mu ciężko i czuł się obrzydliwie, jakby ją koty drapały. Barman chlusnął mu do szklanki brązowego płynu. Nie, to już nie whisky. Uber skrzywił się od woni siwuchy, ale i tak wychylił napitek. Wrzucił w siebie paskudztwo jak w palenisko pieca. Dla zabicia woni powąchał nabój od makarowa. Pocisk pachniał ostro, kwaśno – kordytem i metalem. Uber postawił go na blacie jak zabawkowego żołnierzyka, kiwnął palcem na barmana. Wyprostował się, popatrzył na niego.

- Posłuchaj, wiem, że jestem w Piterze... – zaczął.

– Tak – odrzekł chłopak. Sięgnął po szklankę, obejrzał ją pod światło. Z punktu widzenia Ubera szkło było kryształicznie czyste.

– Rozumiem, że jestem pod ziemią, na stacji Obwodny Kanał, a jest to miejsce mistyczne i dziwne... i takie było przed wojną... – ciągnął Uber.

– Tak – zgodził się barman. Przetarł szklankę brudną ścierką, postawił na blacie. Nalał Uberowi.

– Rozumiem, że od wojny atomowej minęło dziesięć lat, i do tego ten stres... – Skinhead wziął szklankę.

- Jeszcze jaki – mruknął barman.

- I rozumiem, że siedzę w „Stukniętym Krabie”, a nazwa zobowiązuje, ale... –

Uber zawahał się, wlał w siebie zawartość szklanki. Jakby przełknął płynny metal. Skrzywił się, przeczekując pożar w żołądku. Na chwilę przymknął oczy, wyprostował się. Spojrzał na barmana absolutnie trzeźwym wzrokiem. – Ale czy mógłbym, tak dla urozmaicenia, pogadać z kimś choć trochę normalnym? Co?

Pauza. Uber czekał.

– Świr z ciebie – stwierdził barman i odwrócił się.

Uber parsknął śmiechem. I nagle urwał.

Ścianę za barem zrobiono z polerowanego arkusza metalu. Zza pleców barmana, z odbicia w blaszanej płycie, patrzył na Ubera jego wykoślawiony brat bliźniak. Pijany, tchórzliwy i okrutny.

2. Boberek (Pióro anioła 3)

Do Miki i Nanny przyszedł wieczorem. Dopalił skręta, stojąc przy namiocie, a zgasił peta, dopiero gdy gorycz była już nie do zniesienia. Wszedł. W środku czekała na niego Mika. Stała, wsparłszy się rękami pod boki. W dłoni ścisnęła skórkę chleba. Nanny siedziała i dziergała coś z kolorowej włóczki. Uber do tej pory jeszcze ani razu nie widział jej bez zajęcia. Odwrócił się, siadł na podłodze po turecku i znalazł się przed dziewczynką. Ta patrzyła na niego srogo.

– Przeklinasz i pijesz. I często palisz – stwierdziła. Zwęziła oczy.

– Tak – zgodził się z nią. – Winien każdego zarzutu.

– Co?

– Mówię, że masz rację, dziwna mała dziewczynko.

Mika pokręciła głową. Przygryzła skórkę. Był to jakiś miejscowy odpowiednik chleba, upieczony z mąki zmielonej ze starej kaszy, którą przyniesiono z powierzchni, oraz drobno pokrojonych suszonych grzybów. W smaku przypominał raczej kawałek drewna niż coś jadalnego. Ale dziewczynce smakował.

– Jakiś popaprawy z ciebie anioł – doszła do wniosku mała.

Uber roześmiał się.

– To na pewno. – Zobaczył na półce, wśród zabawek dziewczynki, paszport. Sięgnął po niego, otworzył. – A to kto? Ładna.

Mika przestała gryźć i odparła:

– Moja mama.

– Poszczyściło ci się, boberku. Patrz, będziesz tak samo piękna. A dlaczego ona poszła bez paszportu? Dziwne to, dziwne... pachnie kłopotami.

Przekartkował paszport. Na wypełnionych odręcznym pismem stronach widniała wyblakła niebieskawa pieczęć „Obw. Republika”. MARTA NARTIKOJEWA. Rok urodzenia 2001. Obywatelka Obwodnej Republiki. Uber zamyślił się, znów przekartkował dokument, zajrzał tam, gdzie była fotografia. Twarz mu się wy pogodziła. A potem zachmurzyła. Jasne, istniało prawdopodobieństwo, że mama Miki po prostu wybrała się na sąsiednią stację jeszcze przed kwarantanną... Ale co, jeśli to był smok?

Mika zmarszczyła nos.

– Czemu jestem boberkiem?

– Tak, ładna. – Uber, nie słysząc dziewczynki, przyglądał się zdjęciu.

„Smok jest tu. Tutaj. I nawet tutaj. Nikt nie chce zabić smoka” – przypomniał sobie słowa Swietłany. I w następnej chwili jęknął – Mika kopnęła go w goleń.

– Nie jestem boberkiem!

Mała celnie trafiła w bolącą nogę. Ubera zgięło.

– Och! Ty mały potworze! – Wyprostował się. – Co robisz?

– Kopię cię.

– To widzę! Ale... czemu?!

Mika pomilczała chwilę. Najwyraźniej sama się zastanowiła: „No rzeczywiście, czemu?”.

– A dlaczego ty mówisz takie rzeczy?

Uber spojrział na nią kąpiąco, dał jej pstryczka w noc.

– Bo cały czas gryziesz.

Mika przez jakiś czas poważnie rozmyślała, marszcząc czoło. Potem podniosła głowę.

– Ten... którym mnie nazwałeś... cały czas gryzie? – zapytała.

– Tak.

– Ma duże zęby?

Uber wyszczerzył się.

– Właśnie.

– To mutant?

Uberowi odebrało mowę. A potem wybuchnął śmiechem – całą mocą płuc.

– Co? – zaperzyła się dziewczynka. Rozważała, czy się obrazić, czy nie. Ale nie zdążyła.

– Nie-e. Bobry są dobre – wyjaśnił Uber.

Mała uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Dobry mutant, to dobrze – doszła do wniosku. I w tym momencie zaświtała jej nowa myśl. – Jeśli będę dobrym mutantem, zabierzesz mnie z sobą?

– Zabiorę? Ja? Hm... – Zaskoczyła go, aż zbaraniał. – Po co? I dokąd?

Dziewczynka poważnie skinęła głową.

– Jakiś ty głupi. Na pewno nie chodziłeś do szkoły dla aniołów. Oczywiście, że do nieba. Dokąd może zabrać anioł?

Uber potarł sobie czoło.

– Logiczne.

– Ale o tym później. Najpierw co innego.

– Co innego? – Uber już nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Nie na żarty wzięto go w obroty.

Mika wygłosiła uroczyście, śpiewnym tonem:

– Uratuj moją mamę, aniele, a ja zwrócę ci pióro. – Pauza.

Uber zmrużył oczy. Ciągu dalszego nie było.

„Tak czy siak, intryga” – pomyślał.

– Moje pióro? – upewnił się.

– Tak.

– Moje pióro, na pewno?

– Tak.

Skinhead przestąpił z nogi na nogę. Ogromny, niezdarny w zestawieniu z drobniutką Miką. Taki przerośnięty misiek.

– Nie pomieszało ci się coś? Pióro! Po co mi pióro? – Urwał, pokręcił głową. Zdaje się, że żart przeszedł w coś poważniejszego. – Gdzie je masz?

Mika uroczyście wyciągnęła rękę, rozwarła palce. Na brudnej dłoni leżało stare czarne wronie pióro.

– Proszę! – rzekła mała z dumą.

Uber ledwie się powstrzymał od wybuchu śmiechu.

– Hmm... – mruknął. Zrobił skonsternowaną minę.

– Ładne, prawda? – zapytała dziewczynka.

Uber westchnął. Odparł łagodnie:

– Ano tak. Piękno takie, że dech zapiera. To ma być dla mnie?

Wyciągnął rękę, lecz Mika zrećźnie schowała pióro za plecami.

– A uratujesz moją mamę? – spytała.

Uber podrapał się po karku. Co tu odpowiedzieć?

– E-e... – zaczął.

– Po prostu powiedz: obiecuję. Nie! Lepiej przysięgnij!

Uber milczał przez chwilę. „Przebac, Siwy. Obiecałem, ale i tak wpakowałem się w kłopoty. I to aż po uszy”. Wyprostował się – tylko spokojnie. Skoro już się wpakował, zawsze można wyluzować i poszukać wyjścia. Utknął na tej stacji na minimum dwa tygodnie, czasu mu nie braknie. Wyprężył pierś.

– A tośmy się doczekali. Teraz mam dokonać czegoś niemożliwego... i za to mi obiecano pióro w tyłek!

Zwrócił do Miki, popatrzył jej w oczy.

– I jak tu odmówić?

3. Nierosyjskie anioły

– Dlaczego nazywasz ją Nanny? – spytał Uber.

Mika zamyśliła się.

– No właśnie dlatego! – odparła.

„Wspaniała odpowiedź”. Uber chrząknął.

– Ale dlaczego?

– Bo jest moją nianią! Mama mi powiedziała: „Mika, to jest twoja niania”. Nanny to po angielskiemu „niania” – oznajmiła mała tonem poufności. – O.

– Po angielsku – poprawiła ją Nanny. – Mówi się: po angielsku.

Skinhead zaśmiał się, mrugnął do niej. Kobieta sceptycznie pokręciła głową.

– Nianusia – zagadnął Uber celowo niskim, zmysłowym głosem.

Nanny przewróciła oczami, ale się nie odezwała.

– Tak! – Mała nie zauważyła haczyka. – Niania.

– Marta uczyła w angielskiej szkole – wyjaśniła Nanny sucho. – Jeszcze przed Katastrofą.

Dziewczyna z fotografii. Uber kiwnął głową.

– Aha. Teraz kumam.

Nanny fuknęła, wróciła do swojej robótki.

– „Łykniem, nianiu, hej, z kieliszka...!”^{***} – zaśpiewał Uber. – Natalio Wasiliewno, a tak przy okazji, czy pani mówi po angielsku?

– Nie twoja sprawa! – odwarknęła Nanny. Znowu wpadła w swoją charakterystyczną opryskliwość. Zadzwoiła drutami.

– Zabawne – powiedział Uber. – Wszyscy mi na tej stacji mówią, że to nie moja sprawa.

– A ty co? – Nanny podniosła wzrok.

– Tak, aniele, co? – Mika też na niego popatrzyła.

– A ja i tak wypytuję. – W jego głosie pojawiły się dźwięczne nuty. – Przyzwyczailem się sam rozstrzygać, co jest moją sprawą, a co nie moją. – Zawahał się. – A dlaczego Marta?

– Jej rodzice przyjechali skądś z krajów nadbałtyckich – odburknęła Nanny. – Skoro cię to interesuje. Matka dała córce na imię po naszemu, Marfa, a jej się zachciało zmienić na Marta. Nawymyślali nierosyjskich imion, jakby dobrych rosyjskich nie starczało.

Uber roześmiał się.

– O, zgadza się.

– A ty milcz, samżeś nierosyjski. W ogóle Niemiec jakiś czy co.

– Milcz, milcz. A Mika? Co znaczy?

– Pełne imię to Michaela – odrzekła Nanny. – Na cześć Michała Archanioła. Słyszałeś o nim?

– On też nie Rosjanin? – rzucił Uber.

Nanny szeroko otworzyła oczy.

– Kto nie Rosjanin?

– Michał Archanioł, wódz niebieskich zastępów. Michael. Misza. Michelle. O! Michelle, ma belle... – zanucił Uber. – Ta-ta ta-ta, ta-ta-ta ta-ta.

– Misza, tak lepiej.

– A to dlaczego? – zdziwił się Uber.

– Nie wiem. Wszyscy aniołowie są Rosjanami. Tak mi się wydaje. I dlatego mają stare rosyjskie imiona.

Uber nie odzywał się przez jakiś czas. Najwyraźniej przetrawiał nowe dla niego dane o pochodzeniu aniołów.

– Natalio Wasiliewno, jest pani po prostu wstrząsającą kobietą – rzekł w końcu. – A wszyscy Uriele, Uzjele i inni archaniołowie muszą się zbierać do odjazdu. Tak uważam. To rozumiem, poważne podejście!

– A „Mika” i tak brzmi najlepiej. Jakoś tak... – Nanny westchnęła. – Po domowemu.

– Tak, nieźle – zgodził się z nią Uber. – Ej, pięknotko Michelle! – zawołał do

dziewczynki. – Chcesz jeść?

– Zawsze chce – powiedziała Nanny.

– Zawsze chcę. Tylko mam na imię Mika.

– Świetnie. W zdrowym ciele zdrowy pielmień! Zawsze tak mówię. Najważniejsze, żeby go na czas tam wepchnąć. Chodź, coś pożremy. Nanny, idzie pani z nami?

4. Koniec kredytu

Za stołem w kącie siedzieli znajomi ludzie w szarych brezentowych płaszczach. Uber zasalutował im żartobliwie, starszy mortus skinął mu głową. Młodszy nawet nie oderwał się od talerza. Z jego rudej, kielkującej brody skapnęła bulion. Po powierzchni zupy rozeszły się kręgi.

Uber odwrócił się. On i Mika zajęli stół bliżej baru. Nanny nie chciała z nimi iść, więc umówił się z małą, że przyniosą jedzenie do namiotu.

Zamówili kaszę – dla Miki na słodko, z konfiturą brzoskwiniową, a dla Ubera – z ostrymi przyprawami, od których w ustach zapłonął mu pożar. I po kubku gorącej herbaty. Na deser po kawałku chleba posypanego cukrem. I konserwowe brzoskwinie w blaszanej puszcze – dla Nanny.

Dług Ubera w lokalu przypuszczalnie stał się wręcz astronomiczny. Skinhead westchnął. „Lał to pies”. Miał ochotę wypić, ale powstrzymał się z powodu Miki.

Oboje równo pracowali łyżkami, gdy sytuacja się zmieniła. Barman głośno postawił szklankę na barze. Uber podniósł wzrok – chłopak popatrzył na niego, wytrzymał spojrzenie i odwrócił się obojętnie. Zaczął przecierać blat. Uber pojął w lot. Dostrzegł ruch w blaszanej płycie za plecami barmana, po czym usłyszał z tyłu kroki. Oddechy ludzi. Dwóch. Uber popatrzył na Mikę – poważnie, mrużąc oczy.

– Mika – rzekł do niej. – Cokolwiek by się teraz wydarzyło, nic się nie bój. Umowa?

Mała pomyślała i kiwnęła głową.

– Dobrze, aniele.

Za plecami Ubera stało dwóch ludzi.

Odbicie w polerowanej blasze nad barem pokazywało ich jako dwie bezkształtne kolorowe plamy – jedną żółtą, a drugą niebieskawą. Uber zaśmiał się cicho.

– Patrz na tego łysego bydlaka – odezwał się Żółty.

– Prawdziwy bydlak – potwierdził Niebieski.

– Bydlak, co się dobrze odżywia, nie?

– Tak, normalnie żre.

– Mam tutaj nieograniczony kredyt – powiedział Uber.

– Twój kredyt właśnie się skończył – oznajmił człowiek za jego plecami. –

Faszysto.

Uber uśmiechnął się, pokręcił głową. Nie odwracając się, odparł:

– Mylisz się. Mój kredyt dopiero się zaczyna.

– Niby od czego? – zdziwił się Żółty. W następnej sekundzie odleciał. Przewrócił

kilka krzeseł i wczepił się w stół, żeby na koniec nie upaść. Oczy oszołomione, okrągłe ze zdumienia i bólu. Z nosa powoli pociekła strużka krwi. Żółty sweter zadarł się nad chudym, zapadłym brzuchem.

– Od prostego ciosu w nos – wyjaśnił Uber. – Nie wierzysz mi?

– Ty! – Drugi rzucił się do ataku. Miał na sobie niebieską sportową wiatrówkę z różowymi pasami. I ważył dziesięć kilogramów mniej niż Uber.

Skinhead zablokował go twardo łokciami, po czym wsadził mu okrężnego kopa, wysokiej klasy mocny cios z półobrotu.

„Kurna, samemu mi się spodobało” – pomyślał. Niebieski poleciał do tyłu, runął z łomotem, potoczył się, roztrącając krzesła i stoły. – „Cholera, nawet coś połamał. Wpędzą mnie w długie, mendo jedne”.

Niebieski zaskomlał, zajęczał.

Mika spojrzała na Ubera srogo. Skinhead rozłożył ręce.

– No... aniołowie tak robią – wyjaśnił jej niemal z zakłopotaniem.

Mała nachmurzyła się.

Niebieski zawodził, jakby schodził z tego świata. Uber zbliżył się do niego, obejrzał go kpiąco. „Tiaa, po prostu krwawa miazga, a nie uraz”. W rzeczywistości nic podpadającego pod kryminał. Uber chrząknął.

– No, no. Nie bez. Od dobrego mawashi jeszcze nikt nie umarł – pocieszył leżącego. Potarł sobie kark i dodał już z mniejszą pewnością siebie: – Chociaż nie... umierali. Jak tam, chłopaki, żyjecie?

Stał nad powalonymi przeciwnikami. Ci nawet przestali jęczeć. Leżeli na podłodze, kuląc się, to jeden, to drugi.

– Kim jesteście, zadziory-zakapiory? – spytał Uber.

– Wpierzdzieliłeś się – wycedził Żółty.

– Tak, wpierzdzieliłeś – powtórzył za nim Niebieski.

Mika roześmiała się. Uberowi nawet odechciało się ich bić. Mortusy zaśmiały się cicho za swoim stołem, jeden powiedział coś do drugiego.

– Wstawajcie i wypad stąd. Migiem.

Niebieski pomógł Żółtemu pozbierać się z ziemi. Kulejąc, ruszyli do wyjścia.

– Stać – polecił Uber. Olśniła go nowa myśl. – A posprzątać po sobie nie łaska? Podnosimy krzeselka, stoliki na miejsca. Dawaj, dawaj, do rozróby to pierwsi... a jak trzeba posprzątać za sobą, to jesteśmy pedały i mamy delikatne rączki.

Stękając i pojękując, przywrócili w lokalu całkiem znośny porządek.

– Więcej radości! – komenderował Uber. – Szczęśliwe miny! No, Bolek i Lolek, pracujemy z zapalem.

Podnieśli stół, poustawiali krzesła. Złamane przesunęli do kąta, złożyli oddzielnie.

– Macie tu młotek i gwoździe? – spytał skinhead.

Barman wzruszył ramionami. Sam nie miał pojęcia.

– Dobrze – stwierdził Uber. – Jesteście wolni. Jacy zgnębieni.

Poszli, podtrzymując jeden drugiego. Uber krótko przewrócił oczami, prychnął. Zwrócił się w stronę baru.

– Szkodę też można wpisać na mój rachunek – rzekł.

Barman kiwnął głową.

– To są ludzie Sołowieja – oznajmił ze spokojem. – O ile to pana interesuje. Możliwe, że wkrótce przyjdą, żeby panu zrobić wielką przykrość.

Uber na chwilę sposepniał. A potem się zaśmiał.

– Chłopie – powiedział – jesteś gorszy od kruka Edgara Allana Poe. Tylko nie mów *nevermore*, bardzo cię proszę.

– Nigdy – zakrakał barman.

– Co?! – Uber uznał, że się przesłyszał.

– Nigdy tak nie powiem. Nie znam łaciny.

Uber westchnął.

– Ale z ciebie troll. Mika, idziemy.

5. „Mamed miał rację”

– Co się stało z Martą? – zapytał Uber z cicha, gdy Mika, najedzona i zmęczona emocjami, usnęła.

Nanny spojrzała na niego w półmroku namiotu. Błysnęły jej ciemne oczy.

– Po co ci to? Odejdiesz, a my tu musimy żyć... Czy może rzeczywiście uważasz się za zesłanego z niebios anioła? – odparła zjadliwie.

– Jestem zainteresowany korzyścią. Obiecano mi pióro. A to, jak pani rozumie, Natalio Wasiliewno, bardzo poważna sprawa. Bardzo.

Nanny milczała.

– No, proszę – ponaglił ją Uber.

– Wyjechała.

Uznał, że się przesłyszał. Nanny powiedziała to z taką pewnością siebie i szczerością, że prawie uwierzył.

– Co? – Zawahał się. – A jak to...

– Tak po prostu.

Potarł sobie czoło, z udręczeniem natężył mózg. „Coś mi tu umyka...”

– Wie to pani na pewno, że wyjechała?

– Tak, powinna być na Zwonie.

Najwyraźniej z miny skinheada dało się zbyt wiele odczytać. Nanny pobladła.

– Zwienigorodzka jest na kwarantannie – oznajmił Uber. – Dżuma.

– Co... – Twarz Nanny zmartwiała w oczach, poszarzała. – Ale... Skoro tak, to bardzo mi przykro. Umarła trzy razy temu, jak powiedziała Mika.

– Stop!

– Co? – Nanny obróciła się.

– Poszła bez paszportu. To znaczy, że nie zamierzała wyjechać ze stacji. – Uber rozmyślał na głos. – I tak jak doświadczony mister Holmes chcę zapytać: jakie ma pani na to dowody? Co jeszcze?

– Obiecali jej wyrobić paszport... inny – odpowiedziała Nanny. – Z innym imieniem, nie wiem. W ogóle całkiem inny.

– Kto? – nalegał Uber.

– Czeczen – odrzekła Nanny.

Uberowi stężyła twarz.

– A! Ten. On przecież nie Czeczen?

Nanny fuknęła.

– A kto go tam! Wiem, wiem, wszystkim rozpowiada, jacy Czeczeni straszni i jak urzynali głowy Rosjanom. A on taki straszny, że urywa głowy gołymi rękami. Ale mało kto wierzy. Tak czy inaczej pewnie jest skądś z Kaukazu.

– I co z nim?

– Poszła się z nim spotkać.

– Stop. A czemu miała wyjechać, i to jeszcze w tajemnicy?

Nanny nie odpowiadała.

– No, proszę!

– Nie wiem.

– Jak ja to często słyszę. – Uber uśmiechnął się. – Ale nie wierzę.

– Słyszałeś krzyk? – zapytała Nanny. – Na pewno słyszałeś. Naszą biedną Martę obiecali smokowi.

* Us Chatyn – miejsce w Jakucku urządzone specjalnie dla obchodów święta początku lata, które jest dla Jakutów Nowym Rokiem.

** Jewgienij Szwarz (1896–1958) – rosyjski dramatopisarz i autor scenariuszy. Jego sztuka *Smok* (1944), opowiadająca o „zrobaczywieniu dusz ludzkich” w systemie totalitarnym, nie spodobała się władzom i do 1962 roku była zakazana. W 1988 roku zekranizowano ją pt. *Zabić smoka*.

*** Fragment wiersza Aleksandra Puszkina *Wieczór zimowy*, powinno być: „Łykniem z biedy – hej, kieliszka!”, przeł. J. Prusinowski.

ROZDZIAŁ 5

1 Uber próbuje nawiać

Uber leżał na pryczy, patrzył w płócienny sufit. Czasami płachta zaczynała się wzdymać jakby od przeciągu. Na stacji hulał wiatr. Nanny mówiła, że na Cmentarzu robią cug, dla krematoriów, i przez to ciągnie aż tutaj. Może to i prawda, ponieważ na Obwodnym od czasu do czasu rwał taki strumień powietrza, że namioty trzepotały na wietrze, jakby stały na skłonie góry, na powierzchni. I jakby zbierało się na huragan...

„Uciekaj, przybyszu, póki możesz... dla nas już za późno” – tłukły mu się po głowie słowa Mameda. No i ten dziki taniec. Raz! Raz!

„Smok, jest wszędzie”. Swietłana, żona mera. Uber westchnął. Z jakiegoś powodu przypomniał sobie nieprzyjemny sen, ten z mokrymi psimi mordami trącającymi w kark...

„Martę... obiecali smokowi”. Nanny.

– Może rzeczywiście powinienem się stąd wynieść – rozmyślał na głos Uber. – Mamed miał rację. Tylko dokąd? Albo może do kogo?

No i jak tu zostawić Mikę i Nanny?

Co do ucieczki były dwa warianty: po wierzchu i pod ziemią. Pod ziemią oczywiście łatwiej. Mer powiedział, że na Zwienigorodzkiej, na Zwonie, mają kwarantannę. A to oznacza, że tory są zagrodzone. Ale może... Uber zawahał się. „Wiem o dzumie tylko od mera”. Politycy kłamią. To część ich natury. Myślą, że łgarstwami zmieniają świat na swoją modłę.

Trzeba by sprawdzić.

Uber wyprostował się.

Za łyżkiem piwa chciał biec na kraj świata. Teraz stawka wzrosła...

* * *

Na torach rozłożył się patrol. „Mają miotacz ognia” – ze zdziwieniem zauważył Uber. No proszę. Żołnierze nosili znaczki rozpoznawcze Wielkiego Metra i sanitarne opaski. Kordon niczego sobie. Dowodził nimi lekarz wojskowy, w fartuchu nałożonym na mundur. Młody, dziarski. Gdy Uber przechodził obok niego, lekarz pisał coś w notatniku – sądząc po rozmarzonym wyrazie twarzy, najwyraźniej nie dotyczyło to mikrobów. Do kieszeni fartucha miał przypiętą plakietkę, identyfikator. „...emirow” – przeczytał Uber.

– Gdzie się pchasz? – zawołał gburowato młody żołnierz na widok skinheada. – Życie ci niemile?

Uber zatrzymał się.

– Coś w tym rodzaju – przytaknął. – A jak u ciebie?

– Coo?! – Żołnierz, osłupiały, zamrugnął.

Skinhead ruchem głowy wskazał tunel prowadzący na Zwienigorodzką.

– Co tam? – spytał.

Krewki żołnierz podniósł automat, wycelował w Ubera.

– Dżuma, nie wiesz czy co? Stój!

– Zabierz żelastwo, bo sobie zrobisz krzywdę – wycedził Uber. Nie lubił, kiedy do niego mierzono z broni.

– Tam Czarny Sanitariusz, chłopcze – powiedział cicho drugi strażnik, starszy. – Nie radzę. Myślisz, że czemu nas tu postawili?

Czarny Sanitariusz. Legendarny czyściciel metra. Uber podrapał się po czole.

To ci niefart. Na wierzchu psy Pawłowa, na dole dżuma i Czarny Sanitariusz. Dokąd teraz iść? Do mortusów?

To znaczy, że rzeczywiście panuje tam dżuma. A raczej, że wkrótce jej na pewno nie będzie. Podobnie jak chorych ludzi. Jeśli wierzyć strasznym plotkom chodzącym po metrze, Czarny Sanitariusz spala wszystkich zarażonych. Miotaczem ognia... Uber obrócił głowę. Ot, na przykład takim, jak ten, na tym posterunku.

– A on nie jest mitem? – spytał Uber.

– Sam jesteś mitem – odszczeknął zadzierzysty żołnierz, ale starszy pokręcił głową.

– Tam taki mit, chłopcze, że lepiej się trzymać z daleka. Gdy raz pojawi się Czarny Sanitariusz, w połowie metra ciągnie swąd palonego mięsa. Ohydny smród, zgroza. Tłusty, czarny kopeć wbija ci się w skórę, w ciuchy, we włosy, w dziąsła. I za cholerę go nie zmyjesz. Nie, chłopcze, zawracaj i idź z powrotem. Tu przejścia nie ma.

Uber kiwnął głową. Przekonali go.

– Do tyłu! – Młody szczerkął zamkiem, zrobił krok w stronę Ubera.

– Nie krzyczcie, proszę – odezwał się cicho lekarz, podnosząc głowę. – Ja pracuję.

* * *

Psy nie wydawały się już czerwone. Za to zrobiło się ich znacznie więcej, możliwe, że kilka setek. Zwarty dywan psich ciał pokrywał przestrzeń wokół westybulu stacji Obwodny Kanał. Uber dostrzegł, że rozłożyły się nawet na murku balustrady.

Kilka psów leżało przy barierce, wzdłuż ulicy. Gdy Uber wyjrzał przez szczelinę obserwacyjną, psy nagle równocześnie – wszystkie razem – odwróciły łby i popatrzyły na niego.

„Ruja w pełni” – zrozumiał Uber. Potarł sobie kark w masce przeciwgazowej.

– Co tam? – zapytał dyżurny. Krzywy wywodził się ze starych diggerów, którzy odsłużyli już swoje na powierzchni. Kiedyś w młodości stracił oko i stąd wzięło się jego przydomk. Teraz zamiast prawej nogi i lewej ręki miał paskudne kikuty, kombinezon ochronny w miejscu brakujących kończyn starannie przewiązany

sznurkami, tak że powstały jakby pakiety na prezenty. Dyżurny nie chodził już na wyprawy, za to przyjmował i odprowadzał karawany i innych diggerów.

– Psy – rzekł Uber. – Czerwone psy. „A my pójdziemy na północ”.

– Na północ? – zdziwił się Krzywy. – Tam też są psy?

– No właśnie. Bo tak naprawdę nigdzie nie pójdziemy, za cholerę. – Uber westchnął, ruszył z powrotem. Zszedł po krótkiej drabince spod sufitu, gdzie mieściła się szczelina obserwacyjna, do głównej sali westybulu.

Do WSz-616, przez który dostał się na stację, zajrzał już wcześniej, zaraz po spotkaniu z kordonem sanitarnym.

„Jeśli nawet zdobędę filtry, to jak obejdę sfore?”

Zmarszczył brwi.

Pytania, kurr.

– Dzięki, druhu – powiedział.

Drużyny kiwnął głową.

– A ja lubię pieski – oświadczył nieoczekiwanie, najwyraźniej również dla siebie. – Bywa, że dorwie cię tęsknica, życie robi się nie do zniesienia... wszystko takie czarne, okropne. I przyjdiesz tutaj, popatrzysz przez wizjer... a tam pieski... bawią się. I chociaż wiesz, że to... mutanty, nie szkodzi, życie staje się... znośne.

– Tak – zgodził się z nim Uber po chwili. – Pies to nie byle co.

2. Anielskie skrzydła

– Wrócił uciekinier. – Nanny nawet się nie zdziwiła.

Mika radośnie zeskoczyła z łóżka, na którym rozkładała swoje skarby. Po czym nagle przypomniała sobie, że uciekł. Odwróciła się do ściany i nadąsała.

– A my już miałyśmy nadzieję, że ślad po tobie zagaśnie... – dorzuciła Nanny.

Mika burknęła coś pod nosem.

Uberowi drgnął policzek. Nie patrząc na dziewczynkę, skinhead spytał:

– Gdzie tu u was można się napić? Tylko nie w „Krabie”.

– Jest woda – powiedziała Nanny.

– A ja co, podobny do konia? – zdziwił się Uber.

Kobieta odparła wyniośle, z istic angielską wyższością:

– Nie za bardzo. Koń byłby znacznie sympatyczniejszy.

Uber wyszczerzył się.

– Nawet jeśli ma osiem nóg?

– Osiem nóg? Co?! – Nanny patrzyła na niego w osłupieniu.

– I wszystkie lewe. – Uber mówił z zupełnie poważną miną.

– A, idźesz, ty, pleciuchu. – Nanny machnęła ręką i wróciła do swojej robótki.

Druty poruszały się miarowo w górę i w dół, w górę i w dół. Oczko, oczko. I niedługo będzie nowy sweterek dla Miki... Mika pokręciła głową.

– Nie jesteś aniołem. Znowu chcesz pić złą wodę.

Skinhead puścił do niej oko.

– Dokładnie. Nie jestem aniołem. Cieszę się, że w końcu to sobie wyjaśniliśmy,

mała.

Dziewczynka obejrzała Ubera i zawołała:

– Podarłeś sobie koszulę!

Uber obejrzał sam siebie. Rzeczywiście.

Nanny niezyczliwie wykrzywiła twarz. Ach, ci mężczyźni.

– Zdejmuj, łysy, zaszyję.

– Rozpieszcza mnie pani, Natalie Wasilewno. Tylko że ja jestem wygolony.

– Łysy!

– Wygolony!

– Oj, zamknij się już, łysy. Daj koszulę!

Uber posłusznie rozpiął i zdjął ubranie. Odwrócił się. Mika zamarła, buzia sama jej się otworzyła...

Skinhead miał na plecach szramy po oparzeniach. I to układające się w szczególny kształt – podobny do anielskich skrzydeł. Mika patrzyła na jego plecy. Patrzyła tak długo i uparcie, że Uber odwrócił się. Uniósł brwi.

– No, co jeszcze?

Mała powiedziała z przekonaniem:

– Jesteś aniołem. Tylko skrzydła ci się całkiem spaliły.

– No jasne. Pewnie. Całkiem mi się spaliły. Ale postaram się, żeby odrosły.

A wiesz, co jest do tego potrzebne?

– Co? – Mała z zaciekawienia aż wychyliła się do przodu. Krótki śmieszny nosek. „Ech, ty, guziczku”. Uber wyszczerzył się w szerokim, żarliwym uśmiechu.

– Potrzeba do tego, żeby w anioła uwierzyła chociaż jedna mała dzielna dziewczynka.

– To ja? To przecież ja! Prawda?

– Zobaczymy.

3. Trzystu Czeczenów

Tego dnia Czeczen czuł przypływ niezwykłego natchnienia.

– Czeczeni to naród miłujący wolność – wieścił. – Nikt i nigdy nie dał rady nas podbić.

Wyprostował się – dziś jego bełkotliwy, gardłowy głos brzmiał nadzwyczaj dobrze. Dumnie, z umiarkowanym dostojeństwem. Słuchacz – młody miejscowy chłopczyna – chłonał jego słowa oczarowany.

– Próbowano nas podbić wielu najeźdźców, chcieli nas uczynić swoimi niewolnikami – prawił Czeczen. – Niedoczekanie! Czyngis-chan nie dał rady! Do szturm na naszą czarną górę rzucił tysiące swoich wojowników zwanych nieśmiertelnymi! Tak, Hitler! Stalin! Jackie Chan i nawet sam Ghandi! Nikomu nie udało się pokonać Czeczenii. Nikomu!

Rosjanie też wiele razy próbowali, a Czeczeni śmiali się im w twarz!

I wtedy rosyjski car o imieniu... – Czeczen zaciął się na chwilę, nagle zapomniał, jak nazywał się prezydent w tamtych czasach. „Jaka w końcu różnica?”. – ...Iwan

Groźny rozkazał zrzucić na nas bombę atomową. Wielu naszych ludzi poległo, kobiety, dzieci. Ale Czeczeni stali niewzruszenie, nawet kiedy atomowy żar obdzierał z naszych twarzy skórę. Ubrania paliły się na nas, a broń tak parzyła, że nie dało się utrzymać jej w rękach. Ale Czeczeni stali murem. Było ich trzystu dzygitów, trzystu doborowych śmiałków. I wtedy car Iwan rozkazał wypuścić przeciwko nam broń chemiczną...

Gdy przyszedł Czeczen znalazł koszulkę futbolową, pojął, że jest to znak losu. Boska interwencja. Czarna sportowa koszulka z białym napisem „CZECZENIA”. Był to jakby magiczny przedmiot, który przeobraził nieudacznika w pana rzeczywistości. Czeczen – jak go teraz nazywano – włożył koszulkę i zaczął gadać gardłowo, ochryple. Podziałało. Jego kariera popęzła w górę. Zawsze znajdują się ludzie, których można wystraszyć i poniżyć. Można przedstawić siebie samego jako większego i straszniejszego – i ludzie będą ci wierzyć.

Teraz Czeczenowi nie była już nawet do tego potrzebna czarna koszulka. Ale i tak troskliwie ją chronił i wkładał z okazji szczególnych świąt. Jak talizman. Czarny Pierścień Władzy.

– I wtedy Iwan Groźny zawołał: kim są ci wojownicy, którzy nie poddają się mojej żelaznej woli? Kim są owi olbrzymi?! I postanowił, że będzie do swojej osobistej ochrony werbował tylko ich... I płacił im złotem. Jednak dumni Czeczeni jako zapłatę za służbę brali tylko najlepsze arabskie rumaki i najpiękniejsze rosyjskie panny...

Czeczen zawahał się, popatrzył pytająco na słuchacza.

– Jesteś Rosjaninem?

Chłopczyna przytaknęła niechętnie.

– To źle – stwierdził Czeczen protekcyjnie. Młodzieniec zamarł. – Rosjanie to niewolnicy. Niewolnictwo masz we krwi, przykro mi, bracie, ech! No ale cóż, co zrobić. Macie w historii tysiąclecie niewolnictwa, a my, Czeczeni... nasza krew... jest natleniona wolnością... – Rozpłomienił się. – Wolność goreje w naszej krwi... jak radiacja! Jak ogień! Nigdy nie byliśmy niewolnikami! Nigdy!

Czeczen zamilkł.

Słuchacz wybałuszył oczy. Odbiła się w nich wyciągnięta sylwetka... Łysy.

– Cześć, śmierdzący potworze – odezwał się cicho za jego plecami. – Jak leci?

Czeczen odwrócił się błyskawicznie, ale – spóźnił się. Skinhead chwycił jego rękę, załamał dłoń – Czeczen wygiął się. Uber rozpiął mu kaburę, wyjął z niej pistolet – GSz-18, taka sobie maszynka – i odrzucił na bok. Wykręcił rękę tak, że Czeczen chcąc nie chcąc zwinął się z bólu w niewygodnej pozie.

Uber spojrział na chłopaczkę. Młodemu opadła szczeka.

– Czemu tak patrzysz? – zapytał skinhead beznamiętnym tonem. – Widzisz: dumny czeczeński wojownik odmawia podporządkowania się rosyjskiemu najeźdźcy. A teraz wyrywaj stąd.

Chłopczyna kiwnęła głową, wstał i pobiegł w swoją stronę. Jakby go zmiotło. Uber wyszczerzył się. Puścił Czeczena, ten potrząsnął ręką, spojrział na skinheada złym okiem.

– Będę na ciebie mówił czule... – oznajmił Uber z uśmiechem – car Leonid.

– Cóż powiedział?! Chodź no tu, a!

Uber zrobił krok w jego stronę, Czeczen cofnął się. Oczy skinheada patrzyły zimno i okrutnie, na ustach błędził półuśmiech. Uber zagadnął:

– A teraz powiedz mi, tylko odpowiadaj szybko i wyraźnie. Dziewczyna, która zaginęła... Marta, zdaje się. Kiedy ją ostatnio widziałeś?

Czeczen syknął ze złością:

– Wal się!

– Dobrze. – Uber wzruszył ramionami. I zaraz trzasnął ochroniarza dłońmi po uszach. Na pozór nie mocno, ale bardzo gwałtownie. Przeciwnik zgiął się i wrzasnął z bólu. Uber walnął go jeszcze raz, w żołądek. Czeczen zamilkł.

– Nie „wal się”, tylko „wal się, rosyjski dupku” – poprawił go Uber. – To przecież chciałeś powiedzieć, nie? No, dalej, powtórz.

Tamten popatrzył na niego spod byka. Ciemne oczy zwięzły się ze strachu. Ale się nie odezwał. Zdaje się, że to bezpieczniejsze, niż powtórzyć. Przełknął ślinę. Najwyraźniej łysol potrzebuje tylko pretekstu, żeby zabić.

– No, no, poczekam – zachęcił Uber kpiąco.

Czeczen spróbował ukradkiem wyjąć nóż. Błysk klingi. W ostatniej chwili Uber złapał jego dłoń i – złamał. Chrupnęły kości. Nóż upadł na peron. Brzdęk!

Czeczen wykrzyknął na jednej nucie:

– Kurwa, kurwa, kurwa! Aaa! Kurwa!

Uber wyszczerzył się. Podniósł broń Czeczena i niedbale odrzucił ją na bok. Nóż zgrzytnął na betonie. I cisza.

Skinhead przez jakiś czas przyglądał się Czeczenowi, po czym przykucnął przed nim. Ten patrzył spode łba. Przytrzymał sobie przy piersi połamaną dłoń, kołysał ją lekko. Oczy miał złe, pełne urazy.

– Nieładnie – rzekł Uber szyderczo. – Oto brzemię białego człowieka. Cackasz się z tymi dzikusami, cackasz, po nocach, kurna, nie dosypiasz, usiłujesz im zaszcześcić kulturę... sztukę, w cholerę, wyższe wartości. A on przy pierwszej okazji za nóż chwyta. *Pieśń o pięciu wołach*. Wiersze Nikołaja Gumilowa. Nigdy nie wyprowadzaj mnie z równowagi krzykami bólu. Umowa stoi?

Czeczen splunął. Wyprostował się, na ile mógł.

– Wal się.

Uber wyjął kukri. Przed oczami Czeczena błysnęła roziskrzona klinga. Skinhead obracał ją powoli, po metalu przetaczały się odbłyски światła. Czeczen zamarł. Uber rozciągnął usta w uśmiechu.

Czeczen, słabnąc coraz bardziej, wymamrotał:

– Wal się. Wal się...

Uber uśmiechnął się, lewą ręką pogładził się po wygolonej głowie. Patrzył na Czeczena oszalałymi jasnoniebieskimi oczyma.

– Jesteś wielki i straszny, mówisz? A ja jestem bardzo malutki i zupełnie niestraszny skinhead. I teraz będę cię troszeczkę zabijać.

4. Rozmowa mera

Kiedy wrócił, żona była już w łóżku.

Mer zdjął i położył na taborecie okulary. Przebrał się w piżamę, zgasił latarkę, w ciemności na osłep poszedł do łóżka. Żona usilnie udawała, że śpi. To dobrze.

Skrzywił się, położył dalej, z lewego kraju, żeby przypadkiem nie zawadzić o nią ani ręką, ani nawet palcem, żeby nie czuć drażniącego ciepła jej ciała. Nie ma nic gorszego niż dotknięcie pościeli ogrzanej jej ciałem. Brr. Mer pomyślał o tym i od razu miał się ochotę podrapać.

Prześcieradło było chłodne i czyste. Takie zimne, że wydawało się wilgotne. Dokładnie tak, jak lubił.

Położył się w tym chłodzie, rozluźnił. Domostwo rodziny mera mieściło się w osobnym pokoju, dawnym służbowym pomieszczeniu kolei podziemnej. Zdaje się, że składziku. Merowi to nie przeszkadzało. W ciemności mętnie białł sufit.

Mer naciągnął na siebie kołdrę, rozpostarł ją, żeby zakryć nogi, znów się położył i podciągnął ją do podbródka. Cały rytuał.

Zamknął oczy, zrobił wdech. Zimne wilgotne powietrze weszło w niego i wypełniło go, jakby był balonikiem. Razem z powietrzem przyszedł sen. Mer leżał i powoli opadał gdzieś w głębinę, w beczas, bez problemów i bez nerwówki. Otoczyło go przyjemne ciepło. Ciepło wędrowało od dobrze okrytych nóg do głowy. I oto kiedy już zawisł na cienkiej granicy snu, ona otwarła usta i zagadnęła:

– Widziałeś go? – Nie odwróciła się nawet.

„Szlag by to”. Powrót do rzeczywistości był... bolesny.

– Kogo widziałem? – zapytał mer znużony.

– Ten jego nóż. Widziałeś?

– Widziałem, widziałem – odburknął, odwracając się od żony. Naciągnął kołdrę na lewe ramię. Spadaj. Ten gest oznacza „spadaj i daj mi spokojnie pospać”.

– Straszdyło. – Żona pociągnęła kołdrę z powrotem. – Słyszysz? Straszdyło, mówię!

Mer skrzywił się. Zdaje się, że wszystko to dawno mu już obrzydło. Szarpnął pościel, bez skutku. Było mu zimno w odkryte ramię. Otworzył i znów zamknął oczy. „Tępa suka – pomyślał. – No co za tępa suka”.

– Śpij już – burknął.

Żona obraziła się. Głos aż jej drżał z urazy.

– Śpię.

– To dobrze – skwitował mer.

Przez jakiś czas leżeli, udając, że rozmowa skończona. Po czym ona znowu podniosła głowę. Poczul ten ruch plecami. O, nie – pomyślał. Tylko nie teraz.

– Jak myślisz, zostanie u nas na długo? – zapytała.

– O Boże. Co ci za różnica?!

– Czemu się rzucasz? Zwyczajnie spytałam.

– Spytała... wiecznie pyta nie w porę...

– Nie chcesz, nie odpowiadaj. Po co krzyczysz?

Mer otworzył oczy. Odrzucił kołdrę, usiadł. Bosymi nogami namacał pantofle.

Pięty na chwilę zmroził ziąb ciągnący od betonowej podłogi.

– Gdzie idziesz? – zapytała żona.

Poczuł w jej głosie nutki gderliwości. Takie wwiercające się, jak świder, w każde słowo, w każdą przeklętą literę. Żżż. Żżż. Zebrało mu się na mdłości. Nagle uświadomił sobie, że już od dawna nienawidzi tego głosu, tej intonacji, nienawidzi tego mięsistego bezkształtnego stworzenia za swoimi plecami. Tej kobiety, która mu dała syna i do tej pory uważała, że mąż jest jej coś winien do grobowej deski. Ta kobieta nigdy nie miała dość. Mogła go zreć całymi latami i stuleciami. A przy tym czuć się pokrzywdzona i obrażona. A on wszystko jej dał! Wszystko! Nawet syna.

Syn to była broń, którą walczyli z sobą długie lata.

Dopóki w pewnym momencie on, mer i mężczyzna, nie zrozumiał, że powinien przestać kochać syna, żeby uciec od tej straszliwej zależności, która czyniła z niego ofiarę i bezwolne ciele. Uciec, aby pozostać mężczyzną.

Poradził sobie z tym zadaniem. I teraz nie mogła mu już więcej zaszkodzić. Nie mogła ranić. Nie mogła dźgać w czuły punkt.

Teraz nienawidził syna. Jak więzień nienawidzi narzędzia tortur – przenosząc na pozbawioną duszy rzecz uczucia skierowane do oprawcy. Nie, po prostu wyrwał syna, niczym skrwawiony różowy nowotwór, z serca, i wyrzucił precz, w ciemność tuneli. Jak guz rakowy.

– Słyszysz? Pytałam, gdzie idziesz?! – Żona podniosła głos.

Rozróżniał w nim obwiniające, piekące nutki. Nie pamiętał, kiedy powiedziała coś miłego albo chociaż bez pretensji. „Możliwe, że już nie umie mówić inaczej” – pomyślał nagle. Oduczyła się, jak człowiek, który za długo poleży w gipsie i zapomina, jak się chodzi. Tylko że ona jest taką... emocjonalną kaleką. Kaleką, która uważa, że wszystko jej się należy.

Odwrócił się, żeby rzucić coś ostro. Przez te długie lata nie nauczyła się jeszcze domyślać, kiedy powinna go zostawić w spokoju. Albo po prostu ma to gdzieś.

Z trudem się opanował. „Straszydło. Sama jesteś straszydło”. Oprawca w koszuli nocnej.

– Idę zapalić. Śpij.

Podniósł się i wyszedł za drzwi.

Ciemność. Spokój. Stacja śpi, ponieważ on tak kazał, mer. Tylko w oddali widać światełko dyżurującego na stacji. Najlepszy czas.

W zadumie wypuścił dym, popatrzył w półmrok tunelu. Noc. Lampki świecą się tylko w kilku namiotach. Nie zapomnieć powiedzieć Sołowiejowi, żeby to sprawdził. Światło powinno być gaszone w porę.

– Merze? – Znajomy głos.

Mer odwrócił głowę. Obok niego stał Czeczen. Ręka na temblaku, cała zawinięta, na twarzy fioletowe siniaki. Mer uniósł brwi. Co to niby ma znaczyć?

– Łysy, s-s-skurwiel – wyjaśnił Czeczen.

„Znów łysy”.

Mer milczał chwilę. Zapomniany skręt tlił się w palcach. Dym unosił się wolno i zwijał w widmowe smocze ogony.

– Czego chciał?

– Pytał o tamtą... dziwkę. Marta jakaś tam.

Serce stuknęło i na moment stanęło. Mer przymknął oczy. Papieros oparzył go w palce. Mer spojrział na swoją rękę, wyrzucił peta w mrok. Niedopałek poleciał jak spadająca gwiazda i znikł w ciemności, na torach...

– Co mu powiedziałaś?

– Nic – odparł szybko Czczen. Za szybko.

Mer milczał.

– On wie... – zagadnął Czczen, zacinając się. – O smoku. Powiedziałem, że Martę zabrał smok.

– Interesujące – wycedził mer.

– Co?

Wyrzekł w zadumie, sam do siebie:

– Jeżeli nie mogę go wygnać ani zabić, powinienem go kontrolować.

– Co? – nie zrozumiał Czczen.

– Nic.

Mer zamyślił się na chwilę, potem ciągnął dalej:

– Znajdź go i przyprowadź do mnie. Powiedz, że mam dla niego dobrą robotę.

Twarz Czczena wyciągnęła się ze zdziwienia. „Boże, jaki z niego idiota” – pomyślał mer z rozdrażnieniem. Nagle poczuł tępą nienawiść do wszystkich ludzi, jacy zostali na Ziemi. „Dlaczego, u ciężkiego diabła, nikt nie dokończył dzieła rozpoczętego bombami atomowymi? Dlaczego?! Zasłużyliśmy przecież”.

– Noo... ale on... – jękał się Czczen. W jego głosie pojawiły się płaczliwe, zawodzące nutki.

Dopiero teraz mer zrozumiał, co go ostatnio drażni w ochroniarzu. Nie, nie tępota, bo to normalne. Chodziło o to samo, co u żony – wplatane w każde zdanie jakieś szczególne nutki. U żony kłótlive, u Czczena – jęklive. I nijak nie da się ich usunąć, ponieważ tamci nawet nie zdają sobie z nich sprawy. Dlatego że same te nutki są osnową, ramą ich wszystkich słów.

Mer zezłościł się.

– Mów do mnie jeszcze.

Skończony debil poskarżył się z urazą:

– Złamał mi rękę!

– No co ty powiesz? – Mer roześmiał się z cicha. „Przyznać temu Uberowi premię czy co?” Obejrzał ochroniarza z pogardą. – Szkoda, że nie kark. Tępak z ciebie. Idź szybko, zwał konia zdrową ręką i bierz się...

Czczen burknął coś pod nosem. Mer bezlitośnie ciągnął swoje:

– Nie staje ci? No to go po prostu potrzep. I żeby jutro rano ten łysy był tutaj. Zrozumiano?

– A niech się idzie walić! – Czczen pobladł. – Zabiję go, w chuj zabiję.

Mer podniósł głos do krzyku:

– Ty, kurwa, czegoś nie rozumiesz?! Dupę w troki i przyprowadź go tu, debilu!

Twarz Czczena zbieleła jak chusta, potem pociemniała. Ochroniarz wyraźnie

zamierzał coś powiedzieć i nawet otworzył usta. Ale, pomyślawszy, zamknął je. „Mimo wszystko nie taki tępy, jak się czasami wydaje” – stwierdził mer i skinął głową.

– Ot, co. I powiedz Sołowiejowi, że chcę z nim porozmawiać.

Twarz Czeczena pojaśniała. „Załapał, matolek” – pomyślał mer.

– To pan tego... tego bydlaka...

– Debil! – Mer zezłościł się. Nie zauważył, kiedy znowu zaczął krzyczeć: – Rób, co ci kazano. A on myśli, pedał wyjebany. Myślenie to w ogóle nie twoje zajęcie! Nawet nie myśl o myśleniu, kretynie!

5. Zabójca potworów

Po białym, lekko pożółkłym od upływu czasu talerzu wiło się pęknięcie. Uber spojrzął na nie, przesunął palcem wzdłuż rzucającej się w oczy linii. Nawet to jest ładne. Tak, kiedyś to ludzie robili rzeczy. Pozdrowienia z przeszłości.

Każda taka rzecz jest jak zapis w dzienniku. Nigdy nie starczało mi cierpliwości na prowadzenie dziennika, pomyślał. „Zaczynałem, robiłem kilka wpisów i zapomniałem”.

Przestąpił z nogi na nogę, dotknął czoła. Do tej pory bolało go miejsce, w które oberwał od Mameda. Pewnie mam tam guza, aha.

„Jakiś popaprany z ciebie anioł” – powiedziała Mika. Uber mruknął cicho. Tak, jasne... Może aniołom nie przystoi prowadzić dzienników? To by wiele wyjaśniało. A tyłek przystoi podcierać?

Mer odchrząknął. Uber podniósł wzrok. Ach, zamyśliłem się. Oddał talerz w suche, pomarszczone ręce mera, a ten przejął go niczym coś wielce drogiego.

– To talerz z krążownika rakietowego „Wariag” – oznajmił mer. – Stalkerzy zdobyli go dla mnie na specjalne zamówienie.

Uber zakołysał się na palcach stóp. Założył ręce za głowę i przeciągnął się z głośnym ziewnięciem.

– No, wasza merowska mość, czas leci. Będziemy rozmawiać, tak?

Mer wciąż nie mógł się oderwać od swego drogiego talerza. Pogładził go po białej krawędzi.

– Dobra rzecz?

– Bardzo – burknął Uber, żeby skończyć już z zastawą stołową. – A co dalej? Wezwałeś mnie, żeby mi pokazać talerz? Albo może porozmawiamy o waszym potworze?

– To smok – uściślił mer.

Uber wzruszył ramionami. Wasza sprawa.

– No, chuj go wie, wasza merowska mość, niech będzie smok. I co z nim? Mówią, że pożera? – Uber popatrzył na miejscową władzę.

Mer skinął głową.

– Pożera.

Uber podrapał się po czole, poczekał. Ciąg dalszy nie nastąpił.

– Lakonicznie, dziadku. Cenię twój styl. Że pożera... ze smokami tak to bywa. A wy co? Posłusznie dajecie się żreć czy jak? Wzięlibyście widły i wszyscy razem dźgnęlibyście zwierzątko żelaznymi szpicami... No i wspólnym wysiłkiem zadźgalibyście gadzinę. A ja wam po co?

– Nie jest to takie proste.

– Dziadku, powinienes po prostu pisać koany.

– Póki co nie jestem dziadkiem... – Zawahał się. – Chwała Bogu. To także nieproste.

Uber prychnął.

– Jasna sprawa. Gdyby było proste, tobyś mnie nie wezwał. Dalej, wasza merowska mość, wyduś to w końcu. Na kie lichu przydam ci się ja, taki nieformalny? Jeszcze wczoraj mówiłeś, że roboty dla mnie nie ma i nie będzie.

Mer odkasznął. Jakby krępował się o tym mówić.

– To prastary potwór. Myślę, że o wiele starszy od samego metra.

– Poważnie? – Uber potarł sobie kark. – Co... że niby taki odkopany z prehistorycznych czasów dinozaur? Może Godzilla?

Mer zdjął okulary i przetarł szkła rąbkiem koszuli. Miał bardzo bladą twarz z gorączkowymi plamami rumieńców na policzkach. Na pobrużdżone czoło wystąpiły mu krople potu.

– Ee... Nie sądzę, żeby była pora na żarty,

– Złote słowa – zgodził się Uber. – Zaiste w brylantowej ramce. – Tatuśku, przestań pleść androny i daj mi fakty.

Mer wreszcie z powrotem nałożył okulary. Zagadał porywczo, widocznie jakby się zdecydował:

– Fakty? Dobrze, można i fakty. Gina ludzie. Chociaż myślę, że o tym sam już wiesz. Przecież pytałeś o to Czeczena?

Uber zawahał się. A więc to tak.

– Dużo?

– Dawniej jeden człowiek, dwóch na miesiąc. Nikt nawet nie zwracał uwagi... Sam rozumiesz, ktoś przychodzi na stację, ktoś odchodzi. U nas na stacji swoboda. Zwyczajna sprawa. A teraz przepadają po trzech, czterech...

– No, to niewielka różnica... – zaczął skinhead. – A co...

– ...na tydzień.

Uber gwizdnął cicho.

– Widzę, że mu posmakowało. Zgłodniał, biedaczyna. Czy to na pewno jeden potwór, a nie całe gniazdo? Mutanty z powierzchni często żyją stadnie i w grupach rodzinnych.

Mer zamrugnął szybko, szybko. Najwidoczniej taka myśl do tej pory nie przyszła mu do głowy.

Uber machnął ręką.

– Dobrze, wasza merowska mość, wyluzuj... Rozprawimy się z waszym potworem, ile by nie miał głów.

Mer się zawahał.

– Jeszcze jedno.

Uber uniósł brwi. Mer nagle zaczął się śpieszyć, trąkotał, zacinając się co chwila:

– Rozumiesz... najprawdopodobniej spróbują... ci w tym przeszkadzać. Rozumiesz mnie? Tak w ogóle to całkiem niezli ludzie... nawet dobrzy. Dobrzy ludzie. To prądawne bydlę ma nad człowiekiem coś w rodzaju władzy. Trudno mi to wyjaśnić... ale...

Uber chrząknął.

– Psychologiczne zdolności? Ciekawe.

„Smok jest tu. I tutaj”. Swietłana – jak się okazało później, żona mera – także pokazywała na własną skroń. Ona też zalicza się do tych dobrych ludzi? Uber pokręcił głową. Byłoby... przykro.

– Rozumiesz, ci ludzie nie powinni ci przeszkodzić w wypełnieniu naszej umowy. Za żadną cenę. Choćby i działała siła wyższa. Innymi słowy... – Mer zawahał się.

Pocił się coraz bardziej, jakby siedział w łaźni, koszula na brzuchu pokryła mu się ciemnymi plamami. Z czoła strumieniem płynął pot. Gorąco tutaj czy co? A może to narkoman ze stażem?

Uber pogmerał sobie palcem w ucho, popatrzył w sufit. Potem zanucił ochryple stary blues Toma Waitsa. Niby że nie martw się, wasza merowska mość, mam czas.

Mer w końcu wykrztusił:

– Innymi słowy: nie jest mi potrzebny rycerz. Potrzebny mi zuchwały zabijaka i cyniczny najemnik.

Uber wzruszył ramionami, spojrzał kpiąco na pocącego się mera. Wyszczrzył się.

– No to go pan znalazł. Pozostaje kwestia ceny.

– I-ile?

Skinhead skrzywił się.

– Wyżywienie na cały czas polowania. Dotychczasowy dług, co zrozumiałe, spłacę po robocie. I tak cztery magazynki „siódemki”, nie, lepiej pięć. O! Plus naboje do śrutówki. Piętnaście sztuk. Kule, loftki. Awansem.

– A to za co? – zdumiał się mer.

– To? – Uber podrapał się po głowie. – Dopłata za moje poczucie humoru. Bo jeśli mam być szczery, panuje tutaj śmiertelny smutek. Nic, tylko iść się powiesić. W ogóle macie na stacji niezdrową atmosferę. Nie zauważył pan?

– Umowa stoi. – Mer westchnął. Wyciągnął rękę. Dłoń miał suchą, kruchą i jednocześnie jakoś tak wilgotną. Uber wzdygnął się w duchu. Cholera. Jakby uściśnął zdechłą rybę.

– Teraz wypiszę dyspozycję – rzekł mer.

Podszedł do stołu, ze zgrzytem przesunął krzesło z metalowymi nogami, usiadł. I zaczął pisać.

Uber, żeby się nie nudzić, postanowił zwiedzić gabinet. W kącie stało wypchane truchło niedźwiedzia – wyleniałe, straszne. Najwidoczniej stalkerzy przytaszczyli łup z jakiegoś wypasionego sklepu z pamiątkami. Miś zapewne wydaje jakieś odgłosy. Uber pokręcił głową. Ruszył dalej.

Na półce u mera stała kolekcja porcelanowych aniołków.

Uber w zadumie przyglądał się figurkom. Wzbudzały w nim dziwne, drażniące uczucie. Nie wiedział, czego mu się zachciało – czy je potłuc, zniszczyć w cholerę, czy pogłodzić po gładkiej porcelanowej powierzchni.

Na półce za aniołkami stał niewielki obraz. *Sztorm o zachodzie*. Ajwazowski.

Kopia, oczywiście, pomyślał Uber. Prawdziwe płótna Ajwazowskiego są ogromne, w muzeum w Teodozji. Kto wie, czy ocalały, czy nie.

Uber długo przyglądał się obrazowi. Wszystko skończone. Gdyby Ajwazowski żył nadal, jakie morze by namalował?

Świecące w ciemności?

Wzburzone, spokojne? Czy takie jak tu – kiedy wydaje się, że przed wściekłością żywołów nie ma się gdzie ukryć. I nieliczni ocaleni umierają w ciemności i zimnie?

Sztuka. To, co po Katastrofie okazało się prawie zupełnie unicestwione. Uber patrzył, jak odbijające się od wody promienie słoneczne oświetlają fale. Niewiarygodne piękno. Zobaczyć by teraz to morze. Po prostu posiedzieć na brzegu. Zamknął oczy i poczuł na ustach jodową woń tamtego ziemskiego morza. „Skazani jesteśmy na życie pełne ubolewania – pomyślał nagle. – My, stare pokolenie, które widziało świat przed Katastrofą. Młodym... nie wiem, zapewne im łatwiej. Mogą się wyrwać spod władzy uzalania i nostalgii i żyć dalej. Budować nowy świat. »I zbudujemy świat nasz nowy«^{*}”.

Aha, wybijemy wszystkie złe potwory i pożyjemy długo i szczęśliwie. I znów będziemy siedzieli nad morzem, patrząc, jak słońce znika za skrajem świata.

– W niebie, k-kurwa, tylko by rozmawiać o morzu i o zachodzie słońca^{**} – mruknął Uber w zadumie.

Mer odwrócił się. Skończył pisać dyspozycję dla magazyniera – „Wydać dziś okazicielowi...” – i podpisał się. Pochuchał na pieczętkę, przybił. Gotowe. Spojrzał na Ubera.

– Co?

Ten ocknął się, podniósł głowę.

– Nie, nic. Pytam, kiedy mam zacząć.

– Teraz.

– Może jeszcze przydałaby mi się broń. Coś bardzo mocnego.

Mer zmieszał się.

– Czy to problem? – spytał zimno Uber. – Zazwyczaj posługuję się swoją, ale w tym wypadku... Jeżeli to taka wielka bestia...

– Obywatele Republiki Obwodnej będą przeciwni temu, żebym zbroił obcych.

– A ja sram na zdanie obywateli republiki. Jeśli mam być szczery. Jak podejrzewam, pan też.

Mer skinął głową. Taką postawę rozumiał.

– Dobrze. Damy ci ciężką broń.

– I pomocnika. Giermka. Sancho Panse.

Mer zawahał się.

– Po co?

– Nie jestem miejscowy – wyjaśnił Uber. – Potrzebny mi ktoś, kto tu wszystkich zna.

Mer podrapał się po brwi zgiętym sękatym palcem.

– Podam tę kwestię ... echem... pod głosowanie. Rada postanowi... przydzieli człowieka... Ale jestem pewien...

– Co, poważnie? Macie tu republikę? – zainteresował się Uber i niespodziewanie parsknął śmiechem. – A pan w takim razie to prezydent?

– Mer – odparł tamten z cicha. – Zaledwie mer. Ale ich wszystkich mam tu, o tu.

Zacisnął chudą pięść, aż zbieleła. Niebieskie żyły, jasne włoski. Wyszczrzył żółte zęby. I Uber nagle znów usłyszał krzyki: „Mer! Mer! Mer!”. Możliwe, że ten mer wcale nie jest taki zwykły i za żadne lichy nie jest miły.

– A ci... którzy wieczorami pokrzykują: „Mer! Mer! Nasz najlepszy!”, to kto? Wdzięczni mieszkańcy? Najlepsi ludzie w mieście? Patrioci?

– Tępe kmioty – sucho odparł mer.

Ano tak. Uber chrząknął.

– Nie wiem, co oni tam wrzeszczą – ciągnął mer. – Przygłupów i u nas nie brakuje, nawet bez smoków.

„Może nie trzeba było się zgadzać? – pomyślał Uber nagle. – Cholera, cholera”. Ale odrzucił wątpliwości. Wątpliwości przeszkadzają w wypełnieniu zadania.

– Pokładam w panu nadzieję – zakończył mer oficjalnym tonem.

Uber skinął głową.

* „I zbudujemy świat nasz nowy” – przedostatni wers pierwszej zwrotki *Międzynarodówki* w wersji, która w latach 1922–1944 była hymnem ZSRR. W polskim przekładzie, bliższym francuskiemu oryginałowi, wers ten brzmi: „Ruszymy z posad bryłę świata”.

** Fragment kwestii wypowiedzianej przez Rutgera Hauera w roli Curtiza w niemieckim filmie *Pukając do nieba bram*.

ROZDZIAŁ 6

1 Sołowiej

– Uber? – odezwał się człowiek.

Zrobił krok w jego stronę. Był od skinheada niższy, za to szeroki, przysadzisty. Uber wzmógł czujność, lecz tamten podniósł ręce i uśmiechnął się – niby że wszystko dobrze, nie jestem niebezpieczny. Z jakiegoś powodu jednak Uber był przekonany, że ten człowiek czekał na niego. Stał gdzieś tutaj i palił, oczekując, aż skinhead wyjdzie od mera.

– Możliwe – rzekł.

Człowiek był ubrany w prostą brezentową kurtkę, uszytą ręcznie już po Katastrofie. Nieszczerólna, lecz niezawodna. Kurtka od razu się Uberowi spodobała – czego nie można powiedzieć o tym, kto ją miał na sobie.

I jeszcze Uber pomyślał, że pod połą kurtki na pewno znajdzie się pistolet. I możliwe, że również parę noży.

– Nie spotkaliśmy się dotąd – powiedział tamten.

Uber zawahał się, wzruszył ramionami. „I co z tego?” Z masą ludzi na Ziemi dotąd się nie spotkał, a to nie powód, żeby się zaraz brać do całowania.

– Zapewne.

– Sołowjow, zwany Sołowiejem – przedstawił się człowiek w prostej kurtce.

Głos miał wspaniały – czysty, bogaty tenor z pięknymi harmonijnymi wydźwiękami. Znakomita, odpowiednio wymodulowana dykcja.

„I stąd się wzięło przezwisko*” – domyślił się Uber. Nie tylko od nazwiska. Zbój Sołowiej, ha.

– A ty Uber?

– Uber – potwierdził skinhead. – W ogóle nie bardzo rozumiem, co ja tu robię. Albo co ty tutaj robisz, Sołowiej.

– Jestem pomocnikiem mera. Zgodnie ze społecznym porządkiem i praworządnością.

„Pomocnik” miał na palcu wielki złoty sygnet z pieczęcią. Uber pokręcił głową. Zaśmiał się.

– Coś nie tak? – zapytał Sołowiej. Na pierwszy rzut oka wydawał się spokojny, przychylny, szczerzy.

Ale Uber odrzucił tę myśl. Sołowiej wyglądał na mądrego i niebezpiecznego przeciwnika.

W odróżnieniu od Czeczena Sołowiej po prostu promieniował kontrolowanym niebezpieczeństwem. Niczym głowica jądrowa ekranowana ołowiem. Choć możliwe,

że byłyby z niego niezły sprzymierzeniec.

– Studiuję – odparł Uber. – Obraz ruchu. A co, są jakieś problemy?

Sołowiej uśmiechnął się samymi ustami.

– Żadnych problemów.

– To znaczy świetnie.

– A powiedz mi, malarzu znikąd, dlaczego krzywdzisz moich ludzi?

„Oto główne pytanie”.

– Niby Czeczena?

– A to nie wiesz?

– Taki z niego Czeczen jak ze mnie balerina – stwierdził Uber. – Czy dopiero teraz niechcący otworzyłem ci oczy?

– Mam to gdzieś. – Sołowiej zaśmiał się. – To nie mój człowiek. Dlaczego wygrzmociłeś moich ludzi, co? W „Krabie”.

– Prosim się o to.

Popatrzyli sobie w oczy. Pauza.

– Czyli młody i ostry. – Sołowiej nawet się nie zdziwił.

– Zapomniałeś dodać: przystojny i utalentowany. Ulubieniec kobiet. Jestem w waszym mieście przejazdem, więc nie trzeba owacji.

Sołowjow zmrużył powieki. Miał szare, rozumne oczy. Z lodem na dnie. Roześmiał się. Piękny śmiech.

– Ale dajesz. Dobrze, miło cię poznać, Uber.

„Może nie będzie tak źle” – pomyślał skinhead.

– Wzajemnie – odrzekł. – Jeszcze się zobaczymy.

– Koniecznie – przytaknął Sołowiej z lekkim uśmiechem. Uber znowu bezwiednie wzmógł czujność. – Koniecznie, powiadam.

I w tym momencie Uber nabrał podejrzania, że w lodzie na dnie oczu Sołowieja na pewno zamrożony jest niejeden nieboszczyk.

2. Sołowiej i mer

Mer spojrział na pomocnika, poruszył ustami, jakby żuł. W gabinecie było cicho i przytulnie. W kącie ciemniał wypchany niedźwiedź, po wyleniałej skórze płąsały odblaski ognia.

– I jak ci się wydaje?

– Nie trzeba się o niego martwić – odparł Sołowiej.

– Tak uważasz? – zapytał z złością mer. Wiedział, że często wpada w rozdrażnienie bez powodu, ale nie umiał się powstrzymać.

– Tak uważam – potwierdził spokojnie pomocnik.

– Nie bierzesz na siebie trochę za dużo, Sołowiej?

– W ogóle nie pojmuję, o co to całe halo. Tak, obcy. Tak, hardy. Tak, narwany. Tak, zaczął węszyć. Ale zaczekać dwie, trzy noce... i po wszystkim. Rozumie pan? Nigdzie się stąd nie ruszy.

– Smok – powiedział mer. Zabrzmiało przekonująco.

– Tak, smok. Dobierze się do łysego. Czego by ten faszysta nie zrobił, jaki by nie był hardy. Smok zeżre go z podrobami i nie zakrztusi się.

Diabelnie przekonujące. Ale i tak coś nie dawało merowi spokoju.

– A jednak...

Sołowiej pokręcił głową. Oczy miał w tym świetle zielonkawe, jakby namalowane.

– Wie pan, jak to bywa, jeśli smokowi ktoś się nie spodoba – przypomniał.

– No tak.

Kiedyś Obwodny Kanał zyskał sobie złą sławę jako ulubione miejsce samobójców. Teraz zdawało się, że legenda otrzymała drugie życie. Mer przełknął ślinę. Nie za dużo ostatnio... samobójstw?

– Nająłem go, żeby zabił smoka – rzekł.

Obaj wiedzieli, że smok nie rozumie abstrakcyjnych refleksji. Tylko jasne życzenia, to się liczyło.

– Wiem – odparł spokojnie Sołowiej.

Mer pomyślał, że wcześniej czy później trzeba się będzie pozbyć pomocnika. Za bardzo stał się niezależny i bezczelny. Za mocno urósł w siłę, tego nie da się cofnąć.

– Co, jeśli...

– Niech traci czas na darmo. Do smoka się nie dostanie. Proszę mi wierzyć. A wręcz przeciwnie... – Sołowiej uśmiechnął się. Niedobrym uśmiechem, zmrożonymi oczami. – Ale podoba mi się ten typ.

– Ten faszysta? – zdziwił się mer. Sam nie rozumiał, jak można czuć sympatię do tego wygolonego łba. Przy czym zbir zbirowi wątroby nie wygryzie.

– No i co z tego, że faszysta – odrzekł Sołowiej z niezmaconym spokojem. – Faszyci też ludzie.

Mer zamrugał w zdumieniu. Otworzył usta... zamknął.

– Idź już – odezwał się w końcu. – I miej oko na łysego.

Sołowiej skinął głową.

3. Don Kichot i Sancho

„Smok ją zabrał – powiedział Czechen. – Smok! Puść mnie, boli!”

Uber zatrzymał się, wspominając, jak to było, po czym znowu ruszył. Nie powinno być wszystko takie proste... i takie straszne. Czechen zeznał, że faktycznie dał Marcie obiecany nowy paszport – żeby uciekła z Obwodnego Kanału. A ona wyruszyła tunelem pieszo na Zwienigorodzką.

I nie dotarła tam.

„Myślałem, że drań po prostu plecie byle co – dumiał Uber. – Żeby się wyłgać”. A teraz jego, Ubera, najęto, żeby zabił smoka.

Interesujące.

– Od czego zacząć poszukiwania potwora? Tego, do ciężkiej cholery, smoka?

Uber potarł sobie kark. Normalni herosi zawsze idą na obchód... właśnie, od czego zaczynają normalni bohaterowie? Od czego zaczęłyby poszukiwania Sherlock Holmes?

Zgadza się.

Od wyboru pomocnika. Najlepiej miejscowego, obeznanego z obyczajami i porządkami panującymi u tubylców.

– A kogo ja tutaj znam? – wyrzekł w zadumie Uber. – No?

* * *

Pod ziemią rzadko zmienia się pogoda, ale czasem i to się zdarza. Powietrze, wilgotne i stęchłe, nagle robi się zimne, jakby poprzeshywane cienkimi, przenikliwymi lodowymi nićmi. Jesień.

Dlaczego jesień dla tych wszystkich ludzi, którzy żyli przed Katastrofą, zdawała się taka ważna? „Jesień... smętna pora...” A na obrazkach w ocalałym podręczniku wszystko takie czerwone i niezwykle, jaka ona smętna?

Oto co zawsze drażniło Jurę Lejkina na lekcjach szkolnych. Szkoła na Obwodnym Kanale zakończyła się dla niego dawno, ale wspomnienia wryły się w pamięć na zawsze. Jasne obrazki w podręczniku, zapach kurzu i zakradającego się snu.

Jura Lejkin zwlekał chwilę, po czym wyszedł z namiotu. Przyjdzie mu dzisiaj iść do pracy. Na wartę w szybie wentylacyjnym na pewno jeszcze przez tydzień go nie wystawią. A wartownikiem być dobrze. Można pobyć w samotności, pomarzyć, nawet poczytać.

Pracy z kolei Jura nie lubił. Praca nigdy się nie kończyła. Dźwignij, nieś, upuść, przybij, podciągnij, znowu nieś. I tak bez końca. Lepiej siedzieć z automatem przy drzwiach prowadzących do zewnętrznego świata – drzwiach, które nigdy się nie otworzą. No... do niedawna. I jeszcze ten łysy...

Jura Lejkin dostał co prawda ochrzan, ale nie za to go zdjęli.

Zbyt dobrotliwy – orzekł naczelnik zmiany. Oczy błysnęły mu jakimś lodowatym obojętnym ogniem.

Czemu go wpuściłeś? Kto to jest? Czego tu szuka, na stacji?

– Śpisz, żołnierzu? – rozległ się wesoły, schrypnięty głos.

Jura podniósł głowę. Tuż obok stał nieznajomy, którego wpuścił na WSz. I kpiąco spoglądał na niego, Jurę, z wysokości swojego prawie dwumetrowego wzrostu.

– No jak, dzielny giermku Kaszko^{**} – niezrozumiale zagadnął tamten wczorajszy nieznajomy. „Uber-jakoś-tam”, przypomniał sobie Jura. – Pierwsze pytanie. Obibok z ciebie czy alkoholik?

– Co?! Nie! – Chłopak zerwał się, zacisnął pięści. Nabzdyczył się. Jeszcze tego brakowało, żeby go ten przybłąda obrażał.

Uber uśmiechnął się.

– Doskonale. Teraz drugie pytanie. Chcesz popracować?

4. W poszukiwaniu smoka

Metodycznie przeczesali całą stację od posterunku od strony Zwienigorodzkiej po tunele wiodące na Wołkowską. Uber sam nie za bardzo wiedział, jak łapać pod ziemią nieznaną bestię, ale czasem natykał się na mutanty, które zeszyły z powierzchni. Takie jak tamten Głodny Żołnierz na Proletarskiej. Najtrudniejsze okazało się, tak jak i teraz, przetrząsanie tuneli technicznych. Tej technicznej plątaniny jest wokół każdej stacji od groma.

W końcu Uber postanowił zrobić przerwę. Złożył rzeczy na ziemi i wyciągnął się z plecakiem pod głowę. Plecak był prawie nowy, z magazynów stacji – dzięki merowi. Obwodny Kanał nie skąpił na zabicie smoka. Uber z Jurą przegryźli coś naprędce, teraz trochę sobie odetchną i znów do roboty.

– Opowiedz mi, brachu Jura, jak wam się tu żyje.

Chłopak wzruszył ramionami. „Też się znalazł dowódca – pomyślał. – Udaje milutkiego”. Ale od pracy się nie migał. Było to znacznie bardziej interesujące niż okopywanie grzybowych grządek lub noszenie ziemi. Można sobie wyobrazić, że jest się wielkim, twardym naczelnikiem albo detektywem prowadzącym ważne śledztwo. Choć szukali...

„A jeśli rzeczywiście znajdziemy?” – Jurę zalał zimny pot.

– No, jak się żyje... – powtórzył niechętnie. – Normalnie. Jak wszędzie. A jak inaczej?

– Okłamałeś mnie wtedy co do tego krzyku... pamiętam.

Chłopak nachmurzył się. Po czym rzekł:

– Bo pan był wtedy obcy.

– A teraz?

– A teraz pan... – Jura poskrobał się po karku. – Tak samo obcy.

Uber westchnął. Obcy zawsze będzie obcy.

– Nie ma się tu gdzie schować? – zapytał. – Na stacji?

– No, jest węzeł sanitarny... byliśmy tam dzisiaj. Szyb wentylacyjny sześćset szesnasty. Co jeszcze? Sześćset osiemnasty, tam, bliżej Wołkowskiej. I węzeł sanitarny.

Uber kiwnął głową.

– A na Wołkowskiej co macie? Kto tam mieszka?

– Nikt. Dawniej były nasze plantacje grzybów... ale je szczury zżerały.

– Rozumiem. Jeżeli ktoś jest, to najprawdopodobniej dekuje się na Wołce. Albo po drodze na Wołkę, w kolektorach, może w wentylacji. Jak myślisz, brachu Jura, mam rację? Zaszył się gdzieś po drodze na Cmentarz? Nie, no, normalna pozycja.

– Nie wiem – burknął Jura.

– Strachajło z ciebie – zdumiał się Uber, po czym założył sobie ręce za głowę. Muskularne, krzepkie. Takimi każdego smoka można po prostu zadusić. – A w ogóle jak się znalazłeś na Obwodnym?

– Los sprawił – odparł chłopak. Sam nie wiedział, czemu wybrał takie wielkie słowo.

– Hmm. Los. – Skinhead podrapał się po nosie. – Los taki nieobliczalny... Nigdy

nie wiesz, gdzie cię poniesie.

– Los i... rodzice.

* * *

Ubera zastanowiła woń. Przesiąknięty ludzkim odorem peron wionął czymś kwaskowatym i ciepłym, tutaj jednak, w tym ślepych zaułku, dochodził do tego jakiś inny zapach. Jakby nawet kwiatowy.

Co to może być?

Skinhead przykucnął, zastygł bez ruchu. Tu nie należy się śpieszyć. Lepiej uważnie patrzeć i słuchać.

A więc. Tunel, ślepa uliczka? Dokąd prowadzi? Zabłądzić niedaleko od nieznannej stacji Uber nie miał najmniejszej ochoty. Zawierz instynktom, mawiał jego trener sztuk walki, Celestyn Ciuchcinskij^{***}. Mister Niezbytprzyjemnie, jak go nazywali uczniowie. Jeśli twoje instynkty są wytrenowane, lepiej zareagują i poprowadzą cię w krytycznym momencie. Człowiek myśli powoli. „Może własnych Platonów i bystrych rozumem Newtonów rosyjska ziemia rodzić”^{****}. A nasze ciało myśli szybko.

Cóż, tak czy inaczej do przodu. Uber wyprostował się i poszedł. Zapach stał się silniejszy, jakby zgęstniał.

Dokładnie, jakiś kwiatowy zapach. Uber przygotował się na najgorsze. Kiedyś już zaliczył spotkanie z gigantycznymi drapieżnymi orchideami. Zamknął oczy. Otworzył. Naprzód!

Szedł, pod nogami poniewierały się zardzewiałe puszki, puste butelki, strzępy papieru i odłamki metalu. Co ci miejscowi, śmietnisko tu sobie urządzili?

Uber szedł. W pewnym momencie nadepnął na puszkę, zgrzytnęło. Cholera. Schylił się i zauważył, że obok czerwonej puszki po coli coś bieleje w warstwie pyłu.

Przesunął uważnie dłonią... i wzdrygnął się.

Obok puszki leżały kości – małe i połamane, ze śladami zębów. Ludzkie? Uber gwizdnął cicho. Ostrożnie podniósł kość, obejrzał. Sądząc po warstwie pyłu, to było dawno.

Potem pomacał w pyle. Ostrożnie, jak saper rozbijający minę, przecesał palcami warstwę kurzu. Więcej kości.

Wyprostował się, zarzucił sobie strzelbę na plecy.

Okazuje się, że mer miał rację. Ze stacji giną ludzie. I rzeczywiście zżera ich jakaś bestia. Smok. Posmakował to słowo. „Smok. Dragon”. Wielkie i straszne... Ale jakoś tak... zbyt dostojne dla potwora tej miary. Pożerającego ludzi w ciemnych zaułkach.

To prawie jak wykradać drobne z kieszeni.

Były przypadki, kiedy do metra zapuszczała się potworna bestia, jedna z tych, które włóczą się po powierzchni. Źle zamknięta herma, roztargnienie diggera, który zostawił niedomknięty właz, niezauważone do tej pory, niezabezpieczone wejście do metra – są ich przecież tysiące. I już, ludzie w dole natykają się na dziką bestię. I często trupów bywało dużo.

O jednym takim wypadku Uber wiedział dokładnie, ponieważ sam w nim uczestniczył. Zaciął się luk i do metra wlażł wtedy Głodny Żołnierz. Zazwyczaj Głodni Żołnierze są mocno przywiązani do swojego siedliska, a ten okazał się jakiś inny. Włóczykij. I zrobiła się z tego prawdziwa jatka.

Zanim się połapali i wezwali diggerów, Głodny Żołnierz zabił i zjadł troje dzieci i jedną kobietę. A potem go pogonili i dostał się na stację. Zabił paru cywili. Diggerzy razem z samoobroną stacji i ochotnikami zagnali Żołnierza w ślepy zaułek i zatłukli.

W ogóle przy mutantach nie obejdzie się bez kłopotów. Może tu też zaplątał się Głodny Żołnierz? Uber pokręcił głową. Kto wie?

Głodni Żołnierze to milczki, nigdy nie krzyczą. A tu krzyk był wyjątkowo wyraźny. Uber aż się najeżył. No tak, życie pogromcy potworów – nie dla ludzi o słabych nerwach.

Więc kto to może być? Gastarbeiter? Ci zawsze działają stadnie. Blokadnik – bez żartów. Blokadnik to w ogóle diggerska legenda.

* * *

Spotkali ją w kolektorze, kiedy zbierali się już do odwrotu. Najpierw Jura poczuł ostrą, mdlącą woń, odór fekaliów mieszał się z jakimś acetonowym smrodem. I wtem...

– Uber! – krzyknął Jura. Podniósł latarkę. W snopie światła coś przemknęło.

Na Ubera padł skrzydlaty cień. „Smok!” Uber błyskawicznie przykucnął, zrywem przetoczył się na bok. Brzęknęła strzelba, spadła na betonową posadzkę. Latarka poleciała gdzieś dalej, ogromna plama światła padła na ścianę. Skrzydlata bestia rzuciła się za Uberem. Potwornie wielka.

– Strzelaj, Jura! Strzelaj! – krzyczał skinhead. – A, diabli!

Jura dostrzegł śrutówkę, wyciągnął rękę i przyciągnął broń do siebie. Ręce mu się trzęsły.

– Jura, dawaj! – Znowu Uber.

Skrzydłata bestia w świetle toczącej się latarki naskakiwała na ciemną sylwetkę człowieka. Uber walczył ze smokiem?

Od soczystych bluzgów skinheada wędły uszy.

Jura podskoczył, podniósł strzelbę Ubera, położył palec na spuście. Bestia zaszczała. Często uderzała skrzydłami, ogromny cień na ścianie zdawał się większy niż wszystkie potwory świata. No, prawdziwy smok. Jurę obleciało zimno, aż palce zgrabiwały. Nie czuł rąk i nóg, tylko wiotkie, sparaliżowane ciało... znajdujące się za blisko smoczej paszczy i wyszczerzonych zębów.

„Smok” – pomyślał Jura. Obejrzał się za siebie i pobiegł.

Uber wyjął z pochwy kukri. Bestia rzuciła się na niego, rozpostarła skrzydła.

Rąbnął z rozmachu jak oburęcznym mieczem. Chlast. Bestia padła. Uber podszedł i chlasnął ponownie.

Głowa bestii odtoczyła się, zatrzymała. Uber zbliżył się, trącił ją czubkiem buta. Łeb zaszczał... Uber odskoczył, zamachnął się nożem.

Głowa drgnęła jeszcze raz i znieruchomiła.

– Tfu, zaraza! – wykrzyknął Uber. – Na taką akcję nie nastarczysz spodni. Pełny pampers. Żeby chociaż suchy... a jest, jaki jest.

Rozejrzał się. Jego latarka jeszcze się toczyła po podłodze tam i z powrotem, coraz wolniej. Razem z nią przesuwała się jasna plama na ścianie tunelu. Uber podniósł latarkę, porozglądał się.

Bestia martwa. Jury nie ma.

– Jura! – zawołał. – Duralejkin!

Milczenie.

– Jura, chodź no tu. Nie będę bić.

Po długiej chwili chłopak wyjrzał zza zakrętu.

– No chodź, chodź – powtórzył Uber. – Nie bój się. Za pierwszym razem wybaczam. Za pierwszym razem wszystkim się zdarza.

Jura podszedł, zobaczył bestię i pobladł. „Jeszcze mi tutaj zemdleje” – pomyślał Uber.

– Co to? – zapytał chłopak z zająknięciem.

– Betka – odparł Uber. – Patrz, jaka ślicznotka.

– To ona krzyczała?

– Nie. – Uber zawahał się. – Ta bestia jest prawie nieszkodliwa. No, trochę jadowita. Widziałem takie na stacji Dybienko. Dają się tam takiej bestyjce ugryźć, a potem od jadu mają jakieś szczególnie straszne majaki. Ej-ej, nie kłamię.

Bestia była długości zaledwie łokcia. Zielonkawożółta. Taki maleńki smoczek. Z czerwonymi i niebieskimi piórami. Jak lekko oskubana papuga, tylko w dziobie miała komplet drobnych ostrych zębów.

– Jest całkiem... mała – zauważył Jura. I nagle zapłakał. Potem zakrył twarz rękami i uciekł.

– No i masz – mruknął Uber. W osłupieniu podrapał się po karku. – Znowu z moją strzelbą!

* * *

Spotkał Jurę w tunelu. Chłopak wracał – powoli, krok za krokiem, i o mało nie zastrzelił Ubera, kiedy ten wyjrzał z kolektora. Jura był prawie zielony, trzęsło nim od czasu do czasu. „Ale mimo wszystko wrócił” – pomyślał Uber. To najważniejsze. Znaczy, że będzie pracował.

Jura zobaczył Ubera, podskoczył i omal się nie przewrócił. Wstał, po czym podał skinheadowi jego śrutówkę.

– Wszystko to normalne, chłopcze – powiedział mu później Uber, kiedy urządzili sobie postój. – Każdemu się zdarza.

– Nie każdemu. – Jura otarł sobie łzy ręką. Ale i tak toczyły się i toczyły z jego oczu. Twarz otepiała. Policzki płonęły ze wstydu. Uczucie było tak nieprzyjemne, że chciało się umrzeć na miejscu.

– No, nie ze wszystkimi – zgodził się Uber. – Co teraz, płakać z tego powodu?

– Chcę, to płaczę! – odgryzł się chłopak. – Moja sprawa.

Złość pomagała.

– Zrozumiałe. – Uber skinął głową. – Mężczyzna sam sobie jest panem. Sam poszedł, sam popłakał. Sam się uspokoił. No, albo się zastrzelił.

– Że jaak?

Jura położył sobie na dłoni błyszczący kwadracik. Chyba mosiężny. Z wygrawerowanym na boku wzorem. Zdaje się, że jeleń w gąszczu.

– Co to?

– Zapalniczka. – Chłopak ze zdziwieniem spojrział na skinheada. Niby to nie oczywiste?

Uber chrząknął cicho.

– Wiem, że to zapalniczka. Skąd ją masz? Bo przecież nie palisz. Dlatego wydaje mi się, że jest ci z jakiegoś powodu droga.

– Tak. – Jura kiwnął głową.

– Pamiątka?

– Nie wiem, czy pamiątka, czy nie. – Jura mówił dzisiaj powoli i jakoś tak niezwykajnie, nie jak zawsze. – Podarował mi ją ojciec.

– Świetnie – stwierdził Uber. – Dobry podarunek. Tylko że nie palisz?

– Nie palę. W tym rzecz.

– Co masz na myśli?

Jura Lejkin zawahał się, z roztargnieniem obrócił zapalniczkę w dłoni. Otworzył, szczęknął. Znów zamknął. Szczęk!

– Ojciec dał mi ją i powiedział: tak zrozumieć, że jestem dorosły.

– Ej, niby jak? – zainteresował się Uber.

– Powiedział, że kiedy zacznę palić, będzie mi potrzebna zapalniczka. A skoro już ją mam, to znaczy, że połowa załatwiona. I moja pierwsza zapalniczka, i pierwszy papieros będą oznaczać, że wyrosłem. Dorosłem. Że jestem już dorosłym mężczyzną, który sam podejmuje postanowienia. Wiesz, Uber, dziwne to. Nie wiedziałem, że od tego zależy dorosłość.

– Doskonała zapalniczka – rzekł Uber.

Jura popatrzył na niego, ale i tak nie zrozumiał, czy skinhead nabija się z niego, czy mówi poważnie.

– Pewnie tak. – Chłopak wzruszył ramionami. – Ale mimo wszystko nie zacząłem palić.

– I dobrze – stwierdził Uber. – Chętnie bym rzucił ten paskudny nawyk. I tak mam ich za dużo. Mogę podzielić się z tobą, jeśli trzeba.

Jura pokręcił głową. Znów szczęknął zapalniczką, otworzył ją. Położył palec na kółku. Zakręcił raz, drugi.

Czirk! Czirk!

– Nie ma sensu – wyjaśnił Uber. – To Zippo, benzyna wietrzeje z niej bardzo szybko. Trzeba po prostu napełnić.

– Tak – potwierdził Jura. – Trzeba.

Czirk! Poleciały iskry, ale płomienia nie było.

– Może nigdy nie wydorosłeje – mruknął smutno chłopak.

– Spróbuj jeszcze raz.

Jura zawahała się.

– No, dalej!

Czirk! Poleciały iskry. Jura z rozczarowaniem uniósł brwi. I w tym momencie błysnęła płomyk. Pszszsz.

– Możliwe, że nie jest potrzebny żaden papieros – powiedział w zadumie Uber.

5. Krzyk potwora 2

Rano obudził go krzyk. Uber zajął w namiocie Miki i Nanny wolną pryczę. Z Nanny miał cichą umowę, że będzie jej płacił jedzeniem, które brał na kredyt. Pod przyszele zabicie smoka.

Straszny wrzask niósł się nad stacją, daleki, przełamany echem. Jakby szedł z dna morza, z głębiny.

Mika wzdrygnęła się i skuliła. Uber podniósł głowę, wsłuchał się w odgłos.

– To jest ten wasz potwór? – zapytał.

Krzyk ciągnął się i ciągnął. Dzisiaj coś bardzo długo, zdziwił się Uber. Zabawne, chyba zaczął się przyzwyczajać. Gorzej, że na podstawie tego krzyku nie da się określić jego źródła. Sterczy w tunelu zardzewiała rura albo wychodzi zapomniany, zamknięty kratką kolektor ściekowy i stamtąd płynie dźwięk, a jego źródło – diabli wiedzą, może na drugim końcu metra. Wczoraj z Jurą niezłe się nabiegali, próbując znaleźć krzykacza. I do niczego nie doszli.

Mika kiwnęła głową.

– Tak. Boli go.

Uber ze zdziwieniem popatrzył na poważną dziewczynkę. Mała powtórzyła:

– Boli go.

Uber zagadał szybko, jakby się usprawiedliwiał:

– Powiniennem się spotkać z chłopakami. Czekają na mnie. A zamiast iść do nich, sterczę tutaj, pozując na Archanioła Gabriela... – Dodał zupełnie cicho, pod nosem: – W dupie. W czarnej dupie.

Krzyk się powtórzył. Tym razem brzmiał straszliwie, przelewał się – to niżej, to odwrotnie, osiągając niemożliwie wysokie dźwięki. Mika słuchała uważnie. Kiedy w końcu krzyk ustał, pokręciła głową.

Uber popatrzył na nią pytająco.

– Co? – rzekł.

Mała wzruszyła ramionami.

– Dziś jest mu strasznie smutno. Biedak.

Uber mruknął sam do siebie:

– W najczarniejszej dupie.

Ruszył do przodu, przykucnął przed Miką, zajrzał jej w oczy.

– Mika! – Pstryknął palcami. – Mika! Boberku!

Dziewczynka podniosła głowę. Potrzeba było kilku sekund, żeby jej wzrok wrócił

do przytomności.

– Aniele – powiedziała.

Odezwał się do niej łagodnie, kojąco:

– Mika, posłuchaj uważnie. Rozumiesz, że... możliwe, że ten potwór... ta smucąca się bestia... – Zaciął się, co najwyraźniej było dla niego niezwykle. – Że...

– ...zabiła moją mamę? – wtrąciła dziewczynka.

– ...zabiła twoją mamę – dokończył Uber.

Wypowiedzieli to równocześnie. Spojrzeli na siebie. Milczenie.

– Ta-ak – przeciągnął Uber. – To znaczy, że rozumiesz i mimo to żal ci go?

Mała wyprostowała się. Odpowiedziała cicho, spokojnie:

– Myślę, że moja mama jest gdzieś tam w nim, w środku. I kiedy mnie wspomina, śpiewa piosenkę. – Dziewczynka spojrzała na skinheada. Wzrok miała nieruchomy i jakiś taki... nie z tego świata. – Tam, w jego brzuchu. Dla mnie.

I Mika zaczęła coś nucić. Monotonnie i niezrozumiale, nie dało się w tym rozróżnić słów. Istny mały jakucki szaman. Oczy dziewczynki tak jakby widziały coś za granicą tego świata, poza ścianami metra. Może był tam świat żelaznych jednonogich złych olbrzymów abasów*****.

Uberowi przeszedł mróz po skórze od tego jej wzroku. Podniósł się gwałtownie.

– Kurwa! – wyrwało mu się. Znowu kucnął koło dziewczynki. – Mika, widzisz mnie? Popatrz na mnie, Mika!

Mała chybotnęła się jak w transie. Uber zaklął, jej oczy zrobiły się szkliste. Kołysała się w przód i w tył. Jak wahadło w nieustannym ruchu. Leningradzki metronom. Tak, tak. Tak, tak.

Mika odezwała się głuchym, niskim głosem:

– Bo ona mnie kocha.

„Ch-cholera”. Uber złapał ją za ramiona, potrząsnął.

– Mika!

W tym momencie do namiotu weszła Nanny. Zobaczyła ich razem. Podbiegła, siłą odsunęła Ubera.

– Nie przeszkadzaj!

Zrzuciła sweter, sprawnym, doświadczonego ruchem podniosła Mikę i ułożyła ją na posłaniu. Rozwiązała sznurówki i zdjęła małej buty. Skinhead stał obok i nie wiedział, co robić. „No proszę”. Najstraszniejsza niemoc, kiedy jesteś duży i silny, a nie możesz pomóc małemu, słabemu stworzeniu. Cała twoja siła, złość i bojowe nawyki są bezużyteczne. Śmieszne. Przypomniało mu się wrażenie, jakie go ogarnęło, gdy żona tam, w Jakucji, jeszcze przed Katastrofą, powiedziała mu, że jest w ciąży.

– To się już zdarzało?! – spytał.

– Nie przeszkadzaj, mówię.

Uber wstał.

– A niech to... – Potrząsnął głową, jakby pamięć dusiła go w okolicy szyi. – Co mnie pokusiło, żeby się pchać w tę sprawę.

Nanny zaczęła dziewczynce rozcierać ręce i nogi. Poklepała ją po policzkach. I znowu zaczęła trzeć jej ręce. Robiła to wszystko niespiesznie, bez specjalnej

troskliwości, lecz metodycznie i starannie, jak doświadczona pielęgniarka. Jakby to była dla niej rutyna. Twarz Nanny wyrażała niemal nudę. Nie można było powiedzieć, żeby się zdenerwowała.

Za to Uber był cały w nerwach. Pochylił się, patrząc na dziewczynkę.

– Boberku! Boberku! – nawoływał. – Odezwij się!

– Nie przeszkadzaj – powtórzyła Nanny.

Było jednak widać, że jej też się udziela niepokój. Zwyczajny rytuał najwyraźniej nie działał. Dziewczynka zbyt długo nie dochodziła do siebie. Uber zacisnął zęby.

– Macie tutaj lekarza? – Podniósł się, znów przykucnął.

Nareszcie Mika odzyskała przytomność, otworzyła oczy. Usiadła, zamrugła i popatrzyła na Ubera zdezorientowana.

Uber głośno odetchnął z ulgą.

– Cześć, Boberku!

Odpowiedź zabrzmiała karcąco:

– Nie jestem boberkiem.

Uber wybuchnął śmiechem. Razem z nim roześmiała się Nanny. Rechotali we dwoje, wygolony skinhead z podbitym okiem i starszawa niania. Ich śmiech był prawie histeryczny. Mika patrzyła na nich z obrazą.

* Соловей (czyt. sołowiej) – ros. słowik.

** *Dzielny giermek Kaszka* – książka dla dzieci autorstwa W. Krapiwina.

*** Celestyn Ciuchcinskij (ur. 1962) – zasłużony trener Republiki Sacha (Jakucji), prezes międzynarodowej federacji sztuk walki Gen-Shin-Kan i działającej w Jakucku szkoły o tej samej nazwie. Jego ojciec, Jan, był z pochodzenia Polakiem, muzykiem, a syn Jan (ur. 1986) również jest trenerem i senseiem. Gen-Shin-Kan łączy w sobie karate, taekwondo i jiu-jitsu.

**** Fragment *Oda na rocznicę wstąpienia na wszechrosyjski tron cesarzowej Elżbiety Pietrowny* (1747) Michaiła Łomonosowa, autor przekładu nieznan.

***** Abasy, abaasy – postacie z mitologii jakuckiej; podobne stwory występują w mitologii innych wschodnich ludów.

ROZDZIAŁ 7

1 Poszukiwania smoka 2 / Czerwona spinka

Uber z Jurą obeszli już wszystkie kolektory w okolicy Obwodnego. Zapuszczali się tak daleko, jak miejscowi nie dotarli jeszcze ani razu. Okazało się, że wokół stacji istnieje cały świat zapomnianych tuneli, kolektorów, sztolni, a nawet porzuconych przodków, gdzie stały i rdzewiały wagoniki pełne urobku.

Jura potknął się. Upadł na szyny, prawie twarzą. Podniósł ręce. W pierwszej chwili nie zrozumiał, na co trafił.

– Uber! – zawołał.

Skinhead odwrócił się, promień latarki oświetlił jego twarz.

Czerwona spinka w zakrzepniętej krwi. Uber podniósł ją ostrożnie, jakby to była krucha rzecz, którą może złamać byle podmuch wiatru.

Po czym odwrócił się, popatrzył za siebie, w tunel.

– Uber? – odezwał się Jura prawie szeptem. – Co to?

Skinhead spojrział na niego, twarz chmurna. Po raz pierwszy Jura widział go nie roześmianego, nie kpiącego. Uber rozejrzał się, świecąc latarką, sprawdził wszystkie podkłady i szyny. Umazał się czymś po uszy i spocił.

Podniósł się, otrząpał ręce.

– Idziemy – zwrócił się do Jury.

Po śladach zakrzepłej krwi zorientowali się, skąd przyszła właścicielka czerwonej spinki. Musieli prawie na kolanach pokonać jakieś sto metrów tunelu.

Ogromnej kałuży krwi najwyraźniej nikt nawet nie próbował sprzątnąć. Czarna krew zaschła na podkładach przy zardzewiałej sporej kracie. Za nią zaczynał się techniczny korytarz. Ślepy? A, nie. Jura dostrzegł, że dalej znajdują się też drzwi. Mnóstwo zegarowych wskaźników, zaworów, zakurzonych, zarosłych pleśnią rur i przewodów.

W kałuży krwi były ślady zaschniętego jedzenia. „Nie na bogato” – pomyślał Jura. Nagle zrobiło mu się niedobrze.

– Zwymiotowała. Najprawdopodobniej uraz czaszkowo-mózgowy. A to może zatrucie. O, tu upadła. – Uber pokazał na ziemię.

Jurę zemdliło. Odbiegł nieco dalej i porzygał się. Miał takie wrażenie, jakby żołądek chciał mu się wyrwać z ciała. „A niech cię, łysy, z twoimi przygodami” – pomyślał z rozdrażnieniem.

– Jura, w porządku? – zapytał Uber.

– Tak. – Wrócił, wycierając sobie usta dłonią. Pozostał mu ohydny posmak krwi i żółci.

Uber przykucnął, popatrzył w lewo i w prawo. Zastanawiał się chwilę. Poświecił latarką.

– Myślę, że to nie smok. W sensie, nie mutant, nie bestia zabłąkana z powierzchni. Jestem prawie pewien, brachu Jura, że szukamy człowieka. Dokładniej: dwunożnego ptaka bez piór, potrafiącego i lubiącego zabijać swoich ziomeków.

– Dlaczego? – spytał chłopak.

Uber pokazał mu zamknięte drzwi. Gruby, zardzewiały łańcuch, ogromna kłódka.

– A widziałeś, żeby bestie tak zabezpieczały za sobą wejście?

Krwawe ślady prowadziły do drzwi. Jura pokręcił głową. Już nie uważał tego za przygodę, teraz po prostu ogarnął go strach. Taki aż do utraty przytomności,

– Myślę, że ten, kto to zrobił i zamknął za sobą drzwi, to nasz smok.

– A jeśli ona tam jest? – Jura wskazał głową drzwi.

– Kto?

– No ta... od tej spinki – odparł chłopak.

– Marta?

Jura nagle przestał oddychać. Wydało mu się, że cały świat napiera na niego. Tak mocno i z całej siły, że nie da się złapać tchu. Zachwiał się...

– Ej, chłopcze? – Ktoś klepał go po policzkach. – Co ci jest? Mdlejesz? Nie szkodzi, każdemu się zdarza.

* * *

– Nie wiesz, czyje to może być? – spytał skinhead.

Gdzieś już widział tę spinkę. Ale choć łamał sobie głowę, wspomnienie mu umykało. Przeglądał w myślach wspomnienia jak pokaz slajdów z czarno-białych fotografii.

– No pewnie – powiedziała Nanny w jego głowie. – To nasza Marta.

„Ładna. A czemu bez paszportu chodzi?”

Uber w myślach spuścił wzrok, przyjrzał się kartce w dokumencie. Na czarno-białym zdjęciu paszportowym była Marta – młoda, prawie jeszcze dziewczynka. Patrzyła w aparat z lekkim napięciem, ale było to urocze. Uber zmrużył oczy. Szczegóły, najważniejsze to szczegóły.

We włosach miała spinkę. Czarną. Czerwone na takim zdjęciu najczęściej wygląda na czarne, pomyślał mimochodem.

Ta sama.

– Trzeba otworzyć drzwi – odezwał się Jura. – Prawda?

Uber pokręcił głową.

– Ale... czemu?

– Co tam znajdziemy? – Uber wzruszył ramionami. – Paszport tego, kto ją zabił, adres i szczerze przyznanie się do winy? I zapisy z kamer wideo?

– Że co?

– Nieważne – odrzekł Uber. – Znajdziemy tylko schlapany krwią pokój... – Zastanowił się. – I w ogóle nic nam to nie da.

- Dlaczego? – Chłopak wciąż tego nie pojmował. Ech, ty, młody.
- Wiesz, co się zmieniło od czasów Katastrofy? – zagadnął skinhead.
- Ee...

– Otóż zmieniło się dużo. Nie ma już badania odcisków palców, porównywania włosów, zębów, grupy krwi czy analizy składu gleby spod paznokci ofiary. Nic z tych rzeczy. Nawet w czasach Sherlocka Holmesa było znacznie lepiej. Teraz otworzymy ten pokój i zobaczymy tylko ten pokój. Żadnych poszlak, żadnych śladów. Detektyw w warunkach metra jest skazany na porażkę. Ale ty i ja mimo wszystko mamy szansę pojmać zabójcę. Tylko nie będziemy w tym celu przecinać kłódki. To znaczy mógłbym zdobyć palnik acetylenowy, szczypce hydrauliczne, piłę do metalu albo... na przykład mógłbym przywiązać do kłódki granat, szarpnąć zawleczkę i zobaczyć, co będzie, ale to kiepski wariant.

- A masz granat? – zdziwił się Jura.

Uber w rozdrażnieniu machnął ręką.

- Nie mam granatu. To tak hipotetycznie.

- Że co?

– O Boże! – Uber zastanowił się. – Mówię, że możemy znaleźć zabójcę, tylko nie rozcinając kłódkę...

- To jak się tego dowiemy? – wtrącił Jura.

- Bardzo prosto. – Uber uśmiechnął się. – Poczekamy.

* * *

Spędzili pod drzwiami prawie cały dzień, lecz nikt się nie pojawił. Parę razy obok nich przejechały na pełnej prędkości drezyny. Mortusy zwoziły zwłoki z dalszych zakamarków metra.

Czas włókł się i nic się nie działo.

- Uber. – Tracono go w ramię. – Uber, obudź się! Ktoś idzie.

Czekali już wiele godzin, w zupełnej ciemności, u diabelskich „krwawych” drzwi. I prawie go zmorzył sen. Nieprzyjemnie straszny, rozwlekły, jakby sfilmowany czarno-białą dokumentalną kamerą.

Wydawało mu się, że w kark znów coś go trąca. Niecierpliwie jak szczeniak. Tak jak dzisiaj rano.

Tylko nos nie był psi, miękki i wilgotny, lecz zimny i gładki jak pysk żmii. Uber w udręczeniu opędzał się od natręta. „Idź w cholerę”. I drzemał dalej.

„Chwała Bogu, że się można obudzić” – pomyślał. I wreszcie się zbudził – rozbity i zmęczony.

A budził go teraz Jura. Chłopak ma dobry słuch. Prawie muzyczny. Uber skupił się, nastawił na czujność – i po jakimś czasie usłyszał. Wyraźnie. Kroki na żwirze. Lekkie obuwie typu mokasyny lub adidasy. W oddali rozbłysła żółto latarka, snop światła przesuwiał się po ścianach i po suficie. Człowiek szedł szybko. Właściciel latarki dobrze wiedział, dokąd się kieruje.

Uber przyczaił się niczym pies myśliwski.

Przy zardzewiałych drzwiach snop światła zatrzymał się, zadrżał. „To on” – bezdźwięcznie oznajmił Uber. Bezszelestnie podniósł się i płynnym krokiem, bez najmniejszego szmeru, ruszył w stronę świecącej latarki. Jura czekał. Promień światła pobiegł dalej po ścianie tunelu. Człowiek rozejrzył się, snop światła podążał tam i z powrotem – najwidoczniej trzymał latarkę w zębach lub pod brodą. Ogromna żółta plama oświetliła kratkę i mieszczącą się za nią służę.

Jura zrobił krok w bok.

Pod nogą zachrząściła blaszana puszka. Donośny, wyraźny dźwięk.

Cholera! Jurę zalało zimno. Człowiek przy drzwiach wzdrygnął się, obrócił i – nagle oświetlił rosłą postać skinheada. Odwrócił się i pobiegł w stronę Obwodnego.

– Stój, s-skurwielu! – ryknął Uber i rzucił się w pogoń.

Jura zebrał się w sobie i też pobiegł, starając się nie tracić z oczu żółtej plamy. Pędzący z przodu Uber raz po raz zasłaniał światło szerokimi plecami i wtedy Jura aż się wzdrygał. Nie ryzykował włączania swojej latarki.

Pogoń dłużyła się i dłużyła, uciekinier oddalał się coraz szybciej. Sądząc po odgłosie dyszenia, Uber go jednak doganiał.

Już był całkiem blisko. Sadził za tamtym wielkimi susami. Zbieg odwrócił się, podniósł rękę. Przez mgnienie wydał się Jurze znajomy.

Strzał. Błysk. Jura padł na ziemię, osłonił głowę rękami. Zaraz potem ją odkrył. Uber przygiął się, ale pędził dalej.

Znowu strzał. Uber padł, przetoczył się na bok. Podniósł strzelbę, wycelował. Nacisnął spust.

Grzechot. Błysk. Jura otworzył oczy, stopił się ze zwirem.

Uber przeskoczył na drugą stronę jak ogromny nietoperz. Podrzucił śrutówkę, włączył latarkę. Jasny strumień światła poleciał do przodu i oświetlił krawędź peronu. Ktoś tam krzyczał i lamentował.

Dalej już nikogo nie było. Uciekinier zniknął.

– Zwiął – rzucił Uber ze złością. Wyprostował się. – S-skurwiel.

Widocznie to miejscowy, szmyrgnął gdzieś i tyle go widzieli, śladów nie ma, pomyślał Jura.

Mimo rozdrażnienia i gniewu Ubera on sam odetchnął z ulgą. Nie chciał mieć do czynienia z zabójcą. Uciekł – no i dobrze. A potem Jura przypomniał sobie, kogo tamten zabił... I jak... I znowu wzięło go na mdłości.

– Kto to był? – mruknął w zadumie Uber.

* * *

Pół godziny później siedzieli z Uberem w „Krabie” i jedli kolację.

Uber był nietypowo dla niego milczący i jadł bez apetytu. Pogmerał łyżką w kaszy gryczanej, po czym westchnął i zaczął ją metodycznie unicestwiać – jak automat. Trzeba, to trzeba. Jura widział, że jego towarzysz staje się coraz bardziej mroczny. Kilka razy skinhead rzucał spojrzenie w stronę baru. Jego oczy robiły się przy tym dziwnie głodne. „Pewnie chce się napić – pomyślał Jura. – Ale czemu w takim razie

nie pije?”

Żując kaszę, odwrócił głowę. Stolik w kącie był dziś pusty.

– Już trzeci dzień snują się po stacji – zauważył Jura. – Nie wiem, na co czekają.

– Kto czeka? – spytał obojętnie Uber.

– No, mortusy.

I tu Ubera jakby rozświetliło od środka. Aż się podniósł na krzesło.

– A co oni tu robili? – spytał cicho.

Jura ze zdziwienia rozdziawił usta.

– Jak to co? To przecież mortusy. Pewnie zabierali nieboszczyków. W sensie: ze stacji.

Uber odwrócił się do chłopaka. Znowu był twardy i skupiony. Jura poczuł, jak od skinheada rozchodzą się fale dzikiej energii.

– A gdzie ich widziałeś, mortusów? – spytał Uber. – Gdzie się w ogóle zatrzymali?

– W służbowej ślepej odnodze, od strony Zwonu. Jeść przychodzą do „Kraba”, jak trzeba. Sam widziałem.

Uber podrapał się po karku. Taka myśl, taka... Wymknęła się, miła. Nagle go oświeciło. Oczy rozbłyły znajomym wściekłym blaskiem.

– Dobra, Jura, na dziś szabat – oznajmił.

– Że co? Szabat? – nie zrozumiał chłopak. – Taki jak u czarownic? Zapalimy ognisko, będziemy robić czary i... – Jura zaczerwienił się. Pomyślał o wszelakich seksualnych orgiach i innych czarnoksięskich bezceństwach.

– No tak, czarownice tak robią. Orgie i te rzeczy. Dlatego mają sabat. A ty i ja, poważni mężczyźni, mamy szabat. To po prostu koniec roboty, fajrant. I dziś, przykro mi, będzie bez orgii. Na razie, chłopie, do jutra. – Wstał, zarzucił strzelbę na ramię.

– A ty dokąd? – Jura nie wiedzieć czemu od czasu do czasu zapominał o „pan” i przechodził na „ty”. – Dokąd się wybierasz?

– Zajrzę do starych druhów. – Skinhead uśmiechnął się. – Spacerek dobrze mi zrobi po kolacji.

– A jeśli już dziś odjeżdżają? – rzucił Jura. Uber zmienił się na twarzy. – Skoro nie przyszli na obiad...?

2. Marta

W świetle latarki ukazała się przeszkoda na torach.

Na drodze drezyny stał człowiek. Ogolony na łyso, wysoki, barczysty i bardzo znajomy. Stał i nie zamierzał się odsunąć.

Drezyna niechętnie zahamowała. Iskry pogasły w ciemności. Młodszy mortus zaklął pod nosem. Drezyna zatrzymała się dwa kroki od człowieka na torze.

– To znowu ty, łyso? Nie masz rozumu? – odezwał się starszy mortus. – A może to już déjà vu?

– Mówią na mnie Uber. I mam do was sprawę.

Grabarze spojrzeli po sobie.

– I? – zapytał starszy.

Człowiek o imieniu Uber podszedł do przyczepki, na której leżały zawinięte w brezent i zabezpieczone taśmą klejącą ciała. Cztery ciała. W brezentowym opakowaniu wyglądały jak bliźnięta.

– Rozwijaj – polecił Uber.

– Co? A w ogóle kim ty jesteś?

– Przechodniem – odparł skinhead.

– No to sobie... przechodź.

Uber spojrział na niego, młodszy mortus zamilkł.

Starszy się zawahał. Był stary i doświadczony i w głębi duszy czuł, że to wszystko nie jest takie proste. Westchnął, pokręcił głową. „Jacy ci żywi niecierpliwi. Nie to co martwi”.

– Czego się chcesz dowiedzieć? – spytał.

Wieżli kokony zabrane z Obwodnego. Do dwóch, które już mieli, na stacji dodano dwa. Jeden to jakiś mężczyzna. Uber skinął głową. „Zdarza się”. Drugi...

A raczej druga.

Mortus rozsznurował brezentowe zawiniątko. Odsunął skraj i opuścił na bok. Uber zrobił krok, zatrzymał się. Nagle zlodowaciały mu ręce.

Noż, kurwa...

– Sam tego chciałeś – rzekł starszy mortus. Skinhead powoli przytaknął skinieniem. – To ona?

Uber przyjrzał się. Potem zmarszczył brwi, potrząsnął głową.

Wyprostował się.

– Tak. myślę, że ona.

Okazuje się, że cały czas miał nadzieję na co innego. Że ona żyje. Że będzie mógł wrócić do Miki, prowadząc jej mamę za rękę, i wszyscy będą „żyli długo i szczęśliwie”. Czasami tak bardzo chciałoby się być dobrym czarodziejem w tym okrutnym, odrażającym świecie.

W całunie leżała Marta. Dziewczyna z fotografii. Zaginiona mama Miki. Jeśli nie liczyć siniaków i ogromnej sonej plamy na pół twarzy, łatwo ją było rozpoznać.

– Od czego... – Głos nagle mu wysiadł. Uber odkaszlnął. Niespodziewanie naszła go ochota, żeby się spić, i to do tego stopnia, by usta napęły się śliną, a żołądek wywróciło. „Spokojnie – przykazał Uber swojemu własnemu smokowi. – Nie teraz”.

– Ej, chłopcze – odezwał się mortus. – Co cię tak wzięło...

– Od czego nastąpiła śmierć? – zapytał.

Starszy grabarz pokręcił głową. Nie wolno mu było tego mówić.

Uber podniósł głowę. Mortus cofnął się. W niebieskich oczach skinheada gorzało szaleństwo. I lodowata, okrutna wściekłość. Tacy nie odpuszczają.

„Właściwie mnie też to ciekawi” – pomyślał starszy grabarz. Po raz pierwszy od długiego czasu, pełnego monotonnej pracy, coś poruszyło się w jego duszy. Tajemnica. Ten niebieskooki szaleniec motywował lepiej niż dziesięć kopniaków w tyłek.

Niż sto.

– Echem... popatrzmy – zaproponował starszy mortus. – Pomóż – zwrócił się do młodszego.

– Nie wolno... – zaczął tamten.

– Rób, co ci każe.

Ciało było odarte z odzieży. Na piersi dziewczyny widniało zszyte byle jak rozcięcie w kształcie litery Y. To znaczy, że zrobiono sekcję zwłok, zrozumiał Uber. Interesujące, nie ma co.

Mortus przyjrzał się dziewczynie.

– Krwiaki, skaleczenia. Yhm, yhm.

– Bito ją? – zapytał Uber.

Mortus przytaknął skinieniem.

– Tak, i to bardzo mocno. Siniaki starsze i nowsze, niektóre nawet tygodniowe. Na nadgarstkach i kostkach ślady sznurów. Złamano jej kilka żeber.

– A to? – Uber wskazał straszną siną plamę na twarzy.

Mortus wzruszył ramionami.

– Nic nie znaczy. Po śmierci często pojawiają się plamy. Najprawdopodobniej upadła twarzą na posadzkę, już martwa. Ale możliwe, że nie.

– Zgwałcili ją? – Głos skinheada był zimny i opanowany. Tylko powietrze wokół niego zdawało się brzęczeć od napięcia. Jakby był na wskroś przeniknięty elektrycznością.

Grabarz zawahał się. „To się może zakończyć wielką jatką” – pomyślał. Westchnął i dokończył:

– Krwiaki na wewnętrznych powierzchniach ud. Porozrywana vagina. Rozerwany odbyt. Przypalenia na pośladkach. Możliwe, że od papierosów. Ślady rozcięć, niektóre zagnojone.

Uber zacisnął zęby, zachwiał się. Wysiłkiem woli utrzymał się na nogach. „Uratuj moją mamę, aniele”.

Smok, którego miał w środku, rozpostarł potworne skrzydła i wybuchnął śmiechem. „Zabij ich wszystkich”.

– Tak, zgwałcono ją bestialsko. Wiele razy. Pastwiono się nad nią.

– Zaginęła miesiąc temu.

– Widocznie przez cały ten czas żyło jej się... – Mortus próbował dobrać właściwe słowo – nielekkko.

Nielekkko, k-kurwa. Uber zacisnął szczękę do bólu. „Czemu nie trafiłem tu półtora miesiąca temu?! Czym niby, do ciężkiej cholery, byłem tak strasznie zajęty?!” Poczul wściekłość i oszalałą, niemożliwą do zniesienia pogardę dla samego siebie.

– Jak umarła?

– Najprawdopodobniej od uderzenia w tył głowy. Złamanie podstawy czaszki. Możliwe, że podczas próby ucieczki. Nie wiem.

– To znaczy... – Zawahał się. Jak ma to powiedzieć? Żeby nie pytać wprost o smoka. – Nie ma zwierzęcych śladów?

Mortus zamyślił się. Pokręcił głową.

– Jest parę ugryzień na ramieniu. O tu. Ale to wyraźnie ludzkie zęby. Dawniej

nazywano to „ukąszeniami namiętności”. Ale sam rozumiesz: wcale to nie oznacza, że namiętność była wzajemna.

Uber wypuścił powietrze przez zęby. Kiwnął głową. I odszedł.

– Dziękuję! – rzucił jeszcze przez ramię.

Grabarze spojrzeli po sobie.

– Chyba lepiej, żebyśmy się pośpieszyli – powiedział starszy z nich. – Szybciej.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ja tak mówię.

„Inaczej przyjdzie nam wieść co najmniej kilka dodatkowych trupów” – pomyślał mortus.

– Szybciej!

Drezyna szarpnęła, zazgrzytała i potoczyła się, nieśpiesznie nabierając prędkości. Podążyła tam, w ciemność tunelu. Na Cmentarz. Do domu.

3. Automatyczna sekretarka Boga

Dreńczony niepojętym zamętem myśli, dotarł do „Stukniętego Kraba”. Barman spojrzał na niego ze zdziwieniem, sięgnął po butelkę... Uber pokręcił głową: dzisiaj nie.

– Nie potrzebujesz wykidajły? – zapytał. Nie mógł się uwolnić od przygniatającego poczucia niepokoju. – Może być jednocześnie i tragarz, i pomywacz. Mogę nawet przyrządzić kotlety, jeśli trzeba. Na pewno da się nimi kogoś otruć. No jak, bierzesz? Spłacę przy tym część kredytu.

– Zobaczymy – odrzekł barman.

Przez dwie godziny Uber odpracowywał w „Krabie” swój dług. Nosił skrzynki, potem mył naczynia, następnie znów nosił. Ciężka robota oczyszczała umysł, wymiatała z głowy mgłę i męty. Uber aż się spocił, ale nie ustawał w pracy, działał jak automat.

I tak zastał go Krzywy.

– Widzę, że robisz zawrotną karierę – zakpił jednonogi stalker.

– Aha – przytaknął Uber, zarzucając sobie worek na ramiona. – Właśnie obserwujesz moje błyskotliwe wejście w stratosferę. – Zaparł się, dźwignął worek i poniósł.

Jednonogi, jednoręki i jednooki stalker mruknął coś sceptycznie i zwinnie przebiegł na swojej kuli, siadł na kupie worków. Przymknął oczy, zrobił wdech.

– Jak myślisz, czy ludzie często zwracają się do Boga z prośbami? – zapytał.

Uber wzruszył ramionami. Zrzucił worek na ziemię, wyjął z kieszeni koszuli skręty. Podał jednego Krzywemu.

– Ja nieczęsto. Jestem, kurna, ateistą. Pozostali najwyraźniej stale. – Przypalił Krzywemu skręta. Chińska zapalniczka już umierała, trzeba nią było długo potrząsać, a potem kilka razy krzesać, żeby otrzymać płomyk.

– Racja, ludzie stale proszą. I jak często dostają odpowiedź z góry? – Krzywy wypuścił dym.

Uber chrząknął.

– I o to mi chodzi – rzekł Krzywy. – Myślę, że ludzie proszą i proszą, ale zupełnie nie są gotowi.

– Na co mają być gotowi? – zdziwił się Uber.

Krzywy znowu mruknął.

– Prawda? A co, jeśli Bóg kiedyś odpowie?

Uber zamilkł, potarł sobie kark. Krzywy uśmiechnął się szerzej.

– Nie pomyślałeś o tym, no nie? Nikt o tym nie myśli. Wszyscy uważają, że będą żyć wiecznie i wiecznie narzekać, narzekać, narzekać. Prosić.

– Ja... niczego nie...

– Ale kiedyś ktoś się w słuchawce odezwie.

– Bóg?

– Możliwe – powiedział Krzywy.

– A potem przyjdzie?

– No, raczej nie sam. Prędzej przyśle kogoś w rodzaju ciebie.

Zapalili jeszcze. Potem Uber splunął, poszedł do „Kraba”. Wrócił z butelką siwuchy, rozlał na dwóch. Sobie tylko troszkę, Krzywemu do pełna. Wypili, chuchnęli, przekąsili.

– Tobie to łatwo – stwierdził Krzywy. Stary stalker już zdążył się wstawić. – Jesteś teraz młody i silny. I możesz każdemu z łatwością dać w mordę.

Uber chrząknął. Rozprostował dłonie, chrupnęły kości.

– Zgadza się.

– A co będzie – ciągnął starszy kolega – za dziesięć, dwadzieścia lat? Kiedy nie będziesz już taki młody i silny? Kiedy ciało zacznie ci odmawiać posłuszeństwa? Co będzie, jeśli zachorujesz albo zarobisz taką ranę, że nawet nie dasz rady podnieść ręki albo przejść choćby dziesięciu kroków bez zadyszki? Co wtedy?!

Uber zaśmiał się.

– No, wtedy będę robić tak jak ty.

– Tak jak ja? – zdziwił się Krzywy.

– Brać ludzi na litość. Dobra, dobra, wybacz, Krzywy. Żartuję.

* * *

Wyszedł barman, spojrzął na nich. I bez słowa wrócił. Nawet nie zauważyli.

– Myślę – mówił Krzywy – że Bóg się kiedyś zmęczył.

– Dobry początek – Uber uniósł kciuk. – A dalej?

– Wyobraź sobie, że nie miał już sił, żeby odpowiadać na prośby ludzi. Oto w odległym pokoju na obłoku stoi biały telefon. A obok niego siedzi specjalny anioł. I kiedy ludzie dzwonią, żeby prosić, błagać, jęczeć, grozić, żądać albo po prostu pogadać, ponieważ jest im samotnie, boleśnie i strasznie... Wtedy ten anioł podnosi słuchawkę i mówi...

Uber z zainteresowaniem przysunął się do Krzywego.

– Pij – ponaglił.

Stary stalker wypił i odkaslnął.

– I ten anioł mówi: dodzwoniliście się do Boga. Wasz telefon jest dla nas bardzo ważny. Boga w tej chwili nie ma, zostańcie na linii. Możecie nagrać wiadomość po sygnale dźwiękowym.

– Ciekawa koncepcja – przyznał Uber.

– Rzecz jasna, ludzie się złością, krzyczą, dopraszają. Ale anioł ich tylko słucha i zapamiętuje. Takie ma zadanie. Ten anioł ma na imię Automatyczna Sekretarka.

– Imiona aniołów to w ogóle niezły temat. – Uber pokiwał głową. – No, opowiadaj dalej.

– A wic polega na tym, że innych aniołów już nie ma. Firma się zamknęła. Został tylko ten jeden, bo go nie wzięli na wojnę. No i widzisz, to najmłodszy anioł, jego jedynym przydatnym talentem jest świetna pamięć. Uważa się, że Stwórca kiedyś zechce odsłuchać stare wiadomości. Dość mętna koncepcja, nie sądzisz?

– I co robi ten jedyny anioł?

– Pewnego dnia nie wytrzyma i idzie na Ziemię.

– Po co? – Uber uniósł brwi.

– Żeby odpowiedzieć na jeden jedyny telefon. Spełnić jedną jedyną prośbę. Od jednego jedynego człowieka.

– Ale to... niczego nie rozwiązuje?

– Zgadza się – potwierdził Krzywy. – Niczego nie rozwiązuje. Jedna prośba, jeden człowiek, jedna pomoc. Po prostu anioł nie może już dłużej słuchać tych błagań i niczego przy tym nie robić.

Uber kiwnął głową.

– Dobra historia. Chociaż bez finału. Co się stało z aniołem i czy udało mu się spełnić tę prośbę?

Krzywy napił się i rzekł:

– A czy to ważne?

– Może i nie – odparł Uber. Pomilczał chwilę. – Twoje zdrowie, Krzywy. Automatyczna Sekretarka Boga, niezła rzecz... masz pomysły.

4. Nanny

Namiot, ranek, zmartwienia, złe nowiny. Uber popatrzył na Nanny, ta zrozumiała, zmieniła się na twarzy. Potem wzięła się w garść. „Silna kobieta”.

– Mika, idź po wodę – powiedziała. – Masz butelkę. Tylko uważaj na siebie.

Dała dziewczynce plastikową butelkę. Mała odwróciła się, spojrzała na Ubera i pobiegła. Uber rozejrzał się po namiocie, zatrzymując wzrok na rozłożonych motkach włóczki. Druty, jakiś stary, pożółkły rysunek techniczny. Albo wykroj? „Burda Moden”, przeczytał. No jasne. Wydawali ten magazyn czterdzieści lat temu. Czego to na świecie nie było. Odwrócił się. Nanny stała pośrodku namiotu zagubiona i zła, trzymając w rękach czarną sukienkę.

– Przykro mi. Pani córka nie żyje... – powiedział, ale zanim skończył, przerwano mu ostro:

– Mika nie jest moją wnuczką!

Zawahał się, potarł sobie kark. W niektórych kwestiach ostrożności nigdy dość. A tu pewnie wciąż jej za mało.

– Myślałem... – zaczął. – Przykro mi – powtórzył.

Nanny przełożyła sukienkę z jednej ręki do drugiej. Potem rzuciła ją na pryczę. Dla Miki za duża, stwierdził Uber. A dla Nanny – trochę za długa. Więc dla kogo? Zawahał się. „Znasz odpowiedź”.

– My... ja... – zająknęła się Nanny, urwała. Zamilkła, potem podniosła głowę i wbiła wzrok w Ubera. – To jej sukienka. Uszyłam dla niej.

Uber przestąpił z nogi na nogę. Chciał coś powiedzieć, lecz nagle uświadomił sobie, że jego zwykle błyskotliwa elokwencja gdzieś się zapodziała.

Jej sukienka. Sukienka Marty. Mamy Miki.

– Nigdy jej już nie założy – powiedziała Nanny.

– Ch-cholera – mruknął Uber. Zerwał się, powstrzymał, znowu usiadł. Nie do zniesienia.

Nanny nie odezwała się. Potem odwróciła się do niego i ostrym palcem dźgnęła go w pierś.

– Posłuchaj pan, jak panu tam? – zaczęła ostrym, podniesionym tonem. – Uber? Jakieś nieludzkie imię.

– Nadludzkie – rzucił Uber. Nie chciał żartować, nie była na to pora. Ale przeklęty nawyk wyrwał się w nieodpowiednim momencie...

– A więc, Edwardzie – rzekła Nanny.

Uber chrząknął. Otworzył usta, żeby ją poprawić, ale spojrzał na Nanny i rozmyślił się. A ona wybuchnęła:

– I nie ma co chrząkać! Rozchrząkał się... Mówię prawdę.

Uber przez chwilę milczał.

– Cały zamieniam się w słuch, Farido Dani... przepraszam, Natalio Wasiliewno – zapewnił poważnie. – Cały w słuch. Proszę mówić.

I Nanny rozgadała się – najpierw z podejrzeniem, że się z niej nabijają, a potem się rozkręciła.

– Więc słuchaj, łysy! Jej matka... ledwie się znałyśmy. Ledwie się znałyśmy – powtórzyła, pokręciła głową. – Poprosiła, żebym przypilnowała jej córki, Miki. Powiedziała: ani się pani obejrzy, ciociu Nataszo, jak wrócę. Jedną nogą tu, jedną... – Nanny przerwała sama sobie, po czym dodała poważnie: – i oto teraz oglądam się po raz tysięczny, straciłam rachubę tego, ile razy się oglądałam, a jej wciąż nie ma.

Zamilkła. „Jakie nieznośne milczenie” – pomyślał Uber. Jakby na świecie nie starczało powietrza.

– Dlaczego? – spytał.

Nanny, jakby zapomniała o jego obecności, zaczęła zbierać zabawki, składać rzeczy, mamrotać:

– Nie mogę ścierpieć tej dziewczynki! W ogóle nie mam do niej cierpliwości! Co za nieszczęście z tej małej! – Nagle ostro odwróciła się do Ubera. Twarz jej się wykrzywiła. – Biedactwo. Biedactwo. Biedactwo. Miała wyjechać na

Zwienigorodzką. I już stamtąd sprowadzić nas z Miką. Narzeczonej Martoczki by nas zawiózł.

– Chcieli ją dać smokowi – wtrącił Uber w zakłopotaniu. – Tak mi powiedziano.

Nanny przecząco pokręciła głową. Nie. Zupełnie nie tak.

– Miała dotrzeć do stacji... i zawiadomić nas, kiedy się urządzi. A narzeczonej Marty miał jej potem przyprowadzić córkę. I mnie. Ja też chciałam wyjechać. Nie wierzyłam, że wszystko się uda. A ona była pełna nadziei. Głupiutka. Głupiutka. Prześliczna i głupia.

Uber zawahał się.

– Kim on jest? – spytał ochryple.

– Jak to kim? – zdziwiła się Nanny. – Przecież włóczy się z tobą cały czas. Jak wyskubany ogon.

Uber zastygł, jak gdyby dostał pięścią w brzuch.

– Że jak?!

– Nie wiedziałeś – zauważyła Nanny ze zdziwieniem. – Narzeczonej Marty to ten matolek Juroczka Lejkin, Duralejkin. Widać, nie jesteś taki bystry, łysy, jak ci się wydaje.

– Kurwa – mruknął Uber. Nagle niewiarygodnie mocno zachciało mu się chlać.

„Mam własnego smoka”.

– Dlatego nie chciałam mówić... – zniżyła głos – ...przy Mice.

Skinhead zawahał się.

– Rozumiem.

– Myślałam, że ona tam żywa i szczęśliwa. – Nanny wyglądała na małą i zagubioną. – Że się po prostu długo nie odzywa.

Cholera.

Uber niezdarnie podniósł się z miejsca. Stał chwilę zgarbiony. Tkanina namiotowego sufitu wygięła się na jego plecach i głowie.

Potem zrobił krok w stronę Nanny i objął ją. Mocno, do bólu.

– Przykro mi – powiedział.

Nanny szarpnęła się... ucichła.

– Będzie najpiękniejsza w tej sukience – rzekł Uber. – Naprawdę. Wybrała pani najpiękniejszą sukienkę. Dla najpiękniejszej narzeczonej na świecie.

Nanny drgnęła i rozplakała się.

5. Pióro anioła 4

– Twoja mama nie żyje, boberku. Teraz już wiem na pewno.

Mała nie odezwała się. Twarz miała wymizerowaną. „Dlaczego, do ciężkiego diabła, niczego nie mogę zmienić?!” – pomyślał. Policzek mu drgnął.

– Mika, ja...

– Wypełniłeś zadanie – powiedziała dziewczynka.

Uber wzdrygnął się. Mika wyciągnęła rękę.

– Proszę. Obiecuj, że nie zgubisz. – Rozwarła palce.

Uber spojrział. Na małej różowej dłoni spoczywało czarne pióro. Stare, brudne i prawie łyse. Uber milczał chwilę. „Cholerne pióro”.

– Może lepiej ci je zostawię? – Popatrzył dziewczynce w oczy, zrozumiał. – Dobrze. Świetnie, siostrze. Będę je chronił.

Nadstawił dłoń. Mika ostrożnie, chwytając dwoma palcami, położyła piórko na wielkiej, szorstkiej dłoni skinheada. Zgięła jego palce jeden po drugim, by powstał „koszyczek”. Wszystko jak należy. Uber skinął głową.

Mika patrzyła na niego bez uśmiechu. Bardzo mała i bardzo zmęczona. Jakby na jej ramionach leżał cały ciężar świata. Uber poczuł wyrzuty sumienia. Dziewczynka powiedziała poważnie:

– Teraz możesz wrócić do nieba, aniele. Tylko...

– Co tylko? – Czekał.

– Tylko nie odlatuj beze mnie. Obiecujesz? No, proszę!

Patrzyła na niego, czekając odpowiedzi. „Co my robimy z dziećmi”. Jesteśmy odpowiedzialni za tych, których oswoiliśmy, jak powiedział Mały Książę. „A może ta dziewczynka oswoiła ciebie, cholerny stary lisie?” Uber odkaslnął, odpowiedział ochryple:

– No, tak. Aha. Obiecuję.

Wyciągnął rękę, pionowo trzymając dłoń do uścisku.

– Umowa stoi.

Mała pokręciła głową. Uber uniósł brwi.

– Nie?

Mika wyprostowała się, popatrzyła na skinheada z dołu.

– Zrób palcami o tak. I obiecaj. Powiedz: przysięgam, przysięgam.

Uber uśmiechnął się. A jednak to jeszcze dziecko. Ułożył palce, jak mu pokazała.

– Przysięgam... ee. Przysięgam. Co właściwie przysięgam? – zapytał. Było w tym coś bardzo uroczystego. Uber aż się zdenerwował.

Dziewczynka powiedziała poważnie:

– Przysięgnij, że zabierzesz mnie z sobą do raju. Do nieba.

Uber uniósł brwi. Jednakże.

– Ale... hmm. To zupełnie nie to, co zazwyczaj obiecuję kobietom. A małym dziewczynkom, takim jak ty, tym bardziej.

Mika go nie słuchała. Złożyła dłonie w czarkę i uklękła. Tak jak stała, wśród żwiru i odłamków zabawek. Zaczęła mówić, a Uberowi przebiegł po plecach dreszcz. Małe dziewczynki tak się nie modlą. Nie powinny.

– Boże, jesteś w niebie, świeć się imię Twoje. Niech rentgeny Twoje pozostaną z Tobą, a Ty broń nas od nich.

Uber ruszył w jej stronę, zatrzymał się. Nagle nie było mu już do śmiechu.

– Co za cholerstwo.

Mika, przerywając modlitwę, odezwała się zmienionym głosem:

– Prosiłam Boga, a On zesłał mi ciebie.

Uber podrapał się po czole, pochylił się i popatrzył dziewczynce w oczy. Do diabła, ona to wszystko na poważnie. Nie, to już przesada. Uśmiechnął się lekko.

– Nie powiem, że bardzo się cieszę, kiedy mnie posyłają. Tiaa... A co jeszcze powiedział?

Mika zamruwała. I jakby się wybudziła z proroczego transu, znów stała się zwyczajną dziewczynką.

– Kto?

Teraz była o wiele bardziej sympatyczna. Uber z pełną powagą pokiwał głową.

– No, mój szef.

– Szef? – Mała rozdziawiła buzię.

„Ech, ty, mikrobie”.

Uber bez słowa pokazał palcem do góry, na sufit. Zachował poważną minę, ponieważ z poważną miną żarty wychodzą znacznie śmieszniej.

Oczy Miki rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Bóg?

– Właśnie – potwierdził Uber.

Mika zadumała się srodze, po czym przyznała uczciwie:

– Powiedział, że jesteś nie bardzo dobrym aniołem. Popapranym.

Uber chrząknął. „No co, łysy? Masz za swoje”. Z dziećmi nie wygrasz.

– Zgadza się. Nie bardzo dobrym.

Mała kiwnęła głową.

– Ale powiedział też, że możesz się stać lepszy. Jeśli się postarasz – dodała z powagą.

Uber uśmiechnął się, ale zaraz wrócił do poważnej miny.

– To prawda? – Wcielenie powagi.

– Jeśli się bardzo, ale to bardzo... bardzo-bardzo-bardzo mocno postarasz!

Pauza.

„Kurna – mruknął Uber w duchu. – Przepraszam, Mika, przepraszam”.

6. Smok

Uber nie skierował się do namiotu służącego na Obwodnym za garkuchnię i bar, tylko ulokował się niedaleko. Tak, żeby widzieć wejście. Dzisiaj trzeba było długo czekać. Mamed pojawił się dopiero około północy, kiedy Uber wypalił już połowę swojego zapasu tytoniu.

– Ej! – zawołał niegłośno skinhead.

Mamed odwrócił się – i zmienił się na twarzy.

– Chcę pogadać – wyjaśnił Uber. – Zapalimy?

Tym razem Mamed był znacznie bardziej bojaźliwy i jednocześnie dosadny w słowach.

– Stacja? A co to za stacja? – Wypluł drobiny tytoniu. – Toż to już smoczy raj, sadzyk dla złapanych ryb.

Uber odwrócił głowę.

– A co się tu właściwie dzieje?

– Ale nie mogę...

– Dawaj swoimi słowami. Ludzie giną?

Mamed zawahał się. Po czym niechętnie przytaknął.

– Znaczy giną. – Uber pokiwał głową. Zastanowił się, przykucnął. Przesunął dłonią po posadzce. Popatrzył na dłoń, wzdrygnął się. W pewnym momencie zdało mu się, że na granicy widzi krew Marty. Podniósł się, otrząpął ręce.

– Mów dalej – zachęcił.

W wilgotnym powietrzu powoli rozchodził się zapach kiepskiego tytoniu. Siwe kłęby rozplływały się w ciemności i znikwały. Jak znikają w ciemności tuneli ludzkie życia. „Bez śladu” – pomyślał Uber.

– Chcę... zrozumieć – dodał.

– Też mi, znalazł się detektyw! – prychnął Mamed.

Milczenie. Ulatujący w ciemność siwy dym.

– W sumie masz rację – przyznał powoli Uber. – Detektyw ze mnie taki sobie. Tylko pić whisky, słuchać bluesa i dostawać po mordzie... O, i jeszcze chodzić w płaszczu w ulewnym deszczu! A prowadzenie śledztwa to już nie moja specjalność. – Zamyślił się, uśmiechnął. – Umiem za to coś innego... Uwielbiam wszystkich prowokować. Taki mam styl. To moja supermoc.

– Niby że jak?

– Po prostu trzeba wystawić się na strzały. I patrzeć, kto będzie strzelał.

Mamed podumał nad tym.

– Przecież cię zabiją – rzekł w końcu z niedowierzaniem.

Uber zaśmiał się niewesoło.

– A niech to. Wiedziałem, że jest jakiś haczyk.

* * *

– Smok przecież nie istnieje? – dopytał Uber. – Zamiast niego jest... nie wiem, człowiek... sekta. Banda. Tak?

– Nie – odparł Mamed.

– Nie? – zdziwił się Uber. Możliwe, że dawno to podejrzewał, ale po prostu nie chciał uwierzyć. Ateistom zawsze trudno w takich sytuacjach.

– Mylisz się – stwierdził Mamed. – Smok jest, i to tuż obok.

W ciemności tliły się resztki dawnych Uberowych papierosów. Po peronie za plecami Ubera i Mameda ktoś przeszedł. Skinhead roześmiał się.

– Co? – obruszył się Mamed.

– Wciąż miałem nadzieję, że to zwykła metafora... i że wystarczy zabić jednego człowieka, żeby to wszystko zakończyć.

Uber zastanowił się. „Jakoś wszystko dziś idzie nie tak” – pomyślał.

– Innymi słowy, smok jest całkowicie realny? – zapytał jeszcze raz.

– Tak. To bestia z krwi i kości. Wątpiłeś w to?

Uber poskrobał sobie szramę nad brwią, pomilczał chwilę.

– Break! – orzekł. – Potrzebuję przerwy.

– Uber, co ty robisz?

– Łamię swoją rzeczywistość o kolano. To nie takie łatwe, jak się wydaje.

7. Mówi mer

– Czego pan chce? – Uber nie miał czasu. Wezwanie od mera odrywało go od poszukiwań. – Pracuję nad pańskim zleceniem.

– Nie trzeba.

Uber wolno odwrócił głowę. „A oto pierwszy strzał”.

– Co? – spytał spokojnie.

– Zlecenie zostaje odwołane. Droga wolna. Doniesiono mi dziś, że stacja Zwienigorodzka pozbyła się zarazy. Możesz iść – rzekł mer. – No, na co czekasz?

Uber milczał.

– Na zapłatę?! – uniósł się mer.

Wstał, otworzył szafę. Wyjął i rzucił na stół dwa magazynki.

– To twoje naboje. Tak jak się umawialiśmy.

– A...

– Do śrutówki. Jaki masz kaliber? Dwunastkę?

– Tak, ale ja... – Uber nie zdążył dokończyć.

Mer wysypał z pudełka na stół plastikowe pociski. Nie liczył. Małe czerwone walce potoczyły się po stole, jeden spadł na podłogę. Uber powiódł za nim wzrokiem, podniósł głowę. Mer patrzył na niego z otwartą nienawiścią.

– Po prostu bierz się stąd – naciskał szef stacji. – Nie jesteś tu mile widziany. Jesteś zbędny, wszystkim przeszkadzasz.

– Zabito dziewczynę – powiedział Uber. – Rozumie pan to?

– I co z tego? Dwa kilometry tunelem stąd, na Zwonie, mają sto dwadzieścia trupów, kobiety, dzieci, starszankowie, mężczyźni, psy, koty, kogo chcesz, do wyboru. Jest kogo żałować. Po co się tu płaczesz?!

– Chce pan, żebym sobie poszedł?

– Tak.

Uber w zadumie przeszedł się po gabinecie. Na krótką chwilę zatrzymał się przed obrazem Ajwazowskiego, potem przed niedźwiedziem.

– No i co postanowiłeś? – rzucił z rozdrażnieniem mer.

Skinhead puścił do niedźwiedzia oko.

– Masz rację – zwrócił się do niego. – Tak, mogą mnie postawić tu obok ciebie... A moje wypchane truchło nie będzie tak... sympatyczne.

– Uber, co ty robisz? – wycedził mer cicho.

Skinhead opędził się od niego ręką.

– Nie przeszkadzaj. Rozmawiam z kumplem... Też byłeś waleczny? – zapytał wypchanego niedźwiedzia. – Kiwnął głową, jakby otrzymał odpowiedź. – Niewystarczająco waleczny? – powtórzył.

Pauza. Uber wyraźnie się przysłuchiwał, a zwierz opowiadał.

– Tak, zgadzam się – ciągnął powoli skinhead. – Jaki byś nie był waleczny, i tak możesz przegrać. Rozumiem cię...

– Uber! – Krzyk zawisł w powietrzu.

– Dziękuję – rzekł Uber do niedźwiedzia. – Bywaj, brachu.

Odwrócił się do mera. Ten cofnął się, widząc jego twarz. Uber zakołysał się na czubkach stóp.

– Myśli pan, że się wyniosę? – Zaśmiał się okrutnie. – Ni chuja! I tak się dowiem, kto zabił Martę... i mam wielką nadzieję, że to nie ty, mister ocipiały mer.

Strzelił okiem. Mer zamarł, sięgnął do szuflady w stole. Na pewno ma tam broń. Nagan. Uber czekał z uśmiechem.

Mer zabrał rękę.

– To nie ja. Zupełnie nie mam z tym nic wspólnego.

– Możliwe, że to nie ty – rzekł skinhead. Obrzucił mera niebieskim ogniem wzroku. – Ale i tak to odkryję. I mało kto się nie dowie. Żaden ze mnie pieprzony rycerz, jeśli tego nie rozumiesz, wasza merowska mość. Jestem zbir i cyniczny oprych. Dokładnie taki, jakiego chciałeś. Jestem kurewskim popapranym aniołem. I mam przy tym odpowiednie metody.

Trzasnęły drzwi.

Mer opadł bezsilnie na krzesło.

– Kurwa – powiedział beznamiętnie.

ROZDZIAŁ 8

1 Smok

Spotkali się jak poprzednio, przy wyjściu z gabinetu mera. Sołowiej w swojej niezmiennej kurtce stał na peronie, na głównej ulicy Obwodnego, szeroko rozstawivszy nogi. Niczym gospodarz. Wódz.

– A oto drugi strzał – rzekł Uber w zadumie. Podrapał się po brwi, rzucił okiem w lewo, w prawo. Nie, póki co tylko sam Sołowiej.

– Co? – nie zrozumiał Sołowiej.

– Nic.

– Myślę, że lepiej ci będzie wyjechać – powiedział łagodnie Sołowiej. – I zapomnieć o wszystkim, co się tu zdarzyło. To moje ostatnie i jedyne ostrzeżenie. Tylko dlatego, że cię szanuję. Doceń to.

– Doceniam.

Uber znowu popatrzył na sygnet na palcu Sołowieja. Jakiś święty. No oczywiście, oczywiście. I nagle się zezłościł.

– A teraz powiem, co ja myślę. – Wyprostował się. – Myślę tak: nie ma żadnego pradawnego potwora. Wszystko to pic na wodę i ściema. Wiele razy miałem do czynienia z potworami, jeden paskudniejszy od drugiego, i za każdym razem za mistyką ukrywała się ludzka podłość, tchórzliwość, żądza i okrucieństwo. Najgorszym potworem na ziemi jest człowiek. I pod ziemią. I w niebie. I w oceanie. I, do kurwy nędzy, jeśli są nad nami jakieś niebiosy, a pod ziemią piekło, to tam też najstraszliwszą bestią okażą się znani nam dwunożni... I żaden pieprzony, kurewski smok nawet koło tego nie leżał.

– Świetna przemowa – zauważył Sołowiej. Jego głos zabrzmiał jadowniczo rzeńsko. – Aż się zasłuchałem. Tylko w jednym nie masz racji, Uber. Smok istnieje. Skurwiel, jest obiektywną rzeczywistością. Która żre i żre. Do tego sra do diabła i trochę.

– Więc czemu go nie zabijecie?

– A po co? – Sołowiej uśmiechnął się krzywo. – Karmimy go, smok jest szczęśliwy, sprawia, że wszyscy na stacji są szczęśliwi i zadowoleni. A jeśli wszyscy są szczęśliwi i zadowoleni, dobrze pracują. Życie jest piękne.

– Kto dokładnie go karmi? – spytał Uber.

Sołowiej wyszczerzył się w uśmiechu. W jego oczach zapłonął zły ogień.

– Jak myślisz, dlaczego krzyczą „mer”, a nie „Sołowiej”?

– Mer! Mer! – rozległo się gdzieś jak na zawołanie.

Sołowiej lekceważąco machnął ręką. Uber zmrużył oczy, policzek mu drgnął.

– Więc czemu sam go nie zabijesz?

– Wciąż jeszcze nie rozumiesz – rzekł Sołowiej z cicha. – Smok jest tutaj. – Podniósł rękę i zgiętym palcem postukał się w skroń. – Czujesz jego obecność w każdej chwili i każdej sekundzie. Czy smok śpi, czy nie, czy jest wesoły, czy smutny, wszystko zamyka się tutaj. Dosłownie siedzi ci w głowie, na ciepłym legowisku, w najciemniejszej jaskini. Gdzieś tam koło potylicy. A kiedy smok zgłodnieje... czujesz jego głód jako swój. Do pomrocności oczu. Nie żartuję. A kiedy sobie poje i jest zadowolony... nie da się tego z niczym porównać. To jak orgazm. Jak zrobić sobie dobrze i skończyć. Tylko sto razy silniejsze. Tysiąc razy.

Uber w zadumie zakołysał się z pięt na palce, podrapał się przerośniętymi paznokciami po ramieniu. Miał na nim tatuaż – skrzyżowane sierp i młot w otoczeniu wieńca laurowego. To znaczy, że od samego początku smok był gdzieś blisko – może za tamtymi zamkniętymi zardzewiałymi drzwiami. I jednocześnie we wszystkich głowach. W głowach wszystkich ludzi na tej stacji... U Miki też? Nanny?

– Czemu ja tego nie czuję? – spytał.

– Nie wiem – odparł Sołowiej. – Możliwe, że po prostu jesteś za tępy.

Uber kiwnął głową.

– Normalna opcja.

– Kogo ty chcesz uratować, co? Ich? – Sołowiej splunął. – Zrozum, im tego nie trzeba. Siedzą na smoku. Na jego marzeniach i snach, jak na narkotyku.

– Wiesz – powiedział Uber – możliwe, że nie w tym rzecz. Ja po prostu nie wpuściłem smoka. A ty wzięłeś i go wpuściłeś... Możliwe, że wasz smok jest jak te wampiry ze starych filmów.

– W sensie? – Sołowiej nagle stracił swój kaznodziejski zapach. Odsunął się o krok, sięgnął po obrzyna.

– Nie mogą wejść bez zaproszenia. Tak jak smok.

2. Smok wybiera ofiarę

Uber gwizdnął cicho.

– A są jakieś kryteria... no, nie wiem. Najładniejsze dziewczyny, najsilniejsi młodzieńcy składani w ofierze?

W oczach Mameda coś mignęło, źrenice się rozszerzyły. Prawie szeptem zapytał:

– Skąd wiesz? O ofierze?

Uber poruszył głową, chrupnął kręgami, rozprostował ręce. Wszystko okazuje się gorsze, niż myślał. Nie przypadkowa bestia, która jakimś cudem trafiła do metra i urządziła sobie na Obwodnym Kanale teren łowiecki... lecz celowo oddawane mu ofiary. Składanie ofiar z ludzi. Uber splunął. Na języku czuł posmak krwi i kwaskowaty, cierpki – popiołu. Zapalić by...

– Więc jest zasada wyboru? – „Mama była ładna”. Zacisnął zęby. – Weź się w garść. Czekam.

– Nie wiem. Ja...

– A kto wie?

Mamed zawahał się. Twarz mu błyszczała od potu. „No, dalej. Masz prawie dwa metry wzrostu. Bądź waleczny, dzygit”. Uber sam nie odczuwał tego lepkiego strachu, który gnieździł się w karkach i potylicach miejscowych, ale podejrzewał, że po prostu nie był doinformowany. I dlatego zachowuje optymizm i odwagę.

– Smok pojawił się kilka lat temu – powiedział Mamed. – Wszyscy wiedzą, że to on krzyczy. Ale nikt o tym nie mówi, wszyscy udają, że go nie ma. Słyszałeś go przecież?

Uber uśmiechnął się.

– Słyszałem waszego Pavarottiego... aha, dawaj dalej. Pojawił się i?

– Teraz żre wszystkich jak leci.

– Jak wygląda?

– Jest ogromny. Jak wagon metra. Sam go nie widziałem, ale wielu opowiadało. Opowiadają nam wszystkim, jak wygląda smok. Żebyśmy wiedzieli i bali się. Żebyśmy... nie wiem... czuli jego obecność. Mogli go sobie... wyobrazić cielesnie.

– Opowiedz mi o Marcie – poprosił Uber.

– Marcie?

– Marta. Mama Miki.

– A! Nic o niej nie wiem. Zazwyczaj karmą dla smoka zostają przyjezdni, tak prościej. Jeżeli ich nie ma, to wybierają najładniejszych. Popatrz tu. Nie chciałem pokazywać... ale...

Przed Uberem na kartce wyrwanej z zeszytu w kratkę rozwinął się nierówny rząd nazwisk i dat.

– Co to jest? – spytał Uber.

– Ostatni spis. Wszyscy, którzy zniknęli z Obwodnego w ciągu trzech miesięcy.

– I Marty tu nie ma? – dopytał Uber, gdy przebiegł oczami listę. – A więcej spisów nie zrobiłeś?

– Nie, to wszystko. Wiesz, i tak nie było mi łatwo.

– Jeżeli Marty nie ma na tej liście – zagadał powoli Uber – to gdzie jest? Dlaczego zginęła?

– Nie wiem. – Mamed zawahał się, pogładził sobie krótką brodę. – Mówią, że widzieli ją z synem mera.

– Wychodzi, że było tak: Marta poprosiła Nanny, żeby przypilnowała dziewczynki na czas, gdy ona się z kimś spotykała. A seks uprawiała? – Ubera nagle olśniło.

– Ale też masz pytania. – Mamed wzruszył ramionami. – Najprawdopodobniej. I to nie raz. Marta to bardzo ładna kobieta... była.

Uber poruszył szczęką.

– To znaczy, że gdzieś powinni się byli spotykać? Zrozumiałe. A syn mera... Chyba go nie widziałem. W ogóle kim jest?

– Jak to kim? – zdziwił się Mamed. Spojrzał na Ubera. – Przecież z nim teraz wszędzie chodzisz. Jura Lejkin to jego syn.

Uber rozdziawił usta. Zamknął.

– Oż, kurna. Ale ze mnie ćwok.

* * *

Jura Lejkin zamknął oczy. Odchylił się na kołdrze – starej, przybrudzonej. Od kołdry szedł przyjemny, dobrze znany zapach zmęczenia i czegoś nieco wstydliwego. Czym jeszcze zajmować się pod kołdrą?

Przypomniał sobie, jak patrzył na Martę – była starsza, dużo starsza i bardzo ładna.

Kiedy zniknęła, stracił sam siebie. Trzy tygodnie i już nie pamięta jej twarzy. To najstraszniejsze. Wszystko umyka z pamięci.

A teraz zapomni się wszystko. I zniknie ten dziwny, dręczący ból w piersi; taki, jakby w środku coś chrupnęło i zostały odłamki szkła. I drżą, i zaczepiają o serce, ranią. I oddychać się nie da, a łzy duszą i toczą się, toczą.

– Jura – rozległ się znajomy głos. Przyszedł Uber. – Jesteś tu?

3. Ojciec i syn

Klitka Jury znajdowała się pod peronem – w jednej z typowych mieszkalnych komórek. Mieszkał tu bez sąsiadów – przywilej syna mera. I to bodaj jedyny.

Kiedy Uber powiedział mu to, czego się dowiedział o śmierci Marty, chłopak zbladł.

– Mój ojciec jest dobry – zapewnił. – Nie powinieneś go zabijać. Proszę, nie rób tego.

Trzeba było powiedzieć, że nie zamierzał, ale Uber zmilczał. Nie chciał dziś kłamać. Nie bardziej, niż to konieczne.

– Dlaczego uznałeś, że go zabiję? – spytał Uber.

– A może nie? Wszystkich zabijasz!

Uber zawahał się. „A oto prawda o tobie, cholerny skinheadzie. Jesteś tym, kto wszystkich zabija”. Na mgnienie zamknął oczy. Otworzył.

– Twój ojciec posłał Martę na śmierć – rzekł.

Chłopak pokręcił głową. Był blady jak śmierć. Oczy wielkie, wystraszone. Zagubione. Pod nimi wielkie ciemne kręgi.

– Nie, nie! Próbowałem ją ratować.

– Ratować? – Uber uniósł brwi.

– Wytypowali ją na wybrankę dla smoka. Ale ojciec... prosiłem go... o pomoc.

„No i masz – pomyślał Uber. – Jura prosił”.

– I on obiecał. Mieli ją odesłać na inną stację. Wszystko było gotowe. Pojechałaby. A ja potem... przyjechałbym do niej... nie wiem. Ale ona by była bezpieczna! Ja... ja...

– Nie jestem pewien, czy wszystko poszło, jak zaplanowano.

– Wszystko przez Sołowieja! To wszystko on! Mój ojciec... on nie mógł... nie zrobiłby...

Uber nie odezwał się.

– Powiedz coś – poprosił Jura żałośnie.

– Wybranka smoka – wycedził wolno Uber, czując, jak na języku zostaje miedziany posmak. – Więc tak to tu nazywali. A to oznacza... – Zawahał się. – Wiesz, co to jest szoarma?

– Jedzenie – odparł chłopak. Ręce mu się trzęsły tak mocno, że wypadł z nich pistolet. Z oczu popłynęły łzy.

Uber pochylił się, podniósł broń i wsunął Jurze do ręki. Ten kurczowo wczepił się w zimny metal palcami. Do bólu. Skinhead spojrział na niego z góry.

– Przykro mi, chłopcze – rzekł.

– Ja... zapytam... to... niemożliwe. Żeby on mnie oszukał. Proszę. Chcę... zapytać...

– Ojca?

Jura kiwnął głową.

– Dobrze – zgodził się Uber. – Ojcom trzeba wierzyć. I dawać im drugą szansę. Tak uważam. – Podrapał się po czole. – Chociaż możliwe, że się mylę. Mam zaledwie trzydzieści trzy lata i mogę się przecież mylić? – Zawahał się. – Kto się, u ciężkiej cholery, nie myli, mając trzydzieści trzy lata?! – Odwrócił się, spojrział na krucyfiks na ścianie. – Ty, jak myślisz?!

Drewniany Jezus patrzył na niego ze współczuciem.

– No to milcz – skwitował Uber.

4. Mamed obiecuje pomoc

Stali na peronie niedaleko wejścia do „Stukniętego Kraba”. Tym razem nie zniżali głosu. Miejscowi omijali dwóch mężczyzn i wchodzili do klubu.

– Dalej? Co dalej?! – spytał Mamed. Oczy płonęły mu gorączkowo. – Co chcesz wiedzieć?

– Nie śpiesz się. Zaczynaj opowiadać od początku. Z samiuteńkiego początku. Podpowiem ci nawet, jak zacząć: Dawno, dawno temu w odległej galaktyce...

– Że jak?

– Mówię: opowiedz mi wszystko.

– Ale chyba nie tu?

– A gdzie? – zdumiał się Uber. Wyprostował się, rozejrzał. – Czyżby ci wszyscy dobrzy ludzie dookoła nie chcieli dowiedzieć się prawdy?! Ej, ludzie, chcecie znać prawdę?!

Oglądali się na niego. Miejscowi od czasu do czasu rzucali złym okiem, odwracali głowy i szli dalej.

– Smok żre ludzi! Tutaj, na stacji! Wszyscy żyjecie dla smoka! Słyszycie?!

Gapie rozbiegli się pośpiesznie.

Uber zwrócił się do Mameda.

– Widzisz? – powiedział spokojnie. – Wszystkim to zwisa. Kiedy trochę za głośno mówisz słowo „prawda”, przestają cię słuchać. Uważają, żeś stracił rozum. A wiesz czemu? Bo prawdziwa prawda nie lubi głośnych słów. Prawda brzmi pełnym głosem,

kiedy żyje w głowach, nie w słowach. Smok to zakuty łeb! Ohydny żółty robak!

Ludzie znowu się rozprasza.

– Cicho, żeż, krzykaczu. – Mamed się zasępił. – Mielesz ozorem, a mnie potem wykończą.

– Kto?

– Na pewno znajdzie się chętny.

– Ile osób zginęło? Szybko!

– Dwanaście. Myślę, że dwanaście.

Uber gwizdnął cicho.

– Mam listę zaginionych – przyznał się w końcu Mamed. – Z imionami i datami. Całkiem nową. Zrobiłem notatki, próbowałem zrozumieć...

„Zdaje się, że nie tylko ja bawiłem się w detektywa?” – pomyślał Uber. Skinął głową, wyciągnął rękę. Rzucił ostentacyjnie głośno:

– Dawaj.

– Nie tutaj.

Uber zastanowił się, opuścił dłoń.

– Dobra, zatem gdzie?

– Na Wołczce. Za dwie godziny – rzekł twardo.

Uber kątem oka dostrzegł, jak z boku mignął jakiś cień. Ktoś ich słyszał z ciemności.

Mamed, już odchodząc, odwrócił się, niezdarnie drgnęła mu ręka – jakby chciał pomachać na pożegnanie. Uber stał nieporuszenie.

ROZDZIAŁ 9

1 Sołowiej ostrzega

Nie przyszedł. Uber zawahał się, czujnie rozejrzał na boki. Czekał już ponad godzinę, Mameda wciąż nie było. Skinhead przeklinał sam siebie za błąd, głupotę, niezdecydowanie. Trzeba było iść z nim, pomyślał. Może wtedy Mamed byłby żywy.

Albo ja martwy.

Uber czekał. Możliwe, że ktoś podsłuchiwał ich rozmowę. Albo Mamed postanowił dać sobie spokój z Uberem – co byłoby głupie, ale możliwe. Ludzie często popełniają błędy.

Stacja Wołkowska, otoczona kolumnami, z ziemią napierającą z boków jak pod ciśnieniem. Oddano ją do użytku kilka lat przed Katastrofą. Ciemnoszary granit posadzki z geometrycznymi liniami do teraz wyglądał jak nowy, choć miejscami przysypany śmieciami. Ładnie tu. Sufity i ściany – pasy jasnej metaloceramiki powyłaziły z rowków, odpadły albo może zostały oderwane celowo, a za nimi była brzydka szara ściana, gołe tubingi poprzecinane siecią grubych, paskudnych jak dżdżownice, zarosłych kurzem przewodów. Ogólnie stacja była podupadła.

Presja oczekiwania stała się nie do zniesienia. Uber nasłuchiwał. Stał u wylotu prawego tunelu, dalej zaczynał się odcinek torów, tutaj był wąski pas peronu.

W oddali płonęły ognie stacji. Uber z przyzwyczajenia najeżył się od zimnej, przenikającej do szpiku kości peronowej wilgoci. Wyłączył latarkę i czekał w ciemności. Oczy się przyzwyczały.

Teraz nasłuchiwał i czekał.

– Ej! – zawołano z daleka. – Jest tam kto?

Uber nie odezwał się. W ciemności dostrzegł sylwetkę człowieka. Ale nie odpowiedział. Dlatego że nie był to głos Mameda. Z tembru zupełnie inny, taki z jedwabistą kadencją. Skąd ja go znam, ten głos?

– Uber, jesteś tu? – spytał tamten. Podniósł ręce do góry. – Nie mam broni. Mogę podejść?

Uber zawahał się.

Spokojnie wyjął kukri, przygotował się.

Nie weźmiesz mnie jak Mameda. Chociaż kto wie, jak zginął Mamed? Rzecz jasna, o ile zginął.

„Może wszystko jest prostsze, Uber? Wydymali cię”.

– Uber? – nalegał tamten.

– Podejdz – rzekł Uber. – Tylko powoli. Ręce trzymaj wyżej.

Człowiek ruszył do przodu. Nie opuszczał rąk.

– Uber – powiedział, będąc już całkiem blisko. – Mogę zapalić światło?

„I twoi ludzie podejda do mnie niezauważenie, bo światło mnie oślepi?”

Nie odpowiedział. Po chwili spytał.

– Gdzie Mamed?

– Nie wiem – odparł człowiek. – Pewnie na stacji. Nie zadaję się z nim. Czekasz na niego?

– Nie – odparł Uber.

– Światło... mogę...

– Tak.

– Opuszczam ręce, okej?

– Dawaj.

Człowiek opuścił ręce, pogmerał przy pasie. W następnej chwili, w tej samej sekundzie, gdy błysnęło światło, Uber zamknął oczy i miękko zrobił krok w bok, i jeszcze jeden – póki tamten stał oślepiiony własnym światłem. Przyklęknął na jedno kolano. Kukri przesunął na udo. Jednym ciosem z dołu do góry – i koniec. Zdaje się, że na Obwodnym robi się coraz niebezpieczniej.

Światło płonęło.

– Uber, nie widzę cię...

Uber odczekał sekundę i skoczył do przodu, na oślep. Wiedział, gdzie tamten stoi. Przewrócił go i przyłożył mu nóż do gardła. Potem otworzył oczy.

– Uber! – wychrypiął człowiek. – Nie trzeba!

To był Sołowiej.

– Po co tu przylazłeś? Gdzie Mamed? – spytał skinhead. Przed oczyma wciąż wirowały mu jaskrawe plamy.

– Nie wiem.

– Odnoszę wrażenie – wycedził Uber wolno i spokojnie, aż Sołowiej zamarł i wyprostował się – że wszyscy mnie tutaj próbują wydymać. Nie rób tego, przecież nie brakuje ci rozumu.

– Ja po prostu... – Sołowiej umilkł.

Uber niespodziewanie zobaczył, jak tamtemu z twarzy spelza maska, fałszywe oblicze. Sołowiej przestał udawać.

– Mamed cały? – spytał Uber.

Sołowiej wyszczerzył się w uśmiechu. Kark Uberowi zlodowaciał. Prawie już czuł, jak ktoś – Czeczen? Żółty? – celuje mu w potylicę.

– A jak myślisz? – odparł pytaniem Sołowiej.

– Szkoda. – Uber powoli obrzucił wzrokiem przeciwnika. – Co teraz?

– Między nami?

– Aha.

Sołowiej zawahał się. W pewnej chwili jego oczy zrobiły ledwie dostrzegalny ruch – lecz Uber zauważył. A więc, pomyślał. Jeden człowiek za moim lewym ramieniem. I zapewne ze dwóch z drugiej strony. Wszyscy niewątpliwie uzbrojeni.

Co takiego jest w zwyczajnym spisie? Co?

Przecież sam smok na Obwodnym to żadna tajemnica. A lista ofiar... Jak się

nagle o nią rzucili. Mamed miał rację.

– Chyba się tu zasiedziałeś – rzekł Sołowiej.

– Zdecydowanie.

– Nie pora na ciebie? Albo, mówiąc po staremu, wypierdalać na spotkanie słońcu? Uber wzruszył ramionami.

– Na Zwonie jest kwarantanna. Sam wiesz.

– Jak się tutaj dostałeś, tak się i wynieś.

Uber zaśmiał się.

– Naprawdę?

– Mogę ci dać wszystko, czego potrzebujesz. Filtry, kombinezon, wodę, prowiant, nawet mapę. I naboje znajdują się do strzelby.

Uber spoważniał. „Nawet naboje”.

– Dobra propozycja. – Kiwnął głową. Potarł sobie skroń. – Czego ode mnie chcecie?

– Żebyś sobie poszedł. I więcej nie mącił wody.

– A czemu na to naciskasz, Sołowiej? Nie bardzo jeszcze rozumiem. Nie prościej mnie zabić? Co?

Milczenie.

Sołowiej uśmiechnął się szeroko, rozłożył ręce.

– To zależy od ciebie. A w ogóle... Po co nam komplikacje i wzajemne wyrzuty? Jeśli możemy się dogadać...

Uber zniecierpliwiony wyłączył latarkę. Ciemność walnęła po oczach. Błyskawicznie przygiął się, zanurkował w bok. Strzał, nieco opóźniony, na mgnienie oświetlił wszystko. BUCH! Walnęło po uszach.

Uber zamknął oczy. Miętko odsunął się na bok. Włączył tryb stealth. Tak to się chyba nazywa?

W myślach wyrzył sobie obrazek, stop-klatkę, kiedy rozbłysk wystrzału rozświetlił ciemność.

* * *

Sołowiej, leżąc na podłodze, krzyknął:

– Nie strzelać! To ja! Który tam, kurwa, strzela?!

Podniósł się powoli. „Jeszcze tego brakowało, żeby mnie postrzelili swoi”. Ciemność. Uber zniknął.

Sołowiej rozejrzył się. Niczego nie widać. A Uber gdzieś tu był. „Możemy teraz oblecieć całą Wołkowską, a jego nie znaleźć”. A to wygolona zaraza.

– Uber, wychodź! – krzyknął Sołowiej. – Ty i ja możemy znaleźć wspólny język. Wiem o tym!

Cisza.

– Chybiłem! – zawołał Kazach o przydomku Jobanadżyc.

– Ty w ogóle to się zamknij, matole! – wrzasnął Sołowiej z wściekłością. – Gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Dureń. W ogóle po co strzelałeś?

Cisza. Wszyscy rozglądali się w napięciu. Promienie latarek śmigają po stacji.

Nagle Kazach krzyknął. Cienko, jakby przyduszony. Latarka poleciała gdzieś na bok. Wszyscy zwrócili się w tamtą stronę – nikogo. Kazach o przydomku Jobanadżyć, które dostał z powodu umiłowania tego powiedzonka, leżał na ziemi.

– Cholera! Gdzie się podział? – Sołowiej rozzłościł się. – Gdzie jest?!

– Nie wiem.

– Starczy wylegiwania się, kurwa.

Kazach siadł na podłodze, pokręcił głową.

– Uderzył mnie i uciekł. Zupełnie podły. Zły człowiek. Jobanadżyć.

– Wstawaj, debil. Gdzie masz broń?

Kazach rozejrział się.

– Nie mam.

– Co za jełop. Wstawaj, powiedziałem!!

– Jobanadżyć – mruknął smętnie Kazach i niechętnie zaczął się podnosić.

Sołowiej walnął go na odlew, tak że Kazacha uniosło nad ziemię i odrzuciło. Runął na peron, zajęczał. Pozbierał się z trudem.

– Dokąd, u ciężkiej cholery, mógł pójść? – mruknął ze złością Sołowiej. – No, dalej! Pomyślcie, debile!

2. Śmierć Mameda / Wiadomość w butelce

– Waleczni: oto moje plemię – wyrzekł Uber z cicha. – Moja krew.

Pochylił się, zamknął Mamedowi oczy. Mimo wszystko waleczność to interesująca cecha. Nieuchwytna.

W sensie: myślisz, że u tego człowieka nie ma jej i nie będzie, a on nagle okazuje się twardy jak kamień. Choć się zdawało, że miękki jak ciasto.

Albo odwrotnie.

„Wybacz, brachu. Przyszedłem za późno”. Kiedy do niego strzelono, Uber w ciemności skoczył w tunel, i biegiem, nie zwracając uwagi na bolącą nogę, dotarł na Obwodny. Spytał jakiegoś miejscowego, dokąd iść, i znalazł kłitkę Mameda – znajdowała się w służbowej bocznej odnodze. I oto jest.

Uber wyprostował się. Rozejrział.

Martwy „dobry Dagestańczyk” leżał u jego stóp. Żołnierz. Wszystko dookoła było porozwalane, jakby doszło tutaj do walki i zejścia lawiny jednocześnie. Mamed najwyraźniej walczył do końca. Pokoik był zbryzgany krwią. Połamano w nim absolutnie wszystko, od posiekanego na drobne kawałki krzesła – oto jego pogięta metalowa rama, cała w rdzy i odłóżającej farbie, oto drzazgi sklejk – do ostatniej rzeczy. Dookoła bałagan. Krew. Porozrywana odzież i szmaty. Odłamki szkła, rozsypana ziemia, rozwalony kwiatek w doniczce, podarty papier. Mamed mieszkał sam?

Uber przechylił głowę na ramię. Czego tak szukali?

Tego spisu, który Mamed obiecał Uberowi. Albo po prostu zabili chłopca niczym wściekłe dzikie zwierzę? Żyjące na wolności zwierzę.

Takich nawet na powierzchni prawie już nie zostało.

„Czasami myślę, że ludzie zasłużyli sobie na swój los. Czy jest w tym jakaś wyższa sprawiedliwość, co?” – pomyślał Uber.

Popatrzył na białą, pozbawioną życia twarz Mameda. Spokojną. W śmierci znalazł spokój. Możliwe, że czegoś chcieli się od niego dowiedzieć.

„Czekał na mnie” – pomyślał Uber. Niewykluczone, że zostawił gdzieś jakiś znak.

Zazwyczaj tak bywa w historiach detektywistycznych. Uber rozejrzał się. Ludzie często żyją wedle zasad telewizji, postępują tak, jak czytali lub widzieli w filmie. Nawet po upływie dziesięciu lat od końca cywilizacji. Ludzie umieją i lubią naśladować. Ta zdolność odegrała niepoślednią rolę w tym, że ludzkość przetrwała, wytrzebiła drapieżców i zajęła całą kulę ziemską. No, zanim unicestwiła ją w cholera.

Uber odczuwał dziwny, drażniący sumienie niepokój. Jak gdyby to on był winien śmierci Mameda.

No bo kto inny? Nieś swoją odpowiedzialność jak sztandar. „Jesteśmy odpowiedzialni za tych, których oswoiliśmy”. Przepiękny i gorzki Saint-Exupéry. Mały książę i świat dorosłych.

Uber spostrzegł, że Mamed ściska coś w lewej ręce. Zdaje się, że kiedy tamci poszli, pełzł – z połamanymi nogami i palcami. I prawie dopełzł.

Uber przykucnął, podniósł latarkę, poświecił we wskazanym przez Mameda kierunku. Żółta plama padła na ścianę. O tutaj.

Uber wstał. Poszedł w to miejsce. Znowu rwało go lewe kolano – cholera, nie w porę. Teraz przydadzą mu się wszelkie rezerwy organizmu.

Doszedł do ściany. Szary beton, po ścianie idą zardzewiałe rury, znikają w ciemności po lewej i po prawej. Co tu takiego może być?

Przesunął latarkę z góry do dołu. I z powrotem. Nic. Wisi tylko krzywo zardzewiała tabliczka „Nie palić”. Rury, rury, przewody – ze zwisającą girlandą szarego kurzu.

Stop. Wrócił promieniem latarki do tabliczki. Zgadza się, jeden nit wyjęty. Uber kucnął, położył latarkę na podłożu, ta poturlała się.

Wziąć tabliczkę obiema rękami?

Czemu nie.

Podważył brzegi palcami, zaparł się – natężył siły... raz, dwa, trzy... Oderwał tabliczkę od ściany. Prask!

Tabliczka wygięła się, ale została mu w rękach. Uber uniósł brwi.

– Świetnie – mruknął.

Za tabliczką była nieregularna czarna dziura. Sięgała w głąb ściany. Ostrożnie wsunął tam dłoń. Namacał i wyjął...

Co to takiego? Jeszcze zanim wyciągnął rękę ze zdobyczą, Uber wiedział, co trzyma. Butelkę whisky.

Wspaniały łup, pomyślał. Wziął butelkę, zakołysał nią w powietrzu. Świetnie. Tylko czy tego szukałem?

Ale ciepło w piersi i obmierzłe, nieprzyjemne uczucie – zaczęły się jednocześnie. Jednak czy to warte śmierci? Pokręcił butelkę w rękach, otarł kurz. Jeśli jest kurz, to znaczy, że flaszkę schowano tu bardzo dawno.

Nie za ostatnim łykiem whisky pełzył Mamed, przewyciężając potworny ból? Co chciał mi powiedzieć?

Uber poświecił latarką. Okrągła, przysadzista. Pół litra „White Horse”. Biały koń. Kiedyś uważano ją za taką sobie whisky. Teraz to jedna z najlepszych.

Uber przeczytał etykietę, mając nadzieję, że zanotowano na niej coś, co da mu wskazówkę. Ale nie. Zwyczajna butelka, zwykła etykieta. Czterdzieści procent.

Odkręcił zakrętkę. Osłona korka cała, a plastik prawie pokruszył się w rękach. Uber wyrwał korek z pyknięciem.

Powąchał. Tak, whisky. Ten sam zapach. Gorycz i torf. Smok w jego wnętrzu podniósł głowę i zrobił wdech.

Uber zawahał się. Złość, lodowata wściekłość przenikały go na wskroś. Wiedział, że w chwilach, kiedy jest zły, alkohol działa jak wzmacniacz; nie umniejsza, a wręcz przeciwnie, koncentruje nienawiść i okrutny gniew. Nie daje żadnej ulgi, żadnej łagodności. Zapomnijcie o tym słowie. Tylko pierdolony hardcore.

Uber podniósł butelkę do ust i pociągnął łyk.

Whisky wlała mu się do wnętrza jak do studni. Przymknął oczy, czując, jak napitek leci w dół w zupełnej, potwornej ciemności... i wtem zapalił się i powoli rozgorzał ogniem, rozświetlając Ubera od środka. Jak gwiazda supernowa. Uber prawie poczuł, jak niewidoczne światło płynie strumieniami z jego oczu, oświetlając wszystko dokoła. Całe to ogólnoświatowe zasaństwo. I zniszczenie. Ludzką nienawiść, zawiść i podłość. Wypala je jak promieniem laserowym.

*Ziemia drwi ze mnie z sarkazmem:
Ubrania żebracze strząś
I przeobraź się w jasną gwiazdę...*

Uber pociągnął jeszcze łyk.

...ogniem przenikniętą na wskroś¹⁹

Potem wstał.

Zdaje się, że był gotowy. Rozprawić się z czymkolwiek, *yeah!*

Zrobił krok. Pod nogą coś brzęknęło. Uber spojrzął w dół, przyświecił sobie latarką. Tabliczka „Nie palić”. Wyszczrzył się w uśmiechu. Przewrócił ją czubkiem buta, ruszył dalej... i zatrzymał się.

Lśnienie w jego głowie stało się przerażające. I nagle niezrozumiałe kawałki ułożyły się w jedną całość...

– Pomogę ci – powiedział wolno Mamed. – Czuję, że tego pożałuję.

– Najprawdopodobniej.

– Zabiją nas?

– Bardzo możliwe. Taki już los bohaterów: zasłaniać ciałami otwory strzelnicze.

– Ale pomogę – obiecał Mamed.

„I oto wyniki”.

Uber wrócił, schylił się i podniósł pogiętą blaszaną tabliczkę.

3. Sołowiej i smok

Sołowieja nikt nie uczył muzyki, choć on sam tego chciał. Przeczuwał u siebie muzykalne zdolności, fizycznie, ciałem odbierał poruszenia melodii i triady harmoniczne. Ale nie. Żadnej muzyki, drobny zasrańcu. Sołowieja od dzieciństwa uczono bić się i znosić ból. Ale częściej znosić. A potem doszło do Katastrofy i te umiejętności mu się przysłużyły.

Nie należał do słabeuszy.

Ale pierwsze miesiące w metrze były okrutne. Niewiarygodnie okrutne i straszne. Brutalne czasy. Sołowiej pokręcił głową. Ludzie już zapomnieli, a przecież panowanie Saddama Krwawego przyniosło w podziemiu pokój. Okrutny, straszny, lecz pokój i porządek w miejsce pierwotnego chaosu. Nawet teraz, kiedy imperium Saddama rozpadło się, nadal funkcjonuje – choćby jako tako – wiele ustanowionych przez niego zasad. Na przykład służba sanitarna i służba mortusów. A Demokratyczna Rada Wielkiego Metra, jak oni się tam nazwali, próbuje rządzić metrem jak za czasów Saddama – tylko że niby po demokratycznemu. Ale sama rada bardziej przypomina kłębówisko lokalnych książątek i drobnych satrapów. Kiedy jedna bestia pożera drugą.

Niektóre czasy lepiej na zawsze zostawić w przeszłości. Nie wspominać ich, nie rozpamiętywać, co się wtedy przeżyło i straciło.

Poniżenie. Gwałt. Głód. Pragnienie. Zimno. Astmę. Choroby. Wojnę.

„Przegalopowali po mnie wszyscy czterej jeźdźcy Apokalipsy, k-kurwa”.
Stratowali kopytami z podkowami ze stalowymi zatrutymi hacelami.

Rozpalonymi szpicami.

„Nigdy więcej – postanowił sobie Sołowiej. – Zawsze będę na końcu łańcucha pokarmowego. Będę szarpać zębami. Będę bezlitosny i jednocześnie miłościwy. Będę twardy”.

Tu, na Obwodnym, cieszył się władzą i stabilizacją, zanim zaczęło się to gównem z Martą i jej córeczką. Z tym młodym debilem, jej narzeczonym...

Sołowiej westchnął. Marta była słodziutka od środka. Zanim ją zabił, wziął ją kilka razy sam, potem kazał zrobić to swoim ludziom. Nawet temu walniętemu w głowę, tępemu Kazachowi.

Teraz tego żałował. Trzeba ją było zostawić przy życiu, dla siebie, albo zabić od razu po, a nie oddać tym zbirom. Brudne, obmierzłe przydupasy. Sołowiej czuł się po tym... zbrukany.

„A do tego mam jeszcze własnego smoka”.

Wiedział, że umie śpiewać i że ma wspaniałą głos, o pięknej barwie i skali. Możliwe, że gdyby nie wojna, Sołowiej śpiewałby teraz w operze. W teatrze Bolszoj, w La Scali – czemu nie? Jedwabiste harmoniczne wydźwięki we własnym głosie sprawiały mu przyjemność, zwłaszcza kiedy uwodził na to kobiety. A one zawsze

dawały się uwieść. Albo głosem, albo pewną siebie siłą. Mocą oczarowania.

Kładły się i przyjmowały gwałt. Ponieważ tak naprawdę tego chciały. O tym był przekonany. Czasami Sołowiej zapędzał się za daleko, ale starał się nad sobą panować. Chociaż tyle, żeby ich nie kaleczyć. Tylko okrucieństwo wyzwalało w nim jakiś oddźwięk, coś podobnego do orgazmu. A od tej pory, kiedy w jego głowie osiedlił się smok, Sołowiej stał się spokojniejszy. Jakby już więcej nie był sam.

Smoka należy karmić i hołubić.

Będzie rósł. Będzie cię kochał. Będzie twój. A ty będziesz należał do niego.

Głaskał go w myślach jak domowe zwierzę. Jak oswojonego krokodyla. Paskudnego ulubieńca, który wszystko pożera i jest śmiertelnie niebezpieczny. Tylko nie dla swojego pana...

Smok rośnie. A mer, którym steruje szara eminencja Sołowiej, będzie dodatkiem do tej ludzkiej masy. Czasami Sołowiej czuł się smokiem, który znajduje się jednocześnie w dziesiątkach głów, w setce. A potem będzie i w tysiącach.

Tylko nielicznym udało się tego uniknąć.

Jednym z nich był ten przybysz.

Überführer.

Cholerny skinhead. Niebieskooki nazi-aryjczyk, k-kurwa.

Sołowiej poczuł ból, spojrział w dół. Rozwarł pięści. Paznokcie wbiły mu się w dłonie do krwi. Rozprostował ręce, rozciągnął palce. Dłonie miał mokre od krwi... i pobudzenia. Wciągnął nosem woń. Miedziany zapach krwi i pobudzenia. Zdaje się, że mu stanął.

– Cholera – odezwał się ktoś. – Sołowiej, słuchaj.

– Czego?! – Sołowiej obrócił się.

– Ktoś tam chodzi.

4. Smok Ubera kontra smok Sołowieja

Stacja Wołkowska, sierpień 2023 roku

– Nie czekaliście na mnie? – rozległ się z ciemności znajomy kpiący głos. – A ja wróciłem. Porozmawiamy?

– Pokaż się – rzekł Sołowiej. – Czy narobiłeś w gacie?

– No, nie żeby zaraz w gacie – powiedział Uber. – Ale gdzieś niedaleko. Dobra... Wychodzę, nie strzelajcie...

– Nie strzelać – rozkazał Sołowiej. – Wyjdź do światła! – krzyknął do Ubera.

Promienie latarek oświetliły wysoką, żylastą postać skinheada. Postąpił naprzód.

– Podnieś ręce! – zawołał Karim.

Uber wyszczerzył się i nieśpiesznie, prawie drwiąco podniósł ręce. Niby że nic takiego. W jednej ręce trzymał opróżnioną do połowy butelkę.

– No już, już, nie trzeba się denerwować – uspokoił.

Sołowiej powęszył. Zgadza się, od skinheada ciągnęło potężną alkoholową wonią. Z nutami węgla i torfu. Zapach normalnego alkoholu, nie tej berbeluchy, którą polewano w „Krabie”. Uber potknął się, zarzucił głowę. Znowu się wyprostował.

Sołowiej roześmiał się. Nie, no, niemożliwe...

– Ty co, pijany? – zapytał.

Uber uśmiechnął się.

– A jak myślisz? Jasne, że pijany.

Pomachał w powietrzu do połowy wypitą butelką White Horse'a.

– Co ja, podobny do konia? – rzucił w zamyśleniu. Przechylił się ku szyjce butelki, zadarł głowę. Grdyka mu skoczyła kilka razy. Uber oderwał się od gwinta, otarł usta, odrzucił butelkę na bok. – A podobny.

– Tylko po pijaku – uściślił Sołowiej.

– Aha. „Koniu, daj spokój. Koniu, nie myśl, żeś gorszy od nich”^{**} – zacytował Uber.

– Po coś przyszedł? – spytał Sołowiej.

– Na pogaduchy. Wiesz przecież, że jestem gadułą. Kłapaniem dzioba zarabiam na życie, chlebem nie karm. Stop, przejdźmy do rzeczy...

W następnej sekundzie Uber zrobił krok w bok i jakby się zapadł w ciemności. Sołowiej początkowo nie uwierzył własnym oczom. Znów wyciął im ten sam numer!

– Uber, kurwa, to nie jest śmieszne! – zawołał.

Odpowiedziało mu milczenie. Zapanował kompletny chaos. Bandyci rozglądali się przestraszeni.

– Gdzie on jest?! – krzyknął Sołowiej.

– Tu jestem. „Dawno już tutaj stoję i czekam ze spokojem... Aż niby skończysz wreszcie to wystąpienie swoje” – zacytował Uber. – Leonid Fiałtow *O strzelcu Fiedocie*. – Wychynął na światło. Butelki już w ręce nie miał, za to trzymał jakąś płaską kwadratową rzecz. Jakby kawałek metalu.

– Uber, kurwa. Te twoje sztuczki... – Sołowiej z trudem się opanował. – O mało cię nie postrzeliłem.

– Nie odszedłem daleko. Po prostu czegoś zapomniałem.

Sołowiej zawahał się.

– Co? Jeszcze sobie łyknąć?

– Nie! – Uber się zaśmiał.

„A to świr” – pomyślał Sołowiej.

– Zaraz zrozumiesz. – Uber podniósł pogiętą metalową tabliczkę „Nie palić”, pokazał ją Sołowiejowi. Odwrócił przodem do siebie. Cała spodnia strona była drobno zapisana. Dokładniej: poryta.

– Co to jest? – zapytał Sołowiej opanowanym głosem.

– Spis dań dla waszego smoka. Imiona, daty. No, rozumiesz.

Na drugiej stronie tabliczki równym drobnym pismem wydrapano cały spis imion i liczb.

I ostatni zapis. Dużymi literami. Sołowiej zmrużył oczy, ale ze swojego miejsca nie mógł tego rozszyfrować.

Uber przeczytał opanowanym, spokojnym głosem:

„Uber, wszystkiemu jest winien Sołowiej. Zabij smoka. Zabij ich wszystkich”.
Podpisano: Mamed Nurtumbekow.

Sołowiejowi drgnął policzek. Smok w jego potylicy poruszył się, ale się nie obudził. Na razie.

– I co dalej? – zapytał.

– Niektóre prośby są niewiarygodnie przekonujące – rzekł Uber. W następnej chwili patrzyło na niego sześć luf. – Spokojnie, chłopaki, jeszcze nie doczytałem. – Uber podniósł głos. Powoli potoczył wzrokiem po ludziach Sołowieja. Wyraźnie się denerwowali. – Myślę, że to ważne.

– Czytaj już, kurwa... – rzucił ktoś drżącym głosem.

„Ten sukinsyn nastraszył moich ludzi”.

– Sołowiej, zastrzelić go? – spytał Karim.

– Czytaj – rozkazał Sołowiej. – Tylko bez sztuczek.

Uber wyszczerzył się w uśmiechu, nieśpiesznie podniósł tabliczkę i przeczytał na głos.

– „Granat za butelką”. To wszystko.

– Co?! Jaki znowu gra... – Tu do Sołowieja dotarło. Rzucił się w bok.

Metaliczny, bardzo głośny szcęk. Lodowaty strach przeniknął Sołowieja na wskroś.

Latarki oświetlały Ubera, a on trzymał w ręce granat „cytrynę”. Sołowiej nawet stąd widział ostro nacięte, głębokie, niczym kanały na planie miasta, bruzdy na metalowym jajku.

Uber niedbale rzucił koluszko zawlecзки w ciemność. Błysnęło na mgnienie w świetle latarki i znikło. Sołowiej poczuł chłód,

– Uber, twoje sztuczki zaczynają wkurwiać! – zawołał Sołowiej. Odsunął się wolno, korzystając z tego, że go nie było widać w mroku. Już był za plecami swoich ludzi. Jeśli się rzuci na ziemię, możliwe, że go nie osiągną odłamki, a z ludzi będzie miał żywą tarczę.

– Tak, kurna, jestem idealny – oznajmił Uber. Podniósł rękę z granatem nad głową. – Po cholere mi krytyka. Raz, dwa...

– Co ty robisz?! – krzyknął Karim.

– Liczę do pięciu – ostrzegł Uber. Uśmiechnął się oślepiająco. Sołowiej poczuł, jak od skinheada rozchodzą się fale lodowatej wściekłości. – A potem... kto się nie skryje, niech nie ma do mnie pretensji.

Ludzie Sołowieja zaczęli niespokojnie oglądać się na siebie. Żałośni, tchórzliwi debile, pomyślał Sołowiej. I zrobił krok do tyłu.

– Nie znajdziecie zawlecзки, to was rozpierdzieli – oznajmił Uber. – A tymczasem... broń na ziemię, dżentelmeni.

Poruszyli się niespokojnie, zamarli. Znowu się poruszyli.

– Czekam – rzekł Uber spokojnie, tak że Sołowiejowi mróz przeszedł po skórze, a włosy na karku stanęły dęba. Nagle pojął, że się niemal zachwyca tym wygolonym bydlakiem. Tą wspaniałą pogardą dla śmierci. Tą zajeбіstą dezynwolturą.

Brzęk. Któryś położył broń. Brzęk. Następny.

– Ruchy, ruchy – zachęcił ich Uber. – Wszystko słyszę. Zasięg rozrzutu odłamków dwieście metrów, aha. Zaryzykuję, jestem szczęściarzem. Zresztą sami

wiecie.

Wszyscy złożyli broń na peronie. Brzęk, brzęk, brzęk. Sześć, naliczył Sołowiej. Sam tylko brzęknął obrzyne o posadzkę. Podniósł się, trzymając go w ręce. Wygarnąć by temu łajzie z dwóch rur... Żeby bryznęła posoka.

– Sołowiej, nie wyróżniaj się – zwrócił się do niego Uber. Pomachał w powietrzu granatem. – Bo mi się ręka zmęczyła.

„Skurwiel, jak się domyślił?” Sołowiej pochylił się, opuścił obrzyne na peron. Brzęk. Wyprostował się.

– Tak lepiej – skwitował Uber. – A teraz zawlecza... Kółko, kółko, kółeczko. No, co tak stoimy?

– Szukajcie zawleczy – rozkazał ostro Sołowiej. – Ruszać się, z życiem! Kto pryśnie, niech sam siebie wini. Jobanadżyć, ciebie się to tyczy w pierwszej kolejności.

– A czeemu mnie? – Kazach ledwo dosłyszalnie zajęczał, zabełkotał.

„Jeżeli pryśnie, tym razem na pewno ukatrupię dziada” – pomyślał Sołowiej. Odsunął się w tył. Im dalej od Ubera, tym lepiej.

– Jak sobie radzicie, pojechańcy? – zagadnął beztrzesko Uber. – Jak wasze pieprzone wyniki?

Ludzie Sołowieja rozpełzli się po peronie, szukając zawleczy. Uber przyglądał się im z uśmiechem i dyrygował nimi granatem z przyciśniętą łyżką.

– Ej, zbóju Sołowieju! – zawołał. – Wiem, że się tam kitrasz. Chodź no tu. Pogadamy?

Sołowiej niechętnie wstał i wbrew sobie poszedł. Trzeba było od razu pryskać, jak tylko ten typ wyjął granat. Albo od razu go położyć, jeszcze zanim zaczął.

Włączył latarkę i ruszył przed siebie. Uber stał i uśmiechał się. Oślonił oczy ręką od światła. Sołowiej opuścił latarkę niżej.

– Czego chcesz?

– Czegoś się dowiedzieć – odparł Uber. Podrapał się po brwi ręką z granatem.

Sołowieja zmroziło. „Co za świr”.

– Uber, ostrożniej – poprosił nieswoim głosem.

– O! – Skinhead jakby dopiero teraz zauważył, co ma w ręce. – Jasne. Zaczekaj sekundę.

Lewą ręką pogrzebał w kieszeni i wyjął... Sołowiej nie wierzył własnym oczom... zawleczkę z kółkiem. Włożył ją w zapłon granatu i zagiął końcówki z drugiej strony.

– No i już – rzekł z radosnym, podchmielonym uśmiechem.

Sołowiej osłupiał.

– Jak to, a zawlecza?

– Miałem zapasową – odparł Uber.

Niema scena. Ludzie Sołowieja obejrzeni się po sobie.

– Kurwa – burknął rozeźlony Karim. Zaczął się podnosić z kolan. – *Ufała*^{***}.

– Ale było wesoło, przyznajcie! Ej, Sołowiej. „Siwek-Gniadosz-Kary, konik mój niestary... Raz, dwa, trzy! Stań przede mną jak się patrzy!” Tak, zdaje się, mówił twój imiennik?

Sołowiej westchnął.

– Uber, to nie ta bajka, przygłupie. Pomieszało ci się.

– A! No dobrze.

Sołowiejowi nie dawało spokoju jedno pytanie.

– Czemu nie opanował cię smok?

– Naprawdę cię to interesuje? Jak miło.

– Uber, wkurwiasz do żywego.

Skinhead spojrzał na niego i wyszczerzył się.

– Nie zrozumiałeś?

– Nie. – Naprawdę nie rozumiał. Za jego pamięci nikt nie potrafił się oprzeć smokowi. Kilka nocy i już ścielisz dla smoka przytulne gniazdko w swojej głowie. Pielęgnujesz go i hołubisz.

– Dlatego że jestem alkoholikiem – wyznał Uber. – Co, nie spodziewałaś się, Sołowiuszka? To proste. Gównu mnie wasz smok obchodzi, bo mam własnego. Wielkiego i złego, że ocipieć można. I jeśli wlezie na waszego, to z waszego ni chuja nie zostanie, tylko pierdolone kości.

W oczach Ubera zapłonęły niebieskie ogniki.

– I dawno nauczyłem się z tym żyć. Mój smok zawsze jest we mnie, w każdej chwili, w każdej sekundzie życia. Mówicie: głosy w głowie? – Uber się roześmiał.

Teraz w ogóle nie było to wesołe ani zabawne. Brzmiało strasznie. Sołowiej najeżył się. „Kurwa, chyba wziąłem za mało ludzi. Ten psychol... nawet ja się go boję”.

– Ujarczmiam go, żeby się nie spalić do cna – ciągnął Uber. – Ale czasami wypuszczam bestię na spacer. – Ruszył w stronę ludzi Sołowieja, rozpostarł żylaste ręce. – I zdaje się, że właśnie przyszła pora.

Wyszczerzył się. Za jego plecami znowu zamrugła lampka i nagle zabłysła jaśniej. Zwyczajny zbieg okoliczności, pomyślał Sołowiej, cofając się. Sam nie zauważył, jak się znalazł przy wyjściu.

– Mówią, że najlepszy sposób, żeby się uwolnić od smoka, to sprawić sobie własnego – rzekł Uber. Policzek mu drgnął.

Pssych! Lampka za jego plecami rozbłysła i wybuchła. Pieprzona żarówka. Ciemność. Przed oczyma pląsają jasne plamy od cholernego błysku.

Sołowiej pochylił się, pobiegł z powrotem. Gdzież to jest?! Szukając na oślep, namacał na posadzce obrzyn. Jego ludzie wpadli w popłoch, zaczęli krzyczeć. Po peronie miały się promienie latarek.

– Gdzie jest? Kurwa! Gdzie ten skurwiel?

Gdzie pierzony skinhead? Sołowiej zacisnął powieki, policzył do dziesięciu. Teraz wzrok się przyzwyczai. Otworzył oczy.

I tu z ciemności rozległ się głos Ubera. Tylko że nie było w nim zwyczajnej kpiny, brzmiał zimno, matowo, bez życia.

– Wiecie, z kim zadarliście? – zapytał obojętnie głos Ubera. Zimny jak kamienne lwy na ulicach Pitera.

Ktoś strzelił. Krótki błysk na ułamek sekundy oświetlił silną postać skinheada, która śmignęła na bok, jak zwierzę. I, kurna, wszystkich oślepił. Świsnęła kula,

rykoszet, iskry. Ktoś krzyknął.

Sołowiej zaklął szpetnie. A tak dobrze się zaczynało...

– Nie, nie wiecie – ciągnął obojętny głos.

– Uber, kurwa, dawaj po dobremu! – zawołał Sołowiej.

Wycelował w ciemność. Krótki krzyk, jęk.

– Skurwiel, on mnie... – wrzasnął któryś. Sołowiej nie rozróżnił który. Chrup.

– Ze skinami zadarliście, kurr – oznajmił głos Ubera.

Sołowiej odwrócił się i wystrzelił w stronę dźwięku. Huk. Błysk.

Cholera. Sołowiej dostrzegł pobladłą, wystraszoną twarz Karima, a za jego plecami – kredowobiałe łyse straszdyło. Cholerny skinhead. A potem znowu zapadł mrok.

I Karim cienko zaskowyczał w ciemności.

– Kurwa, Sołowiej, postrzeliłeś mnie! – krzyknął.

Sołowiej nie zwrócił na to uwagi. Strzelił jeszcze raz. Krzyk się urwał.

Sołowiej otworzył obrzyn i parząc się w palce, wyjął łuski – jedną za drugą. Drugą ledwie wydłubał, tak ją rozdeptał. Rzucił je na posadzkę. Z lekkim plastikowym stukotem potoczyły się po granicie.

Promienie latarek pląsały tu i tam. Sołowiej podniósł rękę i zgasił swoją czołówkę.

– Sołowiej, tu nie ma nikogo. Sołowiej, jesteś tam?

Namacał w kieszeni kurtki naboje. Plastikowe łuski, kiepsko. Wybrał jedną – najzimniejszą. Mosiężna. Świetnie. Mosiężnym z jakiegoś powodu bardziej ufał. Plastikowe gilzy po tylu latach zaczynały się kruszyć.

Wyjął naboje i na oślep załadował lufy. Zatrzasnął, odwiódł kurki.

„No, dalej, gdzie jesteś skurwy-skinheadzie?!”

– Soło... – Głos ścichł.

W ciemności chrupnęło tak przeraźliwie, że po nerwach aż przebiegł prąd. Ktoś krzyknął ze strachu. Cykor, kurwa, pomyślał Sołowiej.

– Sołowieeeej! – doleciało z mroku. – Idzie szary wilk-wilczysko, zaraz ci wygryzie wszystko.

– Nie ta bajka! – zawołał ktoś.

Sołowiej zaklął w duchu. Też mi coś, znalazł się przedrzeźniacz.

– Wyrwie serce, wyrwie oczy... – recytował monotonicznie Uber w ciemności.

Peron, dudniąca echem pusta ciemność. Martwa, zapuszczona Wołkowska działała na nerwy.

– Wychodzić, zasańcy.

Chrup, łup, krzyk. Padające ciało.

– Tam jest! Ognia! Wal w niego!

„Debile” – pomyślał Sołowiej.

Jego ludzie znowu zaczęli strzelać. Błyski, błyski. Uszy bolały od huków. Gwizd kul. Jedna drasnęła marmur, znacząc swój tor jasną linią. Wżż.

– Nie strzelać! – rzucił czyjś głos. „Okrągły chyba czy kto?” – przemknęło przez myśl Sołowiejowi.

Strzelanina ucichła. Pełna cisza. Martwa. Sołowiej słyszał czyjś odległy płytki oddech. Schylił się i podniósł tabliczkę, poświecił. Tak, ta sama... Odwrócił. Przebiegł oczami. Zamarł, potem się cicho roześmiał. Wyłączył latarkę.

Na tabliczce była wydrapana modlitwa o pomoc w rzuceniu palenia. Rosyjskimi literami, ponieważ arabskich Mamed najprawdopodobniej nie znał. Żadnego drugiego spisu. Żadnego „granat za butelką”.

– Skurwiel – syknął Sołowiej z podziwem. – A to dojechał!

Odrzucił tabliczkę – daleko na bok. Blaszący dźwięk. I w tym momencie ktoś strzelił. Buch! Jeszcze jeden. „Kretyni” – pomyślał Sołowiej, pochylając się.

– Gdzie on jest?

Żadnego „Zabij smoka, zabij ich wszystkich” rzecz jasna, na tabliczce nie było. Oczywiście. Sołowiej pokręcił głową. Mamed po prostu nie zdążyłby wydrapać wiadomości, nim do niego przyszedli. Wzięli go z zaskoczenia. A smok siedzący u Mameda w głowie kazał mu kochać swoich dręczycieli i zabójców, nawet kiedy katowali go na śmieć.

Sołowiej wyszczerzył się. Kopali go, okładali pięściami, pałkami, kolbami, a on nic, tylko krzyczał: „Mer! Mer!”. Meeeeee... eer.

Ależ to było przyjemne. To bezgraniczne okrucieństwo. Wszyscy się śmiali. Byli już trochę wstawieni, kiedy szli do niego, ale krew upajała bardziej niż alkohol. Gdy człowiek tak umiera... silny człowiek. I nie może nic zrobić. To było krwawe upojenie. A oni go bili i śmiali się – do łez.

– Co?! Ty kto? – Głos urwał się. Przeróżający chrzęst. Coś potoczyło się po peronie.

– Nie trzeba! – I coś mignęło. Broń?

Sołowiej strzelił w tamtą stronę, dłoń mu drgnęła. Błysk. Ręce się trzęsły. W krótkim rozbłysku peryferyjnym widzeniem dostrzegł, jak po lewej przemknął wysoki cień.

– Tam! – wrzasnął. Wystrzały, rykoszet. Głucha wiązanka. Sołowiej pochylił się, zaklął szpetnie. W ten sposób sami się nawzajem wystrzelają. Chaotycznie śmignął snop światła latarki i Sołowiej na mgnienie zobaczył Ubera.

Odwrócił głowę i zaznaczył sobie w myślach – gdzieś tam przecież powinien być skinhead. Buch! Rozbłysło po lewej. Kula rykoszetem odbiła się od granitu... Cholera, nie przeszkadzajcie. Sołowiej skupił się. O, tutaj będzie. Raz, dwa – zaczął liczyć. W naboju z mosiężną łuską nie ma kuli, tylko loftki przeznaczone na niedźwiedzia. Nie jest potrzebna szczególna celność, wystarczy zaczepić skrajem rozrzutu, choćby jedną śruciną. I tak przecież się nie pokaże.

Trzy. Sołowiej miękko docisnął spust.

BUCH! Odrzut poszedł w dłoń – tak silny, że Sołowiej miał wrażenie, że mu ją wybiło. Błysk i powidoki. Zamknął oczy. Tak, właśnie. Ciemna postać skinheada. Trafiał. Jęk.

Ruch w ciemności, Sołowiej podrzucił obrzyn i nacisnął spust, zapomniawszy, że już wystrzelił dwa razy. Czik. Lufy puste. Cisza.

– Nie strzelać! – zawołał. – Nie strzelać, kurwa!

Strzelanina ucichła.

Sołowej podszedł, poświecił latarką.

Na peronie, niezdarnie rozrzucony kończyny, leżał Karim. Twarz Tatara wykrzywiało cierpienie, usta były otwarte. Z jego głowy spoglądało prawie czarne, jedyne ocalałe oko. Strzał z obrzyna rozniósł mu pół czaszki. Na granicy rozlewała się odrażająca połyskliwa czarna kałuża. Pływały w niej odbicia latarek.

„Kurwa. To przecież ja go...” Sołowej obnażył zęby. Z przypływu wściekłości aż nim zatrząseło. „Nienawidzę. Zabiję”.

– Sołowej! – zawołał ktoś.

– Co?! – Odwrócił się gwałtownie.

Tamten podniósł latarkę i oświetlił sobie od dołu twarz. Sołowej odetchnął, opuścił broń. To był Wład Krugłow, Okrągły, jego zastępca.

– Ten Uber... to... – Okrągły zawahał się. – Krótko mówiąc, zdjął dwóch. Karim?

– Już po nim.

– Z Karimem będzie trzech. Ogon w ciemności upadł na szyny i coś sobie złamał, debil. Chaberze łysy wrąbał, ale go nie dobił. Wyjdzie z tego, przeżyje. No i jeszcze drobne obrażenia.

Czterech moich ludzi wypadło z gry, podsumował Sołowej. A stuknięty skinhead został. Gra toczy się dalej.

Sołowej rzucił obrzyn bez nabożów na ziemię i krzyknął:

– Co to za popieprzony świat, w którym żyjemy? Jakiś łysy wypierdek biega i zabija moich ludzi!!

Po martwej, pustej stacji przetoczyło się głucho echo. I umilkło w dali.

* Nikołaj Gumilow, *Natura*.

** W. Majakowski, *Dobre traktowanie koni*, przeł. W. Woroszyński (fragment).

*** Uf! Ufała! – po baszkirsku: super!, wspaniale!

ROZDZIAŁ 10

1 Pióro anioła 5

– Zbierajcie się – powiedział Uber. – Nie bierzcie ciężkich rzeczy. Droga na Zwon jest wolna, dojdziecie tam za kilka godzin. Spotkamy się na tamtej stacji. Pośpieszcie się, bardzo proszę. Natalio Wasiliewno, słyszy pani?!

– Nigdzie nie idę – rzekła Nanny.

Uber uniósł brwi. Zatrzymano go ostro niczym biegnącego ogiera w pełnym galopie. I teraz oczy ma oszalałe, piana kapie.

– Co?!

Mika pokręciła głową.

– Nie chciałam ci tego oddawać...

Uber zobaczył jej oczy, pełne łez. I nagle miara się przebrała, polały się. Potoczyły. „Płyńcie łzy moje... rzekł policjant” – Uber przypomniał sobie tytuł dawnej powieści. Tak, płyńcie. Otarł jej łzy dłonią. Na policzkach dziewczynki zostały brudne zacieki.

– Dlaczego? – zapytał łagodnie. – Zrobiłem coś nie tak, maleńka?

Mała podniosła głowę.

– Dlatego że wtedy odejdziesz. I zostawisz mnie tutaj samą.

Uber wyprostował się, w zakłopotaniu potarł sobie kark. Zdawał się zawstydzony. „Chyba rzeczywiście zamierzał to zrobić” – pomyślała Nanny. Ciekawe, jaki z takiego włóczęgi byłby ojciec dla Miki? No, na pewno lepszy od rodzonego. „Zostawisz samą? – Nanny nagle przypomniała sobie słowa małej. – A ja, okazuje się, jestem nikim. Nie aniołem, nie wroną?” Odłożyła robótkę. Zrobiło jej się... przykro.

Mika nagle rzuciła się i objęła Ubera. Otoczyła go ramionami i mocno, mocno ścisnęła.

– Nie chcę, żebyś odszedł, aniele.

– Ja też nie chcę, maleńka – odparł.

– No to nie odchodź!

– Trzymaj – rzekł Uber.

Podał dziewczynce pióro. Podniosła głowę, oczy napuchły od łez.

– To przecież twoje pióro! – oburzyła się.

– Tak, moje – przyznał. – Dlatego daję je tobie. Jeśli mnie będziesz kiedyś potrzebowała, wiesz, jak mnie wezwać.

Mika poważnie skinęła głową. Schowała pióro do kieszeni.

– A ty pójdziesz z nami na Zwon? – spytała.

Uber zaprzeczył ruchem głowy.

– Zostanę tutaj. Na razie.

– Dlaczego?

Uber westchnął, dotknął sobie szramy nad brwią.

– Dlatego że... są tutaj źli ludzie. Bardzo źli. I trzeba by z nimi... – zająknął się, szukał słów. – Odbyć profilaktyczną rozmowę, żeby więcej tak nie robili.

Mika spojrzała na niego od dołu.

– Zabijesz ich?

Ze zdziwieniem pokręcił głową.

– Jesteś żądna krwi, dziwna mała dziewczynko. Ale masz rację. Naprawdę ich pozabijam.

Wziął plecak, załadował śrutówkę – szczęk, szczęk, szczęk – włożył do komory naboje jeden za drugim i wyszedł z namiotu.

2. Uber i Lejkin

W pierwszej kolejności skierował się pod peron, długim korytarzem dotarł do pokoiku Jury. Korytarz był pomalowany na biało-niebiesko, farba łuszczyła się ze starości. Szare drzwi.

Uber uchylił je delikatnie. Podrzucił strzelbę do ramienia. Wszedł i od progu krzyknął:

– Jura! Jura Lejkin! Gdzie jesteś? Czas zostać bohaterem! Słyszysz, Jura?! Przyszedłem po ciebie. Jura!

Nikt się nie odezwał. Skinhead rozejrzał się po klitce. Czy Jura jeszcze tu mieszka?

W pokoiku panował straszliwy bałagan. U wezgowia łóżka paliła się lampa. Ktoś siedział na posłaniu.

– Jura, to ty? – spytał Uber.

Człowiek podniósł się, odwrócił. Uber opuścił broń. To Jura.

Chłopak wziął automat, skierował w pierś przybysza. Skinhead wyszczerzył się w uśmiechu. Wyprostował się, wysoki, barczysty. Bardzo groźny.

– Ty tak poważnie, brachu? Chodź, chodź, nie mam czasu. – Uber roześmiał się, odwrócił, by podnieść z podłogi nowy plecak.

– Nie jestem tchórzem – oznajmił Lejkin nie wiedząc czemu.

Uber zamarł. Nagle do niego dotarło, co się stało z Jurą. Jasne! Można się było domyślić.

– Oczywiście, że nie – rzekł Uber. Odwrócił się powoli. – Nigdy bym tak nie pomyślał.

– Nie tchórzę.

Milczenie. „Teraz strzeli – przemknęło przez myśl Uberowi. – Na co go wzięli? Na miłość do ojca? Zastraszili?” Nagle przypomniał sobie dziwne zachowanie Jury w tunelu, kiedy załatwili tamtą niewielką bestię. Ale przecież później pod kulami Jura trzymał się należycie. Cholera wie, co z tą psychologią!

– Strach – stwierdził Uber.

– Co?

– Strach – powtórzył Uber. – Oto, czego ci trzeba. Strach to cenny środek.

– Strach? – dopytał Jura.

– Strach to coś, czym mogę operować. Mogę go dodać lub odjąć, mogę go zapędzić w kąt i przestawić na bok. Ludzie są zdruzgotani strachem, a ja zawsze go mogę odstawić na bok. Mogę go obejść. Mogę mu się przyjrzeć i wykorzystać go, jeśli trzeba.

Chłopak milczał. Podniósł kałacha.

– Boję się – przyznał uczciwie. – Powiedzieli mi, że zabiję cię i wszystko będzie dobrze. Jesteś obcy, a mój ojciec...

Uber kiwnął głową. Trzymał ręce na wysokości ramion i starał się nie robić gwałtownych ruchów.

– Ja też bałem się wielu rzeczy. Prawie wszystkiego na świecie – rzekł. – Bać się to coś normalnego.

– Wszystkiego?

– Nie uwierzysz. To taka długa lista...

Jura zamyślił się. Potem spojrzął na Ubera, wciąż trzymając uniesiony automat w rękach. Przeniósł wzrok na broń, zamrugał. Opuścił lufę, skierował w podłogę.

– I... i jak sobie z tym poradziłeś? – spytał.

Uber wzruszył ramionami.

– To bardzo proste. I jednocześnie skomplikowane.

– Proste?

– Nijak. Zwyczajnie przestałem się wycofywać. Nigdy się już nie cofam. Może to nie najlepsza taktyka, ale dla kogoś takiego jak ja jedyna możliwa. Co oni mi zrobią? Ci wszyscy ludzie, wszystkie te bestie, mutanty, szlag wie kto? Co najwyżej spróbują zadać mi ból. Ból da się znieść. Z bólu można krzyczeć. Ból to w gruncie rzeczy tylko ból. Nic więcej. Bzdet.

– Aha. Łatwo ci mówić, bo jesteś odważny! – Jura prawie krzyczał. Automat w jego rękach znów skierowany był w pierś skinheada. Palec na spuście pobielał. Jeden nieostrożny ruch, nawet spojrzenie... i seria przeszyje Ubera na wylot. Skinhead zaśmiał się.

– Co?!

Uber wyszczerzył się w uśmiechu, pokręcił głową.

Jura wyglądał na zbitego z tropu.

– Może nie? – rzucił z niedowierzaniem.

– Nic podobnego. Żadnej odwagi. Tak naprawdę straszny ze mnie tchórz.

Chłopak z zaskoczenia aż się cofnął o krok. Kałach w jego rękach drgnął niebezpiecznie.

– Ty?!

– Ja. – Uber zawahał się, uśmiechnął. – Ale taki tchórz, że gdy wchodzę do pokoju, wszyscy twardziele dokoła, kurna, bledną.

Jura milczał. Na jego wykrzywionej twarzy odbijało się udrczenie, automat drżał w rękach. Skinhead patrzył na niego z uporem, niebieskie oczy były jasne, bezlitosne.

– Możliwe, że to jedyny sposób – dodał. – Stać się takim strasznym, żeby twoje lęki same uciekły w popłochu.

– A jeśli... to nie działa?! – krzyknął rozpaczliwie Jura. – Jeżeli... i tak wciąż się boję?!

– W każdym przypadku nie będzie to nic gorszego niż ból – odparł łagodnie Uber. – Zapamiętaj. Nie mogą ci zrobić nic więcej, niż dasz radę znieść.

– Ale ja... jak ja dam radę? Jak?!

Uber odrzekł szorstko:

– Wstawaj i walcz.

Długa pauza. Zdawało się, że Jura teraz wystrzeli. Ale nagle opuścił automat, ruszył naprzód, zatrzymał się. Jakby się w nim coś przewalało, coś ciężkiego, strasznego rozpierało go od środka.

W końcu wydusił z siebie głuchym, zdławionym głosem:

– Porwali dziewczynkę. Mikę.

Twarz Ubera momentalnie zbieleła. Jakby błyskawicznie upuszczono mu całą krew. Zachwiał się. Zrobił krok w przód, zatrzymał się ostro. Oczy – głębokie jak kopalniane szyby. Zacisnął pięści. Siłą woli nakazał sobie spokój. Poruszał głową, rozciągając szyję. Chrupnęły kręgi.

Jura podniósł głowę.

– Ja... przykro mi... nie chciałem.

– Możesz pomóc? – spytał Uber ochryple. Patrzył Jurze Lejkinowi prosto w oczy.

– Ja... no, postaram się.

3. Pułapka na skinheada

– Mika z nianią są tam – powiedział Jura, odwróciwszy się.

Stali przed wejściem do namiotu Sołowieja. W porównaniu z małym lokum Nanny to było po prostu ogromne.

– Sołowieja i jego ludzi teraz nie ma. Jest tylko jeden Kazach... ale nie będzie przeszkadzał. Wezmę go na celownik, nawet nie piśnie.

Uber pomyślał i podał Jurze strzelbę.

– Dobrze, idź pierwszy. Jakby co, krzycz, usłyszę. Jura?

Syn mera obejrzał się. Był biały jak płótno. Ręce mu się trzęsły, lufa śrutówki chodziła na boki.

– Wszystko w porządku? Dasz sobie radę?

– Tak.

Skinhead kiwnął głową i został przed wejściem. Jura zniknął w głębi namiotu. Wkrótce rozległ się jego głos:

– Jest!

Uber rozejrzał się, bezdźwięcznie ruszył do przodu. Jego ruchy na pozór może się nie zmieniły, szybko jednak przybrały kocią miękkość i wdzięk. Okazało się, że namiot jest podzielony na kilka pomieszczeń. Gdzie są wszyscy? Gdzie Mika?

– Jura! Co jest? – spytał Uber niegłośnie.

– Wszystko w porządku. Tu jestem – odparł matowy głos z głębi namiotu.

Skinhead wszedł dalej. Jura stał plecami do wejścia, zgarbiony i pochylony. Uber widział jego długie włosy, nierówno ostrzyżone, spoczywające na bladym karku. Mimo wszystko powinien częściej wychodzić na wierzch – pomyślał Uber. Zrobił krok w przód. Jakieś dokuczliwe uczucie przeszkadzało mu skupić się na najbliższym celu. „Sołowiej, gnido, cóżes ty narobił?” Jak to teraz wszystko naprawić, jeśli w ogóle można?

Kiedy Jura obejrzał się i podniósł głowę, Uber wszystko pojął. Rzekł po prostu:

– Ech, Jura? Znowu?

– Aniele, wiej! – zawołała Mika.

Kazach złapał ją, zasłonił jej buzię ciemnobrązową ręką. Obok stała Nanny, trzymał ją Żółty.

Uber rzucił się do wyjścia, ale już było za późno. Runęli na niego z wszystkich stron. W pomieszczeniu natychmiast zrobiło się ciasno. Kupa ludzi skłębiła się w walce. Uber roztrącał wrogów na boki, jednak nacierali ponownie, fala za falą.

Wyrwał się i kopał jak tabun dzikich koni. Ale i tak powalili go na podłogę. Rzucił się ostro, kłębowisko o mało się nie rozpadło...

– Przebacz – odezwał się Jura. Był śmiertelnie blady, na białej twarzy płonęły czerwone plamy, jakby od gorączki. Stał i patrzył, jak Uber się szarpie. – Przebacz, Uber. Nie dałem rady. Zmusili mnie.

– Zdrajca! – krzyknęła Mika. – Tchórzliwy tchórz!

Jura zgarbił się.

Za cienkimi ścianami namiotu przemykały atramentowe cienie. Wiele ich było, przesuwają się z wszystkich stron. Wzięli skinheada w obroty. W pewnym momencie oszalałym, niemożliwie gwałtownym zrywem udało mu się wydostać z ciżby, wstać... I nawet przejść kilka kroków. Walił łokciami i kolanami, bez litości czy sentymentów. Jak w starych, dobrych czasach, kiedy w najlepsze tłukli się z milicją i „kosmonautami”. Jeden z ludzi Sołowieja poleciał na bok.

– Aniele! – zawołała Mika. – Z tyłu!

Uber odwrócił się, ostro wyrzucił pięść przed siebie. Kazach potoczył się po posadzce. Wolność! Uber skoczył, przewrócił Żółtego, błyskawicznie wyrwał się z namiotu. Zdawało się, że jeszcze мгновение i będzie na swobodzie – silny i szybki. I wtedy zobaczymy, kto kogo.

W następnej chwili oberwał w tył głowy. Świetny, profesjonalny cios.

Skinhead przeszedł chwiejnie dwa kroki. Peron kołysał mu się pod nogami. Uber runął, jakby podcięty, twarzą w dół. Wzbijając z ziemi pył.

– Aniele! Aniele! – zakrzyczała Mika. Nanny przycisnęła ją do siebie.

– Co, kurwa, prosiłem, żeby go zabijać?! – wrzasnął Sołowiej. – Prosiłem, kurwa, żeby wziąć go żywcem!

Chudy, tyczkowaty chłopak o przezwisku Wiking wzruszył ramionami. Przykucnął, sprawdził skinheadowi puls na szyi. Popatrzył na Sołowieja.

– Jest żywy – rzekł. Miał fryzurę na języka i okrutną, wychudzoną twarz. – Silny chłop. To i walnąłem mocno. Umiem bić.

– Wiking profeska, się wie – potwierdził Okrągły. – Sołowiej, co się tak rzucasz? Sołowiej ostygł. Potrząsnął głową.

– Dobrze – mruknął z niezadowoleniem. – Bierzcie go, tam się z nim rozprawimy. Wiking, weź swoje instrumenty. Ty. – Dźgnął palcem Kazacha. – Siedź tutaj. I żeby te dwie nigdzie się nie zgubiły. Zrozumiano?!

Jobanadźyc ponuro kiwnął głową.

ROZDZIAŁ 11

1 Izba tortur

– No, już, faszysto, obudź się – nalegał jakiś głos. – Otwieraj oczy, gadzie!

Światło przebijało się nawet przez zamknięte powieki. Uber początkowo pomyślał, że na cholerę mu to, teraz jakieś tałatajstwo będzie mu bić mordę i zadawać głupawe pytania – ale mimo wszystko otwarł oczy.

I właściwie niepotrzebnie. Siedział na krześle nagi do pasa, ręce miał związane za plecami. W pięty było zimno. Spojrzał zezem. „I buty mi zdjęli, ścierwa”. W zadumie poruszył gołymi palcami nóg, podniósł głowę.

– Wszystko zostanie między nami – oznajmił tamten głos.

Gdy Uber w końcu pomrukał – oczy łzawiły od białego, palącego jak nierozcieńczony spirytus światła – zobaczył przed sobą dwóch ludzi w maskach.

– Nie zamierzamy cię zabijać – rzekł lewy. Niższy.

– Dokładniej: na razie nie zamierzamy – uściślił prawy. Ten był wyższy.

Uber uniósł brwi. Co by nie mówić, śmieszne zwierzęta z tych ludzi. Znacznie śmieszniejsze od małp. Ciekawe, czy w Afryce ktoś przeżył?

– Dlaczego? – spytał z zaciekawieniem.

Lewy i prawy dali się zbić z tropu.

– Ee...

– Jeszcze się nie zdecydowaliście? – zainteresował się uprzejmie. Niezauważalnie napiął mięśnie rąk. Mocno trzyma. Związali go nie sznurkiem, tylko taśmą klejącą. Sprytne skurwiele.

Faceci w maskach spojrzeli po sobie.

– Nie. To jest tak. To jest... zamknij się tak w ogóle!

Strach zabija połowę życia, jak powiedział ktoś wielki. „Tym dwóm teraz wyraźnie zostanie mniej niż połowa”.

Uber roześmiał się. Zakołysał na krześle – w myślach ocenił: dobrze przywiązali, dranie. Nie rozluźni się. Krzesło też porządne.

Z impetem, jak w kiepskiej operetce, do pokoju wpadł Sołowiej. Obaj bandyci wyprostowali się jak struny. Sołowiej obejrzał Ubera, po czym zwrócił się do swoich ludzi:

– Idioci – wycedził wolno. – Po co wam te maski?

– No, myy... – zająknął się lewy. Potem ściągnął z głowy czarną maskę, dłonią przyglądził włosy.

„A tak, to Niebieski – pomyślał Uber. – A gdzie Żółty, nasz koleżka?”

Prawy też zdjął maskę. „A oto Żółty” – pomyślał Uber. Dawno się nie

widzieliśmy, przygłupie. Jak zdrówko?

– A jeśli nas rozpozna? – spytał Żółty.

– Bo co, zamierzacie zostawić go żywego?! – Sołowiej nie wierzył własnym uszom. – Takie z was debile?

Uber gwizdnął cicho.

– A to ci obrót zdarzeń. Nie przeszkadza, że wszystko słyszę?

Sołowiej zignorował go. Żółty i Niebieski zaczęli się jeden przez drugiego usprawiedliwiać, ale bezskutecznie.

– Sołowiej, no, czego ty... My przecież... No przecież on... – Ich głosy zlewały się w jeden bełkotliwy strumień.

Uber znowu ostrożnie napiął mięśnie, aż mu w oczach pociemniało. Rozluźnił.

W pokoju paliła się lampa, kołysząc się na długim przewodzie. Pośrodku podłogi podrygiwała żółta plama światła. Uber rozejrzał się ukradkiem. „Najwyraźniej jestem gdzieś w służbowych pomieszczeniach, za stacją...” Pokój wydał mu się znajomy. Na pewno zaglądali tu z Jurą. „Ech, Jura, cóżeś ty...”

W prawym kącie pokoju bieląca leżąca na boku, porzucona muszla klozetowa, pokryta pyłem i brudem. O, takie coś spuścić na te bestie... Z rozmachu. W tego Sołowieja... Uber lekko obrócił głowę. A więc: po lewej stół z blatem zawalonym najróżniejszym chłamem. Przy stole żelazna beczka w roli koksownika, czarne węgle, obok kupka szczap, zmięty papier, żelazny pręt. „Szaszłyki zamierzali tu piec czy co? – pomyślał Uber. – Żreć się chce, cholera”.

– A to co? – zapytał nagle Sołowiej. Zimnym, pozbawionym życia głosem.

Stół był zastawiony jedzeniem: kawałki chleba, otwarte puszki tuszonki, jakieś papiery, opakowania, nóż, brudne talerze, a nawet skarpety. Butelka z siwuchą, żelazne kubki. Chłopak niczego sobie nie odmawiali. Jedli i popijali zdrowo.

W koksowniku piętrzyła się góra zimnych węgli. Z wierzchu wetknięto w nią dwa pety.

Sołowiej przeszedł się, obejrzał cały ten bajzel i nagle ryknął:

– Ogień czemu nierozpalony?! Co?! I miejsce zróbcie, kurwa! Dlaczego stół cały zawalony, jak tutaj pracować?! Co to za bardak, kurwa?! Jak zawsze, do cholery. nic niezrobione!

– Cioty – podbechtał go Uber. – Po prostu cioty.

Żółty z Niebieskim obejrżeli się na niego. Odniósł wrażenie, że z urazą w oczach. „Jacy bandyci stali się przewrażliwieni, aż ich żal” – pomyślał z westchnieniem. Znow napiął mięśnie. Opuścił. Stary sposób, ale tu, zdaje się, bezskuteczny”. Pieprzona taśma klejąca. „Na pewno wynalazł ją geniusz...” Tylko że tego geniusza najwyraźniej nikt nigdy nie przywiązywał do krzesła w ciemnym lochu, żeby go torturować i zabić.

A Sołowieja tymczasem nosiło ze złości.

– Z jakiego pierdolonego powodu zawsze wszystko muszę robić sam?! – darł się. – Nie powiesz, nikt niczego nie robi! Nikomu za cholere niczego nie trzeba! Co, tylko mnie to jest potrzebne?! Mnie też niczego za cholere nie trzeba! Żyjcie sobie, kurwa, jak sami chcecie! Na chuj! Na-chuj.

Żółty z Niebieskim rzucili się do stołu, zaczęli pośpiesznie zgarniać z niego rzeczy. Chłam poleciał na podłogę. Butelka przewróciła się, potoczyła po blacie, rozlewając trunek... Do Ubera dotarł ostry zapach niedogonu z dodatkiem woni skarpetek. Niebieski ledwie zdążył złapać flaszkę, lecz łokciem strącił przy tym kubek. Żelazne naczynie spadło z hałasem na ziemię i poleciało pod nogi Ubera. Sołowiej przewrócił oczami.

– Już, zaraz, Sołowiej. Wszystko zrobimy... – mamrotał Niebieski.

Żółty w milczeniu operował szmatą.

– Kurwa! – wydarł się Sołowiej z nową siłą. Wlepił Niebieskiemu, ten przygiął się, wciągnął głowę w ramiona. – Nie gadaj do mnie „zaraz”! Nienawidzę słowa „zaraz”! Będziesz mi „zarazować”, to cię w cholerę zabiję, zasrany przygłupie! Zrozumiano? Dlaczego ogień nierozpalony?!

– A koksownik dla kogo tu stoi? – podzegał Uber radośnie. – Dla innych ciot?!

– Uber, przynajmniej ty, do kurwy, zamilcz! – Sołowiej odwrócił się. – I bez ciebie rzygać się chce! No, nikomu tutaj, kurwa, niczego nie trzeba, co?! No i jak? Jeżeli Sołowiej nie robi, nikt niczego nie robi... Wyobrażasz sobie?

– I ogień rozpalcie, półgłówki! – zawołał Uber.

Żółty z Niebieskim zakrzętnęli się. Dokoła wszystko fruwało. Sołowiej nagle skapował, do kogo się zwraca. Popatrzył na Ubera, jakby dopiero teraz go zobaczył, splunął i skierował się do swoich fagasów.

– I żelazo rozgrzejcie – rozkazał już spokojniej, tylko z pozostałościami rozdrażnienia w głosie. Jakby fusami na dnie szklanki.

– Lenie żelaza nie rozgrzały?! – oburzył się Uber.

Sołowiej spojrział na niego z ukosa, ale tylko westchnął. Żółty rzucił się rozpalać ogień, upuścił zapalniczkę. Ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Sołowiej westchnął. Żółty schylił się, podniósł zapalniczkę... i wstając, rąbnął głową o brzeg stołu.

– Kurrwa!

Sołowiej zaryczał.

– Musisz jakoś zaprowadzić porządek – wtrącił Uber przenikliwym głosem. Sołowiej odwrócił się. – To przecież istna katastrofa. Złą ścieżką kroczą chłopcy. Tylko patrzeć, a zaczną palić...

Pauza.

– Uber, z ciebie jest, kurwa, okaz – powiedział w końcu Sołowiej. Wzrok miał zastygły, jakby mróz skuł lodem całą głębokość jeziora.

Uber wybuchnął śmiechem.

Sołowiej odwrócił się do Żółtego i Niebieskiego, a ci zamarli, jakby pod spojrzeniem głodnego tygrysa.

– Nie mam teraz czasu cackać się z nim – rzekł Sołowiej cicho, zmęczonym głosem. – Potem się z wami rozprawię. Beze mnie go nie zabijają. Niedługo wróci Wiking, to go przygotowuje.

I energicznym, sprężystym krokiem wyszedł z pomieszczenia. Uber odprowadził go wzrokiem.

2. Nanny

Nanny stała jak posąg. Twarz blada, na czole perełki potu.

– Nanny, pomóż! – zawołała Mika. – Powinnyśmy mu pomóc! Nanny!

– Ja... nie mogę...

– Nanny! Proszę!

Nagle ruszyła z miejsca i rzuciła się naprzód. Z rozpędu popchnęła Kazacha, zbiła go z nóg. Jobanadźyc potoczył się po podłodze jak worek zgniłych ziemniaków.

– Mika, za mną!

Złapała dziewczynkę za rękę. Popędziły do wyjścia z namiotu. Kazach podniósł się.

– Nanny! – wrzasnęła Mika. Nanny przeszła przez próg i nagle... – Nanny!

Błysk ostrza.

Niania krzyknęła, nogi się pod nią ugięły. Mika z rozpędu przebiegła jeszcze kilka kroków, zatrzymała się. Odwróciła. Kazach trzymał nianię na rękach niczym wielkiego niemowlaka.

Wyjął nóż z jej pleców. Ostrze było czerwone. Nanny bez sił osunęła się na podłogę, skuliła się na granicę. Drgnęła, krew rozlała się ogromną kałużą...

– Jobanadźyc – stęknął ze zmęczeniem Kazach. – Co to za kobiet. Całkowicie zły. Całkowicie zły.

3. Pięć wołów

– Kto przyjdzie? – zapytał Uber. – O czym on gada?

Słodka parka spojrzała po sobie, potem zarechotała. Po wyjściu Sołowieja znowu nabrali śmiałości. „Szakale – pomyślał Uber. – No, nic to”.

Rozpalili ogień. Węgiel tlił się, po pokoju rozchodził się zapach rozgrzewanego żelaza i dymu. W końcu Niebieski włożył do koksownika żelazny pręt. Uber widział, jak pręt powoli nabiera koloru, robi się wściekle jasny.

Skinhead też nie ustawał w pracy. Napręzał i rozluźniał mięśnie. Raz za razem. Tył głowy bolał go niemiłosiernie, w ustach znowu pojawił się posmak żelaza i mdłości.

Po półgodzinie Niebieski z Żółtym rozruszali się. Usłyszeli coś, zanim zrobił to Uber.

Drzwi skrzypnęły. Uber usłyszał, jak w ciemności rozlegają się niespieszne, pewne siebie kroki przybysza. Po odgłosie Uber domyślił się, że tamten ma na nogach robocze buty. Albo grindery. Taki charakterystyczny dźwięk.

– Pojawienie się Komandora – skomentował Uber. – Jak by powiedział Don Juan: chodzą tu tacy różni, a potem ludzie giną.

Żarcik wyszedł taki sobie. Uber się skrzywił.

– No co, faszysto, szykuj się – rzucił gość. Wszedł w krąg światła. Miał na sobie wytarty robotniczy kombinezon i ciężkie buty. Rękawy kraciastej koszuli zakasane. Około dwudziestu lat. Chuda twarz o ostrych rysach z zapadniętymi jak kaniony

policzkami. Surowe, zaciśnięte w linię wargi, przy ustach zawężłone mięśnie. Był krótko ostrzyżony, wyraźnie sprawny i gibki, mógłby uchodzić za brata Ubera w skinheadzkim ruchu, tyle że był zupełnie inny.

Przyszedł tu, by torturować Ubera. Wiking położył na stole metalową wanienkę podobną do tych, jakie w radzieckich czasach służyły do odkażania narzędzi chirurgicznych. Następnie powoli obszedł skinheada.

– Jestem Wiking – przedstawił się. – Antifa.

– A ja anti-la – odparł Uber. – Nut jeszcze sporo, możemy wybierać z oktawy. Chyba że nie o to chodzi?

Ale Wikinga nie tak łatwo było zbić z tropu. Stał przed Uberem, obejrzał go. Milczenie.

– Ja was, faszystów, nienawidzę – rzekł cicho. – Rozumiesz? Rwałbym was zębami, żgał żelazem, ścisnął szczypcami, każdą kosteczkę, każdy palec, żeby was, gnidy, więcej na świecie nie było.

Zabrzmiało dość... maniacko. I przerażająco.

– Zabierzcie stąd tego psychola z łaski swojej – poprosił Uber.

Żółty i Niebieski roześmiali się.

– Co, już nie taki twardy? – zadrwił Niebieski.

– Jaki on tam twardy, ni chuja – dodał Żółty. – Wiking, daj mu popalić!

– Szykuj się, faszysto – zapowiedział Wiking. Poszedł po narzędzia, pogmerał w wanience. Potem wziął z koksownika rozpalony do czerwoności żelazny pręt. Zwrócił się do Ubera.

– Sam jesteś faszystą – odgryzł się Uber. – No co, może nie? Co teraz robisz, przekonujesz mnie po dobroci i łaskawości? Wychowujesz, świecąc dobrym przykładem? Ni-chu-ja. Zamierzasz mnie żgać rozpalonym żelazem, pieprzony humanisto. Faszysta jak w pysk. No, dawaj, przekonaj mnie, że jest inaczej.

– A to pyskacz – skwitował Niebieski.

– Aha – zgodził się z nim Żółty. – Ocipieć przy nim idzie.

– Ten, kto zadaje męki faszystom – oznajmił z przekonaniem Wiking – sam nie może być faszystą.

Żelazo było coraz bliżej. Żar przebiegał falami po obnażonej skórze skinheada.

– Rozczarowałbym cię, koleś, ale nie mam teraz czasu – odparł Uber. – Zaraz będę wrzeszczał. Potem pogadamy. Okej?

Rozpalony do białości szpic przysuwał się do ramienia Ubera... zawahał się, jakby podejmował decyzję... i obniżył się. Odrażający śwąd przypalanego ciała. Wycie Ubera rozległo się potwornym brzmieniem, nawet nieco przypominało krzyk smoka.

Niebieski wymiotował w kacie.

Uber wykrzyczał się. Potem nagle zaczął rechotać.

– Czego rżysz?

– Oj, nie mogę!

– Co ci jest? – spytał Żółty.

Wrócił Niebieski, obcierając usta. Śmierdziało od niego rzygami.

– Co mu jest? – zdziwił się.

– A chuj go wie – mruknął Żółty. – Może mu klepka wypadła.

Uber uśmiechnął się do niego promiennie. Żółty zdębiał, cofnął się o krok. Wiking obojętnie pogmerał pogrzebaczem w koksowniku. Szczęknęło. Poleciały iskry.

Uber odgiął się do tyłu. Ból był niewiarygodny. Skinhead zacisnął zęby, żeby znowu nie zawyć.

W pewnym momencie zrobiło mu się żal samego siebie, jakby żałował każdego na swoim miejscu. Wyobraził sobie, jak teraz wygląda z boku. Ciemna klitka, zasypana rozbitymi cegłami i zaśmiecona, woda chlupocze po kątach, przemykają szczury. Spod sufitu zwisa pojedyncza lampa na długim przewodzie. Światło kołysze się, kołysze. Kołysze.

A on, Uber, cholerny przeklęty skinhead, siedzi przywiązany do krzesła. Całą potylicę i kark ma w starych szramach, a do tego nową ranę. Świeża krew. Rozdarte ramię dymi i śmierdzi. Przed nim w promieniach białego światła stoi dwóch ludzi. Uber jest strasznie pobity. I tak go żal, taki biedny...

„No i chuj. – Uber zadarł głowę. – Niedoczekanie wasze”. Wyszczrzył zęby, zaśmiał się.

– Wy, chłopcy, pewnie postanowiliście nastraszyć mnie swoimi sadystycznymi zabawami? Co za... Mam nadzieję, że staracie się tak dla siebie, nie dla mnie. Dlatego że na mnie nie robicie wrażenia. Kumacie? Widziałem w życiu tyle niemieckich pornusów, że dla mnie wasze „okrutne” zabawy to jak grzebanie w piaskownicy. Różową plastikową łopatką. *Verstehen*, bydlaki?!

Wiking odwrócił się. Pokazał Uberowi kciuk do góry. Znowu się odwrócił.

– A teraz – zagadnął Uber. – Przechodzimy do części artystycznej...

Ludzie Sołowieja spojrzeli po sobie ostrożnie.

– Teraz będę wam recytować wiersze.

Wiking wzruszył ramionami. Odwrócił się, wrzucił pręt do koksownika, zabrzczał narzędziami w wanience. W palenisku trzaskały węgle. Od żelaznego pręta posypały się iskry, gasły w półmroku.

Uber zaczął recytować – równym rytmem, zwyczajnie. Wiking, gmerający w narzędziach, zastygł i słuchał. Głos Ubera brzmiał tak, jakby ten snuł opowieść na wolności, wśród znajomych i przyjaciół. Spokojnie i dźwięcznie, bez normalnej u niego kpiny.

– Wiersz Nikołaja Gumilowa pod tytułem *Pieśń o pięciu wołach*. Wiecie, kto to taki Gumilow? Poeta i żołnierz. Był naprawdę twardy. Kiedyś podróżował po Afryce.

Uber recytował. Niegłośno, z uczuciem.

*Służyłem pięć lat u bogacza,
Strzegłem na polach jego koni
I za to on mi podarował
Pięć wołów do jarzma sposobnych.*

– Co on tak? – zapytał Niebieski.

– Nie wiem – odparł Żółty.

Wiking stał obok nich, słuchając. W jego rękach stygł żelazny pręt.

*Jednego z nich lew zarznął wkrótce,
Znalazłem w trawie jego ślady,
Trzeba lepiej swój kraal ochronić,
Trzeba palić ognisko na noc.*

*Drugi się zbiesił i mi uciekł,
Uządlony przez wściekłą osę,
Błądziłem po zaroślach pięć dni,
Lecz nigdzie nie mogłem go znaleźć.*

- Nie ma chłop szczęścia – wtrącił Niebieski ze współczuciem.
- Dokładnie – przytaknął Żółty.
- Zamknijcie się obaj – uciszył ich ostro Wiking. – Dajcie posłuchać. Zamilkli więc obaj.

*Dwóm wołom podsypał mój sąsiad
Do poidła trujący lulek,
Padły oba na ziemię strute
Z wywalonym sinym ozorem.*

I tu głos Ubera zaczął nabierać siły, zabrzmiał donośnie jak dzwon:

*Ostatniego zakłutem ja sam,
Żeby mieć czym ucztować w czasie,
Kiedy palił się sąsiedzki dom,
A w nim był przywieszony sąsiad.*

Gdy Uber skończył, w pokoju zapanowała cisza.

Po chwili Wiking zadarł głowę i zarechotał głucho. Żółty i Niebieski spojrzeli po sobie.

– Dobrze! – rzekł Wiking. – Mówisz, że kto to napisał? – Głos miał ochrypły.

Uber zmrużył oczy, potrząsnął głową.

– Nikołaj Gumilow.

– Zapamiętam. Ma chłop łeb na karku. Aż ciarki przeszły. – Wiking wstał, poruszył ramionami. – A ty, faszysto, i tak nie zrozumiałeś, że coś takiego mógł napisać tylko prawdziwy antifa. Nasz człowiek.

– Tak w ogóle jestem czerwonym skinheadem – wyjaśnił Uber. – Redskins! Jaki niby, kurwa, faszysta?! Z byka spadłeś?

– Wy, faszyci, wszyscy tak mówicie – powiedział Wiking stanowczo. – Jak zapachnie smażonym, wszyscy faszyci od razu robią się biali, puszyści i srają wyłącznie motylkami. Ale wiesz pierwsza klasa. Oko za oko. Sprawiedliwość. Odwet. Wsio jak trza.

– Co do zapachu spalenizny, świetnie powiedziane. – Uber zaśmiał się. Twarz miał śmiertelnie bladą, na czoło wystąpił mu pot. Źrenice były ogromne z bólu, tak że oczy wydawały się głębokie, bezdenne. Odwrócił głowę, wciągnął w nozdrza woń swojego rozdartego, przypalonego ramienia, zaśmiał się. – Uff. Cudo!

Ludzie Sołowieja spojrzeli po sobie i jednocześnie odsunęli się dalej. W ich oczach mignął strach.

– Ty... co z tobą? – bąknął Żółty.
– Uwielbiam zapach napalmu o poranku – wyjaśnił skinhead.
Zaśmiał się, widząc, jak im się wyciągnęły miny. Żółtego zemdliło, pobiegł do kąta. Odgłosy wymiotowania.
Wiking skinął głową.
– A ty, twardzielu, faszysto. – Zawahał się, przestąpił z nogi na nogę. Wziął błyszczące szczypce, pokazał je Uberowi. – Kontynuujemy?

4. Lejkin i Sołowiej

– Uciek! – Sołowjow splunął ze złością, ściskając swój obrzyn w dłoni – Uciek, kurwa! Pierdolony archanioł. Lejkin!
– C-co? – Chuderlawy, wymięty Jura ze strachem wyciągnął długą szyję.
– Bił cię?
Wąskie brwi Jury podniosły się jeszcze wyżej, wyginając się boleśnie.
– N-nie... Au!
Bum! Chłopak upadł. Odwrócił się, usiadł z trudem, przyciskając sobie rękę do połowy twarzy. Spomiędzy palców pociekła krew. Cios rozciął mu brew.
– Teraz bił – stwierdził Sołowjow. – Rozumiesz?
Jura nagle podniósł głowę. W jego spojrzeniu pojawiło się niezwykle dla niego zdecydowanie. Sołowiej odsunął się ze zdziwieniem. Niczym tygrys w zoo, którego capnął tępyimi zębami maleńki koziołek.
Jura dźwignął się na nogi, wstał chwiejnie. Wyprostował się, wyszczerzył zakrwawione zęby.
– Nie. Nigdy więcej.
– Nie? – Sołowiej początkowo nie uwierzył. Cofnął się o krok, zastygł. – Coś ty powiedział?
– Nie chcę już robić tego, co mi każesz. Nie będę więcej ustępować.
– Duralejkin, czyś ty przypadkiem nie ocipiał?
– To wszystko co najwyżej ból. Ból można znieść... – Cios powalił go na podłogę.
Sołowiej podszedł i poprawił nogą: prosto w twarz. Chłopak krzyknął. Jeszcze raz kopniak. Jura krzyczał dziko, nieludzko.
– Starczy ci? – spytał Sołowiej.
Młody przetoczył się wolno po ziemi cały we krwi. Potem zaczął się podnosić.
– Chłopcze, lepiej nie – odezwał się Okrągły. Głos mu drgnął. Zastępca zrobił krok w stronę Sołowieja, już prawie wyciągnął rękę... opuścił.
– Z bólu można krzyczeć – powiedział Jura skrwawionymi ustami. Nie było już w nich połowy zębów. Twarz miał przekrzywioną, jedno oko wypłynęło i osunęło się w dół. – Ból to tylko ból. Zabiłeś Martę, draniu.
Sołowiej patrzył na niego, nie wierząc. Ruszył do przodu, zamieniając się w bestię.
– Sołowiej, ty... – zaczął Okrągły.

– Pierdol się – warknął szef z nienawiścią. Zastępca zobaczył jego oczy i odsunął się na bok. – Wszyscyście tacy milutcy, kurwa! A masz, chamie! – Walnął. A potem jeszcze raz i jeszcze. Nachylił się nad ciałem, podniósł Jurę za koszulę, spytał:

– Co teraz powiesz?

Oko Jury błysnęło spod krwawej masy. Z twarzy zostało mało co.

– Z tofą... konief – wybełkotał chłopak. I roześmiał się. – Ftrafnie?

– Ach, ty! – Sołowiej uderzył.

* * *

Sołowiej wyprostował się. Stał nad tym, co jeszcze niedawno było Jurą, i ciężko dyszał. Spojrzał po sobie. Cały był zabryzgany krwią – od stóp do głów. Powoli obrócił głowę, jego ludzie odsuwali się, odwracali oczy. Sołowiej wolno otarł sobie twarz ręką. Knykcie miał rozbite do takiego stopnia, że dłonie zdawały się dwa razy większe. W ustach coś mu przeszkadzało. Wypluł to coś i... sam się cofnął.

Był to kawałek ucha. Sołowiej wtem uświadomił sobie, że nie pamięta, kiedy to zrobił. Jak w gęstej mgłę. Porażka. I tylko smok uspokajająco pomrukiwał w mroku. Smokowi spodobał się smak ludzkiego ciała.

– Sołowiej, co z tobą? – Okrągły odsunął się bardziej. – Ty jego... za co?

– Nie pytałem cię. Jak widzę, wszyscy się ożywili. Tak?!

Okrągły pokręcił głową.

– Ale że ja? Ja przecież nic.

– Ktoś jeszcze, kurwa, ma pytania?!

Sołowiej szybko obrzucił wzrokiem swoich ludzi. Wielu odwracało oczy, uciekało spojrzeniem. Zacisnął zęby.

Wszedł Wiking. Obejrzał towarzystwo, ruszył w stronę Sołowieja.

– Po coś mnie wezwał... – Zatrzymał się, widząc okaleczone ciało Jury. Twarz Wikinga drgnęła i zastygła.

– Kto to? – zapytał obojętnie.

Okrągły zrobił udręczony grymas, poszedł na bok.

– Nie wzywałem cię – powoli odpowiedział Sołowiej. – Skąd ten pomysł?

Wiking podniósł brwi. Twarz o niezmaconym spokoju.

– Czeczen mówił.

– Co? – Sołowiej dostrzegł, że tuż za Wikingiem stoją Żółtko i Chabera, te dwa tępe przygłupy.

– A wy tu czego... – Nagle do niego dotarło. Wszystko znowu poszło na opak. Czyżby Uber znowu sobie z nich zakpił?! – Gdzie łysy?!

Żółtko i Chabera spojrzeli po sobie. Wiking w tej chwili zrozumiał, roześmiał się, odszedł na bok. Ludzie Sołowieja milczeli.

Ich szef wrzasnął w szale:

– I cała ta chujnia z powodu jakiejś dziwki?! Nie wierzę! Co tak stoicie, kurwa?! Nie jesteśmy w telewizorze. Wyłazić, szybko! Naprzód! Naprzód, wy matoly!

Gdy wyszli, Wiking pochylił się nad Jurą, zawahał. Coś przyciągnęło jego wzrok.

Wiking obszukał ciało i wyjął z kieszeni zapalniczkę Zippo. Starł krew ręką, otworzył, popatrzył w zadumie. Tak go zastał Chabera.

– Ty... co z tobą? Idziesz?!

– Opowiedz mi o martwej dziewczynie – rzekł Wiking.

Chabera zamrugał w przestkach.

5. Wybór

– Zbyt często wybieramy nie to, co byśmy chcieli – nadawał Uber. – Rozumiesz, brachu? Wybieramy na zapas, wybieramy, bo „a co sobie o mnie pomyślą”, wybieramy, bo „ten mój wybór spodoba się komuś”. Żonie, rodzicom, jakiejś kobiecie... społeczeństwu, nie wiem. Wybieramy nie siebie.

Zastanowił się, znów zagadał:

– A ja wybieram siebie. Jestem praktykiem. Być praktykiem i wybierać to, co potrzebne jest właśnie tobie albo czego pragniesz dokładnie ty, to, kurr, najlepszy wybór.

Wiking zakołysał się z palców na pięty. Buty miał ciężkie, z zaokrąglonymi tępymi noskami. Grindersy czy jak im tam. Robotnicze obuwie. Pętle bootstrapsów wystawały spod nogawek.

Krew ściekała z rozciętego czoła Ubera. Kapała na piersi i brzuch.

– Kto to my? Kto to ja? Co tak naprawdę wybieramy, wybierając jakąś rzecz? Nawet najmniej znaczący wybór coś mówi o człowieku. Choćby kolor sznurówek. Gdybym miał czerwone sznurówki, gdzieś tam oznaczałoby to moją śmierć. W naszym podziemnym świecie byle drobiazg może doprowadzić do śmierci. Albo do okaleczenia. Komuś po prostu spodoba się twoje sznurówki i za progiem stacji czeka na ciebie ciemność, uderzenie czymś ciężkim w głowę. To też opcja. Tak że, brachu, sam zdecyduj. Wybieraj z uczuciem, jak mówił twardeł Ash z *Armii ciemności*.

– Skąd? – zainteresował się Wiking.

– Nie denerwuj się, chłopcze, ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie.

Stuknęły drzwi. Wszyscy się obejrżeli. W wejściu stał Czechen. Twardy, wyzywający jak zawsze. Prawa dłoń w gipsie. Czechen uśmiechnął się.

– Przyszła zmiana – rzekł.

6. Śmierć Nanny

– Nanny! – zawołała dziewczynka, rzuciła się ku niej.

Kazach odszedł na bok chmurny i ponury, wytarł nóż z krwi.

– Jobanadżyć – wymamrotał.

Nanny z trudem otworzyła oczy. Twarz miała bladą, półprzeźroczystą.

– Zimno mi, dziewczyno. Och, jak ja się namęczyłam z twoją córką, Marto.

– Nanny, to ja! Mika!

– Dlaczego nie wróciłaś, Marto? Ona tak na ciebie czekała.

Mika pochyliła się nad nianią.

– Nanny, tam jest brama. – Mała płakała bezgłośnie, łzy toczyły się jej po policzkach. – Widzisz bramę! Wszystko jest tak, jak chciałaś!

– Brama – powiedziała Nanny. Z wysiłkiem podniosła powieki. Ciężyły jej, sklejały się sennie. – Brama... ja tak lubię bramę...

– Widzisz?! To ona! Są na niej takie zawijasy, z brązu... Nanny, nie śpij! Widzisz?!

– Tak... za...wijasy – powtórzyła niania.

– I tam jest napis... widzisz? Napisane: „Cześć, Nanny”.

Niania uśmiechnęła się. Jej oczy patrzyły przez dziewczynkę na wylot, na wylot przez niskie betonowe sklepienie, przez sto metrów ziemi i kamienia, przez martwe miasto... i przez przeniknięte rentgenami powietrze... i obłoki... poczerniałe, z martwymi aniołami... tam, gdzie była Brama. Tam, gdzie był spokój.

Nagle na kilka chwil wzrok jej oprzytomniał.

– Gdzie ten łysy? Za... zawołaj go.

– Tutaj – odparła Mika. – O, tu siedzi.

– Opiekuj się... nią.

– Tak – odpowiedziała mała za anioła. – Zrobię wszystko, Natalio Wasiliewno.

– Widzę. – Twarz Nanny rozjaśniła się. – Tak lubię bramę. Cześć, Marto. Tak lubię twoją córkę... nieznośna jest... u ciebie... u nas...

Nanny zamarła. Otwarte oczy patrzyły w pełne aniołów niebo. Tam, gdzie była brama ze zwiniętymi liśćmi z brązu. Tam, gdzie przypuszczalnie już na nią czekano.

Mika zapłakała. Rzuciła się i objęła nianię.

– Nanny! Nanny! Kocham cię! Nanny, nie umieraj! No, proszę!

Dziewczynka się w końcu zmęczyła. Wyjęła z kieszeni czarne pióro, zacisnęła je w rękach i zaczęła się z nim kołysać.

Kazach patrzył na nią przez chwilę, potem się odwrócił.

7. Anioł Spierdalaj

Czeczen pokręcił głową, nie odrywając wzroku od przywiązanego do krzesła Ubera. Oblizwał sobie spierzchnięte wargi. Powoli ruszył do przodu.

– Ja sam. A wy idźcie. Wiking! – zawołał do chudego.

– Czego?

– Cziebie też Sołowiej wzywa.

– Po co? – Wiking odwrócił się, ze zdziwienia uniósł brwi.

Czeczen najeżył się. Tego psychola od dawna nie lubił.

– Cholera go wie – odparł. – Wzywa, znaczy: zzeba. Ja czo, pytacz bede? Szam go znasz, szwiruje, mało nie wyjdzie z siebie.

Wiking z żalem obrzucił wzrokiem Ubera, koksownik, narzędzia porozkładane na stole na czystej szmatce. Nieśpiesznie włożył wojskową kurtkę, skinął Uberowi.

– Nie ruszać moich instrumentów – ostrzegł Czeczena.

– Gównu mnie obchodzą.

– Chłopa, nie porzucajcie mnie! – krzyknął Uber.

Zaśmiali się i wyszli. Wiking odwrócił się w drzwiach.

– Powinieneś być komikiem – rzekł. – Szkoda, że jesteś jebanym kurewskim faszystą. – I wyszedł. Zgrzytnęły metalem drzwi.

– Jestem czerwony! – zawołał Uber ponieważ.

Zostali w pomieszczeniu we dwóch. Czeczen spokojnie, delektując się przedsmakiem, obejrzał zakrwawionego, przywiązanego do krzesła Ubera. Zdjął skórzaną kurtkę i powiesił ją na drugim krześle. Zagipsowana dłoń niezbyt mu przeszkadzała. Wielkie rzeczy. „Lewą jeszcze lepiej biję” – pomyślał Czeczen.

– Będziesz jeszcze pieprzyć głupoty? – zapytał Ubera.

– A jak myślisz?

Czeczen pokiwał głową. Dobroduszny i poczciwy.

– To dobrze.

Zdjął koszulę, rozciągnął się. Poskakał, poboksował powietrze.

– Zwykle włączam magnetofon, żeby nie było tak nudno. Ale niedawno się zepsuł.

Uber potrząsnął głową, splunął. Krew i kawałek zęba. „Kurwa, nie mam ich wiele na zbyciu”.

– Szkoda twojego magnetofonu – odparł. – Posłuchałbym muzyki.

– Ja też. Ale i tak napieprzasz językiem bez ustanku. – Czeczen zatrzymał się, z chrzęstem rozwarł palce, spojrzał na skinheada drwiąco, od góry. Pomagając sobie zagipsowaną ręką, zaczął drugą pięść owijać bandażem boksinerskim. – Nie przewiduję, że bym się nudził dziś wieczór.

– O – rzucił Uber niedbale. – Czas ze mną leci niepostrzeżenie.

* * *

Uber zaśmiał się – cały we krwi. Czeczen przerwał lanie, wyrównał oddech. Już dostał zadyszki od bicia.

– Czemu rżysz? – zapytał skinheada. – Dość opierdzielania, zacznij pieprzyć swoje.

Przybliżył się, spojrzał Uberowi w oczy, po czym zamachnął się i uderzył. Uber w ostatnim momencie przesunął głowę, pięść tylko musnęła kość policzkową, zdarła mu skórę. Uber roześmiał się.

– *Ufała* – rzucił Czeczen ze złością. Zgiął się w pół, najwyraźniej nieumiejętnie pociągnął mięśnie przy wyprowadzaniu ciosu.

– Chyba nie myślałeś, że wszystko pójdzie tak gładko? – Uber pokazał różowe od krwi zęby. – Stój, stój! Dobrze, chciałeś historyjkę, to ci coś opowiem... – Zamyślił się na chwilę. – Powiedzmy, o aniołach. Jak ci się widzi?

– O aniołach? – Czeczen aż się zatrzymał. Z zainteresowaniem spojrzał na Ubera. Ten podniósł głowę.

– I o ich cudownych imionach. – Skinhead rozciągnął usta w uśmiechu. – U was,

muzułmanów, też są przecież anioły?

– Tylko bez bluźnienia. Nie lubię tego – uprzedził Czechen.

– Żadnego bluź... *fuck!*

Czechen rąbnął go prosto w nos. Głowa Ubera odskoczyła w tył. Bryzgi krwi poleciały po całym pokoju.

– To dla natchnienia – wyjaśnił.

Uberowi zaćmiło się w oczach. Głowa wskoczyła na swoje miejsce, z nosa buchnęła krew. Jak po nokaucie zaczął się chylić w lewo, potem w prawo. Potrząsnął głową.

„Dobrze, że jestem przywiązany” – pomyślał niedorzecznie. Cha, cha, cha. Śmieszne.

Przez jakiś czas widział wszystko jak z boku. Ciemny pokój z odrapanymi ścianami, na nich jakieś stare graffiti – z czasów jeszcze przed Katastrofą. W pomieszczeniu jedna jedyna lampa, zwisająca na przewodzie z sufitu. Lampa kołysze się, powoli nabiera rozmachu, świetlna plama przesuwana się tam i z powrotem po brudnej podłodze. Na ziemi pety i śmieci. Czarne plamy krwi.

Uber siedzi pod lampą, półnagi, cały we krwi i ranach. Przywiązany do krzesła, ręce ściągnięte za plecami. Obok stoi oprawca o przezwisku Czechen. Tak naprawdę jest może Tatarem, a może Gruzinem. Czechen wyjmując z pochwy nóż, powoli obchodzi Ubera dokoła. Jakby rozważał, od czego zacząć.

Lampa się kołysze. Kołysze. Kołysze.

Uber zagadał – łagodnym, wyraźnym głosem. Patrzył na Czechena i mówił.

– Rozumiesz, wszystkie anioły są zrobione ze światła. Tak się już złożyło.

– Co to znaczy? – Czechen się nachmurzył. Zdaje się, że w ogóle nie lubił zagadek.

– Że nie są z jakiegoś taniego badziewia.

Czechen kiwnął głową.

– A!

Uber odchylił głowę, by krew nie zalewała mu oczu. Potem znowu się wyprostował i ciągnął opowieść:

– A kiedy jesteś zrobiony ze światła, to powinieneś mieć odpowiednie imię. Nie można być aniołem o imieniu Tolik. Tylko sobie wyobraź: em ce kwadrat Tolik. Równa się energia. Jakie to niepoważne. Nadążasz za moją myślą?

– No? – bąknął Czechen.

– Tak w ogóle, sprawa tak się ma. Pomyślałem, że gdybym był prawdziwym aniołem, tam, w niebie... nazywaliby mnie... wiesz jak? Spodoba ci się.

Czechen przechylił głowę na ramię, przyjrzał się Uberowi.

– No i?

– Widzisz, każdy anioł ma imię – tłumaczył mu Uber. – Które coś tam w nim odzwierciedla. Jakąś jego ważną cechę. Powiedzmy, Metatron oznacza Głos Boży. Abaddon: Unicestwienie, Zagładę. Jest to anioł zabójca, niszczyciel. Selafiel: Modlitwa do Boga, zachęca ludzi do modlitwy. Teraz rozumiesz?

Czechen, najwyraźniej zainteresowany, opuścił nóż.

– Jak, jak? Powtórz.

– Selafiel – rzekł Uber.

Czeczen podniósł gęste brwi.

– Sela... Zgłupieć można. I to oznacza... modlitwa do Boga?

Uber kiwnął głową.

– Dokładnie tak. Cieszę się, że nadążasz za biegiem mojej myśli, brachu. Teraz powinienem wrócić do początku i przypomnieć: jeśli bym był aniołem, powinienem mieć odpowiednie imię...

– Tak. I jakie?

Uber plunął krwią, głos mu osłabł.

– Nazwaliby mnie... słyszysz?

Czeczen, zaintrygowany, nachylił się, żeby lepiej słyszeć. W następnej chwili Uber walnął go głową w nos. Straszny chrzęst. Czeczen poleciał do tyłu i padł. Nóż z brzękiem pomknął po podłodze.

Uber, cały opryskany krwią Czeczena, straszny, rzekł:

– Nazwaliby mnie: SPIERDALAJ.

8. Pióro we krwi

– Mika! – zawołał Uber. – Mika, gdzie jesteś? To ja, Uber.

Cisza.

Kark Uberowi zlodowaciał. Serce zamarło – aż się przestraszył, że się zamieniło w szkło i zaraz trzaśnie z bólu, rozwali się na tysiące, miliony odłamków.

– Mika!

Na podłodze w kałuży krwi leżało czarne pióro. Obok kuliła się Nanny. Oczy miała otwarte – i puste. Zdawało się, że odbija się w nich niebo i brama.

Uber schylił się. Podniósł pióro.

* * *

Ogon, cały obandażowany, siedział za stołem i posilał się. Nos miał rozbity i zaklejony plastrem, pod oczami straszliwe sińce. Złamaną nogę przywiązaną bandażami do laski. Na stole leżał ogromny nóż, kukri w pochwie. Nóż tego... niebieskookiego faszysty...

Ogon czasami przypominał sobie tamtą chwilę, kiedy dziwka popchnęła go na szyny i rzuciła się do ucieczki. Otworzył drzwi, żeby jej przynieść jedzenie i wodę – jak zwykle. Nawet nie zamierzał jej ruchać, tego dnia miał dobrotliwe nastawienie. A ona wyśliznęła się z łańcuchów i walnęła go pałką. Zwykłą pałką. Straszny ból. Ogon pomacał guz na głowie. Aż w oczach mu pociemniało.

Rzecz jasna, rozzłościł się. To było... przykre. Chyba tylko on jeden odnosił się do dziwki jak do człowieka. Przyszedł ją nakarmić, a ona go tak... Stracił wtedy panowanie nad sobą, to prawda. Ale to wszystko z przykrości. Złapał pałkę, śliską od

krwi, dwoma susami dogonił dziwkę i walnął ją w tył głowy. Chciał jej zwyczajnie oddać – oko za oko. Ukarać. Cios był całkiem lekki, nic poważnego, prawie bezgłośny. Dziwka upadła. Ogon niekiedy słyszał ten dźwięk w ciemności – bez żadnego powodu, pojawiał się i dokuczał. Dźwięk łamiącego się karku. Dźwięk, kiedy opadła na ziemię w tunelu. Obmierzłe nieokreślone wrażenie. Krrak.

Dziwka upadła. Potem podniosła się na czworaki i zaczęła rzygać. Ogon stał nad nią i marszczył brwi. Brudna. Zaciągnął ją z powrotem do pokoju, zamknął drzwi i zostawił leżącą. Nie pamiętał, czy dał jej tym razem wodę, czy nie. Dał, na pewno dał. Kiedy wrócił następnym razem, dziwka była już martwa. Oczy patrzyły w sufit – zastygłe. Twarz zachłapana krwią. Straszna, chuda.

Czy to możliwe, że umarła z odwodnienia? Ogon odganiał od siebie tę myśl. Poszedł wtedy i powiedział o tym Sołowiejowi. Szef się rozzłościł. Z tym że on zawsze świruje, kiedy coś idzie nie po jego myśli... Że niby co, to jego, Ogona, wina? Trzymali ją w tej komórce prawie miesiąc, a on musiał do niej łązić. Nosić jej jedzenie i wodę, sprzątać jej łajno... Czasami ją tam ruchał, ale tylko po dobroci. Bez okrucieństwa. On, Ogon, wcale nie jest okrutnym człowiekiem. Nagle znowu zrobiło mu się niedobrze.

Podniósł żelazny kubek i wypuścił powietrze... Trzeba by to zalać wódką.

Wszedł Uber.

Wyprostował się. Niebieskie oczy patrzyły zimno i martwo.

– Skurwiel. – Ogon wymówił to nawet nie ze zdziwieniem, tylko z rezygnacją.

Uber zatrzymał się w progu, rozciągnął szyję.

– Nie wstawaj, dziś jestem bez dystynkcji – rzekł.

Ogon zapomniał o kubku, zaczął się podnosić od stołu. Uber zrobił krok, drugi... Oczy Ogona rozszerzyły się. Przy trzecim kroku Uber rąbnął go pięścią w twarz. Ogon runął z powrotem na krzesło. Kubek poleciał na podłogę i potoczył się po niej. Ogon potrząsnął głową, z kącika oka pociekła krew. Ból był piekielny, ale jakby z innego wszechświata.

Uber potarł sobie pięść.

– A w ogóle to kim ty jesteś? – zapytał Ogon bezsilnie. – Co?

* * *

– Kim jestem? No... – Uber na chwilę zamyślił się.

Uniósł do góry brudne czarne pióro. Całe we krwi dziewczynki. „Mika nie żyje” – pomyślał. I świadomość tego faktu natarła na niego jak fala na martwą hawajską plażę. Miki już nie ma. Nie ma. Nie ma. Fala odbiega z powrotem, zostawiając na piasku szkieleciki krabów.

Odpowiedział powoli i spokojnie:

– Kim jestem, pytasz? – Nagle zrobił krok w stronę Ogona i wyrzeszczał: – Jestem, kurwa twoja mać, pierdolonym aniołem! Automatyczną sekretarką Boga!

W następnej chwili walnął gościa głową w twarz. Chrupnęło. Ogon poleciał do tyłu, z łoskotem przewrócił stół, potoczył się po podłodze.

Uber dokończył frazę:

– Ze skinami zadarłeś, rozumiesz?!

Pochylił się, dźwignął Ogoną wyżej, cisnął nim na stołek. Płynnym ruchem rodem z aikido znalazł się za jego plecami.

– C-co? – zająknął się Ogon.

Uber wziął go jedną ręką za potylicę, a drugą – za podbródek.

Ogon wił się niemrawo, próbował się uwolnić, wstać. Bezsilnie machnął pięścią, usiłował uderzyć. Uber napiął mięśnie, wypuścił powietrze...

– Ja... – wychrypiał Ogon. – Nie... jestem... zły. Nie...

Uber powiedział cicho:

– No i co.

Na mgnienie przymknął oczy.

„Mika, Mika”.

Chciało mu się płakać, ale nie znalazł łez. Otworzył oczy. Jasnoniebieskie, zimne, śmierć.

– Nie ma litości – rzekł. Przekreślił gwałtownie głowę tamtego, mięśnie się napięły.

Okropny, nieludzki chrzęst.

Ciało Ogoną, zwiotczałe jak szmaciana lalka, zważyło się na bok, powoli osunęło na podłogę.

ROZDZIAŁ 12

1 Automatyczna sekretarka Boga

Leżę i widzę: wszystko się zmienia. Pod naporem czasu rozplywa się ludzkie ciało i wietrzeją kamienne chodniki opuszczonego miasta. Co z nich wziąć? Wszystko umiera.

Presley. Presley. Król. Uber przypomniał sobie aksamitny głos Króla i nagle zachciało mu się tańczyć. Posłuchać rock and rolla. Hawaje. Cholera wie, co tam teraz jest. Radioaktywny piasek? Szary radioaktywny ocean naciera na radioaktywną plażę. Gości witają szkielety Hawajek w wiankach z wyschniętych kwiatów.

Hawaje... któryś tam stan USA. Zapomniałem.

Uber zamknął oczy. Oto stoi na piasku, a dookoła martwe palmy. „Dlaczego jestem taki pewien, że Hawaje są martwe? Martwe Hawaje, martwy Elvis”. I aksamitny mroczny głos Elvisa rozbrzmiewający nad martwą plażą, pełną martwych krabów i małży.

„A może ktoś tam przeżył? Ciekawe”. Możliwe, że kraby jedynie zmutowały i ich olbrzymie kleszcze, pełne czarnego jadu, tylko czekają na podróżnych.

Uber nagle jasno zobaczył, jak na szarych wodach kołysze się ogromny atomowy okręt podwodny z charakterystycznym brzydkim garbem wyrzutni raketowej za kioskiem. Strategiczny okręt raketowy. A z kiosku niezdarnie wychodzą ludzie w maskach przeciwgazowych i pomarańczowych przeciwatomowych kombinezonach. A potem ci ludzie – wśród których wyraźnie jest dziewczyna, Uber rozpoznaje ją po specyficznej plastyce ruchów, a w ogóle rozpoznałby kobietę nawet za ołowianą płytą – stoją na wąskim pokładzie i patrzą na martwe Hawaje... Albo może to jednak Kuba? Zdecydowanie, Kuba. Zatoka Świń. Teraz martwych świń.

Dwieście morskich mil stąd leży martwe słoneczne Miami. Martwe, na wpół rozłożone sandwicze z wieprzowiną.

Uber spogląda w dal i widzi. Widzi wiele rzeczy. Swoją przeszłość. Czarne wronie pióro.

Krew. Znowu krew. Mrozący krzyk w ciemności tuneli. Płacz. I znowu krzyki.

Cios w twarz.

Uber – tyle że młodszy i bardziej nieśmiały, choć właściwie jaki on nieśmiały? – idzie tunelem, trzymając w jednej ręce płonąca pochodnię, a w drugiej kukri. Jak gdyby kukri, nóż Gurkhów, nóż nieistniejących już nepalskich gwardzistów w służbie Jej Królewskiej Mości, mógł coś zmienić w układzie sił. Nie, teraz w ręce ma już nie kukri, lecz czarne, brudne wronie pióro.

Jesteś aniołem.

Wcale nie.

A zresztą, czemu nie.

Zabijesz ich wszystkich?

Masz rację, dziwna dziewczynko. Wszystkich ich pozabijam.

Choć nie jestem aniołem. No, w każdym razie tak myślę. Mogę się mylić. Ale, do diabła ciężkiego, czy anioły nie powinny pamiętać, że są aniołami?!

Chyba że nie? To byłoby...

To byłoby... Uber odwraca głowę.

„Sprawiedliwie”.

* * *

Znaleźli Czeczena w pokoju – leżał na plecach, kość nosową miał wbitą w twarz. Martwy. Obok poniewierało się połamane na kawałki krzesło z przyklepionymi strzępami taśmy klejącej. Wyglądało na to, że ją rwano zębami. Wszystko zalane krwią.

– Ty żyjesz czy co? – Żółtemu zaokrągliły się oczy. Podniósł automat, wycelował w Ubera.

– Nie, chłopie, popierdoliło cię. Długo będę umierał.

– Co ty chrzaniś? – zdziwił się Żółty.

– Przynoszę boży wymiar sprawiedliwości – odparł Uber. – Dla wszystkich.

Żółty prychnął śmiechem. Automat w jego rękach zatrzęsł się jak w gorączce.

– Ale z ciebie szajbus, słowo daję. Ej, chłopie, boki zrywać. Obudź się! Na jakim świecie żyjesz, co? Widziałeś to całe gówno? Widziałeś? No to się ocknij. Boga nie ma! Boga, kurwa, nie ma, jasne?

– Jasne – odparł Uber. Powoli podniósł ręce i ruszył na bandytów.

– A kim ty w ogóle jesteś? – zapytał Niebieski. Podniósł automat.

Uber przechylił głowę na ramię, popatrzył na niego z zainteresowaniem. I szedł dalej.

– Kim jestem? Automatyczną sekretarką Boga.

– W sensie? – nie zrozumiał Niebieski.

– Póki Boga nie ma, robię za niego.

* * *

Uber przyjrzał się ludziom Sołowieja, zmrużył oczy.

– A gdzie ten wasz... Wiking?

– Nie jest z nami – odparł Niebieski.

– Nie, nie z nami – dodał Żółty.

– W jakim sensie nie z wami? – zdziwił się Uber. – Jak trzeba ludzi żgać żelazem, to z wami, a jak przychodzi do walki, to nie?

– Ano tak. – Żółty splunął. Z pogardą. – Bo on ma, skurwieli, zasady. Wyobrażasz sobie?

– Zasady – potwierdził Niebieski. – Skurwiel.

– Szanuję zasady – rzekł Uber. – Ale czegoś tu nie rozumiem... Jak to: kumple poszli na rozróbę, a ja nie?

– No, jak się dowiedział o tej dziewczynie, to się coś zawiązał. Czyścioszek, kurwa. I mu odwaliło. O, Chaberze rozbił mordę. Trudno, wyślemy cię do diabła, to się weźmiemy za niego.

– A – mruknął Uber. Spokojnie obejrzał towarzystwo. – Dobrze, że przypomniałeś. – Wyszczrzył się. Powoli wyjął z pochwy kukri.

– Poddaj się, Uber – rzekł ze znużeniem Sołowiej. – Jest nas dziewięciu. Mamy broń. Na co ty liczysz? Znowu sztuczka z granatem?

– Wasz mer to gnojek – oznajmił Uber. Wypowiedział to wręcz z czułością. – Słyszycie? Gno-jek.

Milczenie.

Słysząc było tylko szum oddechu dziewięciu postawnych mężczyzn. I gdzieś daleko kapala woda. W metrze już taki paradoks, pomyślał Sołowiej. Dokąd byś nie poszedł, wszędzie będzie kapać woda. Niepodważalne prawo. Tyle że jej nie znajdziesz. Nawet gdybyś umierał w danym momencie z pragnienia.

Wody nie znajdziesz, a dźwięk pozostanie.

Pauza.

Sołowiej poczuł, jak w jego wnętrzu podnosi się fala. „A niech to” – pomyślał. Smok się obudził.

– Mer! – zawołał Uber. – Gno-jek!

– Mer najlepszy! Zajebisty! Mer!

Ludzie Sołowieja, wyginając się z udręczeniem, wypuszczali broń z rąk, prężyli się na bacność i wrzeszczeli:

– Mer! Mer! Mer!

Kurwa, pomyślał Sołowiej i w następnej sekundzie dotarło do niego, że skanduje razem z pozostałymi:

– Mer! Meeer!

Zaraz potem zobaczył, jak Uber rusza na nich i wali stojących mu na drodze krzykaczy. A ci rozlatują się jak kręgle, ktoś się próbuje bronić, uderzyć w odpowiedzi. Lecz skinhead nie ustaje. Płonie zimnym ogniem wściekłości, jak spawalnicza elektroda. Od ciosów nepalskiego noża ludzie padają, w powietrzu jakby wisiała zasłona z kropli krwi... Uber cały w czarnej posoce, od stóp do głów.

Sunie w jego stronę, na Sołowieja. Jest już blisko.

Uber zadał cios.

* * *

Uber widział, jak wchodzi Wiking. Jak po drodze wyciąga nóż – nie taki jak kukri, tylko długi i cienki, przypominający sztylet. Tym nożem oprych starannie poderznął gardło jednemu człowiekowi Sołowieja, drugiemu... „Cholera” – pomyślał Uber.

Sołowiej osunął się na podłogę, skulił się i zawył. Uber stanął nad nim, przerzucił

śrutówkę zza pleców do rąk. Wiking pochylił się i dobił jeszcze jednego, wraził nóż, wyszarpnął. Bryznęła krew. Wiking popatrzył na skinheada.

– Po coś przyszedł? – zapytał Uber. Wyprostował się. Trzymał strzelbę niedbale, ale w każdej chwili mógł ją podzucić i strzelić.

Wiking rozłożył ręce.

– Zapomniałem wyłączyć żelazko.

– Żeż ty... żartowniś – nie wytrzymał Uber. – Dobra. Jesteśmy kwita. Wściekły z ciebie pies.

Wiking z niezmaconym spokojem kiwnął głową.

– Cześć, faszysto.

– Jestem czerwonym skinem!

– Akurat ci wierzę.

Uber zawahał się, spojrzał na Wikinga.

– To czemu się rozmyśliłeś? I po co przyszedłeś?

Wiking wzruszył ramionami.

– Ten skurwiel zabił Jurę.

Uber gwałtownie zadarł głowę. Jasnoniebieskie oczy jakby się nagle wypaliły.

– Co?!

– Lepiej, żebyś tego nie widział – otwarcie rzekł Wiking. Pomyślał i dodał: – Ucho chłopakowi odgryzł, kondom zużyty.

Uberowi odskoczyła głowa jak od uderzenia. Spojrzał na Wikinga.

– Torturujesz na zlecenie? – spytał głucho.

– Niezupełnie – odparł Wiking. – A jeśli już, jestem mistrzem wyciągania zeznań. Ale jeśli trzeba... Aha, póki nie zapomnę.

Wyjął z kieszeni i rzucił Uberowi coś małego, metalowego. Uber złapał to wolną ręką. Ciężkie. Obrócił przedmiot w palcach.

– Zapalniczka? – Wtem zrozumiał. – Należała do Jury?

– Tak. Na pamiątkę po chłopaku.

Jeden z ludzi Sołowieja podniósł się, ściskając sobie brzuch rękami, i krzyknął:

– Kto ty, do cholery, w ogóle jesteś?! – Przez jego palce wyciekała krew. – Coś za jeden?

Uber podrapał się po karku. Wyprostował się na całą długość, wycelował strzelbę.

– Jestem automatyczną sekretarką Boga. Ogarnij, chłopie. Bóg postanowił mimo wszystko wysłuchać modlitw, które zanosicie do niego chuj wie od jak dawna.

Wystrzelił. Huk, błysk. Kłęb dymu. Wiking skinął głową.

Człowiek Sołowieja poleciał do tyłu i padł. W martwych oczach zastygło zdziwienie. Uber przeładował strzelbę. Wirując, wyleciała czerwona plastikowa łuska. Spadła na podłogę, potoczyła się.

We dwóch, z Wikingiem, ruszyli przez peron, dobijając ludzi Sołowieja. Uber strzelał ze śrutówki, Wiking pracował nożem. Po kilku minutach wszystko było skończone. Wszyscy martwi, wszystko zalane krwią. Kazach Jobanadżyć siedział cicho, póki Wiking do niego nie podszedł. Kiedy go wziął za włosy, Kazach stęknął tylko smutno:

– Jobanadz... – I nie dokończył.

Nóż Wikinga poderżnął mu gardło. Kazach drgnął parę razy, zabulgotał i padł twarzą do przodu.

Sołowiej odwrócił się na brzuch, próbował odpęznąć. Zaskrobał nogami o beton. Szarpnięcie, jeszcze jedno. Uber patrzył, przechyliwszy głowę na bok, jak to robią duże psy.

– W rzeczywistości dobro to pięknie odpicowane zło – stwierdził Uber. – W takim razie przystąpimy do rzeczy. Proces będzie długi i męczący. Ale jest tego wart...

Zrobił krok w stronę Sołowieja. Przykucnął przed nim, wlepił w niego oczy. Niebieskie, z czerwonymi żyłkami ze zmęczenia i niewyspania. Twarz w kropelkach krwi, straszna, ale piękna. Sołowiej aż mu przez chwilę pozazdrościł.

– Pokaż mi, gdzie mieszka smok – powiedział skinhead z cicha. – Pokaż, chcę zobaczyć.

Sołowiej zaśmiał się. „No czyżby, kurwa?” I nagle zakaszłał. Poleciały małe skrzepy krwi – na podłogę, na buty Ubera. Skinhead odsunął się z obrzydzeniem. Sołowiej znów się zaśmiał.

Rozbita twarz bolała, ale to było w porządku – znów czuć się panem sytuacji. Włodarzem. Najważniejszym.

Sołowiej usiadł, podniósł głowę. Splunął krwawym glutem – prosto na but Ubera.

– A co w zamian? – zapytał. – Co, łysy? No, dalej, zadziw mnie.

– Odpuszczę ci.

* * *

Wkrótce dotarli na miejsce. Uber obejrzał znaną zardzewiałą kratę, zmarszczył brwi. Mimo wszystko okazuje się, że to tu. Gdyby od razu posłuchał Jury... „Jura. Mika”. Potrząsnął głową. Nie teraz.

– O, tutaj mieszka, ten smok. – Sołowiej wskazał zamknięte pomieszczenie.

Zardzewiały łańcuch, krata, mocna kłódka.

– Dobrze – odparł Uber. – Otwieraj.

Sołowiej wciągnął głowę w ramiona. Wyprostował się, ale Uber już to zdążył zauważyć.

– Coś nie tak?

– Szyfr zna tylko Ogon – odpowiedział Sołowiej. Prawie jakby błagalnie.

„Skurwiel” – pomyślał Uber. No i tak, raz się pośpieszysz...

Zrobił krok w stronę Sołowieja, ten się odsunął, oczy miał obmierzłe – jednocześnie wystraszone i złe. Uber uniósł strzelbę, zamachnął się kolbą...

– Powiedziałeś przecież, że mi odpuścisz?! – krzyknął Sołowiej.

Uber wzruszył ramionami.

– Ale nie powiedziałem, że od razu.

Cios. Sołowiej pogрузzył się w tępej, bezdennej ciemności. I był tam z nim tylko smok.

2. Kto zabił Martę

– To jak właściwie było? – Barman przecierał blat baru.

– Bardzo zwyczajnie – odrzekł Uber. – Żyła raz sobie młoda kobieta z córką Miką. Piękna kobieta. A stacja, na której mieszkały, była zła, tylko że nie od razu dawało się to zrozumieć. Dlatego że smok, który zadomowił się blisko, żywił się za pomocą ludzi i podsuwał im dobrotliwe myśli. Smok był zaawansowanym drapieżnikiem. A kiedy zjadał ofiarę, jego fale zadowolenia sprawiały, że mieszkańcy stacji czuli się szczęśliwi.

Młoda kobieta spotykała się z dobrym chłopakiem. I nie spotykała się ze złym. Z tym dobrym chłopakiem marzyli, żeby uciec ze stacji, razem z córeczką Marty, oczywiście. Jak najdalej od tej stacji i od tego smoka.

I wtedy Zły wymyślił straszną zemstę. Nadążasz za moją myślą?

Mieszkający na stacji smok potrzebował karmy. Coraz częściej. I częściej. A żywił się, w tym szkopuł, tylko świeżym mięsem.

I mieszkańcy tej stacji, żeby dalej czuć się bezpiecznie i szczęśliwie, zaczęli przynosić smokowi ofiary. Głównie robiło to dwóch – mer i jego pomocnik Sołowiej. Ci dwaj wszystko organizowali.

Sołowiej to najgorsza postać z tej bajki.

Raz w miesiącu mieszkańcy wioski ciągnęli losy – kto pójdzie na karmę dla smoka.

Marta też wyciągnęła los. I wygrała – nie stała się ofiarą.

Ale Zły sfałszował rezultat. I tu Marta pojęła, że wiać trzeba od razu, nie zwlekając.

I spróbowała uciec. Ale Zły był czujny. Dobry chłopak, który okazał się synem mera, poprosił ojca o pomoc, żeby ratować ukochaną. Ten obiecał pomóc... i przekazał wszystko Złemu.

Marta odeszła, uciekła. I cichaczem złapali ją ludzie Sołowieja.

Sołowiej znęcał się nad nią. Próbowła się wyrwać, ale ją dogonił i z okrucieństwem zabił. Albo może zrobił to któryś z jego ludzi. Ciało oficjalnie sprzedali mortusom, żeby zatrzeć ślady.

A wszystkim powiedzieli, że Martę zeżarł smok. I wszyscy się z tym zgodzili.

Tylko ten smok nie uwierzył. Nie zżarł przecież dziewczyny i wciąż był głodny. Żeby go uspokoić, trzeba mu było podsunąć jeszcze jedną ofiarę...

– Jaką? – Barman nagle przestał przecierać blat i podniósł wzrok.

– Nie wiem. – Uber zastanowił się. – Nie chcę wiedzieć. Nie chcę o tym nawet myśleć. Powiedz mi, barmanie, czy będzie jeszcze kiedyś na świecie sprawiedliwość? Co?

Serce ścisnęło się tak, że trudno było oddychać. Uber odchrząknął.

Barman postawił na barze szklanę – obok leżącej śrutówki. Otworzył butelkę i nalał whisky.

– Na koszt lokalu – rzekł.

Uber wziął szklanę, pokręcił ją w rękach.

– Dziękuję. Szesnaście ścianek? Czy dwadzieścia?

- Siedemnaście. To unikatowy egzemplarz... Kiedyś.
- Co? – Uber podniósł wzrok ze zdziwieniem.
- To odpowiedź na pana pytanie – odparł barman. – O sprawiedliwość. I moja odpowiedź: kiedyś.

3. Ukaranie mera

W pewnym momencie mer poczuł, że w pokoju ktoś jest, i podniósł wzrok. Truchło niedźwiedzia groźnie spoglądało z kąta. W następnej chwili od wypchanego zwierza oderwał się jakiś cień.

Przed merem stał Uber. Nagi od pasa w górę, cały we krwi i siniakach, jedno oko podbite i opuchnięte. W rękach – ogromny nóż kukri.

– Ty – odezwał się mer. Nogi się pod nim ugięły.

– Jak to jest? – zapytał Uber. Przewrócił krzesło, trącił nogą. Skrzyyp. Krzesło pojechało i zatrzymało się tuż przy merze.

– Co? – Mer odkasznął. W gardle mu zaschło. Czyżby ten wygolony zabił i Sołowieja?

– Cały czas być w kontakcie z tym, co żre ludzi. Odczuwać jego głód. Sytość. Zadowanie. Karmić go własnymi rękami.

Głos Ubera brzmiał szorstko i obojętnie. Mer uświadomił sobie, że się poci. Po plecach spływała lodowata strużka. Taki spokojny ton wywoływał większy strach niż krzyki i groźby. Ten gość po prostu zamierzał go zabić i nie było żadnych szans ani możliwości, by tej kaźni uniknąć. Mer siadł na krześle, a ono żałośnie skrzypnęło – jakby w przeczuciu nieszczęścia. Otarł sobie czoło dłonią.

– Ja... czy ty rozumiesz... – zaczął. Dawaj, weź się w garść. „I zacznij robić to, co najlepiej umiesz – przekonywać”.

– Zabili Jurę – rzekł Uber.

– Co? – Serce stuknęło i zamarło. I znowu ruszyło. Mer zachwiał się, bez sił osunął się na krześle. W jego wnętrzu coś się rozrywało. Powoli, z potwornym trzaskiem. Świat się oddalił, stał się jakiś taki nierzeczywisty.

– Co? – zapytał jeszcze raz. Głos zabrzmiał słabo, prawie bezgłośnie, ale skinhead usłyszał.

– Twojego syna już nie ma. To prawda.

– Ty jego?!

– Nie. – Uber pokręcił głową. – A Jura był lepszy od ciebie. Prawdziwy człowiek. Zabił go twój ulubieniec Sołowiej, jeśli cię to interesuje. Interesuje?

– Nie – odparł mer. – Tak. Nie.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? Co? Namyśl się.

Mer się namyślił.

– Ty... nie wiesz, co to. Jak to jest. Kiedy twój syn... twoje dziecko... robi coś, co wiedzie je do zguby... jakie to niebezpieczne... Nieodpowiednie. Niewłaściwe. I nie masz sił, żeby temu zapobiec. Kiedyś zrozumiesz, co czułem.

– To ty kazałeś Sołowiejowi zabić Martę?

Mer podniósł głowę.

– Nie.

– Tak – rozległ się czyjś głos.

Uber obrócił się, wycelował strzelbę. Głos był kobiecy. Z ciemności w krąg światła latarki weszła żona mera. Uber drgnął, opuścił broń. Swietłana twarz miała płaską, pozbawioną życia, postarzałą. Kolorowy szlafrok sprawiał, że jej ciało wyglądało na nieforemne. Znużony bezkształtny potwór z siwizną we włosach.

– Ja to zleciłam Sołowiejowi – powiedziała.

– Ty?! – Mer wstał. Usiadł ponownie, nogi mu drżały. – Dlaczego? Po co?!

– Przywiódłaby go do zguby. Próbowałam ratować swojego chłopca.

– Naszego chłopca – poprawił mer.

– Mojego! Był tylko mój, zawsze był tylko mój!

– Ty... rozumiesz, że własnymi rękami... – Mer zaśmiał się. Był to straszny, przerażający śmiech. Śmiech skazańca.

Uber zmarszczył brwi.

– To on jest wszystkiemu winien – oświadczyła Swietłana. Spojrzała na skinheada. – Rozumiesz, że to on? Choć ty stań po mojej stronie.

– Zabójcy często są sentymentalni – zauważył Uber. – I mam teraz mocno parszywe uczucie, że najstraszniejszym monstrum na tej stacji wcale nie był smok.

Nikt go już jednak nie słuchał. Małżeństwo miało do załatwienia swoje spawy.

– Oczywiście, jesteś mężczyzną, a mężczyźni zawsze trzymają się razem.

– Noż kurna – mruknął Uber zły.

Ale znowu go nie słuchano. Żona mera... Swietłana ruszyła do przodu. Nie wydawała się już ładna, tylko straszna.

– Zabiłabym was wszystkich, karmiłabym wami bestię... żeby tylko mój chłopiec żył. Nawet siebie.

– Nienawidził cię – rzucił mer. – Przyjmij to do wiadomości.

– Nieprawda! Ta dziewczyna nastawiła go przeciwko mnie! A sama... taka stara-stara-stara... Ja wszystko dla niego robiłam!

– Co dokładnie? – zapytał mer z zabójczą ironią. Jakby nie zauważał skinheada, tak samo jak i ona.

Uber pokręcił głową. To jakiś absurd. Straszny, beznadziejny absurd. Wspaniały chłopak nie żyje, a ci gryzą się na jego grobie, ciągną każde w swoją stronę pozbawionego głosu, ledwie ostygniętego trupa.

– To ci suka – rzekł mer.

W następnym momencie w ręce Swietłany pojawił się pistolet. Uber podrzucił strzelbę, wziął kobietę na cel. Położył palec na spuście.

Lecz ona nie patrzyła na niego. Wlepiała wzrok w mera, w swego męża. Swoje przekleństwo.

– Jura to mój syn. Tylko mój.

– Suka – syknął mer. – No, dawaj, strzelaj. Gruba tępą suka. Jura to mój syn. A ciebie nienawidził.

– Menda.

– Opowiedziałem mu, że to ty zabiłaś Martę.

– Co?!

Uber opuścił strzelbę. Potem miękko cofnął się o krok, oparł o ścianę. Kurna, jak by się stąd zmyć...

Swietłana podniosła pistolet.

– Chciałaś go tylko dla siebie – mówił mer. – Zazdrosna bestio. Żarłaś naszego syna żywcem, a kiedy nie mogłaś więcej żreć, toś go zabiła. Jak ja ciebie nienawidzę. A przecież kiedyś cię kochałem. Na pewno z tego wszystkiego, co mnie może zadziwić, to jest najdziwniejsze. Strzelaj, no! No, jazda! No!!

– Wiesz – powiedziała żona mera. Znów się zrobiła prawie ładna w tym swoim ostatecznym spokoju. Zmierzwione włosy zdawały się teraz koroną. – A ja przecież początkowo chciałam ratować ci życie...

Uber wyszedł.

Ruszył peronem przed siebie. Potem usłyszał za plecami strzały. Kilka pod rząd. Bach, bach, bach, bach. Łoskot padającego ciała.

I jeszcze osobny strzał.

Zdaje się, że z nimi koniec. Gorycz, pomyślał Uber. I żółć. I dno rozżalenia. Uczucie nie do zniesienia.

ROZDZIAŁ 13

1 Wróc do Sorrento

Uber oderwał się od wizjera. Czerwone psy zniknęły. Droga wolna.

– No, co Sołowiuszka, gotów do podróży? – spytał.

Sołowiej, związany jak worek, patrzył na niego z cichą nienawiścią. Miał na sobie kombinezon ochronny, ale maski przeciwigazowej Uberowi nie chciało mu się nałożyć – dyndała Sołowiejowi u pasa.

– Wielki świat czeka na ciebie – oznajmił Uber.

* * *

– Weź nóż – rzekł Uber.

Sołowiej patrzył, nie rozumiejąc. Potem dotarło do niego i roześmiał się.

– Ty tak poważnie? Dajesz mi nóż? No, tępak z ciebie, Uber.

Rozprostował ręce, poskakał. Pochwycił nóż z asfaltu.

Starli się.

Uber pchnął nożem. Odsunął rękę i natychmiast wraził ostrze w pierś Sołowieja – raz, dwa. Szybki jak błyskawica.

Brzęknęło. Brzęk. Brzęk.

Nóż odskoczył.

Sołowiej zaśmiał się.

– Cholera! – Uber cofnął się, na nadgarstku miał krwawe zadrapanie. Sołowiej jednak go drasnął. Nie ma co kłapać dziobem, pomyślał Uber. To czarodziejska kurtka, najprawdopodobniej pod materiałem jest cienka kolczuga. I moje ciosy gównu mu zrobią. Czyli trzeba rznąć po gardle albo po nadgarstkach. Zadanie, kurna, trochę się komplikuje.

Przeciwnicy krążyli, żaden nie decydował się atakować pierwszy.

– A co, skurwielu – zaśmiał się Sołowiej. Przerzucił nóż do drugiej dłoni. – Nie trafiły się łatwe gołąbki do gąbki, co? Jestem, kurwa, Sołowiej... Ja tu najważ...

W następnej chwili pięść Ubera włądowała mu się w szczękę, wybiła dwa zęby i posłała Sołowieja na ziemię.

– Co? To przecież...

– Nieuczciwe – dokończył za niego Uber. I wrąbał Sołowiejowi w brzuch czubkiem buta, z całej siły. A masz!

Zdawało się, że Sołowiej nigdy dotąd nie zaznał tak okrutnego, wszechogarniającego bólu. Nie do zniesienia. Nie mógł nawet jęczeć, tylko ścisnął się

mocno za brzuch.

– Oooo, oo!

– Trzeba ci powietrza – stwierdził Uber.

W następnej chwili twarz Sołowieja zapłonęła, jak oblana kwasem. Uber szybkim ruchem, bez ceregieli, zdarł mu z głowy maskę, odrzucił na bok.

Sołowiej wrzasnął. Z bólu – i ze zgrozy.

Wstrzymał oddech. Maską szarą plamą przeleciała ponad balustradą i wpadła gdzieś do Obwodnego Kanału. Sołowiej zaczął się dusić.

Potem zrobił wdech. Radioaktywne powietrze wypełniło mu płuca. Było takie samo jak zwykle. Tyle że śmiertelności.

Sołowiej krzyknął. I, zdaje się, stracił przytomność.

* * *

Uber włókł go jak pijanego przez plac cerkiewny. Trzymał za kołnierz. Kiedy Sołowiej potykał się i padał, Uber podnosił go kopniakami i szarpnięciami. Sołowiej jęczał, wył, ale szedł.

– Co ty, wilczy pomiole, potykasz się?! – docinał mu skinhead.

Sołowiej wzdygnął się i ocknął. I od razu sobie wszystko przypomniał.

Są na powierzchni.

– Uber, kurwa... Pomyliłeś bajki!

Uber doholował go do cerkwi Cyryla i Metodego.

– Doszliśmy – oznajmił. Rozejrzał się. – Tak, świetne miejsce. Straszniutko, ale to pasuje do tematu.

I w tym momencie Sołowiej zrozumiał, że to koniec.

– Mogę jeszcze iść – zaoferował się. – Słowo daję. Wcale się nie zmęczyłem, mogę jeszcze iść... Może na następnym podwórku. Uber! Uber, słyszysz?! Na pewno o wiele lepiej będzie mnie zabić tam dalej. Słowo honoru... posłuchaj...

Skinhead milczał. W szklach maski przeciwgazowej odbijała się nierówna linia horyzontu Petersburga.

Sołowiej cofnął się, upadł. Znow popęzł. Skinhead powoli szedł za nim, niewzruszony i spokojny.

– Uber, co ty robisz? Uber! Uber!

Zobaczył w rękach skinheada wojskową ampułkostrzykawkę.

– Nie! Nie! Proszę, nie trzeba...

Skinhead wkłuł Sołowiejowi promedol – prosto przez kombinezon ochronny. Sołowiej drgnął, a potem nie mógł powstrzymać błęgiego uśmiechu. Uber wyjął i wstrzyknął mu jeszcze jedną porcję, w drugie ramię. Psss. Gotowe.

Sołowiej uśmiechnął się. Euforia. Rozkosz. Promedol to opiat, to dobrze. Odu-urzenie, pomyślał.

Uber wydobył skądś czerwone gumowe rurki. „Co to?” – zdziwił się Sołowiej. Potem przypomniał sobie, rozgarniając nieco cudowną błogą mgłę. To te same rurki, którymi on, Sołowiej, krępował swoje ofiary. Tę dziewczynę, Martę, też. Chciał

zakląć, ale nie było w nim złości.

Uber wyjął kukri. Ogromny, błyszczący. W błogosławionym strumieniu odurzenia Sołowiej zachwyił się odbiciami w klindze noża. Uber pokręcił głową, poruszył ramionami. Przygotował się, wziął rękojeść kukri w obie ręce. Jak topór, pomyślał Sołowiej. Uber powoli podniósł nóż nad głową.

Opuścił go z chrupotem. Sołowiej nie od razu zrozumiał, co się stało. Uber znów podniósł kukri, z ostrza spadły czarne krople, i opuścił. Prask. Prask. Plusk.

Sołowiej odwrócił głowę. Na chodniku leżała czyjaś ręka. Wyglądała znajomo. Na palcu okazały sygnet...

„To moja ręka” – nagle uświadomił sobie.

– No i taka to skrzywiona sprawiedliwość – odezwał się Uber.

Podniósł swój worek marynarski i odwrócił się. Sołowiej jeszcze nie czuł bólu, ale rozumiał, co się zaraz stanie. Będzie porzucony tu, na powierzchni, tak po prostu.

– Nie zostawiaj mnie tak! Błagam! Nie zostawiaj! Lepiej zabij! – wykrzyczał Sołowiej. Ogarniało go narkotyczne otumanienie, mącił mu się wzrok. Nie teraz, nakazał sobie w rozdrażnieniu. Wysiłkiem woli odegnał falę euforii, zmusił sam siebie, żeby wziąć się w garść.

Uber zatrzymał się. Popatrzył przez ramię na okaleczonego Sołowieja.

– To nic wielkiego. Nie bądź babą – rzucił.

– Uber! UBER! – ryknął Sołowiej całą mocą płuc. – BĄDŹ PRZEKŁĘTY!

Przecież nie mam rąk!!!

– Słuchaj, nie dramatyzuj.

– Nie mam rąk, k-kurwa!!

– No, teraz to mnie zaintrygowałeś – oznajmił Uber. Zebrał rzeczy, włożył je do plecaka. Starannie wytarł kukri i wsunął do pochwy.

Sołowiej zaczął błagać:

– Zabij mnie! Proszę!

– Dasz sobie radę – mruknął Uber.

– Uber!! Kurwa! Bądź człowiekiem!

Skinhead odwrócił się gwałtownie. Sołowiej przełknął ślinę. W gardle mu zaschło – zwykły skutek uboczny promedolu. A może to nie od tego...

– Wiesz, kim jestem? – spytał Uber spokojnie.

Patrzył na niego przez szkła maski przeciwgazowej.

– Uber, proszę...

– Jestem kimś w rodzaju anioła pańskiego, rozumiesz? Niosę jego gniew... i takie tam pierdoły. Tak powiedziała pewna mała dziewczynka i tak już będzie. Amen. Słuchaj, Sołowiej, naprawdę spodziewasz się ode mnie miłosierdzia?

– Uber... nie trzeba... n-nie... proszę. Tylko nie tak!

– Widzisz? – Uber otworzył dłoń. Na niej leżało brudne czarne pióro. – Oto ono, moje miłosierdzie. Jam jest siedzący na koniu płowym, kurwa.

Skinhead zamilkł. Wiatr porwał pióro z jego dłoni i poniósł je w górę, coraz wyżej i wyżej. Rzucane podmuchami, poleciało nad miastem. Możliwe, że gdzieś do nieba, do bramy.

– A imię moje: pieprzona Śmierć – obwieścił Uber.

Cisza. Na ciemnym niebie nad placem krążyły czarne skrzydlate cienie.

– A teraz postaraj się przeżyć – doradził Uber. Odwrócił się i poszedł.

Sołowiej zawołał za nim, potem spojrzął na swoje kikuty i znów zaczął krzyczeć. Wciągnął pełną piersią skażone radiacją powietrze i nagle, zamiast krzyczeć, zaśpiewał. Dawno nie śpiewał tej pieśni, wspaniałego neapolitańskiego *Sorrento*. Tenorzy powinni śpiewać *Wróc do Sorrento*, nawet kiedy Ziemia zostanie już zupełnie bez ludzi.

*Spójrz jak morze słodko wzdycha²²,
Szafirowe snując tonie,
Jakby w jego modrym łonie drżała
Skarga rzewna cicha.
Patrz jak liście wiew potrąca,
Jak porusza kwiatów rojem.
Obudź miłość w sercu swoim,
Zostań ze mną, szczęście moje.*

Wspaniały tenor ulatywał nad martwym placem, martwym miastem, martwym dziedzińcem, martwymi lwami...

Torna a Surrieeeeeento, famme campà!

„Wróc do Sorrento, przywróc mnie do życia”. Co może być lepszego od słonecznej neapolitańskiej pieśni rozbrzmiewającej nad miastem zimnej ziemi i lodowatej północnej wody?

Sołowiej skończył pieśń. Nigdy nie śpiewał lepiej.

Uber zatrzymał się.

– Brawo – rzekł. – Zdaje się, że dzisiaj słyszałem najlepszy głos na Ziemi. – Odwrócił się, poszedł dalej.

Za jego plecami zacichał krzyk Sołowieja:

– Uber, nie porzucaj mnie tu! Powiem ci! Powiem! To ważne!

* * *

Uber szedł, nie oglądając się za siebie. Niezależnie od tego, jaki to miałyby okazać się sekret, nie był wart jego miłosierdzia. Nie w tym wypadku. Mika nie żyje. Mamed nie żyje. Nanny i Jura też nie żyją. A ci, którzy do tego przyłożyli rękę, którzy na to pozwolili i temu błogosławili, jeszcze nie wszyscy odpokutowali. I on to naprawi.

Sołowiej krzyknął z tyłu.

* * *

Nadwerężył swój przepiękny głos i teraz nie mógł nawet szeptać. Tylko chrypieć.

Plecy skinheada znikły w dali. Sołowiej westchnął. Nadal pływał w narkotycznym odurzeniu wywołanym środkiem przeciwbólowym. Świat wokół niego bawił się

jasnymi farbami i płał się w kolorach. Otoczenie było wspaniałe, niewiarygodnie cudowne.

Ale Sołowiej wiedział, że to nie na długo.

„Tak czy inaczej, dziwne uczucie nie mieć rąk”. Widział, jak z ran leje się krew. Widział szkarłatną kałużę. W kałuży odbijała się dzwonnica cerkwi, na niej siedziały skrzydlate cienie. Jeden z nich nagle się ruszył, rozpostarł skrzydła. „Cholera”. Sołowiej podniósł głowę i roześmiał się. No nie, tak łatwo to on się nie podda.

Podciągnął pod siebie nogi, zebrał się w sobie. Pierwsza próba nie powiodła się... przy drugiej Sołowiej wstał.

Stał, chwiejąc się, bezręki i zły.

– Aleś durny! – oznajmił w plecy oddalającemu się Uberowi. A potem nagle zacisnął zęby z niewiarygodnego, śmiertelnego żalu nad samym sobą. – I przez to się nie dowiesz, że ona żyje.

W następnej chwili gdzieś z góry runął na niego zębaty czarny cień. Sołowiej wrzasnął.

2. Zabić smoka

W ciągu dwudziestu minut znalazł się na posterunku kordonu sanitarnego. W ciemności jego oddech wydawał się zdecydowanie za głośny.

– Zdażyłem! – wysapał Uber, próbując złapać oddech.

– Zwijamy się – wyjaśnił starszy żołnierz. – Kwarantanna skończona. Dokąd chciałeś? Na Zwon? Radzę ci: po prostu przejdź, tylko się nie rozglądaj. Po Czarnym Sanitariuszu lepiej, żebyś tego nie widział.

Młodszy przenosił rzeczy na drezynę. Wkrótce żołnierze wyruszą w drogę.

– Nie pożyczylibyście miotacza ognia? – zagadnął Uber.

– C-coo?

– Zwróć – obiecał.

– Zabrzmiało prawie szczerze. – Starszy żołnierz wyszczerzył się w uśmiechu.

– Staralem się.

– Co ty... – Żołnierz urwał.

Uber przystawił mu lufę strzelby do czoła.

– To... nic nie da – powiedział starszy żołnierz. – Chłopcze, opamiętaj się.

Uber przeładował broń. Szczęk, wyleciała zużyta łuska, potoczyła się, utknęła między podkładami.

– Nie pierwszy raz – rzekł Uber. – Obejdźmy się bez rozróby, dobrze? Dziś jestem kurewsko zmęczony. Ani to w bajce opowiedzieć, ani wybluzgać z siebie. Ręce!

Żołnierze podnieśli ręce.

Wziął zbiornik z benzyną. Wsadził ręce w paski. Zarzucił na plecy ciężki, nieporęczny aparat.

„Oto, co mi przypomina ten zapach” – zrozumiał. Benzynę w zapalniczce. Dorastanie. „Stajesz się dorosły, kiedy po raz pierwszy bierzesz do ręki miotacz ognia” – zażartował z przyzwyczajenia. Ale gorycz i tak mu nie odpuszczała. Ech,

Jura, Jura.

- Jak się tym posługiwać? – zapytał starszego.
- A tobie to po co?
- Przypadki bywają takie różne.
- Nie wiem. Jego pytaj. – Starszy kiwnął głową w stronę towarzysza.

* * *

Uber obejrzał drzwi, kłódkę, zardzewiały łańcuch. Potem taśmą klejącą przyczepił do kratki granat, przeciągnął przez zawleczkę linkę. Powoli, uważnie przeciągnął ją dalej w tunel, żeby przed czasem nie skończyć samemu ze sobą. Położył się na torach i szarpnął.

Gruchnął wybuch.

Przez dłuższą chwilę Uber myślał, że nigdy w życiu nie będzie już więcej nic słyszał oprócz tego strasznego huku.

W tunelu unosiła się zasłona z kurzu, prawie nie dało się oddychać. Uber nałożył sobie na twarz maseczkę z gazy, podobną do tych, jakie nosiły mortusy.

Wrócił pod drzwi. Wybuch nie zniszczył kłódki, ale po prostu rozerwał siatkową kratkę. Uber wczepił się w nią obiema rękami, rozbijał jak zepsuty ząb i wyszarpnął. Wrócił po miotacz ognia, przelazł przez otwór i podszedł do wewnętrznych drzwi. Zwyczajne metalowe. Jakieś litery, nie do odczytania z powodu upływu czasu i pyłu.

Zawahał się. Za drzwiami na pewno coś było. Uber wyjął i położył sobie na dłoni wszystkie rzeczy. Zdjęcie z paszportu – na fotce młoda dziewczyna. Zapalniczka Zippo z wygrawerowanym jeleniem – pamiątka po Jurze.

Pieczołowicie schował zdjęcie w wewnętrznej kieszeni, zostawił tylko zapalniczkę.

Wsunął ręce w pasy upręży miotacza ognia, zaciągnął sprzączkę na piersi. Pstryknął zapalniczką, podpalił zapłon miotacza. Płomień zapełgał przytulnie i spokojnie – jak duch samuraja przed bitwą.

Uber schował zapalniczkę w kieszeni. Wypuścił powietrze. Wycelował dyszę miotacza i pchnął drzwi.

* * *

– Smok? – zdziwiła się Mika. – Co to takiego smok?

Paauza. Uber uniósł brwi. Co by nie mówić, dzieci umieją człowieka wprawić w zakłopotanie.

– Nie czytała jej pani bajek? Natalie Wasiliewno, co też pani!

Nanny coś odburczała. Uber odparł:

– Smok to takie zwierzę. Ogromne i zazwyczaj niewiarygodnie złe, oczywiście o ile nie pochodzi z Chin.

– A tam są dobre smoki?

– Tam są różne smoki. Ale głównie dobre. I papierowe.

- *A ten...*
- *Ten jest zły.*
- Mika pokręciła głową.*
- *Nie? – zdumiał się Uber.*
- *Nie jest zły. – Mała się zawahała. – Po prostu go tak przerobili.*

Od koszmarnego smrodu Uber o mało się nie udusił.

Potwór, podobny do gigantycznego, rozdętego szlauchu, leżał sobie. Czarny, w żółte i zielone plamy. Króciutkie łapy.

Tamta góra wysuszonych trupów to ofiary, które mieszkańcy Obwodnego Kanału przynosili potworowi przez długie lata – rozumiał Uber. Szczątki ludzkie Sołowieja pakowali do worków i wyrzucali do wykopu przez opuszczony stary kolektor. Po prawej stos szarych worków. Na trupy i odchody.

Smok był ogromny. Całe trzy metry długości.

I w ogóle niepodobny do smoka. Co najwyżej nieobrobiony pieniek, paskudny wór, skórzany bukłak poznaczony grubymi żyłami – spasiony ręką człowieka. Nie był nawet w stanie przemieszczać się samodzielnie...

– Drugie przyjscie Wielkiego Syfilisu – mruknął Uber. – Kurna. Nigdy jeszcze zabicie zwierzęcia nie wyglądało aż tak fallicznie! A w ogóle – dodał ciszej: – najwyraźniej pora przestać czytywać Freuda przed snem...

„Moja mama jest w nim, w środku... i śpiewa” – powiedziała Mika. Żegnaj, Mika. Widocznie stała się ostatnią ofiarą.

Uber wycelował miotacz ognia w potwora.

– Dawaj, smoku – podjudził go. – Krzycz po raz ostatni. Zaśpiewaj mi diabelską pieśń podziemia...

I nacisnął spust dopływu benzyny.

Gdy w smoka uderzył strumień ognia, ten wygiął się i zakrzyczał...

* * *

Uber szedł. Gdy dotarł do westybulu Obwodki, drżały pod nim nogi. Twarz straszliwie płonęła. Wionął od niego smród jak od spalonej kupy odchodów.

„Spaliłem smoka. Komu coś takiego mogłoby się przyśnić?” – pomyślał.

– Chłopcze, jesteś cały? – zapytał starszy żołnierz. – Ty... jak?

Uber w milczeniu opuścił miotacz ognia na ziemię. Kiwnął głową: „dziękuję”.

– Chłopcze?

– Smoka już nie ma – rzekł Uber. I poszedł. Trzeba było jakoś z siebie zmyć tę czarną tłustą sadzę.

3. Epilog

Drezyna zwolniła i zatrzymała się.

– Podwieźć cię, chłopcze? – zapytano z niej.

Uber odwrócił głowę. No i masz, déjà vu. Drezyna mortusów, znowu jest ich dwóch. Krzepko zbudowany mortus zsunął białą maskę w dół. Uber zagwizdał cicho. No, no, stary znajomy.

Długi młody mortus, też zdjął maskę. Poskrobał się po rzadkiej rudej brodzie.

Ludzie opuszczali stację. Szli po torach, taszcząc toboły z rzeczami. Drezyna mijala ich, ponurych, zdeorientowanych, nieszczęśliwych. Na Obwodnym Kanale wkrótce nie zostanie ani jeden mieszkaniec, pomyślał Uber. Przeklęte miejsce, przeklęte wspomnienia. Teraz groza i ból umierającego smoka zostaną z nimi na zawsze.

Przechodzili obok Ubera, obojętni i milczący, niczym cienie w piekle.

Co to za anioł, jeśli nie przynosi odwetu? Śmierci i kary? Uber pokręcił głową.

„Może nie bez powodu przyjechałem tu razem z mortusami” – pomyślał. Drezyna zgrzytnęła jęklonie. „Nikt nie lubi wysłańca śmierci”. Nikt. „Nawet ja”.

– Nie – odpowiedział Uber. Otworzył oczy. – Tym razem raczej pójdę sam. Dziękuję.

– A nie mówiłem? On też wierzy w przesady – ucieszył się młodszy. – Nie taki znowu lekkoduch.

Starszy mortus wzruszył ramionami.

Uber wziął w zęby papierosa, wyjął zapalniczkę Zippo. Czirk! Zapalniczka miała na boku wygrawerowanego jelenia. Przypalił.

Płomień oświetlił jego udręczoną twarz, przypominającą znużone oblicza świętych w opuszczonej, zapomnianej przez ludzi cerkwi.

– Może po prostu... trochę wydorostałem? – rzucił. A potem się zaśmiał. – Ech, pieprzyć to.

Obok tlejącego się ognika papierosa powoli przeleciało parę zarodników pleśni. Pleśń nigdy się nie śpieszy. Pleśń wie, kto ostatecznie weźmie wszystko we władanie...

* *Giambattista De Curtis Torna a Sorrento*, przeł. W. Rapacki.

INTERLUDIUM 1

Człowiek bez Imienia 2

Petersburg, grudzień 2033 roku

Ciemność. Mrok. Nieprzenikniona bezdeń, pełna zwidów, które snują się po moich nerwach wzrokowych.

Czasami mi się wydaje, że coś widzę. Kolory. Niebieski. Żółty. Czerwony błysk. Coś zielonego.

Ale to kłamstwo. Niczego takiego nie ma. Ani jeden przypadkowy foton nie zabłądzi tu, pod lustrzaną tafelę moich źrenic.

Tutaj, pod ziemią, jest tylko czerń. Żadnych gwiazd.

Ostatnie dni i chwile rozpuszczają się w ciemności. Mrok pochłania je, mlaszcząc...

Z każdą sekundą coraz trudniej jest jasno myśleć.

Wspomnienia w ciemności to próżne tracenie sił.

Żeby zrozumieć, kim jestem, potrzebuję światła. To prawie fizyczne wrażenie.

Wstaję i idę.

Pytanie: w górę czy w dół?

Oczywiście, czemu by nie zostawić sobie iluzji wyboru?

Tak naprawdę wyboru nie ma.

Moje instynkty, odziedziczone po dwunożnych zwierzętach, które setki tysięcy lat temu żyły między słońcem a ziemią...

...szepczą mi, że popełniam błąd.

Utrzymują, że powinienem iść na wierzch. Do słońca.

Instynkty kłamią.

Całe życie toczy się teraz na dole.

Idę po stopniach znieruchomiałych ruchomych schodów. Coraz niżej i niżej.

Schodzę.

Schodzę.

I wspominam.

Człowiek zstępuje po schodach.

Schodzi.

Schodzi.

Schodzi...

– Robi się cieplej – mówi.

„Cieplej”. Chyba się nie pomyliłem.

I wtem stopień zapada się pode mną. Kchrrchak! W ostatniej chwili wyrzucam rękę w powietrze i wczepiam się w metalowy brzeg.

Wiszę nad otchłanią. Nogi mi dyndają.

Anioł bez skrzydeł, niepotrafiący już latać.

W oczach mi ciemnieje. Serce bije jakby po gonitwie, jak wtedy gdy samotnego biegacza goni stado psów Pawłowa.

Spokojnie. To nic więcej jak tylko panika.

Spokojnie.

Nie myśl o otchłani pod nogami.

Nie myśl o tym, że za bardzo osłabłeś, aby podciągnąć własne ciało w górę.

Nie myśl o tym, że palce się spociły i lada moment ześlizną się z krawędzi.

Nie myśl o kruchej konstrukcji, która w każdej sekundzie może się zarwać pod twoim ciężarem.

Nie myśl.

Te myśli są bezużyteczne. Pozbawiają sił.

Pieprzony samuraj zawsze zachowuje spokój przed obliczem pieprzonej śmierci.

Pieprzone bushido.

Z dwóch dróg zawsze wybieraj tę, która prowadzi do śmierci. Tyle to pamiętam.

Wiszę nad czarną otchłanią. Palce zawilgotniały od potu i osłabły, zaraz się pewnie ześlizną.

Co za...

Czasami trzeba...

Zrobić pierwszy krok.

Puszczam rękę.

Człowiek spada w zupełnej ciemności.

Spada.

Spada.

Nieskończone spadanie.

Powietrze świszczę w uszach. Serce zamiera...

I nagle...

Widzę światło.

Zabawne.

W ostatniej chwili kulę się, żeby spaść na plecy. Tak robią kaskaderzy.

I jeszcze zanim gruchnę, zdążam pomyśleć:

„Zabawne”.

Pomieszczenie oświetlone ciepłym blaskiem karbidówki. Góra ziemi obrośnięta

grzybowymi girlandami.

Obok pochyła się jakaś ciemna postać. Człowiek coś robi. Grabi, podkopuje, wyrównuje. Mętny odbłask metalu. Nagle człowiek słyszy dziwny dźwięk. Człowiek zamiera, podnosi głowę. Oczy mu się rozszerzają.

– O, cholera! – mówi.

Buch!

– Uff. – Uderzenie w plecy. Nie takie straszne, jak myślałem. Choć oddech przestał działać zupełnie. Zęby dzwonią.

W środku coś się we mnie zacina. Lata, klekocze i dźwięczy jak oderwany element. Trybik, który wyleciał z zardzewiałego mechanizmu.

Nie wiedzieć czemu, czuję woń oleju do maszyn.

Staczam się po pochyłości, przewracam na czworaki. Cholera. Ziemia taka strasznie twarda.

– Och – mówię tylko. Czuję, jak z przegryzionej wargi krew cieknie mi po podbródku.

Nie najgorsze lądowanie.

Z tych, które zaliczyłem w życiu.

Nie najgorsze.

– A niech cię – czyjś głos.

Opieram się dłońmi o podłoże i z wysiłkiem podnoszę głowę. Kiedy próbuję wstać, patrzy na mnie ciemna postać. W głowie mi dzwoni, wszystko widzę podwójnie. Wstrząśnienie mózgu? Tego tylko brakowało. Ale jestem żywy.

Postać nagle odwraca się i ucieka. A światło zostaje...

W końcu podnoszę się na kolana. Całe ciało mnie boli, jak obite. Cha, cha, cha. Zasłanianie oczy dłonią, mrużenie powieki. W potylicy okropny, rozciągający się ból. Nie szkodzi, nie szkodzi.

Lampa karbidowa świeci ledwie, ledwie. A mimo to mam wrażenie, że oczy ktoś mi wyjmuje zardzewiałą metalową łopatką.

Taką ogrodniczą.

Światło razi nie do zniesienia. Łzy leją się ze mnie jak requiem dla snu. Cholera, cholera, cholera.

Zbieraj się, żołnierzu.

Wstaję na oślep, idę, wyciągając przed siebie ręce – aż trafiam na ścianę. Tak, trzeba się zbierać. Przez zasłonę łez widzę, że zostałem sam. Ten człowiek, który tu był, uciekł. Ale tam, dokąd pobiegł, na pewno znajdą się ludzie, którzy tu przyjdą. Więc muszę dojść do siebie. Wziąć się w garść i przeżyć po raz kolejny.

Opuszczam ręce i wodzę nimi po ziemi.

Niczego nie widzę. Cholerne światło. Poprzez obłok łez natrafiam na coś zimnego, żelaznego. To ogrodnicza łopatką. Jest mokra od ziemi, rączka jeszcze zachowuje ciepło ludzkiego ciała.

Podnoszę ją i trzymam w pogotowiu.

Przynajmniej będzie czym walczyć, kiedy po mnie przyjdą.

II
UBER I WOLNOŚĆ

II UBER I WOLNOŚĆ

(Błotni żołnierze)

*W starym zepsutym zegarze
Wino chlustało strumieniem
Po co nam taksówkarze
Przejdziemy się, jak te zmokłe psy
Staniemy w bramie z nimi razem
Bo sam jestem jak na deszczu pies*

*O, jak tańczyliśmy, jak chlaliśmy w tę noc
Czas dojrzał, żeby snuć marzenia
Więc tańczyliśmy do upadłego
Była w nas moc
Jak zawsze coś zwariowanego*

*Rum lał się i mocny, i cienkusz,
Śmieciarza spóźnionego
Pogoniły w deszczu psy
Wsiadam do pociągu wykolejonego
Parasol oddam psom na deszczu
Bo sam jestem jak ten zmokły pies*

*O, jak balowaliśmy na
Irlandzkiej impreze
Jej długie, kruczoczarne włosy
O, jak tańczyliśmy, a ty
Szepnąłaś do mnie
Nigdy do domu nie wrócisz już*

*O, jak tańczyliśmy, jak chlaliśmy w tę noc
Czas dojrzał, żeby snuć marzenia
Więc tańczyliśmy do upadłego
Była w nas moc
Jak zawsze coś zwariowanego**

* Tom Waits, *Rain Dogs*.

ROZDZIAŁ 1

Niezwykły gość

*9 grudnia 2033 roku, Petersburg, węzeł Sienna–Sadowa.
Trzydziesty trzeci dzień wojny wegańskiej*

Komendant Siennej, lepiej znany w metrze pod pseudonimem Tarty, podszedł do stołu i odpukał kostkami palców w wypaczony ze starości, nierówny blat. Raz, dwa, trzy. Tylko żeby nic się nie stało. Tylko żeby... Póki co wystarczy i tej ciemnej dupy, w której Wielkie Metro znalazło się miesiąc temu z niepotrzebnymi działaniami zbrojnymi. Tfu-tfu-tfu.

„Krótko mówiąc, sytuacja jest kiepska”.

Stacje Powstania i Majak stracone bezpowrotnie. Dostojewska przechodzi z rąk do rak, tunele przegrodzone barykadami po same sufity; miny, pułapki – żywa dusza się nie prześliznie. Primorcy i Wegańcy starli się i złapali łeb za łeb. Wegański desant szturmował kilka szybów wentylacyjnych i oddalonych stacji na tyłach frontu. I w dwóch miejscach nawet im się udało osiągnąć sukcesy. Choćby tymczasowo. Tarty zmarszczył brwi.

Pora i nam zrobić coś w odpowiedzi. Pora, pora, poradzujemy się... w swoim czasie...

– Więc mówi prawdę? – Tarty zwrócił się do Olega Lesina, ministra obrony, który wcześniej był jego zastępcą.

– Myślę, że tak.

– Myślisz? Czy wiesz?

– To bardzo wiarygodne – odpowiedział dyplomatycznie Lesin. Zawsze wykazywał wrodzoną skłonność do polityki.

Tarty przesunął ręką po podbródku. Chropawo i zahacza się. Kiedy tu się ogolić? Czasu zupełnie brak. Nawet zjeść człowiek nie zdąży... A ogolić się mimo wszystko trzeba. Nieogolona twarz całej stacji, przewodniczący rady Wielkiego Metra, prościej nazywanej senatem – może wywołać prawdziwą panikę.

– Twoja propozycja? – rzucił.

– Zwołać radę metra, oszacować perspektywy... – zaczął Lesin.

Tarty opędził się ręką.

– Jaja sobie robisz czy co? Chcę, żebyśmy działali, a nie jak należy, od serca, mielili językiem. Więc... – Zawahał się, zastanowił. – Chociaż... masz raję. Wołaj

ich. Może tak będzie nawet lepiej. Przystępniej dla mózgów panów senatorów. Tak... i Primorców też wezwij.

Lesin skinął głową. Podniósł się i wyszedł. Tarty postać chwilę, popatrzył w ślad za nim. „Chyba wdaję się w dużą awanturę” – pomyślał.

Senatorowie zbierali się przez godzinę. Najdłużej szukano Asłana Zakirowa, senatora od Azerków. Nawet Primorcy, chłodni i wyniośli, przyszli wcześniej niż on.

– A więc – zaczął Tarty. – Wszyscy wiecie, co się dzieje. Weganie naciskają i dławią. Mają duży zapas rezerw i świetnie zorganizowaną machinę wojenną. Ponosimy straty, nawet podczas zawieszenia broni. A co będzie, gdy rozejm się skończy? Czepiamy się każdego metra tunelu, każdego tubingu, ale i tak nas spychają. Co można zrobić?

Podniósł się szum głosów.

– Marynarze proponują zastosować fosgen – oznajmił Tarty.

Senatorowie bardzo się zdziwili – tak jak się domyślał.

– Co?!! – zawołał za wszystkich Asłan.

Wszyscy równocześnie podnieśli raban. Każdy miał przecież w pamięci tanto ultimatum – po unicestwieniu bombą atomową wyspy Moszczyj. Marynarze wówczas wszystkich zdrowo nastraszyli. „Zasrane świry” – pomyślał Tarty.

Właśnie wtedy ocalali marynarze zajęli opuszczoną stację. I zagrozili, że wpuszczą trujący gaz do reszty metra. O ile ten, kto wysadził wyspę, nie zostanie im wydany na talerzu... Tarty westchnął. „Wtedy znaleźliśmy jedyne właściwe rozwiązanie. A teraz? Gdzieś ty jest, Taran, kiedy cię tak potrzeba?” Taran był ostatnią nadzieją – i wtedy, i teraz. Teraz przydałby się, jeszcze jak.

Ale Tarana już nie ma. Uciekł do swojego Władystoku.

Dotrze tam? Przez cały zniszczony wojną kraj? Tarty nie wiedział. Ale w głębi duszy miał nadzieję, że Taranowi wszystko się uda. Tacy się po prostu nie poddają.

„Alfejós”. Czy jak mu tam? Tarty w zadumie powiódł wzrokiem po pęknięciu w ścianie. Senatorowie mówili jeden przez drugiego.

– Fosgen to jest jakieś wyjście – powiedział nagle głośniej jeden z senatorów.

Inni ochoczo potaknęli. No i masz, wystarczy trochę poczekać i każde ludzkie zgromadzenie wpadnie na jakieś ludożercze pomysły.

Tarty powoli opuścił głowę, przyjrzał się panom senatorom. Rozmowy umilkły. Póki co starczało mu autorytetu, żeby utrzymywać radę w ryzach.

– Upadliście na głowę? – zapytał spokojnie. – Trujący gaz w zamkniętej przestrzeni? Jak to sobie wyobrażacie?

– Ale marynarze... – zaczął Asłan.

– Do diabła z marynarzami!

Milczenie.

– No to co robić? – odezwał się jeden z senatorów.

Tarty powiódł wzrokiem po zebranych. „Tia, i z tymi ludźmi mamy się przeciwstawić Weganom? Z tymi żalonymi, niezdecydowanymi, bojącymi się wszystkiego i chciwymi ludźmi?”

– Mamy gościa – rzekł.

Senatorowie spojrzeli po sobie.

– I co? – Asłan znowu wyraził wspólną opinię.

Naczelnik Siennej popatrzył po wszystkich, przechylił głowę na ramię i chrząknął.

– Przejadło się wam! Zaraz się obudzicie. To bardzo niezwykły gość.

Zwrócił się do ochroniarza:

– Tola, przyprowadź gościa.

Ochroniarz kiwnął głową. Był małowówny i – niezawodny. Rosły, krzepko zbudowany, chłopak jak dzwon, głowa-monolit – zdawało się, że do takiej głowy niepotrzebne myśli nie przenikną, ponieważ nie ma w niej ani jednej szczelinki. Anatolij, Tola. Tylko tyle wiedzieli o nim postronni. Ktoś tam mówił, że Tolik wcześniej służył w podziemnych wojskach FSB. Ale najprawdopodobniej ten ktoś się mylił. W przeciwnym wypadku Tarty na pewno by o tym wiedział.

– Ta-jest – odparł Tolik i wyszedł.

Po kilku minutach drzwi znowu się otworzyły i wszedł człowiek. Zmęczonym, nierównym krokiem, powłócząc nogami. Ubranie miał czyste i porządne, nowiuteńka wojskowa panterka, ale jakby zdjęta z kogoś innego. Chude jak zapalki ręce i nogi. Lecz nie to było najważniejsze...

Na jego szyi widniały paskudne zielone narośle; ruszały się przy oddychaniu, przypominając mech w podmuchach wiatru. Senatorowie zaczęli spoglądać po sobie. Asłan Zakirow podniósł się, ciężko oparł się pięściami o blat. Czy błysnęły mu niedobrym blaskiem.

– Mutant?! Tu?!

Tarty zmarszczył brwi.

– Usiądź, Asłan. Proszę.

Dał senatorom czas, by się napatrzyli, po czym przeszedł do rzeczy.

– Kim pan jest? – zwrócił się do gościa.

Senatorowie słuchali. „A do czego wy mnie doprowadzicie? – pomyślał ze złością Tarty. – Mogę jeszcze, mogę”.

– Jestem adaptantem – odparł człowiek. – Nazywam się Jewgienij Korwin... Żenia.

– Adaptant – powtórzył Tarty. – Co to znaczy? Czy... nie jest pan człowiekiem?

Adaptant wyprostował się. Jego głos zadźwięczał jak stal:

– Jestem człowiekiem.

– Jest człowiekiem. – Lesin skrzywił się. – Pieprzony ichtiander.

Senatorowie parsknęli śmiechem.

– Oleg! – Tarty podniósł głos. Poczul się, jakby o mało nie wyrwano mu steru z rąk. Czasami warto panów senatorów usadzić na miejscu.

– Oleg, zamilcz, proszę – rzekł Tarty. – Chyba że masz jakąś propozycję?

– Milczę, już milczę. Tak w ogóle myślałem, że mamy demokrację...

– Demokracja to prawo do wolnej wypowiedzi, nie do pieprzenia w bambus – uciął Tarty szorstko. Minister poruszył się niespokojnie pod jego wzrokiem. – Dostrzegasz różnicę, Oleg?

– T-tak – odparł Lesin. Wycofał się w porę, nie ryzykował otwartego

przeciwstawienia się Tartemu. – Proszę o wybaczenie, moja wina. Więcej się to nie powtórzy.

– Z czym pan do nas przybył? – zapytał Tarty, zwracając się do adaptanta.

Żenia kiwnął głową.

– Reprezentuję powstańców z Obuchowa. My, byli niewolnicy Wegana, chwyciliśmy za broń i powstaaliśmy przeciwko imperium.

Sala zebrań jakby od tego wybuchła. A to ci nowina. Senatorowie podnieśli wrzawę.

A więc to nie były plotki! Na tyłach wszechmogącego zielonego Imperium płonie pożar powstania.

– Wegan pchnął na nas żołnierzy, ale zablokowaliśmy tunele i walczyliśmy dalej. Wysłano mnie do was z prośbą o pomoc.

– I szedł pan po powierzchni? – spytał Lesin.

– Tak.

– Bez broni, w pojedynkę?

– I bez maski przeciwgazowej – dodał Żenia. – Właśnie tak. Jak już zauważyliście... – wskazał swoje narośle – ...nie do końca jestem człowiekiem. Jestem adaptantem. Mogę żyć na powierzchni bez maski i ochronnej odzieży.

Jeden z senatorów, spóźnialski Aślan Zakirow, zagadnął:

– Myśleliśmy, że Obuchowo już wymarło. Od jak dawna walczyacie?

Gość westchnął. Tarty z najwyższym trudem oderwał wzrok od kołyszących się zielonych włókien na jego szyi. Hipnotyzuje, cholera.

– Od dwóch miesięcy.

Ogólne westchnienie. Starszyzna spojrzała po sobie.

– Od dwóch miesięcy? – Tarty poruszył ramionami.

Dwaj senatorowie z Aliansu Primorskiego milczeli, ale patrzyli z napięciem, jakby na przesłuchaniu. Starszy z nich uśmiechnął się – prawie nie otwierając ust, samymi wargami. Oczy przy tym pozostawały zadziwiająco zimne.

„Cholerne wojaki. Świętej pamięci Generał wychował wilki” – pomyślał Tarty z rozdrażnieniem.

– I jeszcze... żyjecie? – Tarty nagle nie potrafił dobrać słów. chciał powiedzieć: „nie zdechliście z głodu?”, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Może gość o zielonych skrzelał poczułby się urażony? Jako doświadczony polityk Tarty nie widział żadnego problemu w swoich słowach, ale mogli go dostrzec inni.

Adaptant podniósł głowę. Uporczywie utkwiał wzrok w senatorach. Głosy ucichły.

– Jeszcze żyjemy – rzekł niegłośno. – I prosimy Wielkie Metro o pomo

ROZDZIAŁ 2

Prawo skazańca

*9 grudnia 2033 roku, Petersburg, węzeł Sienna–Sadowa.
Trzydziesty trzeci dzień wojny wegańskiej*

– Uwaga! Uwaga! Wielki Rozejm zakończy się za pięć dni – obwieszczono przez głośnik. – Od tej chwili ogłasza się stan nadzwyczajny i wprowadza się dodatkową godzinę policyjną. Wszyscy na swoje miejsca. Wróg zostanie rozbity. Zwycięstwo będzie z nami.

Tłum kobiet, dzieci, podrostków i starszków westchnął. Ludzie niechętnie zaczęli się rozchodzić. Mętne światło latarni – tryb oszczędzania energii – słabo rozpraszało mrok. Wszystko dokoła zdawało się ponure i płynne, jak w koszmarnym śnie. Nic dziwnego, że ludzie są przygnębieni.

– Zaczyna się wojna – rzekł Tarty. – Tak?

Razem z szefem wywiadu wyszli rozprostować nogi i ocenić sytuację.

– Już się zaczęła. – Tadżyk skinął głową. – Choć raczej tak naprawdę wcale się nie zatrzymała... – dodał dla ścisłości.

Okazało się, że podczas zawieszenia broni nakaz przerwania ognia naruszono ponad szesnaście razy. Sporadyczne wystrzały, drobne potyczki, przypadkowe strzelaniny, a nawet prawdziwe starcia – wszystko się zdarzyło.

– Wojna się zmienia – zauważył Tadżyk w zadumie. – Dżentelmeni już na niej nie przeżywają.

Tarty szczerzej okutał się waciakiem.

– Współczesna wojna to nie jest rzecz dla dżentelmenów. Tylko dla szakali.

* * *

Artem o przezwisku Mimino leżał na swojej pryczy i słuchał w ciemności. Na górnej pryczy Uber cichutko i melodyjnie poświstywał jakąś melodię.

Blues. Artem zdziwił się.

– Ona tęskni... tam za barem... – przyśpiewywał z cicha Uber. – W fartuchu, z serwetką... Świeża nad podziw... Od stóp do głów poprzez biust...

Artem słuchał. Niezbyt głośny, wysoki i czysty głos skinheada wywodził:

– Tak jak zaprasza bardzo dziwny blues...

Tego dnia Artem poczuł się dziwnie – jakoś nie tak. Przygniatające wrażenie w piersi, stan na wpół omdlenia, mrok i groza – wszystko to sprawiło, że opadł z sił. Po prostu leżał sennie zwrócony twarzą do ściany i czekał na najgorsze.

Kiedy załomotało dokoła, Artem zmrużył oczy. Serce ścisnęło mu się boleśnie. Jakiś potwór zawył głucho za ścianą, zajęczał. I nagle jakby się zerwał do lotu... Coraz bliżej i bliżej... Artem poczuł wibrację, skoczył na równe nogi.

– Trzęsienie ziemi?! – Ze zgrozy złodowaciał mu kark.

Skinhead stał obok, słuchał. Potem sam do siebie kiwnął głową.

– Winda – stwierdził. – Duża i potężna winda. Po prostu dawno nieużywana. Najwyraźniej mamy ją za ścianą.

– Nie wiedziałem, że ostały się jeszcze gdzieś windy – powiedział ostrożnie Artem. Oczywiście wyobrażał sobie, co to takiego. Ojciec dawno temu opowiadał mu nawet o raketach w silosach... że one też wyjeżdżają na powierzchnię windą... No... żeby wzlecieć w Sądny Dzień.

Uber wzruszył ramionami.

– Ja tak samo nie wiedziałem – przyznał w zadumie. Podrapał się po karku. – Interesujące.

– Myślałem, że to legenda – mówił dalej Artem. – Opowiadali u nas na stacji.

– Jaka dokładnie?

– No... że z metra jest winda do podziemnego świata... prosto do gabinetu diabła.

Uber zarechotał.

– A to dopiero byłby numer!

– Nic śmiesznego. – Artem aż się trochę obraził. Legenda wydawała mu się ładna. Chociaż też dość... mroczna. A tu za ścianą winda. Może nawet ta sama?

– A nie pomyślałeś – odpowiedział Uber – że skoro tą windą można zjechać do Szatana, to i Szatan może w każdej chwili wsiąść do niej i dostać się do metra, co?

Artem zamrugął oczami.

– No też coś...

Dźwięk za ścianą urwał się. Cisza. Uber i Mimino spojrzeli po sobie.

– Dobra, klaunie – stwierdził Uber. – Dość wylegiwania się. Wstawaj. Najpierw zrobimy rozgrzewkę, a potem popracujemy nad kombinacjami.

* * *

Najlepsze, co się nam przydarza – przydarza się nie nam.

Uber odwrócił się na drugi bok, potarł złodowaciałe ramię dłonią i wypuścił powietrze. Otulił się szczelniej kołdrą. Od ścian ciągnęło chłodem, jakby go wsadzono w betonową konserwę życia; i wszystko się kończy, wszystko, a on, Uber, powinien tutaj zostać, w ciemnym, mrocznym podziemiu. W ciemnicy, do której nawet normalni ludzie nie zagląдают... Jasne, gdzie im tam odwiedzać takich zatwardziałych przestępców jak on. Wiecie, powiedziałby śmiałkowi, a jeszcze lepiej śmiałeczce, gdyby się taka znalazła: „Doceniam waszą uwagę, ale lepiej traciłibyście czas na coś innego. Dzięki za wizytę, możecie iść, tylko zostawcie latarkę. Wyrazy

wdzięczności”.

Uber rzucił się we śnie. Nawet rozumiał, że to sen – ciężki, męczący, ale nie mógł się z niego wybudzić.

Zazgrzytała zasuwa. Po ciągnącej się niemiłosiernie minucie drzwi szczęknęły i otwały się. No i masz. Weszło dwóch strażników, obaj z automatami. Jeden kawał byczka, drugi jeszcze większy.

– Więzień Artem do wyjścia – rozkazał klawisz. – Ruszaj się.

Mimino sprężyście podniósł się na nogi. Narzucił na siebie koszulę, pozapinał guziki. Założył ręce za plecy, jak należy, i poszedł.

– Dokąd go zabieracie? – spytał Uber.

– Nie twoja sprawa – warknął strażnik.

Drugi, ten większy, potrząsnął głową. Uber wzmógł czujność.

– Na spacer – rzekł drugi. Jawnie łągał.

Uber siadł na pryczy. Chciał się niepostrzeżenie wymknąć, lecz tamci okazali się doświadczeni.

– Bo cie szczele – zagroził wysoki strażnik łagodnie. Tak, że aż ciarki przeszły po skórze. – Tyko sierusz. Legniesz i zdekniesz.

– I do rymu bekniesz.

– Że jak?!

– Nie zwracaj uwagi, marny ze mnie poeta. A kiedy zwrócicie mi tego głupka? Nudzi mi się samemu.

Wysoki klawisz wzruszył ramionami. Naprawdę krzepki byczek. I widać, że czujny. Wie, do czego jest zdolny skinhead, ale przy tym zachowuje spokój jak czołg Tygrys.

– Obiecaj, że będziesz pisał! – zawołał Uber za odchodzącym.

– Uber!

Drzwi się zamknęły. Z łoskotem zapadła zasuwa, przekręcił się klucz. Skinhead został sam. Położył się na swojej pryczy.

– Kurna, jeszcze wyłączcie światło – mruknął. Odwrócił się do ściany. Światło zgasło. – Gnidy! – wycedził w ciemności.

* * *

Po kilku godzinach drzwi znowu zgrzytnęły, zaczęły się otwierać. Uber ucieszył się, że wraca Mimino, ale... się pomylił.

Najpierw zapaliła się lampka pod sufitem. Potem do pomieszczenia wszedł smagły niewysoki człowiek. Światła było za dużo, oczy jeszcze się nie przyzwyczyły, dlatego Uber nie od razu go rozpoznał. A kiedy rozpoznał... Ręce od razu zaswędziały, żeby go udusić.

– Spacer więźniów, Van Gogh – kpiąco zacytował Uber gadkę Tadżyka z czasu ich ostatniego spotkania. – Założę się, że to twój ulubiony obraz?

Były Tadżyk, obecnie towarzysz Kim, westchnął.

– Uber, możesz chociaż czasami być poważny? – spytał ze znużeniem.

– Mogę, ale zazwyczaj źle się to kończy. Czemu się przyczepiłeś?

– Zaraz powiem – zgodził się Tadżyk. – Ale najpierw umówmy się, że nie będziesz próbował mnie zabić. Przynajmniej przez pięć minut.

– Niczego nie mogę obiecać – odrzekł w zadumie Uber. – Nic osobistego.

Tadżyk wszedł do pokoju i usiadł na krześle. Uważnie obejrzał pryczę, samego Ubera, marny stolik, blaszany talerz z resztkami więziennej kaszy, łyżkę z dziurką... Ale powstrzymał się od komentarzy.

– Mam dla ciebie robotę – oznajmił. – Zlecenie.

Uber milczał. Nawet nie wstał z pryczy, wyciągnął się tylko, zamknął oczy. „A to uparty sukinsyn” – pomyślał Tadżyk z podziwem. Skinhead odchylił się na poduszce, ręce założył za głowę. Tadżyk wiedział, że przez dwa tygodnie Uber podjadł sobie i wypoczął, i teraz całymi dniami, żeby uciec przed nudą, uczył młodego klauna sztuk walki. Tadżykowi doniesiono o tych więziennych treningach.

„Daj, zrobimy to tak... I twojemu przeciwnikowi będzie niezbyt przyjemnie. Tak mówił mój sensei. Dlatego za plecami nazywaliśmy go Mister Niezbytprzyjemnie”.

– Uberzlecenie dla ubersoldata – ciągnął Tadżyk celowo z mocnym akcentem. Często posługiwał się tym chwytem. Jako specjalista mógł w razie potrzeby przybrać dowolne brzmienie głosu z trzydziestu ośmiu wariantów. Ten akcent idealnie pasował do prostego chłopaka z Taszkientu. – Sluchasz mie, co?

– Wynoś się – rzucił Uber, nie otwierając oczu.

– Mimo wszystko posłuchaj. – Akcent zniknął.

– W cho. Le. Rę – uściślił skinhead wyraźnie.

– Zawsze przyjemnie z tobą pogawędzić, Uber – odparł zimno Tadżyk z kpiarską uprzejmością, swoim zwyczajnym spikerskim barytonem. I zaraz zrozumiał, że tym razem wybrał właściwe brzmienie. Twarz się Uberowi zmieniła.

Skinhead wyprostował się na pryczy, podrapał się po karku. Otworzył oczy – jasnoniebieskie, twarde.

– Jeszcze raz wyślesz mnie w diabły? – zapytał Tadżyk z zaciekawieniem.

– A ma to sens? I tak się nie wyniesiesz.

Tadżyk chrząknął kpiąco.

– Dobra, co tam masz? – zainteresował się Uber.

– Misję, Uber. Oto co mam. Mi-sję.

– A miałem nadzieję, że syfilis. Ale widocznie się mylę. – Uber krytycznie przyjrzał się agentowi Smiersza. – Bo to wyraźnie rzeźączka. I to pnia mózgu. U takiego mołojca, co mu kapie z końca... Dziecięca zagadka. Chodzi o samowar. Znasz ją? Czy nigdy nie miałeś dzieci?

Tadżyk, czyli towarzysz Kim, zawsze uważał się za człowieka z wszech miar opanowanego. Taka praca...

I wtem – coś w nim pękło. W oczach pociemniało.

Głośny stuk. Tadżyk nagle zrozumiał, że wstał – kiedy? Nie pamiętał – i cisnął krzesłem w bok. Bum! Mebel z łomotem trzasnął o ścianę, rozwalili się, drzazgi i kawałki tynku rozleciały się po celi. Na gładko pomalowanej ścianie pojawiło się brzydkie białe wgłębienie.

Jasnoniebieskie oczy Ubera patrzyły na niego bez mrugnięcia.

Przez jakiś czas Tadżyk milczał. Potem odezwał się cicho:

– Wal się, Uber. Rozumiesz?

Milczenie. Uber wbijał w niego wzrok.

– O, słyszę ojczyście słowa. – Skinhead odchylił się na pryczy, założył ręce za ogoloną głowę. Wyciągnął bose nogi, położył je na obrzeżu łóżka. Pięty miał całkiem czarne z brudu. – Inna sprawa. A teraz opowiadaj.

– O czym?! – Tadżyk nijak nie mógł się uspokoić. – O rzeźącce?!

Uber siadł, rozciągnął szyję, chrupnęły kręgi. W oczach skinheada zapłonął złowieszczy wesoły ogienek.

– O wielkiej misji, młodszy gandalfie Tadżyku. O twojej pieprzonej bohaterkiej wyprawie po złote runo. A za dzieci przepraszam. Nie wiedziałem. I do tego... czasami durny za mnie tępak. Opowiadaj o swoim zleceniu. Ale najpierw o dzieciach. Co się wydarzyło?

Tadżyk zawahał się. I opowiedział.

ROZDZIAŁ 3

Badanie lekarskie ludzi

*10 grudnia 2033 roku, Petersburg, węzeł Sienna–Sadowa.
Trzydziesty czwarty dzień wojny wegańskiej*

Lekarz był posunięty w latach, ale jeszcze krzepki. Na nagi muskularny tułów miał nałożony niegdyś biały fartuch. Spod rozpiętego guzika u góry wyzierały czarne kręcone włosy. Twarz profesjonalnie obojętna.

Jak dla Ubera oględziny ciągnęły się za długo. „Jakieś analizy jeszcze wydumali” – pomyślał ze złością. Już zaczął zapominać, że całkiem niedawno zanosił się krwawym kaszlem. A teraz wygodnie leży na osobnej pryczy z białą pościelą i polietylenową folią. Jak car i bóg. „Jak Achmet, że wspomnę o jego wysokości”. Przy czym zmarłych wspomina się albo dobrze, albo za cholere wcale. Uber wyprostował się, założył sobie ręce za głowę.

Na sąsiedniej pryczy leżał człowiek. Uber uznał, że sąsiad ma jakieś sześćdziesiąt lat – nawet stąd widać było jego pomarszczoną, szarą twarz. Żywy chociaż? W tym momencie tamten w końcu zrobił wdech – Uber się uspokoił. „Normalny pacjent, co też... Leży sobie”.

– Proszę zdjąć koszulę – polecił lekarz.

Człowiek w białym kitlu pokręcił głową. Schował błyszczącą rurkę do kieszonki fartucha. Włożył słuchawki stetoskopu do uszu. Posłuchał oddechu Ubera. Zimny metalowy krążek przyprawił Ubera o łaskotki i śmiech.

– Oddychać – komenderował doktor. – Nie oddychać. Teraz proszę zakaszać.

Uber zakaszał ostrożnie. Echem, echem.

„Że niby wszystko w porządku”.

– Teraz znowu oddychać.

Uber wciągnął powietrze.

– Doktorku, trolluje mnie pan czy co?

Lekarz nie odpowiedział. Wrócił do stołu i zaczął wypełniać stronę w jakimś zeszytce – niewyraźnym pismem, nieodczytanym jak szyfry pradawnych Majów. Cisza. Uber słyszał, jak szeleści ołówek na papierze. Nerwowo. Czasami lekarz zatrzymywał ołówek, zastanawiał się przez parę sekund – i znowu zaczynał pisać.

Uber wyprostował plecy, rozciągnął ramiona.

– Co tam, doktorku? – spytał. – Źle?

– Ile pan ma lat? – zainteresował się lekarz, nie odpowiadając.

– Nie tak wiele jak on. – Uber kiwnął głową w stronę starszego sąsiada.

I zreflektował się.

Lekarz podniósł wzrok, spojrzał poważnie. Smutno.

– Coś nie tak, doktorku? – Uber zmrużył oczy.

– On ma dwadzieścia pięć.

Uber szybko rzucił okiem.

– To próchno?! Wybacz, chłopie.

– To, jak pan mówi, próchno – rzekł lekarz – przyszło do nas na własnych nogach z Obuchowa. I wkrótce pójdzie tam z powrotem. Z panem, na ile mi wiadomo.

Uber gwizdnął cicho. To o to chodzi.

– A mogę odmówić?

Doktor popatrzył na niego, ale nie przyjął żartobliwego tonu.

– Może pan – poinformował sucho.

Badanie trwało dalej. Lekarz silnymi szczupłymi palcami obmacał czaszkę Ubera. W pewnym momencie nacisnął na coś i skinheadowi zakręciło się w głowie, jakby lekarz dotarł do ukrytego tam wyłącznika. Uber-reset. Ponowne uruchomienie. Wysiłkiem woli nakazał sobie nie upaść. Wczepił się rękami w skraj pryczy. Doktor zauważył to i skinął głową.

– Miał pan niedawno uraz głowy? – zapytał.

Uber ożywił się.

– O, i jeszcze jaki!

– Znowu żarty. – Lekarz zmarszczył brwi. – Jednak lepsze to niż łyzy.

– A co, powinny być łyzy? – Uber wbił wzrok w medyka. Ten pokręcił głową, zesznurował usta.

– Jasne, przed nami kolejny człowiek krzemień – zażartował. – Komuś innemu powiedziałbym, że z czymś takim ludzie nie żyją. Ale pan jakoś żyje?

To było jak cios w splot słoneczny. Przez chwilę kręciło się w głowie. Uberowi zdawało się, że prycza pod nim odpływa, ulatuje gdzieś w nieskończoność. A on przechyła się plecami w tył i spada, spada. Spada. W ciemność. Łzesz!

Wziął się w garść. Siłą woli przywrócił światu poprzednie granice, powstrzymał ruch wirowy Ziemi. „Czyżbyś naprawdę zamierzał żyć wiecznie, diabelski małpiszonie?!“ – powiedział sam sobie. Hardo zadarł podbródek. Jedno to charkać krwią, podejrzewając najgorsze, a zupełnie co innego wiedzieć, że śmierć jest tuż, tuż, zaraz obok ciebie. I nie wykopiesz jej za próg. Cholerne eskulapy. „Oto dlaczego zawsze nie bardzo lubiłem doktorów“ – pomyślał Uber.

– W porządku? – zapytał lekarz. – Dobrze pan zrozumiał, co powiedziałem?

Uber zamknął oczy, powoli wciągnął powietrze, wsłuchał się w jego przepływ. Wspaniały łyk powietrza. Daje wręcz kopa.

– Wie pan co, doktorku? – Otworzył oczy. – Po pana badaniu każdy wdech robię z podejrzeniem. A może to ostatni? Nie, do ciężkiej cholery. Lepiej by mi było niczego nie wiedzieć. Chociaż stop... – Przygryzł wargę. Wyprostował się. – Nie. Wiedzieć to jednak lepiej.

– Optymista z pana. – Medyk zamilkł na chwilę i dodał: – To rzadka i bardzo... – uśmiechnął się – ...paskudna cecha w naszych czasach.
– No, ile mi zostało? – zapytał Uber. – Tylko uczciwie.
– Nie wiem, czy mam prawo...
– Doktoru – rzekł Uber po prostu.
Tamten podniósł głowę, spojrzął na niego otwarcie i z sympatią, po czym odparł:
– Najwyżej dwa tygodnie. Albo trzy. Może miesiąc. Trudno powiedzieć.
Uber zamilkł. Dwa albo trzy tygodnie. Zmroziło go w środku. Nakazał sobie wziąć się w garść.
– No patrz, i tu jest niepewność. – Roześmiał się. – Dziękuję, doktoru.

* * *

– Choroba popromienna pierwszego stopnia, liczne urazy głowy, następstwa poprzednio odniesionych obrażeń i ran... Wątroba w niezbyt dobrym stanie, trzustka poważnie powiększona. Najwyraźniej są to następstwa regularnego przyjmowania preparatów przeciwpromiennych. – Lekarz spojrzął na Ubera. – Jest pan przecież diggerem, prawda? Więc... – Zmrużył oczy. – I, zdaje się, nie wylewa pan za kołnierz? Ale to nie jest największy problem. Największym problemem są właśnie następstwa napromieniowania. Pana krew niezupełnie jest już pana krwią. To taki radioaktywny koktajl. Pana kaszel: gdzieś tam bardzo nieostrożnie nawdychał się pan radioaktywnego pyłu. W płucach ma pan niezbyt dobre zmiany, jakiś ośrodek zapalny. Narządy wewnętrzne na razie nie odmawiają posłuszeństwa, to dobrze, chwała Bogu, ale to kwestia czasu. W ogóle nie bardzo rozumiem, dlaczego pan do tej pory trzyma się przy życiu.

Uber zastanowił się. Ano tak.

– A syfilis, doktoru, mam? – spytał nagle.

– Co? – Lekarz zamrugął. Na jego twarzy odbiło się zakłopotanie. – Nie, syfilisu nie wykryto...

– No, chwała Bogu. – Uber podrapał się po czole, po czym rzekł: – Uch! Aż mi lżej! Może pan słabo szukał? Powinien być.

Lekarz skrzywił się.

– Pan...

– Tak, żartuję, doktoru, żartuję – sprostował Uber poważnie. – Po prostu tak jakoś... no, nie wiem... chciałem panu poprawić nastrój czy coś.

Medyk skrzywił się jeszcze bardziej. Jakby mu wrywano ząb mądrości na szybko, bez narkozy i brudnymi narzędziami. Ale z miłością i łagodnie. Tak że jednocześnie cierpi okropny ból i doznaje dysonansu poznawczego.

– Ponurak z pana, doktoru – użalił się nad nim Uber. – Nic pana w życiu nie raduje!

* * *

Tarty wyprostował się. Och, od czego czasami tak dokuczają plecy – mianowicie od wrażenia, że taszczysz na swoim garbie opierającą się jak osioł, rozpadającą się po drodze machiną wojenną Wielkiego Metra. Taszczysz, nadwerężasz się, a przy tym rozumiesz, że żadnej nagrody w rezultacie nie będzie. Nie, nie będzie. Napawaj się, kurwa, procesem.

– No i co, jak wyniki? – spytał.

Medyk wojskowy pokręcił głową. „Jak on się nazywa? Georgij... nie, Grigorij Wartanian? No, niezłe nazwisko”. Tarty nie ukrył zdziwienia.

– Co, obaj?!

– Jeden mutant, drugi praktycznie chodzący nieboszczyk – odparł lekarz zimno. – Czego pan ode mnie oczekuje? Cudów?

Tarty milczał przez chwilę, westchnął.

– Tak, chciałoby się liczyć na cud.

Potał sobie oczy. Jakby piasku kto nasypał, trzeba choć kilka godzin na dobę przespać. No i zapewne nie pić kawy.

– Zupełnie nie dociągną?

– Nie mogę dać żadnej gwarancji... Rozumie pan? – rzekł Wartanian.

– Rozumiem. I rozumiem jeszcze, że jeśli w najbliższym czasie Obuchowo padnie, weganie na nasze natarcie odpowiedzą zdwojonymi siłami. Imperium przetrzuci uwolnione siły zbrojne na inne odcinki frontu. Więc jest to bodaj nasza jedyna opcja.

– A co z Wielkim Rozejmem? – zdziwił się lekarz. – Czyżby to... no, nie zapoczątkowało procesu negocjacji? Żeby przerwać tę bezmyślną, bezsensowną wojnę?

Tarty uważnie spojrział na medyka.

– Naprawdę pan w to wierzy, doktorku? – zapytał.

* * *

W szpitalu odwiedził go Tadżyk. Przyniósł prezenty: suchary, ciasteczka, a nawet jedną jaskrawo ubarwioną pomarańczę. Uber gwizdnął cicho. I książkę. Uber przekartkował ją, zaśmiał się. Cieniutki tomik w miękkiej żółtej okładce. *Sonety* Szekspira w przekładzie Marszaka. W książce po poprzednim właścicielu została zakładka – pasek grubej brązowej tektury. Uber otworzył na zaznaczonej stronie i przeczytał na głos z ekspresją:

*O, gdybyś mógł być sobą doczesnym i wiecznym
Naraz! Niestety: kres twój na Ziemi stanowi
Śmierć...**

Uber odchrząknął, wesoło spojrział na Tadżyka.

– Nie rozumiem, co to ma być, aluzja?

– Uber – napomniął go Tadżyk. – Bądźmy poważni. Mamy dużo do załatwienia.

Skinhead znowu się zaśmiał, odłożył książkę na szafkę przy prycy.

– Przekonałeś mnie, złotousty. Bądźmy poważni na serio.

– Rozpracowywaliśmy Lotnika – wyjaśnił Tadżyk. – A ty wszystko zniszczyłeś.

Ech, Uber.

Uber zawahał się. Nie czuł się winny. Ani odrobinę.

– Dlaczego?

– Mieliśmy informacje... przekonanie, że Lotnik prowadzi grę z wegańskim wywiadem.

„Ano to tak. Lotnik w swoim stylu”.

– Jakie wy macie interesujące i przesycone wrażeniami życie, szpiedzy.

– Wzięliśmy go pod obserwację. – Tadżyk zignorował sarkazm. – Kilka razy miał z nim styczność pewien dziwny typ o przydomku Zielony Doktor. Możliwe, że weganin. Zamierzaliśmy rozpracować Lotnika, zwerbować go i prowadzić jako podwójnego agenta. I tu, jak diabeł z tabakierki, wyskoczyłeś ty. I wszystko zepsułeś.

Uber uniósł brwi i zrobił skruszoną minę, żeby pokazać, jak to przeżywa. Lecz Tadżyk, zdaje się, nie uwierzył.

– Ty się pojawiłeś. A Lotnik zniknął. Teraz rozumiesz, jakie mamy do ciebie pretensje?

– Cóż to za zbieg okoliczności!

– Uber, nie przeginaj.

– Dobra. – Skinhead machnął ręką, zaśmiał się. – Wy, czyli kto? Smiersz?

– My, czyli wojskowy kontrwywiad Wielkiego Metra. Jeśli ci się podoba, możesz nazywać naszą komórkę „Śmierć szpiegom”. Brzmi straszniej.

– Wasza komórka może spać spokojnie – odparł Uber. – Lotnik nie żyje. Zabiłem go. Błagam o wybaczenie za to, że naruszyłem wasze dalekosiężne plany.

Tadżyk pokręcił głową.

– Nie, Uber, nie zabiłeś go. Tylko my o tym wiemy.

Skinhead uniósł głowę. Oczy mu błysnęły.

– Co? – zapytał spokojnie.

– Lotnik nie umarł. Zniknął.

* * *

Ubera wtoczyli na wózku noszowym, kazali mu się nie wiercić i nie wstawać. W zgiętym łokciu ścisnął kawałek waty – znów pobierali mu krew do analiz. Zdumiewające. Po dwudziestu latach od wojny atomowej ktoś jeszcze pobiera krew do badania. W namiocie był jeszcze jeden człowiek. Też leżał na wózku, tylko do jego ręki przymocowane były dwie kroplówki.

– Ej, ty, mumia! – zawołał Uber. – Słyszysz mnie?

Wycieńczona, wysuszona twarz człowieka drgnęła. Powieki zatrzepotały, jakby się siłował, by je otworzyć, i nie mógł. Raz!

Otworzył.

– Co? – spytał ochryple. Z wysiłkiem odwrócił głowę. Na Ubera patrzyły jasne oczy ze szczególnym zielonkawym odcieniem. Obrzucone białym nalotem usta

poruszały się z trudem. – Czego... chcesz?

– A... to ty, sąsiedzie? Znaczy, żyjesz – podsumował Uber. – To dobrze. Po prostu świetniutko, bo to kicha leżeć obok nieboszczyka. Jak się nazywasz, żywy?

Sąsiad zawahał się. Z trudem przełknął ślinę – ostre jabłko Adama podskoczyło, o mało nie przebijając żółtawej, chorej skóry. Pod bandażami Uber dostrzegł zielonkawy kolor, najwyraźniej opatrunek przemókł. Coś takiego, do tej pory stosują zielonkę^{**}.

– Żenia. Jewgienij... – przedstawił się sąsiad. – Ko... rwin.

– No, co, Żenia Korwin. Myślę, że przeżyjemy. Pójdiesz ze mną na Obuchowo?

– P-pój... – Rozkaszał się.

– Co?

– Pójdę. Tylko... mam... jedno pytanie.

– Dawaj, wal.

– A ty... – odwrócił głowę, spojrzął na Ubera – tak w ogóle kim jesteś?

* * *

– Nie dociągną? – spytał Tarty.

– Podkarmiliśmy ich, rzecz jasna. Mniej więcej przywróciliśmy im formę. Witaminy, glukoza, wzbogacona żywność. Uber dwa tygodnie siedział w izolatce, odpoczął, wyspał się i trochę odżywił.

– I?

– No, chronicznych chorób nikt nie cofnie. I tak dalej.

– Co masz na myśli?

Lekarz westchnął, spojrzął na Tadżyka.

– Ma popromienną. Zawodowa choroba stalkerów. A tego, niestety, nie leczy się w takich warunkach.

Pomyślał chwilę i dodał:

– Tego się w ogóle nie leczy.

* * *

Tarty nalał lekarzowi koniaku. Przy takiej okazji nie żałuje się dobrych rzeczy – prawdziwy, ormiański. Pięć gwiazdek. Tadżyk pokręcił głową, odmówił poczęstunku. Sprawozdanie medyka wyraźnie wprawiło go w przygnębienie. Tarty z doktorem stuknęli się szkłem, wychylili swoje porcje i zakąsili koniak solonymi podziemnymi grzybami. Iście piekielne połączenie, pomyślał Tarty. Ale za to lekki posmak trucizny w grzybowej zakąsce sprawiał, że koniak smakował wyraziściej. Egzotyczniej. Tarty westchnął, zwrócił się do Tadżyka.

– To co zrobimy, Tarty? – spytał Tadżyk.

– Gwoździe można by robić z takich ludzi. Nie byłoby w świecie nic trwalszego od tych gwoździ – mruknął Tarty. Zastanowił się. Znów się zrobiło chłodnawo, szczelniej otulił się waciakiem. Nawet wewnętrzne koniakowe ciepło nie ratuje, gdy

naczynia krwionośne są kiepskie. Ręce stale mu marzły, choćby nie wiedzieć co robił. – Wysyłamy grupę. Tak jak zaplanowaliśmy.

– Co? – Tadżyk nie wierzył własnym uszom.

Tarty wyprostował się.

– A co proponujesz? Nie mamy innych opcji. Ci dwaj dojdą na miejsce i zrobią, co trzeba. Wystarczy im tylko dać godny cel.

Lekarz westchnął ze znużeniem.

– Ci dwaj najprawdopodobniej po prostu zdechną po drodze – stwierdził.

Tarty kiwnął głową. Myślał i o tym.

– To też możliwe. Dopuszczamy możliwość strat. Zgadza się?

* W. Shakespeare, *Sonet*, przeł. S. Barańczak.

** Zielonka, czyli zieleń brylantowa – środek odkażający stosowany w byłych krajach ZSRR.

ROZDZIAŁ 4

Parszywa dwunastka sonetów

*11 grudnia 2033 roku, Petersburg, węzeł Sienna–Sadowa.
Trzydziesty piąty dzień wojny wegańskiej*

Pokój pomalowany na zielony kolor wymiocin – do poziomu pasa. Wszystko, co wyżej pasa, kiedyś było białe. A teraz pożółkło, poszarzało od upływu czasu, zostało pobazgrane i pokryte napisami. „IWAN ŻYJE” – głosił jeden z nich. Duże litery, zielone i białe. A do tego na podłodze śpią pokotem ludzie. To ekipa Ubera.

Uber uśmiecha się lekko. Przy ścianie stoi ławka, na niej jest puste miejsce. Uber podchodzi, opuszcza swój worek marynarski obok i kładzie się. Zamyka oczy. Trzeba dać sobie dziesięć minut odpoczynku. I znów do boju.

„Moja ekipa” – myśli w półśnie. Zmęczenie takie, że prawie się nie da zasnąć. Co by nie mówić, dziś się natyrał i padał z nóg.

* * *

– Dlaczego ja? – zapytał Uber.

– Klasyczne pytanie – zauważył Tadżyk. – Tak w ogóle miałem wobec ciebie inne plany... Ale nie ja tutaj decyduję. Mamy Wielki Rozejm, słyszałeś?

– Tak.

– I co to znaczy? Jak myślisz?

Uber z ironią spojrział na rozmówcę.

– Że wysyłacie oddział, który oficjalnie nie istnieje? Złożony ze skazańców? Nie mówiąc już o mnie. Jeśli wpadniemy w niewolę, mamy liczyć tylko na siebie. Dlatego, że w rzeczy samej działania mojego oddziału to jawne naruszenie rozejmu. A wy wszyscy, wielcy ludzie metra, jesteście łgarze i hołota. Zgadza się? Czy coś mi umknęło?

Tadżyk patrzył na niego, unosząc brwi.

– Wszystko, jak powiedziałaś.

Uber wzruszył ramionami.

– Właśnie to powinniście zrobić – podsumował Tadżyk. – Rozumiesz? Zadanie jasne?

Uber kiwnął głową.

– *Komu bije dzwon* – odparł. – Czego tu nie rozumieć. Tylko że tam, u Hema, zdaje się, wszyscy zginęli. Już nie pamiętam, dawno czytałem.

– Wypadaloby cię przykneblować. – Tarty machnął ręką. – Bo jeszcze wykraczesz.

Uber wyszczerzył się.

– Ile mam czasu? Kiedy *deadline*?

– Za trzy dni, czternastego grudnia, siły Wielkiego Metra rozpoczną natarcie. Przerzucimy do was desant, jako wsparcie, ale powinniście ściągnąć na siebie siły Wegana. Im więcej, tym lepiej. Żeby roślinożercy byli przekonani, że uderzamy właśnie tam. Za dzień, dwa dostaniecie posiłki, duży ciężkozbrojny desant. Ale przez te dwa dni będziecie musieli wytrzymać sami. Nie wiem jak.

– *Bataliony proszą o ogień* – odparł Uber. Tarty ze zniechęceniem machnął ręką. Tadżyk zachował niezmałony spokój. – I amunicji dostaniemy skąpo. Rozumiem.

– Gorzej – odezwał się Tadżyk. – Desant, który do ciebie dotrze, to też tylko manewr pozorowany. Prawdziwa ofensywa pójdzie pod ziemią, pełną parą po tunelach. Powinniśmy zmieść obronę Wegana i podejść co najmniej na granicę Placu Powstania, a najlepiej do Placu Aleksandra Newskiego i dalej.

– Napoleońskie plany, jak widzę.

– Uber, zrozum. To duże natarcie. Bardzo duże. Możliwe, że nasza ostatnia szansa. Zaangażowane będą ogromne siły, oddziały Aliansu Primorskiego, niezależnych stacji, oddział Okkervilu, nawet marynarze posyłają ludzi, choć mają ich straszny deficyt. Do tego kirowcy obiecali podrzucić chłopaków z lufami do gorącej roboty. Ale tego wszystkiego może i tak nie wystarczyć. Jednak więcej takiego natarcia możemy już nie zorganizować. I jeżeli nie ściągniesz na siebie choć części wegańców, naszych nacierających spotka jatka. A potem, jeśli Wegan zwycięży, wszystkich nas czeka grządko i regularne podlewanie. Rozumiesz?

– Ale z ciebie klepak. – Uber wyszczerzył się w uśmiechu. – Nie spodziewałem się. A prościej się nie dało?

– Nie.

1 Dagon

– Sierzancie! – zawołał Tadżyk. – Sasza, podejdź tutaj.

Sierzant zbliżył się nieśpiesznie, zatrzymał się, sprawiając wrażenie jednocześnie posłusznego i niezależnego.

Uber obrzucił go spojrzeniem. To był ten sam byczek z automatem, który przychodził do niego do celi.

– A ty kto jesteś, taki przybyczony? – zapytał Uber.

– Dagon. – Żołnierz wzruszył ramionami,

– Kto?! – Najwyraźniej nawet Ubera czasami można zadziwić.

Tadżyk uśmiechnął się pod nosem.

– Dagon – powtórzył tamten. – Były sierżant piechoty morskiej. Zwolniony w zeszłym miesiącu z powodu stanu zdrowia.

- A co ci znaleźli? – zwrócił się Uber do byłego sierżanta.
- Zapalenie wyrostka robaczkowego – odparł Dagon.
- Miał wstrząśnienie mózgu – poprawił Tadżyk z niezmaconym spokojem. – Wyobraź sobie, całkowicie przestał adekwatnie przyjmować komendy... A co za tym idzie, wypełniać je.
- Nieźle. No i macie też rozrywkę. Dobra. – Skinhead ziewnął, przeciągnął się jak kot. – Co dalej?
- Tadżyk wysunął szufladę spod stołu i wyjął spory stos żółtych teczek z pieczętką „ściśle tajne” – akta osobowe.
- Na początek trzeba skompletować ekipę.
- Co to jest? – spytał Uber.
- Kandydaci do nieśmiertelności.

2. Kuźmicz

- Dam ci jeszcze Kuźmicza – rzekł Tadżyk. Oczy mu się przy tym śmiały.
- Uber zawahał się.
- Tak poważnie, co? Prawdziwego Kuźmicza?
- Masz powody, by wątpić? – odparł pytaniem Tadżyk.
- Kuźmicz to najlepszy wojenny digger Aliansu Primorskiego, a może i całego Wielkiego Metra. Co prawda z jakiegoś powodu wielu uważa go za staruszka.
- Wojna wszystkich zmusza do zachowania młodości. Wojna to zadanie dla młodych.

* * *

Uber rozpostarł ramiona.

- Co, Kuźmicz, znów na fali? Są koleiny, jest stary koń, będzie jazda.
- Znowu twoje dowcipy, Uber. – Digger zmarszczył brwi. Nie miał prawej ręki. Zamiast niej u ramienia wisiał ogromny, spuchnięty czerwony kloc. Podwieszono go na temblaku przy piersi diggera.
- Uber przyjrzał się Kuźmiczowi, zauważył kikut, przez twarz coś mu przemknęło w ułamku sekundy. Żal? Niepokój? Lecz zaraz znów się uśmiechnął.
- Aha, ja jak zawsze. Dawnośmy się nie widzieli, Kuźmiczu. Myślałem, żeś już w grobie.
- Łudź się, łudź – odparł obojętnie starszy mężczyzna.
- Ciebie co, prosto ze szpitala wzięli? Czy z trumny? Digger westchnął. Podniósł wzrok do sufitu.
- Teraz rozumiesz, Uber, dlaczego nikt cię nie lubi? Skinhead wyszczerzył się promiennie.
- Oczywiście! Jestem zbyt piękny jak dla tego świata.
- Kuźmicz uśmiechnął się mimo woli, po czym przywołał na twarz ponurość

i surowość i dopiero wtedy się odwrócił.

– Znów żarciki? – rzucił chmurno. Z lekką nienawiścią w głosie.

– Jak ci leci, stary gruby pierniku? – spytał Uber. – Jak żona, jak dzieci?

Kuźmicz, chudy jak szczapa i blady, pokręcił głową, westchnął.

– Nic, tylko byś jaja sobie robił. Mam dwójkę. Trzeci synek w drodze.

– Uu, niczego sobie. Zaczekaj. – Uber zmarszczył czoło, uważnie spojrzął na stalkera. – To twoja żona ile ma lat? Co?

Starszy digger roześmiał się z cicha.

– No, nabrałem cię. Niedługo weźmiemy ślub, daj Boże.

Uber chrząknął.

– To ci spryciarz! Wkręcił mnie jak chłopczyka. No, chyba że poważnie?

Kuźmicz wyszczerzył się w uśmiechu. Przez chwilę było widać, że ten siwy, chmurny prawie staruszek jest całkiem młody.

– Niedawno były zaręczyny. Nataszka jest teraz moją narzeczoną. Za rok czy dwa przychodź na ślub...

– Oho! Gratulacje! – Uber klepnął go po ramieniu. Kuźmicz zmarszczył brwi, poruszył ramieniem. – Żyjesz z rozmachem, Kuźmicz. Ze smakiem. To zajebicie dobrze, brachu Kuźmiczu. – Zawahał się. W tej chwili digger nie wyglądał na szczęśliwego. – Masz jakiś problem, brachu Kuźmiczu?

– Nataszka chce, żebym rzucił.

– Co... A! – Uber podrapał się po nosie. – Wyjazdy na górę, co?

– Mówi, że nie wiadomo, jak to wpłynie na dzieci. No, sam rozumiesz.

– A ty co?

– Jestem wojennym stalkerem. Teraz wojna. Idę z tobą.

– Nie, Kuźmicz. – Uber uśmiechnął się szeroko. – Nie pójdziesz. Wybacz, brachu.

Digger gwałtownie zadarł głowę, popatrzył w niezmaconą twarz skinheada. Z nienawiścią przyjrzał się jego uśmiechowi.

– A to dlaczego? – zapytał zimno. – Nie weźmiesz mnie?

– Kuźmicz, potrzebny mi jesteś tu, jako specjalista. Niezastąpiony.

– Oj, pierdolisz.

– Pewnie tak. – Uber westchnął. – Ale że nie pójdziesz, to fakt. Przyjmij to do wiadomości. Jesteś prawie żonaty i powinieneś umieć się podporządkować.

3. Daszka Terminator

– A to co za ślicznotka? – Uber kiwnął brodą w stronę kobiety za kratami.

Tadzyk pokręcił głową. Nie warto.

– Co?

– Nawet nie myśl – odparł Tadzyk.

– A może jednak?

– Zabiła człowieka. Mówię poważnie. Mroczna historia. To była baletnica, zajmowała się mieszanymi sztukami walki, zabiła swojego...

Uber najwyraźniej z całej historii usłyszał tylko jedno.

– Była balerina? – zapytał.

– Tak.

– Ee, naprawdę, serio? – Nawet Ubera to poraziło. – Balerina?

Tadzyk skinął głową. Rozłożył ręce. Że niby tak gadają i już.

– Otwórz celę – polecił strażnikowi.

Zgrzyt zasuw, obrót klucza. Drzwi się otworzyły, Uber podrapał się po nosie.

Kichnął ogłuszająco, odkaszlnął.

– Ej, balerina! – zawołał.

Wezwana niechętnie odwróciła głowę. Popatrzyła na niego bez słowa. Niewysoka.

Krótkie jasne włosy. Na szyi tatuaż – róża.

Uber wszedł do celi, rozejrzał się. Znow przeniósł wzrok na kobietę.

– Naprawdę byłaś tancerką?

Wzruszyła ramieniem, odwróciła się.

– A co powiesz na egzaminacyjne *fouetté*?

– A co powiesz na cios nogą w bezczelny pysk?

– O! – Uber zatarł ręce. – Dawaj, świetnie!

– A co powiesz, żeby iść w cholerę?

– Ee...

Cios był błyskawiczny. Uber podrzucił ręce, ale nie zdążył się osłonić. Potoczył się, koziołkując. Wstał, potrząsnął głową – jakby mu do ucha wpadła woda. Uch, ano tak. Wypuścił powietrze, zarechotał z zadowoleniem. Dziewczyna stała naprzeciwko niego.

– Czego rżysz? – spytała nachmurzona. Przyjęła bojową postawę.

Uber oceniająco obejrzał ją od stóp do głów. Z satysfakcją.

– Super! Dobrze bijesz. Pójdiesz ze mną?

– Na bal? – zakpiła. – Wybacz pan, ale wszystkie tańce mam już zajęte.

– Dla mnie można zrobić wyjątek. – Czemu nie?

– Oj, nie wiem, czy warto.

– Jestem przystojny – stwierdził pewnym siebie tonem.

– Wow, mało nie oślepiłam od tego blasku. Aż mnie oczy pieką.

Uber wyszczerzył się w uśmiechu.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

Kobieta zawahała się, ale odpowiedziała tylko:

– Nie twoja sprawa.

– Daria Aleksandrowna Tierminowa – odezwał się od drzwi Dagon. – Rok urodzenia dwutysięczny.

– Daszka Terminator! – Uber poweselał już definitywnie. – Ale numer.

– Przywalić ci jeszcze raz?! – obraziła się. Podniosła pięści, przygotowała się...

– A, dawaj – zgodził się lekko skinhead. Przyjął postawę.

Daszka zrobiła nogami zmyłkę i zaatakowała. W mgnieniu oka Uber schwycił ją w powietrzu i cisnął ją na bok. Gruchnęła plecami o kratę, runęła na podłogę. Jęknęła z bólu, odwróciła się na plecy.

– Jestem za równouprawieniem i internacjonalizmem. Po mordzie wszyscy ode

mnie dostają po równo – oznajmił Uber i podszedł do leżącej. – Ej, jak tam?

– W normie – odburknęła głucho. Przywarła plecami do ściany. Wyszczrzyła ostre białe zęby. – Ręce przy sobie!

Uber podniósł ręce, wzruszył ramionami. Odsunął się. Daszka zawahała się. Kopnęła jakiś kamyczek, niechętnie wstała.

– Ej, łysy – powiedziała.

– Tak? – Uber odwrócił się.

– Póki co nie jestem zainteresowana. Jeśli będzie coś ciekawego, daj znać, pomyślę.

Uber zastanowił się. Niebieskie oczy patrzyły twardo i obojętnie. Potem ociepliły się na krótką chwilę. Daszka najeżyła się.

Skinhead kiwnął głową. I poszedł dalej. Załuskotała zasuwa, drzwi się zamknęły, zostawiając Daszkę w ciemności. Za kratą Uber odwrócił się, w półmroku błysnęły oczy.

– Ile masz tatuaży? – spytał.

Skazana wyprostowała się, pokazując wspaniałą figurę, i rzuciła wyzywająco:

– Ty, łysy! Coś ci się nie podoba?!

– Piękne.

* * *

Tadżyk podniósł głos:

– Uber, nie słuchasz mnie. Twoim zdaniem za co ona siedzi?

– Za urodę, rzecz jasna.

Tadżyk westchnął.

– Uber, nie jest mi do żartów.

– Dobra, no to za co siedzi?

– Zabiła swojego chłopaka. Poćwiartowała go nożem. Wyobrażasz sobie? Kawalki powkładała do worków. I spokojniutko zaparzyła herbatkę, siedzi i pije. Ot, kobiety.

– Zgadza się. Poważne kobiety, bez kija nie podchodź.

– Bardzo zabawne. A przecież faktycznie jest baleriną, najprawdziwszą. Przed Katastrofą uczyła się na Akademii Waganowej.

– To... szkoła baletowa, co? – dopytał Uber. – Nie bardzo się w tym orientuję.

– Tak. Elitarna, najlepsza w świecie. Była.

Skinhead zadumał się na chwilę. A potem się uśmiechnął.

– Dagon! – zawołał.

Flegmatyczny żołnierz odwrócił się.

– Tak?

– Chcesz się rozerwać?

– Aha.

– To chodź, zagrasz ze mną w duecie.

Skrzypnęły drzwi. Uber i Dagon celowo weszli nieśpiesznie, powstrzymując uśmiechy. Dagon podszedł do ściany, oparł się o nią plecami. Uber przyjrzał się Daszce.

Ta siedziała nadal z opuszczoną głową, obejmując kolana rękami. Ładne kolana, ocenił Uber. I plecy też niczego sobie.

– Daszeńka – zagadnął łagodnie.

Balerina zadarła głowę, obrzuciła go palącym wzrokiem.

– Mam do ciebie parę pytań – rzekł.

Zmrużyła ciemne oczy. Niebezpieczna dziewczyna, pomyślał Uber. Ale nie dał tego po sobie poznać.

– Twojego byłego chłopaka – zaczął – znaleziono pociętego na kawałeczki i zapakowanego do worków. Zabójcy dotąd nie znaleziono. Zdziwiający zbieg okoliczności, jak sądzę.

– Myślisz, że to ja? – rzuciła wyzywająco. Oczy byłej tancerki błysnęły.

– Nie mam najmniejszego zamiaru dowiadywać się tego – odparł Uber. – A ty, sierzancie?

– Najmniejszego – potwierdził Dagon z niezmaconym spokojem.

Daszka przeniosła wzrok z jednego na drugiego. Obaj rośli i silni, tak łatwo nie dasz im rady. Uber pokiwał głową.

– Mimo wszystko interesująco byłoby przyjąć jakąś wersję – dodał.

– Zgadza się – przytaknął Dagon.

Uber odwrócił się do Daszki i zagadnął:

– W ogóle to myślę, że wsadzili cię tak po prostu. Jesteś niewinna, wrobili cię. A zarznęła go ta sympatyczna blondyneczka z sąsiedniego przedziału, do której potajemnie uciekał od ciebie. Zarznęła najwyraźniej ze szczęścia, że ją regularnie ryćkał. To przecież motyw, jak uważasz, sierzancie?

– Najpoważniejszy motyw.

– Ze szczęścia ludzie głupieją – oświadczył Uber z nauczycielską powagą. Uniósł palec.

– Dokładnie.

– Biorą po raz pierwszy w życiu nóż i chlastają jak zaprawieni myśliwi.

– Albo jak balerina z Waganowej – dodał Dagon.

Uber uniósł brwi.

– Świetne porównanie, sierzancie.

– Dzięki, Uber.

– Nienawidzę was, mendy! – wybuchnęła Daszka. Twarz jej się wykrzywiła. – Świnie!

– Do kogo ona tak? – zdziwił się Uber.

– Do pana, sir – odparł Dagon.

– Jakie to wzruszające, kiedy mówisz do mnie „sir”.

– Dziękuję, sir. To moja praca: sprawiać panu przyjemność.

– Walcie się, debile! – nie wytrzymała Daszka. Zerwała się na nogi. – Starczy! Dość! Zamknijcie się! Żebyście zdechli! *Fuck you!*

Uber zaśmiał się. Dagon wieloznacznie uniósł brew.

– Tak, zabiłam tego tępego gnoja! – wykrzyczała Daszka. Zrobiła krok w przód, brzęknął łańcuch od kajdanek. – Porznięłam go na kawałki! Niczego mi nie udowodnicie! Niczego! Nikt!

– A ja mam to gdzieś – skwitował niegłośnie Uber. Daszka zamilkła. – Po prostu szukam desperatów. Ty chyba jesteś wystarczająco zdesperowana.

– Do czego?

– Do jednej dziwnej misji.

Milczała przez dłuższy czas. W końcu odezwała się:

– Co trzeba zrobić?

– Czyli interesuje cię? – Uber uśmiechnął się. – Dobrze. Dwa warunki. Pierwszy: trzeba zabijać wegańców. Dużo i często.

– Tylko tyle? – Daszka zaśmiała się z pogardą.

Uber i Dagon spojrzeli po sobie. Dagon się najeżył, Uber uniósł brwi.

– A drugi? – spytała balerina.

– Drugi i najważniejszy: trzeba to robić z przyjemnością.

4. Czech

– A tego skąd wzięliście? – Uber z obrzydzeniem trącił czubkiem buta brudną szmatę, która okazała się kurtką śpiącego. Odrzucił jej brzeg na bok.

Tamten zawarczał, zakaszłał, skurczył się z powrotem, podciągnął kolana do piersi. Miał na sobie zniszczone skórzane spodnie i kurtkę założoną na gołe ciało.

– Za co tu trafił? – spytał Uber.

Dagon otworzył teczkę, przekartkował zawartość.

– Naruszenie godziny policyjnej – przeczytał na głos. – Zadarł z patrolem.

– I tyle? – zdziwił się Uber.

– Tak, zdaje się... – Dagon przebiegł oczami raport. – O, złamał funkcjonariuszowi szczękę...

– Normalne – orzekł Uber. – Już jest z czym pracować.

– ...i próbował go podpalić.

Skinhead znowu podważył czubkiem buta kurtkę. Szedł od niej ostry smród spalenizny. Typ wyprostował się gwałtownie. Usiadł na ławce.

– Ty kto? – zapytał Uber.

– Pan szkło – odparł człowiek. Miał długą, aż do ramion, czarną czuprynę z zaczątkami siwizny. Ładny profil z długim orlim nosem. Wąsy i brodę – splątane, brudne. Oczy za to złe i zacięte.

– Dasz się z tego szkła napić? – Uber przyglądał mu się z kpina. – Ej, góral, do ciebie mówię!

– To nie góral, tylko Tatar – poinformował z cicha Dagon od drzwi.

– Co za różnica! – Uber machnął ręką.

– E, lepiej tak nie mówić. Ej, Radik! Obudź się! – krzyknął sierżant.
– Jestem Ajrat – prostował niegłęboko tamten. – A nie Radik. Jak pan dojechał.
– W porządku. Zapamiętam – uspokoił go Uber. – Może być. Od dawna tu siedzisz?
– Nie liczyłem. Czego chcecie?
– Szukamy do jednego niebezpiecznego zadania porządnego минера. Zdaje się, że służyłeś w wojskach Aliansu?
– Zdarzyło mi się.
Uber zastanowił się, zakołysał z czubków palców na pięty.
– A mówią jeszcze, że kiedyś służyłeś w wojskach Wegana. To też prawda?
Ajrat zawahał się, twarz mu się dziwnie zmieniała. Jakby opalona płomieniem.
– I to się zdarzyło – odpowiedział spokojnie.
Uber kiwnął głową.
– A czemu odszedłeś?
Tatar milczał.
– No, bez urazy – mruknął Uber. – Nie ojczyznę sprzedajesz. Po prostu jestem ciekaw.
– Bo to nie ludzie – odparł Ajrat. Rysy mu stwardniały, odbiła się w nich jakaś obsesja.
– Ty co, mutantów nienawidzisz? – zdziwił się Uber. – A to ci dopiero.
– A co do tego mają mutanty? – Ajrat podniósł wzrok. Ciężki i mroczny, z jakąś straszną iskrą. – Oni takie rzeczy robili... Paliłbym ich i palił, bydłaków. I nawet to by było mało.
Uber pomyślał chwilę i kiwnął głową.
– W takim razie witaj w mojej ekipie. Będziesz kłaść trupem wegańców, ile dusza zapagnie. Odwrócił się, ruszył do wyjścia. W drzwiach się jeszcze obejrzał.
– Radik! Tfu, Ajrat. Przepraszam.
Ajrat uśmiechnął się.
– Lepiej Czech. Żeby się nie myliło.
– A czemu niby Czech?
– Bo lubię piwo.

5. Artem

– Kto jeszcze?
Tadzyk odsunął na bok zdjęcie. Na stole piętrzyła się cała piramida akt osobowych. Druga kupka – teczki tych, którzy przeszli przez sito – była raczej mała. Uber ziewnął.
– O tamtych dwóch też wezmę – rzekł. – Tego... Cthulhu... i jego brata Dagona tak samo. W porządku chłopaki. No i tych... Daszkę i Czecha.
Tadzyk kiwnął głową, zapisał coś w notatniku.
– Kogo jeszcze?
– Komara mi dasz? – spytał nagle Uber.

Tadżyk podniósł głowę znad notatek i spojrzał na skinheada.

– I Gerde? – W głosie funkcjonariusza Smierszu zabrzmiało coś niecodziennego. Jakieś silne uczucia.

Uber nie odpowiedział. Potem rzucił:

– A co?

– Uber, najpierw to lepiej przemyśl. To, o co prosisz, jest w mojej gestii – wyjaśnił Tadżyk. – Rozumiesz? Mogę wydać rozkaz, znajdą ich i przyprowadzą. A oni pójdą z tobą, czy będą tego chcieli, czy nie. Inna sprawa...

– Jaka?

– Czy jesteś tego pewien, Uber? Naprawdę do tego zadania potrzebni ci Komar i Gerda?

Uber milczał przez chwilę.

– Nie – odparł w końcu.

– Nie?

– No to dajcie mi tego chłopaczka.

– Jakiego znowu chłopacz... stop. – Tadżyk się zawahał. – O nim mówisz? O klaunie?

Uber wyszczerzył się w uśmiechu.

– Przecież go wciągniesz do grobu. – Tadżyk pokręcił głową.

– Naprawdę? – zdziwił się szczerze Uber. – A wy nie?

– No...

* * *

Artem nigdy by nie podejrzewał, że zatęskni za towarzyszem z celi. Ale z Uberem było wesoło, czas płynął niepostrzeżenie, dopóki gadali, trenowali, robili brzuszki czy ćwiczyli chwyt i zagrywki walki wręcz. Uber praktycznie został jego starszym bratem – bratem, który jest „prawie jak ojciec”.

Nauczył Artema wielu rzeczy. Jak walczyć uczciwie i jak – nie za bardzo. Że zakazany trick może ci uratować życie.

Digger to ten, kto przeżyje – mawiał Uber. Wychodzi na powierzchnię i przynosi potrzebne rzeczy. Jedzenie, narzędzia, ubranie, naczynia. Konserwy i kaszę. Broń i amunicję.

Wszystko. Teraz całe życie metra zależy od diggerów. A digger powinien umieć ratować sam siebie. Uber stał się dla Artema trenerem – tak jak poprzednio starzec Akopycz, świętej pamięci.

A teraz Artem trafił do jakiegoś piekła. Długo go prowadzili, potem przesłuchiwali – wszystko im powiedział i pokazał, ale odprawili z powrotem do celi. Tylko że teraz do wspólnej, mieszczącej dwudziestu czy więcej ludzi. Kryminalistów.

Ci patrzyli na niego jak na karalucha, który wlaźł na zastawiony do obiadu stół.

– Pchasz się jak do chałupy, frajerze – leniwie odezwał się jeden z nich, z żelaznymi zębami.

Artem wyprostował się. Obrażać nigdy się nie pozwalał.

– Nie twój interes, zębaczu.

Tamten naindyczył się, błysnęły ślepia. Inni więźniowie ruszyli na Artema. Chłopak cofnął się. „Cholera, co ja narobiłem?”

– Trzymać go!! – krzyknął zębaty.

Choć Mimino bronił się dziko, powalili go na podłogę, wykręcili mu ręce za plecy. Rzucił się z całych sił. Kopnął, potem jeszcze raz. Ktoś poleciał w tył.

Drzwi celi otworzyły się z hukiem na oścież. Wszyscy zamarli. W progu stał wysoki, ogolony na łyso człowiek i znajomo szczyrzył się w uśmiechu. Rozejrzał się po pomieszczeniu, zatrzymał wzrok na leżącym na podłodze Artemie.

– Widzę, że życie u was kipi. Nie, nie, nie przeszkadzajcie sobie. Bawicie się w dom, ja poczekam.

* * *

– Złaz z chłopaka, młody kanibalu – doradził cichym głosem Uber. Miętko ruszył do przodu. – Czy jak mam cię nazywać? Zwierz? Zwierzak? Złaz, mówię!

– Bo co? – Zwierz wyszczerzył zęby. Cały w niebieskich tatuażach, żyłasty, zwalisty.

– Bo nic. Zostaniesz na chłopaku, to cię pokaleczę.

Zwierz znów się wyszczerzył. W paszczy błysnął złoty ząb. Jedyne wśród żelaznych. Na nim świeża krew.

– Jeszcze mu nos odgryzę... – zaczął. Lecz w tej sekundzie zrzucił go z Artema potężny kopniak. Zwierza rzuciło na ścianę, aż gruchnęło. Odbił się, potoczył po betonowej posadzce. Zaraz jednak potrząsnął głową, odwrócił się do Ubera. Błysnął żelazem i złotem.

Podniósł się. Straszliwy, okrutny.

Uber z impetem wałnął go głową w twarz.

Chrupnęło – ostro i okropnie. Uber przyparł Zwierza do ściany, trzasnął w szczękę, jeszcze raz. Chrup. Poleciały kawałki zębów.

– Zabiłeś go! – przeraził się jeden z więźniów. Z wyglądu typowy inteligent, chudy, jedno szkło plastikowych okularów zlepione taśmą klejącą.

– Cholera. – Uber strzepnął ręką, knykcie miał całe we krwi. – Rękę sobie poharatałem. Mam nadzieję, że on przynajmniej nie chory. Nie wściekły, co?

Skazańcy popatrzyli na skinheada ze zgrozą. Uber zbadał sobie uważnie pięść, wyjął tkwiący w niej żelazny ząb. Obejrzał go i obojętnie odrzucił. Więźniowie westchnęli z zachwytem. Inteligentowi spadły okulary.

– Zabójca! – odezwał się znowu. Podniósł okulary, nasadził je sobie na zadarty nos. – Za to się... no jak to tak! Zabójstwo z zimną krwią! Ja... wniosę skargę!

Uber spojrział na niego z niejakim zdziwieniem. Potem zrozumiał. Podniósł się, wyprostował na całą swoją niemałą wysokość. Inteligent skulił się, wycofał.

– Boże mój, co ja narobiłem! Boże mój, jak tu teraz żyć! – zalamantował Uber. – Tak dobrze, co? – Zmienił wyraz twarzy, postąpił do przodu: gwałtowny, okrutny. – A srał go pies. Pod ścianę, mendy! No! Cthulhu, zapędź ich!

Rosły strażnik z automatem skierował broń w stronę więźniów. Uśmiechnął się szeroko, zachęcająco.

– Jakie to interesujące wrażenie, gdy kury bronią lisa przed człowiekiem. On was żarł, nie zauważyliście? Chociaż... o co i kogo ja pytam. Na bok, dobroduszny mięczaku! Jak ja mam dość waszej impotencyjnej dobroci, żebyście wiedzieli.

Inteligent znowu się skulił, odsunął na bok. Przywarł do ściany. Uber schylił się i wyciągnął rękę.

– Wstawaj, brachu klaunie.

Artem przewrócił się na bok. Złapał za dłoń Ubera – szorstką, silną – i wstał. „W porównaniu z nim jestem ociupinką”.

– Kurwa, do tej pory mam ciarki na karku – poskarżył się Uber. Dygnął ramionami. – Myślałem, że ci odgryzie ucho. Brr.

Artem pomacał się po małżowinie. Kurna, faktycznie, ślady wbitych zębów. Niech to szlag.

– O mało nie odgryzł – przyznał.

– Teraz tylko kaszkę mannę może szamać, biedaczyna. Zapisał się do wegetarian w pierwszej turze.

– Uber, z tyłu! – krzyknął Artem.

Skinhead odwrócił się w ułamku sekundy. Zwierzak wyjął kosę. Uber wyszczerzył się w uśmiechu, ruszył na niego, rozkładając ręce. Zwierzak zrobił wypad.

Uber złapał jego rękę i wetknął mu ostrze w udo. Rękojeść, owinięta taśmą izolacyjną, sterczała z nogi więźnia. Uber uderzył po niej dłonią. Zwierzak ryknął, osunął się na kolana. Skinhead zawahał się, zrobił krok. Po czym złapał głowę przeciwnika rękami, naprężył się. Artem ujrzał, jak przez mgnienie napinają się rzeźbione mięśnie przedramion. Skinhead wypuścił powietrze, zrobił wdech.

Wtem otworzyły się drzwi. Czyli ktoś przez nie obserwował scenę.

– Uber, nie! – krzyknął Tadżyk. Za późno.

– Żalu nie ma – stwierdził Uber i przekreślił.

Od strasznego, jakiegoś nienaturalnego chrupnięcia Artemowi przebiegły ciarki po plecach. Twarz Ubera wyglądała jak przerażająca maska śmierci. Zimna, jak wykuta w marmurze. Jakby jego też opuściło życie. Zwierzak zwiotczał i zwałił się na bok.

Leżał na podłodze niczym kawałek wytatuowanego mięsa. Uber podniósł się. Otrzeptał ręce.

– Do wyjścia. – Dagon wskazał głową kierunek.

– Jeśli czynisz zło, spotykają cię tego następstwa – obwieścił Uber. – Wszyscy zrozumieli? Nie słyszę!

– Taak – potwierdzili nieskładnym chórem więźniowie.

* * *

– Uber, co to było?! Po co? – Tadżyk kipiał złością. Nosił go z wściekłości, choć mocno nad sobą panował, prawie nie podnosząc głosu.

Uber wskazał oczami Dagona.

Tadżyk przyjrzał się skinheadowi, skinął na żołnierza.

– Sierzancie, proszę na chwilę wyjść.

Tamten kiwnął głową. Minął Ubera, wyszedł z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Nie zabijać ludzi – rzekł Tadżyk. – Taka zasada. Pasuje?

– No masz, zaczyna się... – obraził się Uber. – A kim dla ciebie jestem, Schwar?

Model T-800?

– Uber, mówię poważnie.

– Nie zabijać bez powodu. I tyle, zrozumiałem.

– Poważna zasada!

– Nudziarz z ciebie – wycedził Uber. – Nigdy bym nie pomyślał.

Zapanowała cisza. W powietrzu zawisło napięcie, jak dym z papierosa.

– Uber. – Tadżyk wymówił to powoli i autorytarnie. – Albo zaraz podasz mi ten poważny powód, albo odwołam akcję.

Milczenie. Tadżyk czekał. Uber milczał.

– I ci, których wybrałeś, z powrotem pójdą za kratki – dodał Tadżyk. – Rozumiesz?

– Dobrze. – Uber zacisnął zęby. – Wyjaśnię.

Stali naprzeciw siebie jak wrogowie.

– Będzie ich dziesięciu, może dwunastu, czyli do diabła i trochę. I wszyscy to ciężkie świry, mające gdzieś dyscyplinę. Pójdą za mną, jeśli będą czuli, że jestem silniejszy i bardziej bezwzględny niż oni. To przecież oddział niebezpiecznych skurwieli. A ja będę dla nich skurwielem alfa.

– A więc zabiłeś go... żeby... – Tadżyk uniósł brwi.

– Widzę, że masz czasu jak lodu. A ja nie. Lepiej, że zabiję jednego gnoja, niż wszystkich. Ekonomia czasu i sił. Jak ci się podoba ten powód? Wystarczająco poważny?

Tadżyk milczał przez chwilę. Zatem to tak. Owszem, teraz patrzył na buńczuczego skinheada pod innym kątem.

– Cynicznie – stwierdził w końcu.

– Aha. Sam od tego dostaję ocipca.

– Właściwie, Uber... spodziewałem się, że na „cynicznie” odpowiesz: „za to tanio, pewnie i praktycznie” – odparł Tadżyk.

Skinhead podrapał się po karku, roześmiał.

– Jakoś mnie przymuliło, wybacz.

6. Cthulhu

– Twój brat siedzi w izolatce? A co takiego nabroił? – zdziwił się Uber.

– Cioteczny brat – uściślił Dagon.

Tadżyk zza pleców sierżanta potrząsnął głową.

„Nie bierz go”.

– Dobra – stwierdził Uber. – Zastanowię się.
Tadzyk uśmiechnął się i pokręcił głową. „No, jak sobie chcesz”.

* * *

Wojskowe więzienie Wielkiego Metra mieściło się w jednym ze służbowych pomieszczeń pod węzłem Sienna-Sadowa. „Ile ich tu jest – pomyślał Uber. – Tych dziwnych zapomnianych pokoi”.

– To świetny żołnierz – zapewnił Dagon. – Tylko że nieobliczalny.

– Nieobliczalny? No, to nasza najlepsza cecha. – Uber zawahał się, potarł sobie czoło. – A dlaczego „Cthulhu”?

– No... – Sierżant zaciął się.

– Fanatyk Lovecrafta? Czy taki okropny na gębie?

Dagon zaśmiał się.

– Nie. To inna historia. Zasnął raz na posterunku. Nie mogli go dobudzić. No i przewali go, że niby wielki śpiący. A jak się ocknął, wpierdolił wszystkim, którzy go budzili, nawet oficerowi. Potem o mało go nie rozstrzelali w cholerę.

– Nasz człowiek – stwierdził Uber. – A czemu nie rozstrzelali?

– Zapomnieli – odpowiedział żołnierz. – Zapodział się rozkaz. A potem zaraz zaczęła się wojna.

Oczy Dagona spoglądały niewinnie, uczciwie.

– Potworny zbieg okoliczności. – Uber kiwnął głową, wyszczerzył się.

– Też tak uważam.

– A ty dlaczego „Dagon”?

– No...

– Dlatego że też piechota morską? – domyślił się Uber. – Morski potwór, tak czy inaczej. Mity Lovecrafta i tak dalej. Co?

Sierżant podrapał się po nosie.

– Nie... Po prostu mój brat to Cthulhu.

– I?

– I tyle.

Skinhead w zdumieniu potrząsnął głową. Potem ogłuszająco zarżał.

– A to się zbiera gromadka. Kurwa, liga twardych postapokaliptycznych dżentelmenów. No co, gdzie twój wielki śpiący? Podążaj za mną z pieśnią na ustach.

* * *

Wielki śpiący wylegiwał się w izolatce. Od jego chrapania trzęsły się ściany. Uber spojrział przez wizjer w drzwiach i pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby mi się przydał – orzekł. – Na cholerę mi jeszcze jeden problem z dyscypliną i wrzód na dupie? Po to jestem, co?

– Jedyne i niepowtarzalny – zgodził się Dagon. – Tak. Proszę, upraszam. Tylko z nim porozmawiaj. Z zasady jest normalny.

Uber zamyślił się, podrapał po karku. Dagon patrzył spokojnie i wyczekująco. No, co mu powiesz?

– Dobra, dawaj, pogawędzimy. – Uber westchnął. – Czuję, że to się źle skończy.

Drzwi się otwały, wszedł do środka.

Cthulhu spał na gołej podłodze, na której podścielił sobie zimową kurtkę w panterkę. Ziąb zapewne przenikał go do szpiku kości, od dołu do góry, jak lodowe szpikulce. Cthulhu nic sobie jednak z tego nie robił. Chrapał tak, że Uber zaniepokoił się o stan swoich błon bębenkowych.

Skinhead stanął pośrodku celi.

– Ej – zawołał do śpiącego.

Tamten tylko przewrócił się na drugi bok i zaczął kolejny pasaż. Ożeż te tubylcze samorodki. Geniusze zdrowego chrapanka.

– Wstawaj, szeregowy!!! – wrzasnął nagle Uber.

Cthulhu nawet nie zastrzygł uchem.

– Wstawaj, kurna, do przeglądu!

Po jakimś czasie skinhead w końcu się poddał.

– Rzeczywiście, za cholerę nie dobudzisz – wymamrotał. – Ej, zreć dają, słyszycie, śpiący żołnierzu?

Cthulhu nie reagował. Wciąż wywodził rulady, i to takie, że muzycy mogliby mu pozazdrościć.

Uber bezszelestnie ruszył do przodu. Uważnie przyjrzał się śpiącemu z bliska.

Wielkolud – ocenił go w duchu. Spokojna twarz, potężna szczeka, zarośnięta szczecina, krótko obcięte ciemne włosy. Cthulhu leżał na boku, kuląc się na kurtce, miał podarte spodnie i gołe nogi. Bose pięty były czarne z brudu.

Uber stanął obok.

– Ej! – zawołał jeszcze raz. Odpowiedzią było chrapanie.

Trącił śpiącego nogą. Zero reakcji.

– Ej, przygłupie! Wstawaj, przywieźli obiad!

Jeszcze kopniak, silniejszy. Nogi drgnęły, ale Cthulhu się nie zbudził.

– Wstawaj, wstawaj. – Uber zaczął go okładać nogami. Potem odwrócił się, zaśmiał. – Ma wszystko w dupie. Ej, Dagon, widać, nie jest mu pisane. A jego obiad oddamy komu innemu. Obejdzcie się.

W następnej chwili Cthulhu zaryczał. Kopnął Ubera w kostkę, ten poleciał na ziemię. Grzmotnął o podłogę, obrócił się na czworaki.

Cthulhu szedł na niego. Przerazający, straszliwy.

– Ej, koleś, spokojnie – poprosił Uber. Błyskawicznie podniósł się na nogi, przyjął postawę.

Cthulhu szedł. Cios. Skinhead złapał go przy zamachu, zanurkował pod rękę. Chwycił przeciwnika i przerzucił go przez biodro. Klasyczny chwyt z dżudo. „Ciężki, s-sukinsyn”.

Cthulhu poleciał na podłogę, przekoziółkował i walnął w ścianę. Bum! Nie za mocno.

– To już wszystko? – zapytał Uber. – Czy zdzielisz mnie na koniec porządnie?

Tamten odwrócił się, skoczył do przodu. Jak na człowieka o takich gabarytach poruszał się szybko i precyzyjnie. I możliwe, że jedynie kac nie pozwalał mu poradzić sobie z beczelnym skinheadem.

Uber powitał go hakiem, poprawił z drugiej strony. Ręka zabolą od uderzenia.

Ciało osunęło się z rumorem, potraściło stołek. Potoczył się żelazny kubek, woda rozlała się po podłodze.

Więzień nie poleżał długo. Znów zaczął się podnosić. Uber gwizdnął cicho.

– Pięknie, chłopie. Ale może na tym poprzestaniemy. Słyszysz mnie?

Cthulhu bez słowa uparcie wstawał. Uber cofnął się, przygotował na poważną bitkę. Oczy więźnia płonęły białym, zimnym ogniem wściekłości. Wielkolud ruszył do natarcia.

Uber walnął. Głowa przeciwnika skoczyła do tyłu, ale on znów się pozbierał i poszedł do przodu. Jego uśmiech stał się złowieszczy.

– A wiesz – odezwał się w zadumie Uber. – Chyba nawet jestem pod wrażeniem.

Ponownie przyjął postawę. Cthulhu szedł.

– Nie – wtrącił się Dagon. – Nie wolno. Stój, mówię!

Cthulhu zatrzymał się, słysząc znajomy głos, zamrugał. Odwrócił głowę, ujrzał brata. Brwi mu popęzły do góry. Potem się nachmurzył.

– Wporzo, braciszku – uspokoił go Dagon. – Pierwsza i najważniejsza nowina: jutro cię nie rozstrzelają, ty zasrany tępy świrze.

– Cóż za wzruszające rodzinne spotkanie – zauważył Uber. Wyprostował się, opuścił ręce. – A najważniejsze, że zaczęli od tego, co istotne. Dobra, bierzemy go, przekonałeś mnie. Na twoją odpowiedzialność, sierżancie.

7. Pieróg

– A to co za jedni? – spytał Uber.

– Ochotnicy.

Podrapał się po ogolonej potylicy. Jacy, do diabła ciężkiego, ochotnicy? To przecież skazańcy.

– Dobra. A teraz poważnie. Skąd wzięliście tych przystojniaków? Z magazynu rzeczy zagubionych?

Dagon stropił się.

– Z ancla.

– Tak, znaczy, Cthulhu i jego bracie Dagonie. Potrzebni mi specjaliści, a nie chuj wie kto. Wy macie jakie przydziały, specjalsi, desantowcy?

Bracia spojrzeli po sobie.

– Jesteśmy pisarzami – odparł potulnie Cthulhu. – Siedzimy przy sztabie.

– A ja jestem kucharzem – wtrącił jeden z „ochotników”.

– Dobry żart, kolego. – Uber westchnął ze znużeniem. – Wspaniałe poczucie humoru. Wokół mnie sami komedianci. A teraz powaga, kim jesteś? Wywiad, prewencja, snajper, desant? Nurek bojowy?

– Nie, nie zrozumiał mnie pan. Naprawdę jestem kucharzem – odpowiedział

mężczyzna. – Moja specjalność to kuchnia francuska.

Uber rozdziawił usta, zatrzepotał powiekami.

– Dobra, Pieróg. Kucharz też nam potrzebny. Posługujesz się nożem, to ważne. A umiesz chociaż strzelać?

* * *

– Coś nie tak? – spytał Uber.

Tadżyk westchnął. Odłożył na bok książkę Terry’ego Pratchetta, którą czytał, by dać odpocząć mózgowi, i podszedł do mapy.

Czerwona linia przecinała Piter po najkrótszej drodze – po prostej. Od punktu A do punktu B.

– I to jest twój plan? – upewnił się Tadżyk niedowierzająco.

– Super, nie? Sam się nie mogę nadziwić.

Tadżyk zawahał się.

– Uber, rozumiesz, że taki... hm... prostoduszny debilizm sprawdza się tylko w książkach?

– W książkach Terry’ego Pratchetta?

Tadżyk zamrugał. Wyszczrzył się. Bystre oko ma ten drań.

– To, co proponujesz, to w ogóle Douglas Adams, *Autostopem przez Galaktykę*. Pratchett nie jest aż tak bardzo paradoksalny. I prostoduszny.

– Pratchett przynudza – stwierdził Uber. – Nie zaprzeczysz.

– E! – oburzył się Tadżyk. – Pratchetta proszę nie ruszać. – To znaczy, że poważnie zamierzasz przejść pół miasta taką drogą?

– Nazwiemy to „planem czterdzieści dwa”.

– Czemu taka liczba? – zdziwił się Tadżyk. Potem do niego dotarło: – A! Odpowiedź na główne pytanie życia?

– Właśnie.

– O, czuję, że jeszcze pożałuję, że ci to zleciłem. Właściwie już żałuję.

– Trzeba uwolnić myśli z okowów – oświadczył Uber. – Słuchaj, Tadżyk! A orłów przypadkiem nie masz? Żeby na Orodruinę, Górę Przeznaczenia, od razu machnąć, a nie tracić czasu na szwendanie się po mieście? Idź tam, nieś pierścień.

Tadżyk zrozumiał, że nawet jego cierpliwość ma granice.

– Uber, dojechałeś. Jeśli mam być szczery.

– Kumam. Orłów nie ma. Pójdziemy piechotą. I mimo wszystko potrzeba mi więcej ludzi.

Tadżyk kiwnął głową.

– Ludzie będą.

– I drugi oddział.

– Co?!

Uber odwrócił się – i oczy miał pełne kpiny.

– A jak myślałeś? Muszą być dwie karawany. Jedna z bronią, druga z prowiantem.

– Istny wojenny geniusz – skwitował Tadżyk. – A jeśli jedna z nich nie dojdzie?

– Wtedy umrą... Albo syci, albo niepokonani.

8. Wiking

– Ten. – Uber wskazał celę. – To bardzo zabawny egzemplarz. Otwórzcie.

Dagon wzruszył ramionami. Zdaje się, że nie podzielał entuzjazmu skinheada.

– Otwórzcie – polecił klawiszom.

Zabręczały klucze, drzwi się otworzyły.

– Wejść sam. – Uber schylił głowę, zanurkował w niskie wejście.

Mieszkaniec celi patrzył na niego obojętnie. Wąski snop lampki sufitowej oświetlał jego ogoloną czaszkę, ozdobioną pasmami tatuaży. Na ile Uber wiedział, tatuaże były również na rękach i na nogach.

– Czego chcesz, do cholery? – warknął więzień. Nie miał połowy zębów, mówił, krzywiąc się z jednej strony, przez co sprawiał wrażenie, że cały czas nieprzyjemnie drwi.

– Znam cię – rzucił skinhead. Stał w cieniu i tamten widział tylko ciemną, wysoką sylwetkę.

– Chrzaniś, a nie znasz. Coś za jeden?!

– Nigdy nie zapominał tych, którzy mnie torturowali – odrzekł Uber. Zrobił krok, wszedł w krąg światła.

– Witaj, czaszkooki. Jak się masz?

Człowiek, którego Uber znał jako Wikinga, bezwiednie odsunął się w stronę ściany.

– Ty? Kurwa!

– Kto ci usunął zęby, przystojniaku? – spytał Uber łagodnie. – Czyżby wdzięczni tubylcy?

Wiking wyszczerzył się ze złością.

– Przyszedłeś mnie zabić? Dla ciebie chuj, a nie Wiking. Skurwielu, biała rasa przewyższa wszystkie, a ty jesteś ciota i zdrajca swojej rasy! W piekle będą cię posuwały diabły! Od rana do pieprzonego, kurwa, wieczora!

– Malowniczo – ocenił Uber. – Ale trochę obraźliwie. Umiesz strzelać, biała raso? Że masz dryg do noża, to widziałem. A co z automatem?

– Wszystko umiem!

– Jasne, już wierzę w twoje pierdolenie. – Uber pokręcił głową. – Szykuj się, przygłupie, niedługo pójdziemy tłuc bydlaków. Mniej więcej takich jak ty, tyle że zielonych. Możesz zaprząć do tej roboty cały swój sadyzm.

Oczy Wikinga rozblęły jak dwa wściekłe reflektory.

Na starych tatuażach Wikinga widniały paskudne, koślawe, czarnoniebieskie swastyki, wyraźnie naniesione nieprofesjonalną ręką.

Na jego ramieniu twarz Bakunina, ikony ruchu anarchistycznego, przekreślono brzydką czarną swastyką.

Na potylicy Wikinga rzucał się w oczy celtycki krzyż. A wokół niego napisy gotyckim pismem.

– Ano tak. – Uber przesunął palcami po własnej pokaleczonej szramami potylicy. – Pierwszy raz widzę coś takiego. Żeby z antyfaszysty zrobił się nazi... Nierealne. Musieli mu ostro przygrzać. Albo zupełnie dostał korby. Tak też się zdarza, zwłaszcza gdy się oberwie czymś ciężkim.

– A więc go bierzesz? – zapytał Tadżyk ze zdziwieniem.

Celę Wikinga zamknięto z powrotem.

– Aha. – Potwierdził skinieniem.

– Na co ci on?

Uber zastanowił się, wzruszył ramionami.

– Nie żal mi go.

– Ilu jeszcze?

– Ze mną jest dziewięciu – odparł Uber.

W gabinecie Tadżyka, przypominającym raczej pokój nauczycielski, stały dziesiątki starych globusów. Niebieska Ziemia, czerwony Mars, czarny globus nieba z gwiazdozbiorami. Spuścizna niegdyś wielkiej ludzkości. W pomieszczeniu było zimno, w kubkach parowała herbata.

– Dziewięć to dobrze. A teraz – zapowiedział Tadżyk – pokażę ci głównego członka wyprawy. Bez którego twoja ekipa jest nic niewarta.

– Serio?

9. Adaptant Żenia

– Już mnie przesłuchiwali wasi ludzie... – wymamrotał Żenia. Opuścił ramiona, zgarbił się. Twarz miał poszarzałą. – Powiem szczerze, trochę się zmęczyłem.

Tadżyk skinął głową.

– Rozumiem – powiedział łagodnie. – Że zmęczył się pan pytaniami. Proszę przyjąć przeprosiny. Naprawdę dużo nam pan pomógł. To bardzo ważne dla nas i dla naszej wspólnej sprawy.

Żenia westchnął. Obejrzał Ubera i Tadżyka podpuchniętymi, zaczerwienionymi oczyma. Mech na jego szyi był dziś szarzielonego, wyblakłego koloru. I ledwie drżał przy każdym oddechu.

– A można by tak bez waszej szpiegowskiej psychologii? Co? Czego ode mnie chcecie?

Tadżyk popatrzył na Ubera. Ten się roześmiał.

– Proszę nam powiedzieć o ustroju imperium – rzekł Tadżyk. – Czym właściwie jest Wegan?

– Ja trochę... już... – Żenia zakaszłał. – Imperium Wegan to państwo tłumiące wszelką wolną myśl...

„O, nie” – pomyślał Uber. Zaraz zacznie cytować *Rok 1984* Orwella albo wypłakiwać się nam na ramieniu.

– Jewgienij. – Tadżyk pokręcił głową. – Proszę, nie trzeba nam polityki. Tylko faktów.

– Dobrze. Oto fakty. Kilka warstw społecznych, choć raczej należy je nazwać

kastami, ponieważ przejście z jednej do drugiej praktycznie nie jest możliwe. Najniższa to niewolnicy. Są zatrudnieni przy wszelkich przedsięwzięciach Wegana. Jest ich wielu, są pozbawieni praw, ale mogą pracować, póki się nie wypalą albo nie zostaną wysłani na ферmy trupów.

– Ферmy trupów? – dopytał Uber.

Żenia zmarszczył brwi.

– Możliwe, że je widzieliście. Ludzie służą tam jako grządki do agrokultury... uprawy grzybów, czasem czegoś innego. Po warstwie niewolników są prosci weganie. W zasadzie zwykli ludzie. Tu zaliczają się cywilni specjaliści... czy raczej: zaliczali się. Teraz podobno wśród cywilów zaszły zmiany, specjalistów wcielono do wojska. Imperium stało się machiną na wskroś wojenną.

– Arystokraci, z rzadka nazywani Wyrastającymi, to Ogrodnicy, elita Imperium. – Żenia zamilkł na chwilę, westchnął. – Mało co mogę dodać, mam ograniczone informacje. Wśród naszych chodziły słuchy, że to zmodyfikowani, ulepszeni ludzie. Nie wiem, na ile to prawda, ale wszyscy oni żywią się osobnym pożywieniem. Nie tym, które wydają prostym żołnierzom, nie tym zielonym brykietem, którym nas też karmili ... To po prostu obrobiona termicznie, sprasowana i odwodniona mieszanina traw, warzyw i czego tam jeszcze. Nie, Ogrrodnicy mają swoją żywność, dostarczaną każdemu osobiście od imperatora.

– Imperatora?

– U nas mówią na niego Główny Ogrodnik. Ale prościej: imperator, princeps, lśniący, sternik. Różnie.

– Wielki Kołchoźnik – prychnął Uber. I zaśmiał się.

Żenia spojrzał na niego bez uśmiechu. Uber spoważniał. Adaptant ciągnął sprawozdanie:

– Mówią, że to specjalna żywność, że właśnie to przywiązuje arystokratów do Głównego Ogrodnika. Są wobec niego bezwarunkowo lojalni. To fakt.

– To... jak narkotyk czy co? – spytał Uber. – Nie rozumiem.

– Coś w rodzaju. I potrzebują kolejnej dawki, za każdym razem. – Żenia przyjrzał się Uberowi i Tadżykowi. – Śmiejecie się, a ja mówię prawdę. Imperium Wegan to potężna i straszna machina dławienia wszystkiego i wszystkich. Dobrze zorganizowana i ogromna. I prawie już nieludzka.

– A przewodnicy? – zapytał z cicha Tadżyk. – Słyszałem, że też są ważni?

– Tak. Przewodnicy są, choć ich mało... ale są. Potrafią kierować niektórymi z mutantów z powierzchni. Oswajają je. Zazwyczaj na oddział diggerów przypada jeden taki przewodnik. A z nim jego podopieczny. Takie oddziały, jak się okazało, działają szczególnie skutecznie.

– Pamiętam taki jeden – mruknął Uber. – Na każdy oddział? Nie mamy tylu klozetów na zbyciu...

Tadżyk mimowolnie odchrząknął. Żenia, zdezorientowany, spojrzał na skinheada. Ten machnął ręką: zapomnij, nic ważnego.

Milczenie.

– Żenia – odezwał się w końcu Tadżyk. – A teraz najważniejsze. Przygotowujemy

oddział do natarcia na Obuchowo. I proponujemy panu udział w tej akcji.

– Tak – odparł Żenia.

– Rozumie pan jednak, że cel naszego oddziału różni się nieco od tego, na co liczyliście? I że bez pana pomocy tej misji nie będzie?

Adaptant zawahał się.

– Rozumiem.

– I?

Twarz gościa skrzywiła się z udręczeniem. Wychylił się naprzód, do Tadżyka.

– I my nikogo... – wyjąkał ochryple – stamtąd nie wyciągniemy? Tam wiele... kobiety, dzieci... liczyliśmy na was...

Uber mrugnął. Twarz mu się zmieniła.

– Może się okazać, że nie będziemy mieć takiej możliwości – powiedział Tadżyk. – Nie chcę pana okłamywać, Żenia. Nie będzie to priorytetowym zadaniem oddziału.

Uber pochylił się w przód i zagadnął:

– Posłuchaj, Żenia. Co do zadań nie wiem, w jakiej mają iść kolejności. Mam to właściwie gdzieś. Ale pewien jestem jednego: jeśli do misji nie dojdzie, zdecydowanie nie uratujemy nikogo. Absolutnie zero. Co powiesz?

Żenia zastanowił się. Po jego białym jak płótno czole potoczyła się kropla potu. Oczy głębokie i jakieś takie dziwnie bezbronne. Zielone narośle na jego szyi zatrzepotały.

– Tak – potwierdził ochryple. – Idę z wami. I będzie, co będzie.

10 Primoriec

Tadżyk skończył rozmowę telefoniczną, odłożył słuchawkę.

– Nie uwierzysz. Primorcy w końcu przysłali nam ludzi – rzekł ze zdziwieniem. – Myślałem, że nigdy tego nie doczekamy.

– Co to za jedni? – zainteresował się Uber. – Ci ludzie?

– Jeden człowiek.

Skinhead odchrząknął. Tadżyk pokazał mu akta osobowe.

– Ano ten, Jaromir Gołotow. Były oficer, skazany przez trybunał wojenny na rozstrzelanie za samowolę i opuszczenie pozycji.

– Dobra, chodźmy zapoznać się z twoim Jaromirem.

Przyprowadziło go dwóch żołnierzy z szarymi naszywkami przedstawiającymi zaciśniętą pięść. Primorcy. Skazaniec, blondyn, był zakuty w kajdanki, nogi miał spętane długim łańcuchem – mógł iść, lecz biec byłoby trudno. Wyraz twarzy przybrał obojętny i z lekka pogardliwy.

– Wszystko w porządku? – spytał towarzysz Kim.

Człowiek w kajdankach podniósł wzrok. Jasne oczy. I zaraz go odwrócił.

Primoriec z eskorty wręczył Tadżykowi dokumenty.

– Jaromir Gołotow – przeczytał Tadżyk. – Miejsce urodzenia: Mińsk, Białoruś. Porucznik Aliansu. Zdegradowany.

– A co nabroił?
– Zabójstwo.
– No, to normalne. Nic takiego – mruknął pod nosem Uber.
Tadzyk zerknął na niego z ukosa.
– Zastrzelił wegańskiego oficera – wyjaśnił Primoriec.
– No... to się zdarza.
– Parlamentariusza.
– A! – Uber spojrział na skazańca, zmrużył oczy. – A z wyglądu nie wydaje się taki ostry. Dobra, wezmę go. Ej, Primorcu! Do ciebie się zwracam!
– Czego chcesz?
– Masz ochotę zabijać wegańskich oficerów?
Cienkie wargi Gołotowa wygięły się w uśmiechku. Uber najeżył się. Oczy Primorca były nieruchome, jak ślepia żmii.
– Nie ma problemu – odpowiedział Gołotow.

* * *

– Dlaczego odesłałeś Kuźmicza? – spytał Tadzyk. – Co?
– Kuźmicz mi niepotrzebny – twardo odrzekł Uber. – I tyle.
Tadzyk nie powstrzymał się od ciężkiego westchnienia. „Jaki ty jesteś niemożliwy, Uber”.
– Jasne. Dziesięciu ludzi ci starczy?
– Starczy. Dobrze by było znaleźć jeszcze jednego czy dwóch, ale nie ma czasu – odparł Uber. – Tak że mogę powiedzieć: ekipa zebrana. Można przystępować do drugiej części ambitnego programu.
Tadzyk skinął głową.
– Najpierw pójdziecie tunelami do Zwiazdnej, potem czerwoni poprowadzą was do Kupczina. Stamtąd już na własną rękę dotrzecie do Obuchowa. Zrozumiały?
– Tak.
– Żeby uniknąć pytań i swobodnie przemieszczać się po metrze, nieoficjalnie będziesz... bo ja wiem... majorem służby zaopatrzenia – powiedział Tadzyk. – Zrobiłbym cię pułkownikiem, ale tacy jak ty do wysokich rang nie dożywają. Albo lepiej kapitanem? Dostaniesz dokumenty i wszystkie pozwolenia.
– Kapitan Uber. – Skinhead zaśmiał się. – Kapitan, kurna, Uber. Nie, tego już za wiele. Po prostu Uber.
Tadzyk wyszczerzył się w uśmiechu, ale nie skomentował.
– Zróbcie mnie porucznikiem – zaproponował Uber. – Wystarczy mi. „Młody porucznik, chłopak aż miło, każda by z tobą zatańczyła...” – zanucił. – Tym bardziej że zgodnie z wojskowym orzeczeniem i tak jestem porucznikiem rezerwy. W kolumnie paliwowej. Co prawda, ani tamtego państwa, ani armii już dawno nie ma. Ani nawet ziemi.
– Mogę cię zrobić choćby admirałem – stwierdził Tadzyk. – Lubisz morze?
– Admirałem? Nie mam nic przeciwko. Admirał cynowej miski w błotnej mazi.

Słuchaj! – Skinhead zapalił się. – A tak poważnie, chcę być admirałem. Admirał Uber, jak to brzmi! – Wstał, wyprostował się. I nagle spowaźniał. – A jaka przynęta?

– Co?

– No wiesz, kij i marchewka. O kiju już wiem. A co jako marchewka, dla moich ludzi?

Tadżyk zawahał się.

– Jeśli wrócą? – uściślił, żeby dać sobie czas na zastanowienie.

– Tak, jeśli któryś wróci.

– Amnestia – rzucił Tadżyk szybko. – Prawie każdy z nich to człowiek armii. Cofniemy wyroki. Choć, jeśli mam być szczery, wystrzelałbym w cholere cały ten ludzki śmietnik. À propos, ty też masz wyrok. Od Aliansu Primorskiego, jeżeli nie jesteś na bieżąco. I w warunkach wojennych to jest wyrok śmierci.

– Parszywa dwunastka. – Uber zaśmiał się. – A to mi się trafiło. Zawsze marzyłem, żeby coś takiego przeżyć w rzeczywistości.

– Uber. – Tadżyk westchnął. – To ma być, kurwa, poważne zadanie.

– Nie bój nic. Zaraz popłaczę sobie cichutko, pobawię się autkiem i mi przejdzie.

Skinhead poruszał głową na boki, podskoczył kilka razy, rozciągnął się, jakby robił bokserską rozgrzewkę. Tadżyk pokręcił głową. A zdawało się, że zaledwie wczoraj Uber zbierał się z tego świata...

Teraz wyraźnie roznosiła go energia. Towarzysz Kim, znany jako Tadżyk, nawet się nie zdziwił. Tacy jak Uber – ludzie czynu – są stworzeni do trudnych, niewykonalnych zadań. „Chujnia-wojna, i tak się przebijemy” – oto ich życiowa zasada. Im trudniej, tym bardziej interesująco. Co prawda, Uber to bodaj unikatowy egzemplarz. W kolekcji ludzkich charakterów jeden z najbardziej interesujących.

„No... albo najbardziej popieprzonych. To na pewno”.

ROZDZIAŁ 5

Siedmiu pieprzonych samurajów

*12 grudnia 2033 roku, Petersburg, stacja Obuchowo.
Trzydziesty szósty dzień wojny wegańskiej*

– Nie poddamy się – przemówił Spartakus. – Żenia sprowadzi pomoc.

Noel pokręciła głową. „Nie sądzę”. Czasami przywódca powstańców zbyt poważnie przyjmował swoją rolę lidera i zaczynał przy tym operować prawdziwymi filmowymi frazesami.

„Nie poddamy się. Sprowadzi pomoc”. O Boże. Co to w ogóle ma być?! Boki zrywać.

– Możliwe, że będzie za późno – odezwał się Pasza Jandeks.

Noel skinęła potakująco. Spartakus uparcie zadarł głowę, nozdrza mu się rozděły.

Spartakusa kiedyś nazywano Konstantin Łotosz – dawniej, przed buntem, który dał im wolność, był jednym z „gladiatorów”, czyli sparingpartnerem dla korpusu oficerskiego Wegana. Zazwyczaj życie takich wojowników trwało krótko, wcześniej czy później zabijali ich albo kaleczyli świetnie przygotowani i wytrenowani arystokraci. Spartakus zdołał jednak przeżyć i zorganizować powstanie.

Najlepszy był dzień, kiedy zaczęli zabijać swoich dręczycieli. Krwawa bezmyślność wolności.

Dla tamtej chwili Noel chętnie ponownie przeszłaby piekło przygotowań i potwornego wysiłku, które im przyszło znieść.

– Niedługo przyjdą do nas ludzie, którym nie jest wszystko jedno. – Spartakus uroczyście zakończył swoją przemowę. – Ludzie, w których duszach goreje święty płomień sprawiedliwości i wolności...

* * *

– Nocowałem kiedyś w żeńskim klasztorze – oznajmił Cthulhu.

„Ochotnicy” rozsiedli się w tunelu, czekając na rozkaz wyruszenia. Palili, śmiali się. Słuchali bajek.

– To było dawno temu, jeszcze przed Katastrofą – mówił Cthulhu. – Byłem wtedy całkiem młody, miałem trzynaście lat. I wtem ona, mniszka pięknotka, wchodzi do mnie do celi... I... I po prostu spłynęła na mnie wiara w łaskę bożą!

– Chłopie, co ty smolisz?! – oburzył się Wiking. – Nigdy nie spałeś z zakonnica!

– Tak! Ale to nie znaczy, że nie próbowałem!

Skrzypnęły drzwi, wszyscy zamilkli, obejrzeni się. Milczenie. W drzwiach stał Uber, a nieco za nim, niczym cień – Dagon.

– A morał owej baśni taki... – wtrącił Uber, oglądając swoją przyszłą ekipę. – Bóg nie rozlicza z próby. Tylko z rezultatu. Sto, dwieście prób, wszystko mu jedno. Jeśli się uda, świetnie, zuch z ciebie. A jeśli nie... No, Cthulhu przynajmniej próbował stuknąć mniszkę. A wy? Czegoście dokonali?

Parszywodwunastki spojrzały po sobie. Cthulhu zaśmiał się ochryple.

– Sierzancie, zróbcie zbiórkę – polecił Uber. Dagon kiwnął głową. – Będziemy mieć coś w rodzaju inspekcji dowództwa.

* * *

Uber obejrzał niewyrównany szereg swoich podkomendnych. Nachmurzył się.

– Nie rozumiem. Że co, daliście mi najlepszych?

– Zgadza się. – Tadżyk zmrużył oczy. Zapytał z ironią: – Coś nie tak?

Skinhead wypuścił powietrze przez zęby. Zaśmiał się złym śmiechem. „Ochotnicy” patrzyli na niego zdezorientowani.

– Nie było nikogo łatwiejszego? – spytał Uber.

– W sensie?

– Podejrzewam, że mam tutaj wyskrobki z więziennych cel – odrzekł głośno.

W szeregu „ochotników” zrobiło się poruszenie.

Tadżyk westchnął.

– Uber, przeginasz – ostrzegł z cicha. Ale oczy towarzysza Kima pozostawały przy tym wesołe.

Uber wyszedł naprzód, obejrzał szereg. Bandyckie mordy „ochotników” beczelnie gapiły się na przyszłego dowódcę. – A przecież sam ich wybrałeś?

– Z tego, co było. Z tego, co było... Dream team – obwieścił Uber z zachwytem. – Parszywa dwunastka. Landsknechci! Najemnicy. Tępaki miesiąca. Przygłupy kwartału. Luzerzy roku. Hemoroidy pięciolatki.

W szeregu zaszumiało. Jakby wiatr powiał po wysokiej trawie, a za nim szła burza.

– Uber! – napomniął go niegłośno Tadżyk. – Przestań, przyhamuj.

– Debiloidy stulecia! – ogłosił skinhead.

W następnej chwili szereg się przełamał i niedawni więźniowie rzucili się na dowódcę. Zaczęła się draka...

* * *

– Zbiórka! – rozkazał Uber. Pomacał sobie świeże limo, strzyknął przez zęby krwią.

Oddział sformował kolumnę. Zdaje się, że nikt nie wyszedł z tego bez siniaków. Daszka spluwała, Wiking ocierał sobie rozbite do krwi wargi, szczyrzył zęby. Cthulhu

miał drgające oko, jakby do kogoś mrugał. Czech z niezmaconym spokojem mrużył oczy. Właściwie tylko on nie brał udziału z bitce. Artem Mimino, Gołotow – wszystkim się dostało. Nawet nieszkodliwy Pieróg oberwał – pocierał sobie szyję, a wokół oka rósł mu niebieski siniec.

– No co, kretyni stulecia, gotowi? – rzucił Uber. – Ruszamy! Biegiem... arsz! Sierzancie, pilnuj ich!

– Naprzód! – ryknął Dagon. – Trzymać szyk!

– I co w ten sposób osiągnąłeś? – spytał Tadżyk z westchnieniem – Co?

– Wspólna bitka zbliża ludzi – odparł Uber pewnym siebie tonem.

Tadżyk znowu westchnął.

– Uber, jak malarz malarzowi... ty w ogóle umiesz dowodzić?

– Oczywiście! Jestem synem oficera, urodziłem się w bazie wojskowej.

– E... – Tadżyk potarł sobie czoło. – Mówiono ci już, że twój tren...

– Dokładniej: koło bazy. A żeby już zupełnie ściśle: tuż za ogrodzeniem. Popatrz na mnie. Jestem stworzony na lidera i generała.

– No... – Tadżyk spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Ty co, nie wierzysz?! Rodzice mi wszystko opowiedzieli, zwłaszcza mama. Urodziłem się z mieczem w ręce, z hantlem w zębach, z flagą w du... hm... – Podrapał się po potylicy i dodał ciszej: – W skrócie: stworzony do wielkich dzieł. A teraz mów, chłopczyku, kto ci dokuczał. Wyrwiemy mu nogi.

– Imperium Wegan – powiedział Tadżyk zaczepnie.

– Noż kurna. Znaczy się... w porządku. Damy radę.

* * *

Z racji wojny na podziemnych szlakach zaszły zmiany. Co sto metrów stali na posterunkach kontrolnych strażnicy i prowadzącemu grupę Tadżykowi sprawdzono dokumenty aż pięć razy na krótkim odcinku. I to nie tyle sprawdzono, ile uważnie przebadano.

Artem z zainteresowaniem patrzył na te nowe, wojenne zasady. Po wymuszonym dwutygodniowym siedzeniu w zamknięciu wszystko wydawało mu się nowością. Nawet ten cień, piętno zmęczenia na poszarzałych z niewyspania twarzach.

Raz minęła ich kolumna żołnierzy. Oglądali się na „parszywą dwunastkę”. Wiking zahukał za nimi, pokazał im środkowy palec.

– Do szeregu, przygłupie – ofuknął go Dagon.

Wiking bezczelnie wyszczerzył zęby, ale posłuchał.

W porównaniu z żołnierzami ich grupa wyglądała, jakby się wybrała na festyn. Uber, rozchełstany i wyluzowany, w poroziąganej koszulce. Dagon spokojny i milczący – tylko on spośród nich przypominał zawodowego wojskowego. Jego brat Cthulhu – taki ogromny, sprawiał wrażenie niezawodnego, ale lekko denerwował Artema, jakby ciało żołnierza piechoty morskiej nieustannie znajdowało się pod prądem, niczym przewód wysokiego napięcia. Nawet ze swojego miejsca Atrem czuł wibracje w tym człowieku. Cthulhu wzbudzał niemały strach.

Broni prawie nie mieli.

Daszka Terminator – Artem od czasu do czasu zerkał na nią z ukosa i zaraz odwracał wzrok. Zdawało mu się, że taki rodzaj kobiet – niesilnych, niekruchych, nie w typie wróżki ani zmarłej akrobatki – zupełnie go nie interesuje. Daszka była zwarta w sobie, krzepka, o szerokich ramionach, silnych, dobrze umięśnionych rękach, z hardo zadartą głową i niezbyt długimi, za to niesamowicie silnymi nogami. Daszka Terminator starła się już z Miminem w sparingu – i przegrał sromotnie.

Kilku żołnierzy – „muły”, jak ich nazwał Uber na cześć rzymskich legionistów, którzy nosili wszystko sami. „Tabory to samo zło – cytował Uber starożytnego wodza Gajusza Mariusza. – Poniesiemy wszystko na własnych grzbietach”.

„Niedługo wyjdziemy na powierzchnię – pomyślał Artem. – Mój pierwszy raz”. Nadal nie chciało mu się w to wierzyć. Jakby od momentu wyjścia z aresztu funkcjonował w mglistej, a zarazem delikatnej rzeczywistości. Jeden niezręczny ruch, nawet pytanie, i szkło chrupnie, rozsypie się z brzękiem. Po czym zaraz ten lśniący nadzieją świat ustąpi miejsca starymu, brutalnemu i okrutnemu.

A on, Artem, znów ocknie się w celi. Potrząsnął głową. Tylko nie to.

* * *

Uber obejrzał swój oddział i chrząknął. Niebieskie oczy błysnęły wściekle w półmroku.

– Słuchajcie wszyscy. Szczerze mówiąc, absolutnie mi zwisa, czy was wszystkich wytluką. Ale mamy zadanie. Które zamierzam wypełnić, nie zważając na wasze trupy.

– Możliwe trupy? – poprawił Cthulhu.

– Niewiarygodnie możliwe trupy – zgodził się skinhead. – Aż dziewięćdziesiąt osiem procent wiarygodności. Albo i dziewięćdziesiąt dziewięć. A teraz pół godziny na odpoczynek i do roboty. Sierzancie – tamten skinął – kontynuujcie.

Kiedy ludzie rozeszli się na swoje miejsca, funkcjonariusz Smiersza popatrzył na Ubera.

– Co? – spytał skinhead.

– Rzeczywiście uważasz, że utrzymasz ich wszystkich w ręku? – upewnił się Tadzzyk.

– Mam jakiś wybór?

– Właściwie tak.

Pauza. Uber zastanowił się nad tym, co usłyszał. Zaśmiał się z cicha.

– No, sukinkocie Tadzzyku, umiesz zepsuć nastrój – poskarżył się w końcu. – Dopiero co myślałem, że znajduję się w położeniu bez wyjścia, dlatego muszę wykonać niewykonalne, a ty nagle nie wiedzieć czemu budzisz we mnie zasraną nadzieję. Nie, pewność! Że sam sobie jestem winien! No, jak się tak godzi, co?

Tadzzyk westchnął.

– Uber, to nie zabawa.

– Ale gra! Na przykład, jak jej tam... wojenno-strategiczna. Jak z takim oddziałem, zebrany z ludzkich odpadków, odwrócić losy wojny. Poczucie

obowiązku? Czy medal rozpaczy? Zapomniałem.

– Mimo wszystko chcesz się tym zająć?

– Jak by ci tu powiedzieć... Załóżmy, że ja mam wybór. Cudownie. A oni?

Tadzyk pokręcił głową.

– Sam wiesz.

– Więc po co to pytanie? – odrzekł Uber spokojnie.

Tadzyk zawahał się.

– Dobrze. Szykuj swój oddział do wyjścia.

* * *

– Gastery – stwierdził Kuźmicz. – Właśnie one.

– Kto?

– Drobne, paskudnie śmierdzące bestie. Porośnięte czarną gęstą sierścią. Przypominają nieduże małpy, z długimi, do ziemi, rękami. Przemieszczają się zazwyczaj na czworakach, ale czasami stają na dwóch nogach. Żyją w norach, w izbach, czasami do dwustu sztuk w jednej dziurze. Nie wiem, jak się tam mieszczą. Srają wszędzie równo. Niebezpieczne są i w pojedynkę, ale szczególnie gdy działają w stadzie. Są wtedy bezlitosne i mściwe, szybciej główkują, to tchórze, ale przy liczebnej przewadze łatwo cię wykończą. Plecami lepiej się do nich nie odwracać.

– Ktoś tam twierdził, że widział, jak gastery rozpały ognisko i piekły na nim zabitego stalkera.

– To prawda?!

– Po mojemu bzdura – odparł Kuźmicz. – Wymyśli. W przeciwnym razie trzeba by przyznać, że gastery to istoty rozumne. W ich przypadku uważam, że to czysta fantazja.

– Oho! – rozległ się czyjś głos. – Co za ludzie! – Uber zatrzymał się, spojrzał na diggera. – A ty co tu robisz? – spytał.

Kuźmicz uśmiechnął się.

– Powiedziałem Nataszce, że jestem w sanatorium. Idę z wami.

Skinhead westchnął ciężko. Ożeż, ci bohaterowie, kurna.

– Słuchaj. – Do Ubera nagle dotarło, co mu nie dawało spokoju. – A jak ty w ogóle trafiłeś do naszego oddziału? Przecież to zgraja przestępców, same szumowiny. A nie liniowi żołnierze. Takich nie mam.

– Zapisałem się jeszcze w szpitalu – odparł Kuźmicz. Podniósł obandażowaną rękę. – Widzisz?

– Ranili cię? – Uber ze zrozumieniem kiwnął głową.

– E, nie, złamałem. Głupio się pośliznąłem, upadłem. Budzę się: gips. Teraz, póki się zaliczam do pacjentów, mogę z wami iść. Nikt nie zauważy, że mnie nie ma.

– Inwalida, którego nie doleczyli, digger, którego nie ma, oddział, który nie istnieje. Aha, aha. No a co? – Uber wyprostował się. – Nic, tylko przejść prosto do legendy. Uważam, żeś to wszystko zmyślił. A Nataszce coś powiedział?

Na twarzy Kuźmicza odbiło się napięcie, jakby zębami kruszył cegły.

– Dobra, dobra, żartuję.

* * *

„Parszywa dwunastka” Ubera ustawiła się w szeregu na szarym placyku w ślepych tunelu. Na słupach wisiały trzy latarnie, na ziemi mdłe światło mieszało się z ogromnymi cieniami.

– Równaj szyk! Baczość! – komenderował Dagon.

Ochotnicy wyciągnęli się jak struny. Uber obejrzał swoje niezależne wojsko, skinął głową.

– Żenia, podejdź tu! – zawołał.

Niewysoki, wątki Obuchowiec stanął przed szeregiem obok Ubera.

– Żenia, adaptant – przedstawił go skinhead. – Poprowadzi nas na Obuchowo. Przyszedł stamtąd.

– Adaptant? – dopytał Gołotow. – Co to znaczy?

W jego głosie zabrzmiało dziwne napięcie. Żenia odwrócił się w stronę pytającego, popatrzył na niego. Gołotow wyszczerzył się w uśmiechu.

– Żeby przebywać na powietrzu, nie potrzebuję maski przeciwgazowej. Mam podwyższoną tolerancję radiacji: do siedemdziesięciu, stu siwertów.

Dagon gwizdnął z cicha. Skazańcy zerknęli na niego. Sierżant wyprostował się, udając, że niczego nie było.

– Rozumiesz, co on gada? – szeptem spytał Cthulhu.

– Nie, po prostu liczba duża. Daj mi spokój.

– Siedemdziesiąt siwertów to siedemdziesiąt śmiertelnych dawek dla człowieka – wyjaśnił Żenia.

Teraz to Cthulhu zagwizdał. Dagon z przyjemnością trzepnął go w tył głowy.

– Mówiłem! – rzucił głośnym szeptem.

– Cisza! – rozkazał Uber. – No, który tam taki mądry? Zamknąć się, powiedziałem.

– Dziękuję, sierżancie – zwrócił się do niego Żenia.

– Tak w ogóle to jestem komendantem – na niby obraził się Uber.

Ochotnicy parsknęli śmiechem. Żenia mówił dalej:

– Takie jest moje przystosowanie, adaptacja. I na odwrót: źle czuję się tam, gdzie poziom radiacji jest obniżony. Dziwne, ale prawdziwe. Nie mogę, na przykład, zbyt długo znajdować się tu, w metrze. Muszę wyjść na powierzchnię. Tutaj na dole jestem jakby zamknięty w dusznym pomieszczeniu i nie mam czym oddychać.

– Taki się urodziłeś czy jak? – zaczepił go Cthulhu. – Patrzyć na adaptanta z uśmiechem. – Ej, ty, dziwak, ciebie pytam!

Policzki Żeni skamieniały.

Cały oddział patrzył na nich z zainteresowaniem. Uber także. Przybrał nawet wygodniejszą pozycję. Dagon zerknął na niego – Uber wzrokiem pokazał: nie mieszaj się.

– Coś ty powiedział? – Głos Żeni zagrzemiał gniewem.

– Pytam, czy was wszystkich z jakiejś próbki wyjmują, czy sam taki unikatowy wyszedłeś swojej mamci?

Zapadła grobowa cisza. Cała „parszywa dwunastka” patrzyła na Żenię i Cthulhu. Wszyscy czekali na odpowiedź adaptanta.

Artem spoglądał na niego ze zdziwieniem. Sam posłałby za to osiłkowi wiązanę, a nawet rzuciłby się na niego z pięściami. Bez względu na wzrost i siłę takiej obrazę puścić płazem nie można.

– Przepraszam – odezwał się Żenia cicho. – Co... co ma pan na myśli?

Ekipa jęknęła z rozczarowaniem. No i masz.

Uber westchnął. Zaklął pod nosem i dał znak Dagonowi. Sierzancie, do dzieła. Ten skinął głową i wyszedł przed szereg, stanął z boku.

– Widzę, że ktoś jest tu kurewsko mądry – wycedził powoli. – Szeregowiec Cthulhu! – ryknął. – Do raportu. Zdaje się, że kiedy robisz pompki, znacznie lepiej przyjmujesz informacje? Padnij! Raz, dwa. Pięćdziesiąt pompek. Już!

Cthulhu zaczął robić pompki. Silny, zwarty. Nieugięty.

– Liczyć! – przykazał Dagon. Stał, marszcząc brwi.

– Raz, dwa, trzy...

– Zatem poproszę wszystkich, by okazywali większą uprzejmość towarzyszom i zbytnio nie pieprzyli głupot – rzekł Uber.

W szeregu zabrzmiały chichoty, lecz zaraz umilkły. Żenia milczał.

– Po prostu wstyd na ciebie patrzeć, chłopie – narzekał Dagon. – Ledwie się podnosisz.

Zdaniem Artema Cthulhu wyglądał jak zionący ogniem smok w pełni sił i blasku, ale podoficer miał swoją opinię.

– Miesiąc temu rzuciłem palenie. Dokładniej: trzydzieści trzy dni temu. Ale patrząc na ciebie, powinienem zapalić, bo inaczej umrę z nerwowego roztrzęsienia. Muszę jakoś ukoić nerwy. A winien temu jesteś tylko ty, szeregowy Cthulhu. Podnoś macki, śpiący! Żywiej, ostrzej, energiczniej! Raz-dwa, raz-dwa. Boże mój, co za wraczydło! Co za chuchro! Zaraz się rozplączę z żalu!

– Może nie należy? – spytał Żenia szeptem.

Uber pokręcił głową. Podszedł do sierżanta, pomilczał chwilę. Cthulhu robił pompki i liczył. Dagon zwrócił się do skinheada.

– Pogoń go tak, żeby się zrzygał – przykazał mu cicho Uber. Oczywiście miał jakby wypalone.

Dagon kiwnął głową. Zrobi się.

– A z Żenią sam się rozmówię – dodał Uber. – Ach, ci potomkowie peterskich inteligentów. Tylko by przepraszali ... Nagle zamarł, potem się roześmiał. – A w ogóle to myśl... Dobra, działaj.

* * *

Kuźmicz przeprowadzał instruktaż przed wyprawą. Pokazywał punkty orientacyjne na narysowanej odręcznie mapce. Tadzzyk ustawił się koło Artema, ten zerknął na niego

z ukosa. Zachowywał się uprzejmie i poprawnie, ale Artem i tak zawsze odczuwał w jego obecności niepokój i miał nieokreślone poczucie winy.

– „Żydowski mostek” – mówił Kuźmicz – to linowa kładka prowadząca z cmentarza żydowskiego na cmentarz dziewiątego stycznia. Widać go już z daleka. Zapamiętajcie punkty orientacyjne. Możecie je sobie narysować, to pomaga.

Wszystkim zebranym na odprawę wydano notatniki. Daszka narysowała ropuchę i pokazała Artemowi. Parsknął i zaraz zamilkł z zakłopotaniem.

– Cmentarz Pamięci Ofiar Dziewiątego Stycznia Tysiąc Dziewięćset Piątego – powiedział Kuźmicz. – Pokazał na mapce nierówny czerwony owal. – Teraz rozumiecie?

– Krwawa niedziela – mruknął Uber. – I lotnicy.

– Co? – Artem zerknął na skinheada.

– I martwi Żydzi za płotem. Bardzo dużo martwych Żydów.

– To Żydów też nienawidzisz? – zdziwił się Mimino.

Tadżyk uśmiechnął się, ale się nie odezwał.

– Tak w ogóle to nie przebieram – odparł Uber. – Całego ludzkiego rodu nienawidzę wyjątkowo. Ale niektórych bardziej.

– Na przykład?

– Mnie – wtrącił z niezmaconym spokojem Tadżyk.

– Jego. – Uber kiwnął głową w stronę oficera Smiersza.

Artem zagapił się na niego, aż rozdziawił usta.

Tadżyk dostrzegł jego wzrok i wzruszył ramionami. Niby że co poradzisz.

– A klaunów? – spytał Artem.

Uber drgnął, poruszył ramionami.

– Brrr. Nawet mi nie przypominaj! Klaunów nade wszystko. Prawda, chłopcy?

* * *

– Pamiętajcie – przykazał Uber. – Ziemi na cmentarzu, a także w pobliżu, nie należy ruszać. Broń Boże kopać w niej czy grzebać. Kuźmycz, wyjaśnij dla ludu.

– Ziemi nie żreć! Wszyscy próbowali?!

Ochotnicy prychnęli śmiechem.

– Kurwa, Kuźmicz, straciliśmy w twojej osobie podziemnego Cyncerona – stwierdził Uber. – I mam nadzieję: nigdy go nie odzyskamy. Zajebisty z ciebie orator. O mało nie uroniłem łez.

Cthulhu zarechotał. Dagon uśmiechnął się.

– Wszystko to bujda! – zaperzył się Kuźmicz.

– Nawet ja nie powiedziałbym lepiej. Dziękuję, brachu Kuźmiczu, dziękuję. A teraz się zamknij.

* * *

W końcu Uber znalazł czas, żeby porozmawiać z adaptantem sam na sam. Odeszli

pod latarnię.

– Żenia, nie będę pana uczyć etykiety ani takich tam. Po prostu proszę posłuchać. W męskiej grupie co jest najważniejsze? Cycki i czyj członek większy.

Żenia skrzywił się.

– Nie rozumie pan. Nie dosłownie.

– Co mi pan proponuje, Uber? – spytał Żenia. Ze zdenerwowania też przeszedł na „pan”.

Skinhead widział w nim brzęczącą stalową nić. Tacy się nie poddają.

– Następnym razem niech go pan też przeprosi – rzekł Uber.

– Co?! Na... naśmiewa się pan?

– Była taka myśl – przyznał się Uber. Podrapał się po ogolonej potylicy. – Ale to nie ona.

– Dopiero co pan powiedział... że moje przeprosiny były... nie na miejscu. I proponuje pan znów przeprosić!

– Zgadza się – przytaknął skinhead. – Dlatego że przeprosiny były niechlubnym ustępstwem. Słabością. Tak że proszę przeprosić jeszcze raz.

– Po co?!

– Po prostu należy przeproszać tak, żeby się poczuł nic niewartym kawałkiem łąjna pod pana inteligenckimi podeszwami. Rozumie pan? Nie ustępować z przeprosinami, tylko napastować. Bez litości. Proszę poniżyć jego intelekt, dawać odpór.

– A czy on w ogóle ma ten intelekt?!

Uber roześmiał się.

– I widzisz, Żenia! – Z powrotem przeszedł na „ty”. – Chyba załapałeś.

Adaptant kiwnął głową.

* * *

Wieczorem przyprowadzili ich do składu amunicji Siennej-Sadowej i wpuścili do środka.

– Broń wybierajcie sobie według własnego uznania, dowolną, jaka jest. – Tadżyk zachęcająco machnął ręką.

Ochotnicy spojrzeli po sobie. Pomieszczenie było całkiem puste, przestrzeń zajmowało tylko kilka żelaznych stołów. Na jednym coś leżało, przykryte brezentem. Daszka zaśmiała się cicho.

– Och, niczego sobie – odezwał się Cthulhu, wyraźnie wstrząśnięty. – Miejsce moich marzeń!

– Zaraz wszystko będzie – rzekł Tadżyk. – Ej, jest tam kto? Magazynier!

Kwatermistrz – niepozorny, zasuszony staruszek w okularach, okutany ciepłym szalikiem – wyszedł i wyłożył na długi żelazny stół automaty. PPSz z drewnianą kolbą i bębnowym magazynkiem, PPS – lekkie, w całości metalowe, ze składaną kolbą.

– Broń z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej – wyjaśnił. – Ale nie patrzcie na to,

że jest stara. Wszystko w znakomitym stanie, wszystko działa. Przepiękne maszynki.

– A to co? – spytał Dagon. Tknął palcem karabin z dziurkowaną, jak w pepeszy, osłoną lufy.

– Święta – odezwał się nagle Gołotow.

– Co? – Dagon zwrócił się do Primorca.

– SWT. Karabin samopowtarzalny Tokariewa, model z czterdziestego roku. Doskonała broń, tylko wymaga zachodu. – Zawahał się. – Wezmę go.

– Świetnie – stwierdził Uber. – Bierz. Dagon, zaopatrz pozostałych.

Artemowi i Daszce dostały się PPS-y – lekkie automaty Sudajewa. Cthulhu marudził przy oglądaniu.

– Sama drobnica – narzekał. – Nie ma czegoś mocniejszego?

– Wszystko dla ciebie, braciszku – odparł Dagon.

Staruszek spojrział krzywo, ale ruszył do magazynu. Wrócił, uginając się pod ciężarem broni. Na stole z łoskotem i brzękiem wylądował karabin maszynowy. Podobny do niemieckiego MG, ale jednak inny. Tylko donośnik taśmy taki sam.

– Ręczny karabinek maszynowy Diegtiariowa, model z czterdziestego szóstego roku – wyjaśnił zaopatrzeniowiec. – Zasilanie taśmowe, nabój pośredni, siedem sześćdziesiąt dwa. Rezerwy armii. Przebieg zerowy. W doskonałym stanie, prawie nieużywany. Brali go tylko na regularne przestrzelanie.

– Klasa! – Cthulhu objął broń jak rodzoną siostrę.

– Wszyscy załatwieni? – spytał Tadżyk.

Oddział szczękał bronią, zmieniając magazynki.

– Nie rozumiem, dlaczego postanowiliście uzbroić nas w te starocie. – Dagon uniósł brwi. – W ogóle skąd to wzięliście?

Tadżyk wzruszył ramionami.

– Uznaj, że to rezerwy na wypadek ataku istot pozaziemskich.

– Serio czy jak?

Tadżyk spojrział na niego zupełnie poważnie. Błysnęły ciemne oczy.

– Tak.

– No popatrz, wszystko się przydało.

– Dostajecie też mundury. Białe, maskujące. Oto walonki. Waciaki i maski narciarskie. Ciepłe onuce na stopy i rękawice. Rakiety śnieżne, a nawet narty. Wybierajcie.

– Narty? – Skinhead w końcu zgłupiał. – A co, wybieramy się na wojnę zimową?!

– Finów nie dowieźli, wybaczcie – bąknął kwatermistrz.

– Jest nawet nagan. – Uber podrapał się po karku. – Skąd? Nie sądziłem, że gdzieś się to wszystko uchowało.

– Magazyn WOChR-u. Ochrona kolei żelaznej – odparł krótko Tadżyk. – Oto mundury dla was.

Na stole pod ścianą piętrzyły się kupki wytartych bladezielonych koszulek i spodni, majtek i kalesonów. Osobno leżały białe kombinezony maskujące.

– Stójka zamiast kołnierza. I przy tym pagony. Czy to nie egzemplarz z czterdziestego trzeciego roku? – odezwał się Gołotow.

Zaopatrzeniowiec skinął głową – zdaje się, że z szacunkiem.

– To z magazynów – wyjaśnił. Gdyby głębiej pokopać, można by pewnie dotrzeć i do mundurów z budionówkami. Ale...

– Ale co? Tego już za wiele?

– E, nie, po prostu nie było czasu.

Uber wyszczerzył się w uśmiechu. Zwrócił się do swoich ludzi:

– Dobra, chłopaki... i dziewczyny. Ubieramy się, zbroimy. Mało czasu.

W końcu cała ekipa była umundurowana, obwieszona bronią. Uber krytycznie obejrzał rozmamlaną grupę.

– Wyglądamy jak po klęsce w czterdziestym pierwszym – obwieścił Tadżykowi. – Jakbyśmy właśnie wyszli z okrążenia.

– Faktycznie.

Kwatermistrz poszedł do magazynu, długo tam grzebał, po czym przytaszczył i rzucił na stół stos szmat. Wzbił się kurz. Staruszek kichnął ogłuszająco.

– Na zdrowie – powiedział Dagon. – Co to jest?

– Dziękuję. To, bierzcie każdy dla siebie. Kamizelki taktyczne z drugiej wojny czeczeńskiej, co prawda do kałasznikowów, ale na magazynki do sudajewa też pasują. Na bęben nie mam – uprzedził Dagona, uzbrojonego w pepeszę. Niech pan weźmie torbę na maskę przeciwgazową. Mam ich od groma.

Sierżant kiwnął głową.

* * *

– Czas na szkolenie: cztery godziny. Wszyscy mają się przygotować, potem spać. Na to dodatkowo dziesięć godzin.

– Przydałaby się doba – mruknął cicho Uber.

Tadżyk pokręcił głową.

– Nie mogę. Wybacz. I tak ledwie to wytargowałem.

Uber zastanowił się i skinął głową.

– Skończyliśmy z wyposażeniem i umundurowaniem – rzekł Tadżyk. – A więc, co nam zostało. Ładunek. Wadimie Piotrowiczu, pokażcie, proszę. Wszyscy za mną.

Kwatermistrz, zrozumiał Artem. Tak się nazywa.

Staruszek poprowadził grupę do drugiego pomieszczenia. Stały tam zebrane ogromne toboły, dwanaście sztuk. Nawet o jeden za dużo, pomyślał Artem.

– W co drugim tobole jest dwieście zdobywczych wegańskich pakietów suchego prowiantu – zaczął referować Wadim Piotrowicz. – Łączna waga tobołu: około trzydziestu pięciu kilogramów.

Cthulhu, jako największy i najsilniejszy, gwizdnął cicho. Wszyscy ochotnicy spojrzeli na niego wilkiem, Wiking się zaśmiał. Daszka patrzyła z niezmaconym spokojem.

– W pozostałych tobołach jest broń – wyjaśniał dalej kwatermistrz. – Też pepesze, po sześć magazynków do każdej. A w tym z białą metką: materiały wybuchowe i detonatory. Plus każdemu z was wydamy krótką broń, rewolwer albo pistolet.

Granaty po trzy, cztery sztuki; sami wybieriecie, jakie chcecie. Szczypce do cięcia drutów. Bojowy nóż. Latarkę. Pistolet sygnałowy, to dla pana. – Podał raketnicę Uberowi. – I trzy pociski do niego. A teraz najważniejsze. Uważajcie to za bonus.

Wadim Piotrowicz razem z pomocnikiem wytaszczyli ogromne ustrojstwo, z trudem postawili je na podłodze. Diggerzy patrzyli na to coś zupełnie skołowani.

– Automatyczny granatnik z nabojami – oznajmił zaopatrzeniowiec z dumą. – AGS-30.

Uber gwizdnął z podziwem.

– Wbija w ziemię. Więc mamy jeszcze ciężką artylerię!

– Nie zapomnijcie zatkać uszu, kiedy będziecie z tego strzelać, zwłaszcza w zamkniętej przestrzeni. Od razu mówię, bo to niesamowite wrażenie.

– Tak, ocipiejemy – odezwał się Dagon. – To na pewno. Znam tę sztukę, morowe powietrze na oba wasze domy*. Apokalipsa, nie maszynka. Zajebista rzecz.

– Teraz co do prowiantu – zaczął Wadim Piotrowicz.

Tadżyk uniósł dłoń, zaopatrzeniowiec zamilkł. Tadżyk skinął głową.

– Konserw wam nie dajemy – zapowiedział cicho. – Są ciężkie, a wielu nakarmić nimi się nie da. Tylko wegańskie suche porcje.

– Nie padniemy tam? – zaniepokoił się Cthulhu. – Z głodu?

– To, z całym szacunkiem, nie mój problem – uprzejmie odparł Wadim Piotrowicz.

Tadżyk uśmiechnął się bez słowa.

Uber dał znak oczami. Dagon nachmurzył się, kiwnął głową.

– Dajcie chociaż parę paczek zupy w proszku – poprosił. – Albo bulion w kostkach. Przecież tego zielska nie da się jeść. Tylko pod groźbą rozstrzelania.

Zaopatrzeniowiec udał, że nagle ogłuchł. Dagon nachylił się nad nim, nawisł jak urwisko. Niski okularnik podniósł wzrok i wyzywająco spojrział na sierżanta.

– Dobrze. Coś wymyślimy – odrzekł w końcu Tadżyk.

Zaopatrzeniowiec popatrzył na niego i westchnął, jakby skazany na okrutną kaźń. Odsunął Dagona na bok – ten aż uniósł brwi ze zdziwienia – i poszedł do magazynu. Wrócił z kartonowym pudłem, w którym pobrzękiwały puszki.

– Walkie-talkie wam nie dam – stwierdził Wadim Piotrowicz. – Nie ma sensu.

Uber z Dagonem spojrzeli po sobie.

– Miły jesteś, nie ma co... – odezwał się Uber. – O mało się nie popłakałem. A ty?

– Nie lubią nas tu – zgodził się z nim Dagon.

– Łączność radiowa na powierzchni jest utrudniona, sami o tym wiecie – odgryzł się Wadim Piotrowicz. – Przy dobrych warunkach zasięg najwyżej na kilometr. Po co wam w ogóle radiotelefon?

– W sensie? A drugi oddział? Jak się z nim porozumiewać?

– Jaki drugi oddział? – Zaopatrzeniowiec uniósł brwi.

Uber nagle zrozumiał, zaklął. Zwrócił się do Tadżyka, rozciągnął usta w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Można prosić na słówko, mister M? – zapytał z przesadną uprzejmością.

Tadżyk z niezmaconym spokojem kiwnął głową.

– Chodźmy zapalić.

* * *

– Dowództwo odrzuciło pomysł z drugim oddziałem – poinformował Tadżyk. – Niczego nie mogłem zrobić. Wybacz, Uber. Ale to fakt.

Skinhead wbił w niego wzrok, poruszył szczęką. Chrząknął.

– Albo raczej od samego początku nie zamierzaliście wysłać drugiego oddziału?

– Nie, dlaczego. Była taka opcja – zaprzeczył towarzysz Kim. – Ale sam rozumiesz...

– Wiesz, chyba jako Tadżyk bardziej mi się podobałeś – stwierdził Uber. – Jasne. To znaczy, że i żywność, i broń dla Obuchowa poniesiemy my, moi ludzie?

– Tak. I postarajcie się niczego nie zgubić.

* * *

– Cthulhu, co tam masz? – zapytał Dagon brata.

– Dali mi naganą, wyobrazasz sobie? – Cthulhu pokazał wytartą kaburę z jasnobrązowej skóry. Z kabury wystawała rękojeść rewolweru z grubym sznurem przeciągniętym przez koluszek.

– Cool!

– A ty co masz?

Dagon pokazał.

– Tulski Tokariewa – rozpoznał wielkolud. Zaświeciły mu się oczy. – Machniom od razu? Twoja tetetka za mój nagan?

– A chętnie – zgodził się Dagon. – Trzymaj.

Wyjął tetetkę z gwiazdą na rękojeści, starodawną, jeszcze z lat trzydziestych zeszłego wieku, przed Katastrofą. Otworzył dwa pudełka i wysypał naboje.

– Czterdzieści sztuk – rzekł.

– Oho! Wporzo.

– Dawaj nagan.

– Umowa to umowa – podsumował Cthulhu. Położył na stole kaburę z naganem.

Dagon, zadowolony, sięgnął, wyjął rewolwer. Nagan był prawie nowy, błyszczący. Dagon zakręcił bębenkiem, podniósł rewolwer do ucha, szczękając kilka razy, przysłuchując się.

– Niesamowita rzecz – orzekł w końcu. – Klasa! A ile naboji?

Cthulhu uśmiechnął się niewinnie.

– Dwa.

Milczenie. Dagon popatrzył na brata.

– O ty draniu.

* * *

Kiedy Tadżyka powiadomiono o nagłym wypadku, nawet nie mrugnął okiem. Jego twarz zachowała niezmacony spokój. Tylko w środku gotowało się w nim zaniepokojenie. „Walerianę wypadaloby pić, ot co – pomyślał. – Nawet moich nerwów nie starcza na tego Ubera”.

Gdy dotarł na koniec tunelu, zdążyła już minąć godzina.

– Co się stało? – zapytał.

Dagon zaśmiał się. Tadżyka ogarnął gniew.

– Starczy rehotania, sierżancie. Proszę odpowiadać. Co się tutaj u was dzieje?!

– A nic, Primorcy przyszli aresztować Ubera... – Sierżant, znowu z trudem tłumiąc śmiech, wyprostował się. Twarz mu spurpurowiała.

– A wy co?

– No, pośmialiśmy się. – Dagon nie wytrzymał i zarechotał.

Tadżyk poczuł narastający nieokreślony niepokój. „Pośmiali się”. Pośmiali. „O Allahu miłosierny, co oni znowu zbroili? Za co mnie to spotyka?”

– Gdzie Uber? – spytał ostro.

Dagon wzruszył ramionami.

– Na miejscu. Rżnie głupa, jak zwykle. Słyszysz pan?

Faktycznie. Ze ślepego tunelu dobiegał rechot Ubera i jego głośne kpiące komentarze. Z powodu pogłosu nie dało się rozróżnić słów, ale można było zrozumieć, że to normalny repertuar Ubera. „Najweselszy psychol w metrze” – przypomniał sobie Tadżyk własne określenie i pokręcił głową.

„Świr i jego ekipa”.

– Więc... – zawahał się. I nagle do niego dotarło. – A Primorcy?

* * *

Tadżyk obejrzał kompozycję. Jak to się nazywało przed Katastrofą? Instalacja? Performance? Jaka zresztą różnica...

– A kto go obsikał? – zapytał z rezygnacją. Na krótką chwilę zamknął oczy, żeby powstrzymać wrywający się śmiech. Nie, dowódca powinien zachować pełen spokój.

Porucznik Primorców, pobity i rozebrany do naga, siedział przywiązany do pała. Nad nim powoli i smutno kołysała się na przewodzie latarnia. Od czasu do czasu jeniec próbował krzyczeć, ale z ust wystawał mu knebel zrobiony z brudnej szmaty. I wionęło od niego moczem, nie do wytrzymania.

– Cthulhu. Nie zdążyliśmy go powstrzymać. – Dagon patrzył na oficera oczyma wiernego sługi. Po prostu płaszczył się przed nim spojrzeniem.

Tadżyk westchnął.

– Zobacz, sierżancie, nabierasz od Ubera złych przyzwyczajzeń... potem będziesz się musiał ich oduczyc.

– To nie ja. Słowo honoru.

– Kogo próbujesz nabrać? – spytał retorycznie Tadżyk. – Zaraz opisz sytu... – Spojrzał na sierżanta. – Nie, wróć, opisywać niczego nie trzeba. Wyjaśnij ustnie, co

się tu u was zdarzyło. Po ludzku, nie po wojskowemu.

Okazało się, że po Ubera przyszedł oddział żandarmerii Primorców. Piętnastu żołnierzy, wszyscy uzbrojeni.

– Zachowywali się chamsko – mówił Dagon.

Tadżyk westchnął.

– Rozumiem. I wyjęliście broń?

– Nie, po co? – Sierżant wyraźnie się zdziwił. – Przecież było ich tylko piętnastu!

Tadżyk zawahał się. Chyba był zadowolony, lecz nie chciał tego okazać.

– Dobrze, co dalej? – spytał.

Pobitych Primorców związano i zaciągnięto w zapomniany ślepy zaułek, a ich porucznika przywiązano do słupa, na którym wisiała latarnia. Prawie go nie ruszyli. A co do reszty...

– Osobista inicjatywa sierżanta Cthulhu! – zakończył Dagon. – No... taki już jest.

Tadżyk zmarszczył brwi.

– Dobra, przyślę swoich ludzi. Zabiorą tych Primorców. I tego... biednego obszczańca też. A wy... Ubera do mnie, ale już! A wy... – Poważnie popatrzył na Dagona. – Zbierajcie się do drogi, szybko.

Sierżant zawahał się, skinął głową. W jego oczach zapalił się niedobry wesoły ognek.

* * *

– Ktoś nadał naszego skinheada Primorcom – powiedział dowódca Smiersza. – Wiszą nad nim dwa wyroki śmierci, jeszcze za historię z Mierkułowem. Jak myślisz, kto to zrobił?

Tadżyk i Tarty popatrzyli po sobie.

– Lesin – orzekł Tarty.

Tadżyk potwierdził skinieniem.

– Lesin.

– Co zrobimy?

– Nic.

* * *

– Kurwa, myślałem, że zbieramy elitarną grupę dywersyjną, a to jakaś banda popieprzonych anarchistów! – oburzał się Lesin. – Hołota. Bandyci i cholerni dewianci!

Tadżyk zawahał się, zanim odpowiedział.

– Ta hołota dowaliła uzbrojonym po zęby, wyszkolonym żandarmom Primorców. Bez żadnej broni. Po prostu po to, żeby nie oddać Ubera.

– Myślałby kto! – fuknęła Lesin. – Też mi komendant! Nawet mu służbowo nie podlegają, nie ma stopnia!

– To nie tak – wtrącił Tarty.

Tadżyk skinął głową.

– Co?

– Zapewne nie jest komendantem, to prawda – zgodził się Tadżyk. – Za to świetnym przywódcą. Charyzmatyczną osobowością.

– Tę... charyzmatyczną osobowość należałoby rozstrzelać! – Lesin, rozeźlony, zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem.

– Możliwe, że tak zrobimy. Później. Jeśli będzie kogo. Tymczasem trafi mu się wiele innych okazji, by umrzeć.

– Co to znaczy? – Lesin nasrożył się.

Tarty posłał mu spokojny uśmiech.

– Oddział Ubera jest już w drodze.

* * *

13 grudnia 2033 roku, Petersburg, rejon Kupczina.

Trzydziesty siódmy dzień wojny wegańskiej

Dookoła leżał biały śnieg. Prawie środek grudnia, jeśli sądzić według kalendarza. Chociaż, mówią, teraz pory roku się zmieniły – atomowe wybuchy z czasu Katastrofy wytrąciły Ziemię z jej dotychczasowej osi i teraz pory roku chadzają sobie, jak im pasuje.

Oprószone śniegiem, zamrożone domy spoglądały w noc wybitymi oknami. Śnieg, odbijający światło gwiazd, sprawiał, że wszystko zdawało się po świątecznemu przystrojone i radosne. Jak na Nowy Rok. Trzymał lekki mróz. Biała warstwa skrzypiała pod butami i walonkami.

„Parszywa dwunastka” wyruszyła z Kupczina. Najpierw przeszli przez część naziemną stacji, gdzie komuniści składowali wydobyty z tunelu urobek. Stały tu rzędami pełne wagoniki, a ziemia piętrzyła się niczym hałdy. Potem wyszli na ulicę. Pod mrugające, zimne gwiazdy.

Artem poczuł zawroty głowy.

Oddech zamieniał się w parę. Niebo Pitera było jasne i roziskrzone mrozem.

– Za dużo światła – stwierdził Uber z rozdrażnieniem.

– Tak – potwierdził Kuźmicz.

Zostawiając na białym śniegu ślady rakiet, przemieszczali się w stronę Obuchowa. Diggerzy, obciążeni ogromnymi tobołami, szli nieśpiesznie, miarowo, równo. Tak jak powiedział Uber – po prostej, najkrótszej drodze. „Mamy naprawdę mało czasu”.

– Stąd półtorej godziny marszu – wyjaśnił Kuźmicz. – Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Uber kiwnął głową. „Jeśli” – pomyślał Artem. I w myślach trzy razy splunął przez lewe ramię, żeby nie zapeszyć. Będzie dobrze... jeśli będzie.

Jezdnia była zapchana rdzewiejącymi samochodami. Zaspy sięgały prawie po ich

zardzewiałe dachy – i ulica wydawała się wyłożona różnego koloru prostokątami: czerwonymi, żółtymi, czarnymi, niebieskimi. Wśród nich, niczym lodołamacz pośrodku lodowej pustyni Arktyki, wyróżniał się jedyny turystyczny autobus z odkrytym wierzchem.

Artem zajął do stojącego ukosem białego japończyka. Przetarł rękawicą szybę, skierował do środka latarkę – i wzdygnął się. Za kółkiem siedział szkielet. Jego część rozsypała się po kabinie, ale ręce wciąż ścisnęły kierownicę. We wnętrzu prawie nie było śniegu; zdawało się, że szkielet po prostu dokądś jedzie. Tyle że już od bardzo dawna.

Artema cofnęło. W pewnym momencie w szybie ujrzał własne odbicie – w gumowej masce przeciwgazowej starego, cywilnego modelu. Okrągłe szkiełka, filtr z rdzą. Wtem ktoś Artema szturchnął w plecy.

– Ruszaj się – burknęła Daszka Terminator.

Artem obraził się, ale poszedł szybciej. Skrzyp, skrzyp. Stawiał kroki, czasami zapadając się po kolana. Ogromny tobół gniótł plecy. Artem znosił to z trudem. Wciąż nie mógł się pozbyć z głowy tamtego obrazka: goła czaszka, a za nią pojawia się jego, Artema, twarz w gumowej masce. Jakby stanowili jedno. Bliźniaki. Ciemna i jasna połowa człowieka.

Br. Myślałby kto.

Idący na przodzie Dagon nagle podniósł rękę z zaciśniętą pięścią. Znak „Uwaga”. Oddział zamarł, zatrzymał się w pół kroku.

– Czysto – rzucił w końcu Dagon.

Artem wypuścił powietrze. Oddział znów ruszył do przodu. Lewa noga, prawa noga. Ciche, ale wyraźne skrzypienie śniegu.

Artem podniósł głowę.

Nad zamarznętym Petersburgiem lśniły gwiazdy. Dawaj, uszy do góry, chłopak, mówią mu gwiazdy. Wszystko będzie dobrze.

Artem westchnął, poprawił plecak i poszedł. Gdzieś w dali czekało na nich Obuchowo.

* Wypowiedź Merkucja z *Romea i Julii* Szekspira, akt III, scena 1, przeł. L. Ulrich.

INTERLUDIUM 2

Człowiek bez Imienia 3

Petersburg, grudzień 2033 roku

Biegnę.

Biegnę tunelem. Ciemność, znana i przytulna. Ciemność to mój druh. Ciemność mnie nie wyda. Biegnę. Za plecami słyszę krzyki i czyjś ciężki oddech. W pewnym momencie rozlega się łupnięcie, odgłos upadku, przekleństwa. Biegnę. Już się spociłem. Nagle z prawej bije we mnie słup lodowatego powietrza – obrywam nim jak młotem. Z rozpędu biegnę jeszcze kilka kroków, po czym wracam. Boczny chodnik. A jeśli to ślepy zaułek?! Nie ma czasu na myślenie. Zdaj się na instynkty, zawsze tak robiłeś... I dokąd mnie to zaprowadziło? Serce ściska się z goryczy i żalu. Waham się przez sekundę i zaraz nurkuję w boczny chodnik. Biegnę. Robi się coraz ciasniej i ciasniej. Wkrótce zaczepiam ramionami o ściany, obcieram sobie skórę. Chodnik skręca, prowadzi w górę, po czym zstępuje coraz niżej. Potykam się parę razy.

Robi mi się gorąco. Idę w zupełnej ciemności. Ostatki światła za moimi plecami. Nic więcej już nie widzę. Zapomniałem, jak wygląda żywy człowiek. Jak wyglądam ja sam.

Idę.

Opadam z sił. Nie mam ich już więcej. W głowie się kręci, potylicą rwie potwornie. Możliwe, że to ten sam wypadek. Skrajny.

Gdy światło znika zupełnie, osuwam się na podłogę. Opieram się plecami o lodowaty beton. Przyszedł czas. Wyciągam zapalniczkę, czując pod palcami grawerowany rysunek. Nie mam w palcach na tyle czucia, żeby rozróżnić, co przedstawia. Ale wydaje się, że to jakieś zwierzę. Może smok. Niewykluczone. To na pewno smok. Myślę, że teraz najwyższa pora, by zaryzykować. Benzyny wystarczy na kilka sekund. Powinienem zobaczyć. Nie, nie rysunek na zapalniczce...

Potrzebne mi co innego.

Czirk! Czirk! Lecą iskry.

Zapala się płomień.

Dopóki płonie, patrzę na fotografię.

Gdy gaśnie, widzę nadal.

„To ona”.

„To zawsze była tylko ona”.

Na czarno-białym zdjęciu widnieje młoda dziewczyna. Ciemne włosy. Z lekka wschodni obrys oczu. Ładna aż tak, że na chwilę zapiera mi dech w piersi. Właśnie taka będzie, gdy podrośnie... Jeżeli podrośnie... Jeżeli przeżyje... Jeżeli nie umrze z głodu czy od chorób. Jeśli jej nie zabiją bandyci. Jeśli...

Żyjemy w świecie nawarstwionych „jeśli”. I jest to straszny świat.

Ogromny pusty peron. Na podłodze siedzi dziewczynka. Rozkłada zabawki: połowę plastikowej krowy, monetę, kamyk z czerwonawą plamką i pióro ze zlepionymi frędzelkami...

Wtem mała podnosi głowę. Ma ładne czarne oczy i śmieszny krótki nos. Dziewczynka mówi: „Cześć, aniele”.

Wzdrygam się. Podnoszę wzrok. W ręce nie mam niczego. Żadnego zdjęcia. Zapalniczka wyśliznęła mi się z palców i znikła w ciemności.

Zapadam w drzemkę. We śnie zdaje mi się, że znów słyszę dźwięk jadącej windy. Jak wtedy na Siennej. Bzdura. Budzę się z silnym drgnieniem, jak od uderzenia.

Słyszę kroki. Idą tutaj ludzie... Ktoś idzie. Znaleźli mnie.

Macam ręką, znajduję ogrodniczą łopatkę i wstaję na nogi. Szykuję się do bitki. Jak tam, na Obuchowie... Moja ekipa... Zaciskam zęby – do bólu. Błysk żalu sięga do samej głębi, jak lodowa igła w serce. Nie teraz. Na każde wspomnienie przyjdzie czas. Bierz się w garść, cholerny żołnierzu.

Oślepiające światło latarek przenika mnie na wskroś. Znowu niczego nie widzę.

– Wiecie, z kim zadarliście? – wypowiadam powoli. Sił zupełnie już nie mam, ale jeśli zgromadzić w sobie złość, to siły się pojawiają. – Wy, kurwa, nie wiecie, z kim zadarliście! Ze skinami...

– Cześć, Uber – odzywa się znajomy głos. Do bólu znajomy. – Jak leci?

Próbuję coś dostrzec przez zasłone łez. Piekące światło znika, snop latarki wreszcie skierowano w bok.

Przede mną stoi człowiek w wytartym, okręconym taśmą klejącą kombinezonie ochronnym. W ręce trzyma maskę przeciwgazową z zieloną naklejką. Jak na bananie, myślę mimochodem. No proszę.

– Mój ulubiony cukierek to... – zaczyna tamten poważnie i nagle się uśmiecha. Ma prawie siwe włosy, a na policzku świeżą bliznę i jakiś nowy, niepasujący mu do końca wyraz twarzy, ale to na pewno on. Mój druh.

– Batoonik – dokańczam jego zdanie. – Cześć, Iwan... I to, do diabła ciężkiego, nazywasz spektakularnym wejściem?!